

TOM CCLXXV.

SERYA 9.

ROK 69.

ZESZYT 824.



IBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

S I E R P I E Ń .

1909.

---

TOM III.--ZESZYT 2.

---

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

1909.

# TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. OD KOLEBKI PRZEZ ŻYCIE,—przez <i>Z. Miłkowskiego</i> . . . . .	209
2. MICKIEWICZA „KSIĘGI PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO“ i LAMENNAIS'GO „PAROLES D'UN CROYANT,“ —przez <i>Manfreda Krilla</i> . . . . .	238
3. WYPRAWA DENISKI,—przez <i>Maryana Kukiela</i> . . . . .	270
4. ORGANIZACYA POŚREDNICTWA PRACY,—przez <i>dra Żeliszawa Grofowskiego</i> . . . . .	288
5. Z LITERATURY ANGIELSKIEJ,—przez <i>Maryę Rakowską</i> . . . . .	308
6. BUDOWA ŚWIATA,—przez <i>M. Ernsta</i> . . . . .	325
7. SZTUKA WE FRANCYI,—przez <i>Konrada Ostrowskiego</i> . . . . .	363
8. PIŚMIENICTWO:	
ERNEST ŁUNIŃSKI: „Berek Joselewicz i jego syn,“—przez <i>H. M.</i> . . . .	380
„Kościół zamkowy, czyli katedra wileńska, w jej dziejowym, liturgicznym, architektonicznym i ekonomicznym rozwoju.“ Na podstawie aktów kapitulnych i dokumentów historycznych opracował ks. Jan Kurczewski,—przez <i>I. B.</i> . . . .	384
KONSTANCYA SKIRMUNT: „Nad Niemnem i nad Bałtykiem,“—przez <i>I. B.</i> . . . .	386
„Archiw Jugo-Zapadnoj Rossii.“ Część III, t. IV,—przez <i>I. B.</i> . . . .	386
9. Ś. P. WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI,—przez <i>M. G.</i> . . . . .	388
10. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Zjazd lekarzy-internistów polskich w Krakowie i Muzeum historyi medycyny polskiej.—Ofiara na rzecz Instytutu nauk doświadczalnych w Warszawie.—Walka z miastem współczesnym i jej odgłosy u nas.—Lektorat języka polskiego w Uniw. Warszawskim.—Głos Sienkiewicza nad trumną Modrzejewskiej . . . . .	394
11. WSPOMNIENIE POZGONNE:	
ś. p. Zygmunt Noskowski,—przez <i>Z. D.</i> . . . . .	408
12. WIADOMOŚCI NAUKOWE. LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	410

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 6.



De. II. 1

# OD KOLEBKI PRZEZ ŻYCIE.

(Kartki z pamiętnika).

## II.

Zwycięstwo, przez nas pod Solnokiem odniesione, wywarło wpływ ogromny na dalsze losy wojny węgierskiej. Nastąpiło ono dnia 2 marca 1849 r., a w dni trzy po bitwie pod Kapolną, stoczonej pod dowództwem Dembińskiego. Bitwa ta, luboć dla oręża węgierskiego nie pomyślna, wielką miała pod tym względem doniosłość, że siły orężne węgierskie po raz pierwszy wystąpiły w skupieniu i działały według planu. Plan operacji na lewe skrzydło austriackie był dziełem Dembińskiego. Atak na Solnok, w stosunku do niego, miał znaczenie dywersyj i dał w rezultacie tryumf—tryumf żołnierza młodego nad starym, ruchawki nad wojskiem regularnym: dał zatem w rezultacie dowód, że ruchawka z powodzeniem mierzyć się może z wojskami regularnymi. Wyniknęła ztąd korzyść moralna, która w wojnach tego rodzaju nie jest bez znaczenia. Honwedzi pod Kapolną utrzymali spoistość militarną, pod Solnokiem odnieśli zwycięstwo świetne. Wojsko młode, które pod Szwehat rozbiegło się i w potyczkach, staczanych w jesieni, placu dotrzymywać nie umiało, wojskiem się narzeczcie poczuło:—poczuło ufność samo do siebie, ufność wzbudziło w tych, co mu przewodniczyli. Była to wygrana wielka.

Rzec wypada słówko o wojsku węgierskiem.

Rewolucya na rozporządzenie swoje dostała garstkę wojska regularnego, wynoszącą nie więcej jak 16,000 ludzi. Sejm postanowił organizacyę milicyi, pod nazwą „Obrony krajowej“ — honwedów, rodzaju gwardyi narodowej ruchomej, z tem wszakże, że



nie wybierała ona sobie oficerów. Tych ostatnich mianował rząd. Pobór do honwedów odbywał się wedle reguł rekrutacyi zwyczajnej. Młodych ludzi przeznaczano do piechoty, jazdy i artyleryi, organizowanych wedle modły, przyjętej w armii austriackiej. Jazda dzieliła się na szwadrony, pułki, brygady, dywizye: artylerya na baterye po osiem armat; piechota zatrzymywała podziały austriackie, ale pod zmienionemi nieco nazwami. Za jednostkę organiczną przyjętym został batalion i z batalionów, dzielących się na cztery kompanie formowano półbrygady, brygady i korpusy. Półbrygada przeto odpowiadała pułkowi, korpus dywizyi. Korpusów siła normalna wynosiła 12,000 głów i składała się z dwunastu batalionów piechoty, dwóch pułków jazdy, dwóch bateryj artyleryi pieszej i jednej konnej. Do korpusów przyłączano po parę kompanij saperów-pontonierów, bez pasków—rozumie się. Z korpusów tworzyły się armie, którym przewodniczyli wodzowie naczelni.

Pisząc z pamięci, nie ufam sobie tak dalece, ażebym podawać miał ogólną siłę armii węgierskiej. O sile tej sądzić jeno mogę wedle nazwisk generałów korpuśnych, jakie mi się o uszy obijały. Obijały mi się o uszy nazwiska następujące: Gorgey, Klapka, Damianicz, Aulich, Gaspar, Kmeti, Perczel. Dwaj ostatni mieli dowództwo na południu, przeciw Bacom i nie wiem, jakimi rozporządzali siłami. Pominąwszy przeto ich, pominąwszy garnizony po miastach i w koronie, pominąwszy Siedmiogród — który pod dowództwem Bema stanowił komendę oddzielną — na Węgry właściwe przypadają korpusów pięć, czyli, w przybliżeniu, 60,000 wojska, przeznaczonego do działania w polu otwartem. Korpus nasz stanowił część jego.

Po zwycięstwie pod Solnokiem spodziewaliśmy się drugiej w dniu tym samej bitwy. W Czegledzie, w odległości dwóch stacyj koleją żelazną, stała brygada austriacka. Widzieliśmy, jak równocześnie ze strzałami sygnałowemi do Czegledu pomknęła lokomotywa. Uszykowano nas przeto na drodze żelaznej, wysłano podjazdy, dowódcy szklami horyzont badali; gdy słońce przygrzało, pokazywały się nam miraże; nieprzyjaciel atoli nie pokazał się. Bitwa skończyła się około dziewiątej rano. Przestaliśmy na pozycyi do pierwszej zapewne. Słońce dogrzewało, pragnienie paliło — gasiłem je w kałuży, w której zwłoki psa mokły; wreszcie poprowadzono nas do miasta na kwatery. Zajęliśmy kwatery po Austryakach i jedliśmy obiady dla nich przyrządzone. Liczyli oni na to, że nas pobiją i wrócą. Stało się inaczej. Zachowała mi się w pamięci zupa, którą spożyłem: była tak opa-



przezona, że chłodziłem sobie gębę winem, wodą i wiatrem. Mięsa nie jadłem z powodu, że na podwórce domu przez drogę przeprowadzono z pobojowiska konia z nogą złamaną, zabito go, ze skóry odarto i na mięso ćwiertowano. Myśl o mięsie końskim apetytu mnie pozbawiła.

Nazajutrz po bitwie przeprowadzono nas napowrót na lewy brzeg Cissy i postawiono w obozie obok usypanego przez Austriaków szańca przedmostowego. W obozie tym przyłączyły się do nas dwie kompanie legionu, co się w północnych Węgrzech sformowały; w obozie tym posunięty zostałem o stopień wyżej za to, że w ciągu bitwy zajął miejsce zabitego Trylowskiego, który sekcyą dowodził. Awansowałem na podoficera. Spowaźniałem... Legion nasz wzrósł do rozmiarów batalionu pełnego i, z powodu odznaczenia się pod Solnokiem, wszedł do składu półbrygady wzorowej, sformowanej z batalionu dziewiątego (*rothkaplerzy*) i trzeciego honwedów, z batalionu pułku Waza i z batalionu polskiego. W obozie pozostawaliśmy dni parę; ruszyliśmy wreszcie w pochód dalszy w północnym od Solnoka kierunku, zatrzymywaliśmy się po dni parę tu i owdzie i przerzuciliśmy się wkońcu na prawy brzeg Cissy. Nastąpiło to w Tissa-Füred. Na brzegu prawym Węgrzy usypali obszerne szanice przedmostowe, które byłyby służyły w razie, gdyby Austriacy zaczepnie działali. Przeszliśmy je i przez Poroszlo wydostaliśmy się na trakt, którym, miesiąc temu cztery, przejeżdżaliśmy forszpanami, jako ochotnicy, to jest na trakt kapolniański, ten sam, który, według planu Dembińskiego, służyć miał za oś operacyjną.

Na trakcie tym, w Gyögyesz, miasto owacę legionowi sprawiło. Gdyśmy przez ulice przeciągali, obsypano nas kwiatami; kobiety nam kokardy do płaszczów przypinały. Ludność w sposób ten wywdzięczała się nam za Solnok. Okrzyki *elien Lengyel!* towarzyszyły nam aż za miasto. W pobliżu Gyöngyész, we wsi dużej, staliśmy na kwaterach przez dni kilka, po których upływie część korpusu naszego z Wysockim na czele udała się w pochód drogą, równoległą do traktu głównego, i gdy się około dziewiątej rano na spoczynek zatrzymała, doszły uszów naszych odgłosy wystrzałów działowych. Echa dochodziły od strony prawej. Wnet nam pod broń stawać kazano i poprowadzono nas naprzód krokiem pośpiesznym. Wystrzały dochodziły coraz to wyraźniej. Wysocki ze sztabem zatrzymywał się od czasu do czasu i nastawiał lunetę, badając widnokrag. O! jakże mi się chciało przez lunetę ową spojrzeć. Zachciewało się tego samego i kolegom moim, ile razy bowiem do szeregów zbliżał się A. Grochowalski,

jeden ze sztabowców, zawsze zarzucanym był pytaniami o to, co w lunecie widać.

— Widać Austryaków... — odpowiadał.

— Dużo?...

— Policzymy ich niebawem...

Gdyśmy minęli wieś jakąś, kazano nam szyk z pochodnego w bojowy zmienić i kolumny łańcuchem tyralierów osłonić.

— Majorze... tyraliery... — odezwał się wnet Jagmin do dowódcy batalionu, Czernika, podnosząc palce do salutowania i przybierając postawę ucznia, proszącego profesora o wyjście z klasy.

— Pluton pierwszy z kompanii pierwszej w tyraliery!... — odrzekł major.

— Pluton pierwszy... naprzód!... marsz... marsz!... — zawołał Jagmin głosem tryumfu.

Wystąpiliśmy z frontu, uszliśmy krokiem zdwojonym kroków kilkadziesiąt i dwie sekcyje od prawego, to jest pierwsza i moja, rozsypały się w łańcuch. Ruszyliśmy biegiem; Jagmin za nami rezerwę prowadził i na gwizdawce sygnały dawał. Natrafiliśmy na rozlegające się po dwóch stronach drogi ogrody przedmiejskie. Przez płoty wkroczyliśmy do ogrodów. W miarę, jakeśmy się posuwali, huk bitwy, składający się ze strzelaniny działowej i karabinowej ogarniał nas coraz to mocniej. Przebiegaliśmy z ogrodu do ogrodu, aż stanęły przed nami mury miejskie. Słyszeć się dał sygnał zborny. Zbiegliśmy się na ulicy, gdzie nas Jagmin rotami uszykował i, nie oglądając się poza siebie, naprzód poprowadził. Grzechot ognia broni ręcznej wrzał ustawicznie. Przechodziliśmy mimo domów pozamykanych; z jednego wyszedł człowiek z konewką oburącz trzymaną; pragnienie mnie paliło, konewkę schwyliłem, do ust przyłożyłem, piłem, piłem, nie wiedząc, że piję wino; oddałem i za plutonem pobiegłem. Pluton właśnie wkraczał na rynek wojskiem napełniony. W głębi stało dział parę zaprzężonych i oddział huzarów, bliżej bataliony piechoty.

Zatrzymaliśmy się u wnijscia. Widok oczom naszym przedstawił się w rodzaju swoim oryginalny. Na rynek adjutant woźdza naczelnego przywiózł rozkaz zdobycia mostu, zamaskowanego domami piętrowemi. Wykonania rozkazu tego próbował batalion ten i ów; — co który poszedł, to wrócił, powitany kartaczami, któremi Austriacy z dwóch bateryj, krzyżujących ogień, strzelali. Pomiędzy batalionami próbującemi znajdował się jeden niemiecki strzelecki, w kapelusikach z piórami koguciami. Ten cofnął się ostatni i ściągnął na siebie ze strony Węgrów wyrzuty ostre, na które nie mniej ostro Niemcy odpowiadali.



— Idźcie wy!... — wołali jedni na drugich z dodatkiem obfitych obelg.

Z szeregów niemieckich wyskoczyła kobieta i perorowała, podnosząc karabin i pokazując na oblicze swoje, dymem prochowym uczernione.

Wrzała kłótnia, która kto wie, jaki by obrót wzięła, gdybyśmy się pomiędzy spór wiodące bataliony nie wsunęli. Jak skorośmy się pokazali, w chwili tej spór ustał, z jednej strony zabrzmiał okrzyk wielki: *elien a Lengyel!* z drugiej: *es leben die Polen!* Jagmin zakomenderował:

— Krok podwójny, marsz... marsz!...

Gdyśmy pomiędzy batalionami przechodzili, okrzyki wciąż grzmiały, a do wiwatów dołączyły się wołania węgierskie *eliure!* i niemieckie *vorwärts!*, tłómaczące się po polsku przez: *naprzód!* Wrzawa stała się ogromna, a tem większa, że Grochowalski, zgromadziwszy obok domu, przy którym przechodziła ulica na most, doboszów kilkudziesięciu, bębnić im kazał marsz do ataku. Wrzawa ta niosła nas niby; spłynęliśmy po niej, w ulicę weszli, z poza domów się wynurzyli, w kolumnę do ataku pod kartaczami sformowali i na most skoczyli, odstrasząc saperów austriackich, którzy, pomost zerwawszy, koło słupów majstrowali. Most przebyliśmy po belkach. Na przeciwnej stronie wnet Jagmin w tyralierę nas rozsypał i, gdyśmy się naprzód posuwali, z lewej naszej strony strzelać zaczęły działa, które poszluzem baterye austriackie brały. Działa te na pozycję wprowadził Wysocki. Artylerya austriacka niezwłocznie pozycję swoją opuściła. Wkrótce potem bataliony węgierskie jęły rzeczkę przechodzić. Most naprawiono. Za piechotę poszła artylerya, za artyleryą jazda. Zawiązaniu się boju na nowo przeszkodziła spóźniona pora. Wojska atoli na pozycyach do wieczora pozostawały, a z nimi i pluton nasz, na szosie, którą zdobył.

Jagmin powracać ani myślał. *J'y suis, et j'y reste.* O zmroku nadjechał adjutant Wysockiego z rozkazem odprowadzenia plutonu do kolumny. Jagmin mu na to:

— Nie słucham rozkazów ustnych... przynieś mi rozkaz na piśmie...

Adjutant odjechał i rozkazu na piśmie nie przywoził. Nie wiem, co się Jagminowi po głowie roiło. Czynność jego, od chwili wprowadzenia tyralierów w ogrody, była ustawicznym gwałceniem regulaminu, który dla niego był sumą mądrości, ewangelią, pacierzem codziennym. Wbrew pacierzowi temu, od kolumny się oddalił, z oczu ją stracił i wykonał na most atak.

Zapał go uniósł, o regulaminie zapomniał i wyobrażał snadź sobie, że stanowiska zdobytego opuszczać się mu nie godzi. Trzymał się na niem do ostatka, tak, że wojska węgierskie zeszyły, ciemno się zrobiło i my pozostaliśmy sami.

— Wracajmy, poruczniku... — odzywał się do Jagmina to ten, to ów.

— Na rozkaz czekam... — odpowiadał.

Bez rozkazu ruszyć się nie chciał. Przyszło jednak nakoniec do tego, że sam zmiarkował, że, jeżeli bez rozkazu na piśmie stanowiska zdobytego opuszczać nie wypada, to nie wypada bez rozkazu plutonu w oderwaniu od batalionu trzymać. Cel trzymania tego przedstawiał się nie koniecznie jasno. Co my na szosie tej do czynienia mieli w nocy, o głodzie i bez snu? Nie wiem, czy pytania te zadawał sobie Jagmin, ale na myśl mu przyszło co innego. Wydało się mu, że komenda zwierzchnicza przeciw obowiązkom swoim wykroczyła. Oburzyło go to. Wzdychał i głową wstrząsał; wreszcie, ulegając naleganiom naszym, odwrót nakazał: pluton frontem ustawił, w prawo zwrócił, rotami ruszył i prawem ramieniem naprzód na most poprowadził. Za mostem od czasu do czasu zatrzymywały nas warty, my zaś na strażnicach rozpytywaliśmy o korpus Damianicza. Odnalezienie go nie było rzeczą łatwą. Do batalionu dobiliśmy się późno w nocy: ogniska w obozie już były pogasły, żołnierze spali, podjadłszy sobie zapewne; my aniśmy się przyczem ogrzać, ani co przekąsić nie mieli. Ległem, paniętam, na ziemi, usypiać począłem, zmarzłem, zerwałem się i zoczyłem panią Młodecką, markietankę, przechodzącą z pakunkiem na plecach.

— Co tam pani niesiesz?...

— Tokaj...

— A wódka?...

— Właściem po wódkę do miasta poszła; wódkim nie dostała, trafił mi się za to tokaj... przedni tokaj!...

— Czy tokaj grzeje?... — zapytałem.

— O... i jak jeszcze!...

Kupiłem butelkę i wypilem ją duszkiem.

Nazajutrz Jagmin, ku niemałemu zdziwieniu swemu, dowiedział się od oficera służbowego, że jest aresztowany. Była mowa o oddaniu go pod sąd. Skończyło się jednak na tem, że do południa bez pałasza pozostawał i podobno reprimendę od Wysockiego dostał. Sztuka uszła mu na sucho, dzięki Węgom, przyświadczającym jednogłośnie heroizmowi polskiemu. Reputacya nasza w armii rosła.



Bitwa, której epizod jeden opisałem powyżej, stoczona została d. 2. kwietnia pod Hatwań. Rozpoczęła ona szereg bitew, z których każda zwycięstwem była. We dwa dni po niej, potykaliśmy się pod Tapio-Biczke, pamiętnej mi tem, że mi obówie opadło, przyszedłem na plac boju boso i w boju boso figurowałem. Zawadzało mi to w marszu; w bitwie anim wiedział, że stąpam po ziemi stopami, wystawionemi na obrażenia wszelakie. Pod Tapio-Biczke mieliśmy nie most, ale groblę długą do zdobycia i zdobywanie jej nakazanem zostało w sposób zupełnie taki, jak pod Hatwań, to jest, adjutant przyniósł rozkaz batalionom, posuwającym się łakami ku trzęsawiskom, któremi w odwrocie osłonili się Austryacy i bronili grobli, celem zabezpieczenia sobie odwrotu. Po otrzymaniu rozkazu trzy bataliony ku niej się zwróciły. Na prawo od nas maszerowali rothkaplerzy; ci kroku przyspieszyli, z kolumny dywizyonowej sformowali się sekyami, wydłużyli się i biegiem poszli, bez względu na to, że ściągnęli na siebie ogień piekielny. Zawierucha kartaczów i kul karabinowych nie wstrzymała ich. Poszli, przeparli się przez groblę, i na stronie przeciwnej kupą na piechotę austryacką się rzucili. Za nimi w tropy biegliśmy my. Do nas już nie strzelano. Batalion rothkaplerów ucierpiał srodze. Grobla usiana była zabitymi i rannymi, których ilość niemała leżała po jednej stronie w wodzie, po drugiej w pokrzywach i błocie. Scigaliśmy czas jakiś armię nieprzyjacielską, której pociągi w ręce nam wpadły. Jeden z wozów prowadził jeden z kolegów moich, Kwiatkowski.

— Niema tam butów?... — zawołałem.

Kwiatkowski cisnął mi parę dużych berlaczków pilśniowych. Natychmiast je wzułem; że zaś stopy były dwa razy przynajmniej większe, aniżeli stopy moje, musiałem je przeto poprzywiązywać sznurkami w kostce i kolanach i sporządziłem sobie w ten sposób obówie lekkie i wygodne. Służyło mi ono jednak nie długo. W bitwie następczej, która we dwa dni później pod Isaszeg nastąpiła, w kawałki się rozpadło i ja znów boso pozostałem.

W bitwie pod Isaszeg legion złożył dowód waleczności rzeczywistej.

Bój zawiązał korpus Kłapki przeciw wojskom austryackim, które pozycyę silną z natury wzmoeniły okopami. Węgrzy musieli się z lasów wydostawać. Damianicz dostał w ciągu marszu inwitycyę wysłania sił głównych na linię bojową i odłamania od nich paru batalionów, celem wykonania demonstracyi na lewym skrzydle austryackiem. Korpus przeto pomaszerował drogą, co się odłamywała w lewo, a z kolumny pochodnej oddzielono bata-

lion nasz i batalion Waza, szwadron huzarów i pół baterii artylerii i poprowadzono nas w prawo. Droga, przechodząca lasami, nie była bardzo utarta. Na czele, ze sztabem licznym, jechał Damianicz w towarzystwie Wysockiego. Wynurzyliśmy się z lasu w pozycyi górzystej. U stóp naszych rozwijała się w dali panorama bitwy, okurzona białawemi dymami, nabrzniiała hukiem. Ramy jej stanowiły lasy, półkolem szerokiem pole bitwy ochwytyjące, a dalej, w prawo, widniały pola zielone, łączące się z horyzontem. Lasy, z których wyszliśmy, ciągnęły się poza nami w dwie strony. Na prawo od nas poczynał się wąwóz, za którym rozciągały się wypasy, porośnięte rzadko drzewami. Ze strony tej, z której widok wybiegał na miejsca otwarte, spodziewano się naddzignięcia korpusu węgierskiego pod dowództwem Gaspara.

W stronie tej, skorośmy z lasu wyszli, zamajaczyły kolumny jakieś. Posuwaliśmy się bardzo powolnie—krok za krokiem, zatrzymując się co moment. Damianicz i Wysocki przez lunety rozpatrywali się w okolicy; po chwili generał wysłać kazał podjazd na prawo, w celu dotarcia do pokazujących się w dali kolumn i, ponieważ wątpliwości nie było, że to Gaspar—wskazania im kierunku pochodu. Pluton huzarów ruszył. My zaczęliśmy się posuwać znów. Tuż obok legionu jechali Damianicz i Wysocki. Przypatrywałem się Damianiczowi z ciekawością, widywałem go bowiem dotychczas z daleka, w przezroczu niby. Obecnie miałem go przed sobą. Mogłem studyować postać człowieka, co był nam wodzem i, jako taki, obchodził nas żywo. Damianicz był wzrostu dużego, barczysty, nos miał lekko orli, wejrzenie i wyraz oblicza marsowy, na piersi mu spływała długa, czarna broda, nadająca akcent twarzy jego, do śniadości ogorzalej. Przedstawiał on sobą typ Serba tej rasy, do której należał, sądząc z portretu, Karageorgi. Miał na sobie atyllę węgierską, duże palone buty, przy boku pałasz, na głowie czako na bakier nieco przechylone.

Posuwaliśmy się krok za krokiem. Naraz, na prawo, ukazał się pluton z powrotem. Powracał, ale — jak?... Huzarzy w rozpęce pędzili, co koń wyskoczy; pędzili na osłep; kilku najechało na Wazów i potratowało ludzi w batalionie. Jednemu czako z głowy spadło i trzymało się na szyi, na podpince, potnik z pod siodła się wysunął i włókł się za koniem w powietrzu. Pędzili z okrzykiem:

— Nemet! (Niemcy)...

Zamiast spodziewanego korpusu Gaspara, naddzięgał niespodziewany korpus Schlika: batalionów dwanaście czy piętnaście piechoty ze stosowną ilością jazdy i artylerii.



Niespodzianka ta tłómaczyła się sama przez się. Korpus Schlika szedł wprost na skrzydło i tyły walczącej armii węgierskiej. Dla dokonania tego potrzeba mu jenó było zająć las. Postać rzeczy stawała się groźną w stopniu tak wysokim, że Damianicz osłupiał na koniu, twarz mu zbladła, czoło zmarszczył i po chwili milczenia odezwał się:

— Co teraz, to nie wiem, co zrobić...

Słyszałem wyrazy te po niemiecku wygłoszone.

— Ale ja wiem... — odparł Wysocki.

I, do nas mowę zwracając, głosem przez nos zawołał:

— Do lasu!... W tyraliery się rozsypać!... Lasu bronić!... Noga wasza ani jedna niech stamtąd nie wyjdzie, jeżeli Austriacy las zajmą...

Zwrócono nas na miejscu przez „lewo w tył, zwrot!“ równie jak Wazów; ruszyliśmy w las i rozsypali się w tyraliery, Wazowie na lewo, my na prawo. Dokonałiśmy tego na długiej a wąskiej polanie, za którą stanowisko rezerwa nasza zajęła. Austriacy poczęli nas granatami macać. Granaty wielki sprawiały hałas, łamiąc gałęzie i pękając z wywoływaniem ech. Przeszedłszy polanę, posuwaliśmy się łańcuchem i niebawem zawiązaliśmy palbę, jak skoro ukazały się nam szeregi tyralierów austriackich. Las napełnił się grzechotem nieustającym. Naparliśmy Austriaków, aż do wylotu lasu; Austriacy naparli nas do polany, którąśmy w odwrocie przebiegli i za którą znów się sformowali i naprzód ruszyli. Powtórzyło się to razy trzy. Trzy razy polanę przebiegaliśmy pod ogniem, ochoty sobie okrzykiem „hura!“ dodając. Rozprawa ta ciągnęła się od jedenastej przed południem do dziewiątej wieczorem. Strzelaliśmy jedni drugim we łby na odległość niekiedy kroków kilku, tu i owdzie szeregi przeciwne schodziły się i bagnietami kłuły. Co do mnie, nie potykałem się na bagnety i, jako podoficer, odpowiedzialny za porządek bojowy sekcji, nie strzelałem. Strzeliłem raz tylko. W odwrocie szedł obok mnie żołnierz, nazwiskiem Nowakowski — obejrzał się i zawołał:

— Podoficerze!...

Jam się obejrzał z kolei i rzutem mimowolnym z karabina się złożyłem. Rzut ów spowodował żołnierz austriacki, który w odległości kroków kilku mnie na cel wziął. Strzeliliśmy równocześnie, ale nie z równem powodzeniem. Jam trafił, on — nie. Widziałem jak się wywrócił biedak i ujrzałem w chwili tej nadbiegających żołnierzy kilkunastu. Puściliśmy się z Nowakowskim biegiem; Austriacy ścigali nas i strzelali. Niebawem Nowakow-

ski jęknął „o-joj!” i za rękę mnie uchwycił. Prowadziłem go czas jakiś, aż potknął się i wpadł w dół liściem zeschem napelniony. Zostawiłem go tam i za powrotem widziałem trupa jego.

W lesie tym gęsto nasze i austriackie padały trupy. Bój był zawzięty i uparty. Broniliśmy lasu szerze i w końcu, gdy się już ściemniło, cofnęliśmy się. Ogień ustał. Ściągnęliśmy się do rezerwy, spoglądając ku polanie, która w cieniu przyoblekła się dla nas powłoką zagadkową. Nagle wysunęła się na nią masa ciemna.

— Austriacy...—przesunęło się po szeregach naszych szep-tanie.

Wydało się nam, że widzimy przed sobą kolumnę piechoty i upewniliśmy się wtem, gdy w kolumnie tej bębny się ozwały. Na odgłos bębnow ogniaśmy dali. Kolumna nam ogniem nie odpowiedziała. Pokazało się, że był to batalion węgierski, na pomoc nam przysłany. Wysocki nadaremnie przez dzień cały kłótał o podtrzymanie nas siłami świeżemi. Z pola bitwy kompanii żadnej oderwać nie można było. Stało się to możliwem wieczorem dopiero, kiedy nadszedł oczekiwany korpus Gaspara.

Batalion przybyły zluźwał nas. Ukazano nam drogę leśną, poszliśmy nią i z lasu wyszedłszy, zatrzymaliśmy się pod wsią jakąś. Po drodze spotykaliśmy koła połamane, wozy powywracane. Przez dzień cały nic w ustach nie mieliśmy. Nie czuliśmy jednak głodu ani pragnienia. Opanowało nas uczucie pognębiające, byliśmy bowiem przekonani, że bitwa, w której wzięliśmy udział, przegrana przez nas została. Przekonanie to powstało w nas stąd, żeśmy się cofnęli. Nie rozpalaliśmy ognisk, nie sporządzali jadła: jak kto stał, tak się na siebie zwał, przygnieciony ciężarem znużenia, które się domagało spoczynku. Na mnie powtórzyły się fenomeny bitw pod Solnokiem i pod Tapio-Biczke, w których, w pierwszej odzyskałem siły mdlejące od znużenia, w drugiej zapomniałem o braku obóvia. Po bitwie czulem się znękany i spostrzegłem, że berlacze opadły mi z nóg. Piłść nie wytrzymała ocierania się o pieńki i rośliny kolące. Pozostałem znów boso: nogi miałem pokaleczone, na rękach i płaszczu plam krwawych pełno. Nie to mi jednak dokuczalo najmocniej, ale przegrana, która mi niby na sumieniu ciążyła. Cofnęliśmy się, zeszedliśmy przed nieprzyjacielem z pola. Fakt ten w duszy mi nurtował i wywoływał zapytanie: Cóż dalej będzie?

Zapytanie to rozstrzygnęło się niebawem. O wschodzie słońca przyjechał adjutant Wysockiego i przywiózł wiadomość, że bitwa została wygraną — i wygraną, dzięki nam. Nie puściliśmy



Schlika. Usiłowania jego przejścia przez las rozbiły się o piersi nasze. We dwa bataliony zatrzymaliśmy korpus, którego siła równała się sile mocnej dywizji. Armia austriacka znajdowała się w pełnym odwrocie na Peszt. Otrzymała trzy ciosy jeden po drugim: pod Hatwań, pod Tapio-Biczke i oto obecnie, pod Isaszeg — czoła już stawić w stanie nie była.

Pod Isaszeg pozostawaliśmy dni dwa czy trzy, zażywając dobrze zasłużonego spoczynku. Staliśmy obozem, który upamiętnił mi się świętami wielkanocnymi, obchodzonemi bez bab i placzków, ale zato z pieczenią sarnią. Żołnierze nasi zdobyli jedną z sarn. uciekających ze zwierzyńca właściciela Gödölö.

Mieliśmy tedy pieczeń i jaja; dzieliliśmy się jajkiem, wedle zwyczaju i wygrzewaliśmy się na słońcu. Słońce i piasek, na którym staliśmy, sprawiły, jak się zdaje, to, że mi się wygoiły pokaleczone w bitwie nogi. Dostałem trzewiki jakieś przechodzone; w marszu dalszym nie figurowałem już boso.

Marsz dalszy rozpoczął się dla nas defiladą przed Koszutem, podczas kiedyśmy przez Gödölö przeciągali. Szliśmy ze sztandarem rozwiniętym. Na widok sztandaru naszego Koszut głowę odkrył i pochylił się ukłonem kornym. Myśmy mu „niech żyje“ krzyknęli; on nam ręką dziękował — nie za okrzyk, rzecz prosta, ale za dowody waleczności, jakie legion w bitwie każdej składał.

Od Gödölö kierunek pochodu naszego zmienił się. Dotychczas wytyczną naszą był Peszt, odtąd stał się Komorn. Do Pesztu udał się jeden z korpusów; inne zaś wzięty w prawo i drogami różnemi zmierzały do twierdzy tej dziewiczej. Korpus Daniańcza zajmował w pochodzie skrzydło lewe. Operacya ta dwa miała na widoku zadania: spotkanie i odrzucenie wstecz wojsk świeżych austriackich, które z Czech i Morawy na teatr wojny śpieszyły i poniesienie odsieczy Komornowi, oblężonemu od początku wojny. Celem rozwiązania dwojakiego zadania tego, stoczyliśmy bitw trzy: pod Wacowem, pod Nagy-Szarlo i pod Komornem.

Pod Wacowem bił się tylko korpus nasz i odniósł zwycięstwo zupełne. Legion szturmował do miasta—wziął je. W ręce nasze wpadło jeńców wojennych dużo — jeńców, pochodzących z pułków galicyjskich, którzy w liczbie znacznej do legionu się zaciągali. Było to dla nas z korzyścią dlatego, że szeregi nasze mocno się przyczędziły; z szeregów zaś austriackich jedyny, jaki się trafił, zasilek, odnosił się do utarczek, w których udział brały trzecia i czwarta kompania przed połączeniem się z nami i polegał na trzydziestu Rusinach, dezertarach z szeregów austriackich.

Nie byli to jeńcy, sami bowiem przeszli. Jeńcy, wzięci w Wacowie, należeli do brygady, dowodzonej przez generała Jabłonowskiego, który wielką, co się legionu tyczy, okazywał zawziętość. Powtarzali nam oni słowa generała tego:

— Każę Maćkom moim—powiadał—po kieliszku wódki dać, to oni Polaków tych zjedzą...

Pod Wacowem nie powiodło się biedakowi. Jabłonowski uprowadził wojska pobite, generał Götz bowiem, który tam naczelnie dowodził, zginął. Po bitwie mieliśmy dniówkę. Od Aradu po raz pierwszy wpadły mi w ręce gazety. Jąłem się czytania z chciwością i dowiedziałem się, że na miejscu Windischgrätza dowództwo naczelne nad siłami zbrojnymi austriackimi na Węgrzech objąć ma generał Welden. Dzienniki podawały go za znakomitość w rzeczach wojskowych i wyrażały nadzieję, ba, pewnością, że naprawi, co Windischgrätz zepsuł i sprowadzi zwycięstwo pod sztandary austriackie.

Nad bitwą pod Nagy-Szarlo zatrzymam się dłużej nieco z powodu, że łączą się z nią osobiste wspomnienia moje, które mi się w pamięć mocno wraziły. Zaczynają się one od wigilii spotkania, od nocy z 18 na 19 kwietnia. Przeszedłszy rzekę Gran na wysokości Ipoly-Szag, zatrzymaliśmy się na noc we wsi jakiejś, której nazwy nie pamiętam. Rozstawiono nas kompaniami całymi po stodołach. Nakazaną nam była czujność wielka. Rozstawiono warty i posyłano patrol za patrolem pod dowództwem podoficerów. Około północy budzi Jagmin mnie i następującą daje mi instrukcję:

— Pójdiesz drogą przez wieś aż do kościoła murowanego; przy kościele weźmiesz się w lewo; droga wyprowadzi cię za wieś; za wsią na drodze spotkasz sztyldwacha naszego; weź się znów w lewo; linią sztyldwachów dojdiesz do karczmy; od karczmy wrócisz do wsi i na strażnicy raport zdasz... Ale—dodał—pamiętaj sobie, od sztyldwacha idź w lewo, gdybyś bowiem poszedł w prawo, zaszedłbyś aż do korpusu Klapki..

Zanotowałem w pamięci sobie owe „w lewo“ i, stanąwszy na czele sekcji mojej, ruszyłem do kościoła; dalej od kościoła za wieś, kołowrót minąłem; idę drogą w czystym polu, idę i sztyldwacha nie spotykam. Trzymając się instrukcji ściśle, nie wracam, pomimo, że mi się wydaje, iż odchodzę ode wsi za daleko.

— Co u licha!...—odezwał się z żołnierzy któryś—gdzież ten sztyldwach?...

I jam sobie zapytanie to sam zadawał, ale instrukcja brzmiała wyraźnie. Powinienem był iść aż do spotkania sztyldwacha.



Szedłem więc — uszedłem drogi sporo, nie wiem ile, szyldwacha nie spotykałem; ale za to, po jakimś czasie, pokazały się mi ogniska obozowe. Zastanowiło mnie to. Nie rozumiałem, co by to znaczyć miało; przypomniałem sobie jednak o korpusie Klapki i przypuściłem, że, skutkiem jakichś niepojętych dla mnie powodów, do obozu korpusu tego doszedłem. Zamajaczyło się mi w myśli, że pod obozem tym spotkam szyldwacha, za którym tak daleko gonię. Poprowadziłem przeto sekcję moją wprost ku ogniskom; doszliśmy, weszli i nagle żołnierze i ja równocześnie spostrzegliśmy, się, że się znajdujemy w obozie austriackim. Austriaków poznaliśmy po butach i spodniach. Piechota węgierska nosi tak zwane „bagańcze.“ Żołnierze, co przy ogniskach siedzieli i leżeli, na bagańczarzy nie wyglądali zgoła. Przytem Węgrzy do nakrywania głowy używali kepi, ci zaś mieli czaka. Rzecz była niewątpliwa. Obróciłem się, ręką skinąłem: żołnierze skinieniem moje zrozumieli i broń z ramion spuścili. Skinąłem znów — na lewo wtył wykonali i ruszyli drogą tąż samą, którąśmy przyszedli. Wynieśliśmy się wnet poza obręb obozu i znaleźliśmy się znowu w szczerem polu. Szliśmy śpiesznie w milczeniu. Milczenie przerwaliśmy nie prędzej, aż nam ognie z oczów znikły. Czy to byli Austriacy w rzeczy samej? — na myśl mi przyszło. Niepewny byłem, czy mi się nie wydało. Wracając, na drodze przede wsią spotkałem szyldwacha.

— Stój, kto idzie?... — huknął.

Zamieniłem z nim wyrazy regulaminowe i zapytałem:

— Czyś był tu, kiedy ze wsi wychodziłem?...

— Byłem i widziałem ciebie — odrzekł — ale na ustęp poszedłem.

Na racyę taką nic nie było do odpowiedzi. Przeszedłem łańcuch szyldwachów, od karczmy wróciłem i wysłuchać musiałem z ust Jagmina reprimendę surową za to, że się w karczmie zabawić musiał. Jako żywo, do karczmy anim zaglądał. Ale się tłómaczył nadaremnie. Jagmin tego był przekonania, że się Austriacy mnie i podkomendnym moim przywidzieli.

Nie przywidzieli mi się oni zgoła. Wyprawione nad ranem podjazdy skonstatowały obecność ich i, jak skoro na dzień się zanosić poczynało, do boju nas szykowano. Poranek był mglisty i chłodny. Kolumny zwolna posuwały się naprzód i, gdy się na prawem naszym skrzydle odezwały pierwsze wystrzały działowe, uczułem drżenie, którego sobie wytłómaczyć nie umiałem. Ponieważ w bitwach poprzednich nie drżałem, wydało mi się, że to

przezcucie śmierci. Zwróciłem się przeto do żołnierzy sekcji mojej i przemówiłem do nich w sposób następujący:

— Zdaje mi się, że się wywrócę tym razem... Wiedziecie, że w kieszeni prawej na dnie mam pakiecik, a w pakieciku tym kilka banknotów austriackich i kilkadziesiąt sztuk półimperiałów... Gdybym zabity został, lepiej niech się to dostanie wam, aniżeli by dostać się miało Węgrom, albo, broń Boże, Niemcom...

Wkrótce potem nadjechał Wysocki, w dobrym był humorze, mówił:

— Bitwa zapowiada się dla nas pomyślnie... Klapka Niemcom na karki wsiadł... Niebawem i na was kolej przyjdzie... Widzicie — dodał od niechcienia niby, palcem wskazując — tę wieżę kościelną... Na wieżę tę wprost maszerujcie. Jest tam wieś; wieś tę potrzeba, ażebyście zdobyli koniecznie.

Majorowi Czernikowi dyspozycję dał i odjechał. Major tyralierów wykomenderował, nie z Jagminem jednak, pomimo, że się prosił; tyralierzy się rozsypali; niebawem wieś się pokazała, otoczona ze strony tej częstokołem; tyralierzy do częstokołu doszli, zatrzymali się, kolumna pośpieszyła, żołnierze szeregu pierwszego naporem silnym częstokół wywrócili i przychwycili kolumnę austriacką w momencie, kiedy ona, z ulicy wiejskiej wyszedłszy, szykowała się. Z gromkiem „hura“ i z bagnetem pochyłym skoczyliśmy wnet na nią. Z boku zaatakowana kolumna się wstecz rzuciła—my za nią. Ona wpadła w ulicę—i my w ulicę. Parliśmy przed sobą kupę, gnaną strachem panicznym i wywracającą bataliony, które przez wieś przechodziły. W sposób ten spędziliśmy batalionów trzy. Żołnierze austriaccy ratowali się nie tylko wzdłuż ulicę, ale także przez zagrody i ogrody, drogę sobie za wieś przez nie skracając. Niebawem ulica się oczyściła; legionści się na nią ściągąć poczęli i w momencie pewnym wypadło mi tak, że, idąc sam, zoczyłem przed sobą Faustyna Dobrzyńskiego, przytulonego do słupa obok furtki, prowadzącej do domu jakiegoś i strzelającego w głąb podwórza. Strzelał, nabił i znów strzelał.

— Co ty, Fasiu, robisz?... — zapytałem, podchodząc.

— Taką mam satysfakcję Austriakom w d...y strzelać!...— odrzekł.

Do środka zajrzałem. Przedstawił się mi widok taki: żołnierze austriaccy zatarasowali sobą sami wyjście do ogrodu, stłoczyli się i przedstawiali gęstą masę ludzi zwróconych do furtki plecami.



Poszedłem dalej. Legion zgromadził się po drugiej stronie wsi, na placu, rozciągającym się od kościoła do cmentarza, a ogrodzonym od pola rowem, porośłym licyną. Major na placu tym przed rowem uszykował nas w rozwinięty front batalionowy. Skrzydło prawe opierało się o cmentarz, lewe nie dochodziło do drogi, przechodzącej mimo kościoła. Austriacy poczęli granaty ciskać, przygotowując sobie w sposób ten atak, mający na celu odebranie nam wsi. Ruszyły niebawem kolumny. Żołnierze, co do nas z austriackich przeszli szeregów, pokazywali nam widnego w dali jeźdźca na koniu srokątym i powiadali:

— To Jabłonowski...

Mieliśmy więc przeciw sobie swoich—pułki galicyjskie, Maćków, co nas za wódki kieliszek zjeść mieli.

Batalion jeden wysunął się i naprzód na nas ruszył. Przypatrywaliśmy się mu zdaleka, aż zabrzmiała komenda majora:

— Batalion baczność!... rotami ognia!... rota prawa i lewa w sekcyach, zaczynaj!...

Jam obok cmentarza, na ścieżce, co przez rów przechodziła, stał i na następstwo komendy tej patrzył. Strzelanie nasze szło z licyny; pod niem kolumna austriacka szła chwilę, zatrzymała się, rozprzegła i w rozsypce wstecz rzuciła. Oficerowie płazowali żołnierzy, usiłując w szeregach ich utrzymać. Nie pomagało to. Batalion cofnął się w nieładzie, a u nas werbel na bębnoch zabrzmiał i strzelanie ustało. Powtórzyło się toż samo dwa razy jeszcze. Pchane w ogień bataliony ognia wytrzymać nie mogły. Ostatnimi, co się w sposób ten cofnęli, byli grenadyerzy w bermycach. Austriacy ataków zaniechali, jak skoro na prawo od nas, na cmentarzu, pokazały się czerwone dziewiątego batalionu czapki. Czytałem następnie w sprawozdaniach urzędowych, że w rozprawie tej udział wzięło 10,000 Polaków. Za Polaków sprawozdawca wziął zapewne rothkaplerów z powodu czapek czerwonych. Ale i w razie takim, nas z rothkaplerami nie było więcej, jak 1,200; Nagy-Szarlo jednak, klucz pozycyi w boju tym, myśmy sami wzięli, bronili i obronili. Austriacy trupami zalegli przed rowem pole, które grenadyerzy usieli bermycami, a z ponad rowu powoli usuwał się wał dymu, który się nad wałem licyn sformował.

W dalszym tejże samej bitwy ciągu wypadło nam tyralierami przejść lasek pewien. Jagmin tym razem w tyraliercy się wprosił. W lasku tym znajdowaliśmy żołnierza austriackiego pod każdym niemal krzakiem. Broń składali i w niewolę się oddawali. Znaleźliśmy jeńców tego rodzaju do 300. Jagmin wykonderował mnie z trzema żołnierzami do odprowadzenia ich do

tylnej straży. Byli to Czesi. Jeden z nich opowiadał mi o marszach forsownych, jakie odbywać musieli, o tem, że w nocy do Nagy-Szarlo przyszedli, i o tem, że przyprowadził ich Welden. Znakomity generał ten na wstępie sanym na głowę pobity został. Ścigaliśmy wojska austriackie do późnego wieczora i nocowali na polu bitwy. Przecucie mnie omyliło — nie zginąłem, ale pieniądze z kieszeni... ktoś mi wyjął. Opatrzyłem się w dniu następnym, w rozkosznej, przez Niemców zamieszkałej wsi, w której dla żołnierzy sekcyi mojej zafundowałem obiad. Gdy do płacenia przyszło znalazłem kieszeń pustą i ratować się musiałem pożyczką.

We dwa dni później, przy zmienionej pogodzie, stanęliśmy o południu we wsi jakiejś i rozłożyliśmy się tak, jakbyśmy nocować mieli. Postawiono nas na kwaterach ciasnych; wieczorem jednak wystąpić kazano i w pochód poprowadzono. Powietrze nasiąknięte było wilgocią chłodną. Po godzinie marszu zatrzymano nas; nadjechał Wysocki i przemówił do nas w te słowa:

— Idziemy do Komorna, przechodzić mamy pod doniosłością baterij austriackich; zostawiam jednak do woli waszej: iść w nocy, albo też czekać dnia...

— Idźmy!... idźmy!... — odezwały się głosy.

— Uprzedzam was — ciągnął dalej — że na drodze do przechodzenia będziecie mieli trzy wody...

— Głębokie?... — ktoś zapytał.

— Po kolana...

— Idźmy!... idźmy!... — wołano.

— To dobrze, żeście się na marsz nocny zgodzili... — rzekł Wysocki. — Węgry zapytywani zgodzili się także... W Komornie osuszycie się na kwaterach wygodnych...

Ruszyliśmy i niebawem brnąć nam przyszło przez wodę, nie po kolana wszakże, ale po pas. Po pierwszej nastąpiła druga, po drugiej trzecia, czwarta, piąta, szósta, siódma. Rozpacz nas ogarniała. Kłapaliśmy się noc całą; nad ranem zaledwie wybrnęliśmy z wylewów rzeki Neutry czy Wagi, zdarzających się zazwyczaj na wiosnę na nizinach, otaczających Komorn od północy. O świtanu, przemokli i zziębli, stanęliśmy na stoku twierdzy, przed jedną z bram do środka prowadzących. Poranek był mglisty i chłodny.

Stanęliśmy i stali w oczekiwaniu na kwatery, dzwoniąc zębami i przypatrując się chodzącym po wałach sztyldwachom, których płaszcze całe i wyglądanie dobre irytacyę w nas wzbudzały. Zazdrościliśmy im. Minęła godzina jedna, druga — o kwaterach



słysząc nie było. Cierpliwość nasza z granic wychodziła, objawiając się w głośnych na Węgrów i na Wysockiego narzekaniach. Pierwszych pomawiano o niewdzięczność, drugiego o niedbalstwo. Wreszcie nadchodzi oficer jakiś i oznajmia nam nie kwatery, ale biwaki i zapowiada, że dostawią nam niebawem drzewa i jadła. Powściągane do tego momentu oburzenie, nagle z siłą wielką wybuchło.

— Nie chcemy—poczęto wołać ze stron wszystkich—drzewa ani jadła!... Dymisya!... dymisya!... Dziękujemy Węgrom za służbę!...

Major i oficerowie na próżno przemawiali, starając się ułagodzić rozjątrzenie. Perswazyje żadne nie zdały się na nic. Bunt huczał. Mówcy im prowizowani zabierali głos jeden po drugim, jak zapewne dziać się musiało w czasach dawnych w Polsce, w kołach owych rycerskich, w których się wojska konfederowały, celem wymuszenia na władzy żołdów lub hiberu. Umiarkowańsi odzywać się nie mogli. Postanowionem zostało podanie się do dymisyi, wybrano delegacyę i doczekano się kwater. Około dziesiątej, ten sam oficer, co nam biwaki oznajmił, powrócił z rozkazem prowadzenia nas na jedno z przedmieść i rozstawienia po domach.

Dostaliśmy w rzeczy samej kwatery wygodne. To atoli nie ułagodziło oburzenia, na które złożyły się nie tylko ten ostatni wypadek, ale i wspomnienia rozmaite poprzednie, połączone z tem, żeśmy się obdarli, jak nędzarze ostatni. Na grzbietach łachmany, na głowach czapki przy ogniskach powypalane, na nogach u jednego łapecie, u drugiego nic. Od dwóch z górą miesięcy marsze i bitwy ustawiczne przyprowadziły nas do stanu wzbudzającego pożałowanie. Wydawało się nam, że Węgrzy powinni by względem nas większą okazywać troskliwość. Mieliśmy do nich pretensyę wielką, nie mniejszą atoli do Wysockiego.

Podzielałem uczucia te, nie w zupełności jednak. Należałem do tej mniejszości, która, uważając wojnę za stan anormalny, uwzględniała braki wszelkiego rodzaju, na jakie wojska wystawiane bywają. Znałem wojnę z historii, z opisów, z opowiadań ojca. Nie oświadczyłem się przeto za podaniem się do dymisyi, starałem się nawet odprowadzić od zamiaru tego. Perswazyje wszakże moje i innych skutku nie osiągnęły. Delegacya do Wysockiego poszła i podanie złożyła, oświadczając mu stanowczo, że od żądania nie odstąpi. Wysocki podanie przyjął. Wieczorem dostaliśmy rozkaz stawienia się nazajutrz rano bez broni przed kwaterą pułkownika.

O godzinie oznaczonej legion zgromadził się i, uszykowany we front batalionowy, czekał. Wysocki wyszedł.

— Formuj koło!... — odezwała się komenda.

Zaszliśmy skrzydłem prawem i lewem i otoczyli Wysockiego, który wystosował do nas przemowę osnowy następującej:

— Podaliście się, koledzy, o dymisyę. Wiem, że uczynili to nie wszyscy. Tym, co się podali, mam do powiedzenia to tylko, że niech się zgłaszają do Krobickiego, a on dymisyę udzieli każdemu i każdego dymisyowanego z kontroli wykreśli. Tym zaś, co pozostają, oświadczam, że oszczędzać ich nie będę ani w marszach, ani w boju i na dowód zapowiadam, że jutro przechodzić mamy Dunaj pod ogniem nieprzyjacielskim... Niech więc się i ci namyślą. Chociażby pozostać miało dziesięciu tylko, i tych dziesięciu w ogień poszlę. Dymisyi nie odmówię nikomu!...

Po przemowie tej, szeregi rozwiązano. Wróciliśmy gromadkami na kwatery.

W dniu następnym na miejscu temże samem stanęliśmy pod bronią. W szeregach nie brakło ani jednego żołnierza.

Przeszliśmy Dunaj po moście na tratwach, który się pod nami pogłębiał i debuszowaliśmy na szańcu przedmostowym, ściskanym przez przekopy austriackie. Austriacy dnem przed tem jeszcze znajdowali się w przekopach, szaniec ostrzeliwali i pociski do twierdzy rzucali. W nocy park oblężniczy uprowadzili i czekali na nas w sile tysięcy czterdziestu. Uszykowano nas do boju—do tego boju, którego epizod jeden, tyżący się szarży jazdy, opowiedziałem w powieści *Szandor Kowacz*. Szarża ta odbyła się w oczach naszych. Jazda austriacka złamała jazdę węgierską i ta ostatnia, przybiegłszy w ucieczce bezładnej nad Dunaj, zwróciła się, sformowała, naprzód poszła i jazdę austriacką rozbiła. Zanim to nastąpiło, oczekiwaliśmy w karebatalionach na atak jazdy. To nas minęło. Biliśmy się dzień cały w tysięcy dwaście przeciw czterdziestu i nocowali na polu bitwy, spodziewając się wznowienia walki nazajutrz. W nocy nadszedł korpus Aulich'a. Bitwa się jednak nie wznowiła. Wojska austriackie cofnęły się, poszliśmy za nimi; zabraliśmy im cały park oblężniczy, który oni rzucili i zwróciliśmy się wstecz z drogi pochodzą, który szedł w kierunku Wiednia.

Mieliśmy Wiedeń przed sobą i nie poszliśmy tam.

Zwrócenie się nasze z drogi historyja zapisała na karb Węgrów, jako ogromny militarny i polityczny zarazem błąd. Czemuśmy nie poszli za wojskami, zdezorganizowanymi zwycięstwami, jakieśmy nad nimi raz poraż odnosili, znękanymi i zdemora-



lizowanemi? Tłómaczy się to tą racją, że Węgrzy nie prowadzili wojny zaczepnej, nie mogli przeto wyprowadzać jej z granic krainy, objętej cieniem korony św. Szczepana, a od chwili abdykacyi cesarza Ferdynanda na rzecz Franciszka Józefa ogłoszonej za rzeczpospolitą. Rzeczpospolita okazywać się chciała umiarkowaną w pomyślności nawet: bronić swego, nie pożądać cudzego. Spodziewano się w sposób ten wyzwać umiarkowanie ze strony Austrii, doprowadzić do układów i wytworzyć pewien *modus vivendi*, któryby dogadzał stronom tak jednej, jak drugiej. Zachodziło tu, albo zaślepienie, albo też obwołanie republiki nie szczere: albo nie zdawano sobie sprawy z tego, że pomiędzy rzeczpospolitą węgierską a monarchią austriacką dojście do porozumienia na drodze układów nie możliwem jest; albo też formę republikańską użyto w znaczeniu straszaka, mającego na celu skłonienie dworu cesarskiego do ustępstw na rzecz królestwa węgierskiego. W razie tym i w razie owym zwrócenie się z drogi do Wiednia, która otworem stała, było błędem fatalnym.

Zwycięskie hufce skierowano do Budy, w celu zdobycia zamku, obsadzonego przez załogę austriacką. Znaczenia militarnego nie miało to najmniejszego. Kilka obozów batalionów w Budzie Austryakom nie pomagało, Węgom nie szkodziło na teatrze wojennym. Chodziło niby o uczynienie zadość uczuciu patriotycznemu: o wyzwolenie stolicy od nieprzyjaciela zagrażającego z Budy Pesztowi. Byłoby to nastąpiło samo przez się; zresztą na cel ten wystarczał korpus jeden, ludzi tysięcy osiem, dziesięć. Zamiast tego, zwrócono armię całą. Szliśmy swobodnie i spokojnie prawym brzegiem Dunaju, okolicami przesłicznymi; gdy zaś u celu stanęliśmy, wprowadzono nas odrazu na pozycję, w której batalion pełnił funkcję rezerwy w stosunku do grangard, wysyłających placówki, dostarczające sztyldwachów. Ten rodzaj służby był nam doskonale z praktyki znany, pełniliśmy ją więc należycie, podczas, gdy baterie na górach ustawione wyłomy w murach biły. Zamek bronił się ostro, odpowiadając bateriom węgierskim i strzelając we wszystkie strony, gdzie jeno wypatrzył możność uszkodzenia przeciwnikowi, bombardował Peszt i Budę, ostrzeliwał przesmyki wszystkie.

Położenie zamku nie odpowiadało zgoła warunkom obrony skutecznej. Wznosił się na wzgórzu, otoczonym górami, z których każda prawie nad nim dominowała. Otaczały go mury. Stroną jedną zwrócony był w pole, drugą dotykał miasta, z trzeciej miał u stóp swoich Dunaj. Przystęp do rzeki zapewnił sobie za pomocą palisad; od miasta oddzielała go jeno szerokość ulicy za-

budowanej, ku której prostopadle dochodziło ulic kilka z dołu, gdzie się rozciągała Buda, do góry, gdzie się bieleły mury w krenele zaopatrzone. Obrony zewnętrznej żadnej. Od strony miasta do zamku można było na kroków półtoraścia podejść i z górnych pięter domów do środka zaglądać. Raz wypadło nam ze strony tej wartę trzymać. Ustawiliśmy się na ulicy poprzecznej i wysłaliśmy jedną z placówek w pobliże zamku. Placówka zajęła stanowisko na poddaszu jednej z kamienic. Przez otwory w dachu obserwacye czyniła i obserwacye szły doskonale póki z dachu wystrzał nie padł. Któremuś z żołnierzy wydało się to rzeczą niemożliwą patrzeć z krwią zimną, jak się za murami Austriacy krzawali. Wypalił i ściągnął na dach wystrzałów kilka kartauczami. Stanowisko opuścić trzeba było. My z ulicy poprzecznej dozorowaliśmy ulicę prostopadle do zamku prowadzącą. Szyl-dwachy nasi wyglądali z poza węglów domów i czynić to musieli z ostrożnością całą, albowiem z murów zamku czyhali na głowy nasze strzelce celni i palili, jak skoro się która wytknęła. Nie zabili, ani nawet nie skaleczyli nam nikogo, pomimo żeśmy ich drażnili w ten sposób, że od czasu do czasu któryś z nas przez ulicę w poskokach przebiegał. Oswoiliśmy się ze śmiercią do tego stopnia, żeśmy z niej sobie żarty stroili. Na żartach tych źle wyszedł młody jakiś podoficer węgierski, który przyprowadził patrol i któremu uciechę ogromną sposób przebiegania naszego przez ulicę sprawiał. Zachciało się i jemu spróbować sposobu tego; rozmachał się, dał susów parę i, w łeb trafiony, zwałił się na środku ulicy.

Legion stał obozem u stóp góry winnicami okrytej, Weinberg, jeżeli się nie mylę, zwanej, opierając się o rów w chłopa głęboki, szeroki i usypany na dnie większymi i mniejszymi kamieniami. Z rowu tego i z kamieni robiliśmy użytek w rodzaju swoim ciekawy. O każdej dnia porze oglądać tam było można legionistów do naga rozebranych, trudniących się tłuczeniem kamieniem mniejszym na większymi faldów w białiznie. W faldach tych schronienie znajdowały seciny żyjatek, dokuczających rodzajowi człowieczemu. Mordowaliśmy je bez miłosierdzia, tak jak one bez miłosierdzia mordowały nas. Tysiące wszy pobitych zostawiliśmy w rowie u stóp Weinbergu. Pozostawaliśmy tam tydzień, dłużej może, to jest do przedednia szturm do zamku. Wzięcia w szturmie udziału odmówił nam los. W głównej kwaterze, za pomocą karteczek, ciągniono bataliony, które na pierwszy ogień iść miały. Karteczka nasza nie wyszła; że zaś, z jednej strony, wypoczynek się już nam należał, z drugiej, dzięki



mnogości zgłaszających się do legionów jeńców wojennych, otwierała się możliwość podniesienia legionu do wyższej liczebnej i organizacyjnej potęgi, wyprawiono nas przeto na reorganizację do Miskolca. Wyruszyliśmy z obozu, przeprawili się przez Dunaj i stanęli w Peszcie na kwaterach, nie na długo—na noc jedną.

Przy zajmowaniu kwater zdarzyła się mi scena oryginalna. Dostałem bilet kwaterekowy na sekcję całą, udałem się wedle adresu wskazanego i z łatwością odszukałem kamienicę wspaniałą, w której nam gospodarz nocleg obowiązany był dać. Odszukanie kamienicy z łatwością przyszło, ale gospodarza ani sposób. Dom, na apartamenty podzielony, z dołu do góry zajęty był przez lokatorów, których się kwaterekowanie nas nie tyczyło. Każdy odpowiadał, że to nie do niego należy i każdy prawie o właścicielu domu odzywał się jaknajgorzej. Nazywano go harpagonem i szwarcgelberem.

— Gdzież on?... — zapytywałem.

Nikt z tych, z którymi się najpierwej spotkałem, mieszkania jego wskazać mi nie umiał. W domu apartament jeden zajęty był przez niewiasty, znajdujące się w przeciwieństwie z westalkami. Te, jak skoro się dowiedziały, o co chodzi, wskazały mi w podwórzu izdebkę na tyłach, ciałniutką i ciemną—tam gospodarza odszukałem.

— Oto bilet kwaterekowy... — przemówiłem, podając mu papier.

Udawał zrazu, że nie rozumie, co to znaczy. Wytłómaczyłem mu. Wówczas się zachnął, pokazał mi ciupkę i zawołał:

— Gdzież tu panów pomieszczę?...

— A kamienica!... — rzekłem.

— Kamienica należy nie do mnie, ale do lokatorów... Czyż lokatorów wyrzucać mogę!

— Rób pan, co chcesz, a pomieszczenie nam daj!...

— Ależ ja zrobić nic nie jestem w stanie...

Tej treści rozmowa ciągnęła się pomiędzy nami, pókim z cierpliwości nie wyszedł.

— Do ratusza cię poprowadzę!... — krzyknąłem.

— Dobrze... — odrzekł — dobrze... pójdę i w ratuszu wytłómaczę się...

Ruszyliśmy we dwóch; na dworze panował już zmrok. Kiedyśmy uszli drogi połowę może, na zamku błysnęło i kula w dali gwiznęła. Niemiec (Niemiec to był bowiem) drgnął i zatrzymał się.

— Chodźmy... — nagliłem.

— Dobrze... — odrzekł.

Weszliśmy niebawem na ulicę, przy której ratusz stał i gdyśmy kroków dziesiątków parę zrobili, wzdłuż ulicy przeniosła się kula działowa.

— Nie... — odezwał się gospodarz — nie pójdę dalej...

— Czy ratusz daleko?... — zapytałem.

— O... — odrzekł, ręką wskazując.

— Chodźmy więc...

Zrobił kroków kilka; kula druga się przeniosła: rzucił się wstecz. Jam go za kołnierz schwycił.

— Chodź!...

— Nie pójdę... Nie... nie...

Szarpuął się. Trzymałem mocno. Za kulą trzecią na kolana się osunął i na wezwanie moje, poparte groźbą tasaka, który obnażyłem, jął obiecywać mi — jak to mówią — góry złote.

— Znajdę dla panów pomieszczenie...

— Wygodne?...

— Izbę obszerną...

— Z pościelą?...

— Zkądże ją wezmę?...

— Dasz nam słomy...

— Dam...

— I wieczerę?...

— Ach!... — jęknął.

Kula gwiznęła. Dodał z pośpiechem:

— Dam...

— Porządną?... zupełnie, rostbratel z krumpirami, jarzynę, wino...

Powtarzał za mną wszystko, com wymieniał.

— Wracajmyż... — odezwałem się — ale pamiętaj sobie: w razie niedotrzymania obietnic, pod karabinami cię do waroszhazy zaprowadzę...

— Dotrzymam... — przyrzekał, trzęsąc się.

Jakoż, w rzeczy samej, słowa dotrzymał. Izbę obszerną dla nas wynalazł, słomy sprowadził i wieczerę sutą zafundował.

W dniu następnym o świcie znajdowaliśmy się w pochodzie do Miskolea. Mnie wykomenderował Jagmin na kwatermistrza kompanii pierwszej, na czem zyskałem to, że jechał podwodą wraz z kwatermistrzami kompanij innych, a pod zawiadownictwem starego Sikorskiego, porucznika, który z powodu znajomości języka węgierskiego, pełnił funkcję furyera batalionowego, a zarazem i kwatermistrza legionu. Jako furyer rozporządzał wozem i końmi, stanowiącymi inwentarz legionowy. Na wóz ten dostać



się, był to fawor którym nie szafował hojnie. Zazwyczaj w drogę się wybierał tak, że nie widziano, gdy wyjeżdżał. I tym razem pojechał przodem; myślny go dopędzili na etapie; kwateryśmy porobili, kredą na drzwiach pozaznaczali i, na nadciągnięcie kolumny oczekując, udaliśmy się do oberży, stojącej przy trakcie. W oberży, w obszernej sali jadalnej, było pełno i gwarno. Oficerowie różnych broni i stopni jedli, pili i kurzyli. Przy jednym ze stołów zoczyłem Sikorkiego; że zaś naprzeciw niego miejsce było wolne, miejsce to przeto zająłem i od razu uwagę moją zwrócił na siebie siedzący obok niego żołnierz młody, legionista, wyglądający jak człowiek ze świata innego. Świat nasz charakteryzował się trudami i znojem, wypisanemi na odzieży i na obliczach; on zaś miał na sobie płaszcz nowiutki, czapkę nowiutką, był biały, rumiany, pulchny i delikatny — istny paniczek. Wziąłem go za ochotnika, co się świeżo zaciągnął i to samo zaciekawiało mnie do niego; zaciekawiała jednak bardziej jeszcze grzeszność i troskliwość, jaką go opryskliwy Sikorski otaczał. Zapytanie, kto to był, urodziło się samo w umyśle moim. Nie zapytywałem o to, ani jego, ani Sikorskiego; kazałem sobie wina czy piwa podać i zawiązałem z tym ostatnim rozmowę jakąś obojętną. W ciągu rozmowy stary do mnie się nachylił i, gestem ucho moje do ust swoich ściągawszy, wsunął mi w słuch wyrazy:

— Czy wiesz, kto to?..

— Nie wiem...

— Dziewczyna... Wysockiego kochanka... wykradła się...

Każdy z wyrazów tych wstrząsał mną. Dziewczyna dla ludzi młodych jest zawsze osobliwością, cóż dopiero, gdy zjawiała się, jako kochanka wykradziona Wysockiego—Wysockiego!—którego o wszystko, z wyjątkiem romansów, podejrzewać było można. Spojrzałem na żołnierza z ukosa i zrozumiałem, dlaczego on taki delikatny, pulchny i biały. Sikorski szeptał mi dalej:

— Powiedziałem ci o tem pod wielkim sekretem, ażebyś mi pomagał w pilnowaniu jej... Broń Boże, gdyby się kto do niej dobrał... Miejsze ty na nią oko...

Zachowałem sekret ten dla siebie, ale, tegoż dnia jeszcze dowiedziałem się, że był to jeden z tych sekretów, o których wszyscy wiedzą. Wiedzieli o nim huzary nawet. Kochanka Wysockiego stała się przedmiotem rozmów i zalotów. Pod adresem jej szło nie mało spojrzeń morderczych, kręceń wąsów, pobrząkiwań szablami, podzwaniań ostrogami, słówek słodkich i cukierków. Usiłowania wielkie miały na celu zbałamucenie jej. Opowiadano, że Sikorski, pełniąc funkcyę cerbera, zamyka ją na noc

i sypia w poprzek na progu. W usiłowaniach tych udziału nie brałem dla tego bodaj samego, że uczuwałem niemożliwość współzawodniczenia z huzarami i ułanami. Ani o tem myśleć mogłem, ja — piechur obdarty i brudny.

Zdziwienie moje było nie małe, gdy się w Miszkolcu dowiedziałem, że kochankę Wysockiego wymyślił Sikorski, że była to nie tylko nie kochanka, ale nawet nie dziewczyna. Stary farsę urządził. W farsie tej wszakże nie wszystko było zmyśleniem. Prawda tyczyła się wykradzenia. Chłopiec wykradł się, albo raczej uciekł — z więzienia. Dowiedziałem się o tem dużo później — bodaj czy nie w Turcyi już, pozostawał bowiem w legionie pod nazwiskiem zmienionem; prawdziwe zaś nazwisko jego było: Kołodziejcki, ten sam, co do Bema strzelał. Rząd węgierski, jak o tem na swoim mówiłem miejscu, aresztował go; miano mu proces wytoczyć; zanim atoli do procesu przyszło, Austriacy Peszt zajęli, Kołodziejckiego w więzieniu znaleźli i w więzieniu go trzymali, nie wiedząc zapewne, co z fantem tym robić. Znamach na życie Bema w oczach ich za zbrodnię nie uchodził może. Kołodziejcki w więzieniu doczekał się powrotu Węgrów i, korzystając z zamieszania, jakie sprawiła nagła zmiana rządu, ucieczką się salwował. Nie wiedziałem, i mało kto z nas wiedział, że to on. W szeregach naszych służył starszy brat jego. Nazwisko prawdziwe wziął w Turcyi dopiero; Bem wszelako o obecności jego w legionach wiedział i przebaczył mu — przebaczył z powodu, jak się zdaje, że sam w Siedmiogrodzie organizował legiony polskie.

W Miszkolcu spotkała mnie niespodzianka, która mi sprawiła przyjemność wielką. Nazajutrz po przybyciu kazano legionowi bez broni wystąpić przed kwaterą Wysockiego, już generała. Wystąpiliśmy, uszykowaliśmy się; generał miał do nas przemowę krótką, której sens był ten, że organizacya nasza rozszerza się na trzy bataliony, że batalion nasz dostaje numer batalionu pierwszego, że drugi jest zorganizowany i ilość pewna podoficerów z batalionu pierwszego przechodzi w stopniach oficerskich do trzeciego, dowodzonego przez majora Englerta. Odczytano listę podoficerów awansowanych — zabrzmiało mi w uszach nazwisko moje. Było to zrządzenie losu, wszyscy bowiem, cośmy obleżenie Aradu i kampanię wiosenną odbyli, zasłużyliśmy się jednakowo. Każdy z nas złożył jednakie dowody męstwa, wytrzymałości i roztropności. Odgadnąć trudno, jakiej się sztab trzymał reguły przy wyborze do awansu — może kartki ciągnął. Dostyc, że awansowany został. Po odczytaniu listy głos zabrał stojący obok Wysockiego nieznamomy mi oficer:



— Koledzy — odezwał się — do batalionu trzeciego awansowani, powinniśmy przedewszystkiem znajomość ze sobą zabrać... Jestem major Englert...

Podeszliśmy do niego. On nam dłonie uprzejmie ścisnął i każdego z osobna o nazwisko zapytywał.

— A teraz, kiedyśmy się poznali, proszę was do mojej kwatery.

Poszliśmy razem. Po drodze rozmyślałem, jaka to będzie moja przed frontem mina. Powód do rozmyślania tego dawał smutny stan odzieży mojej, smutny od stóp do głowy. Nie miałem na sobie nic całego. Trzewikom brakowało podeszew; w spodniach nogawice jeno wyglądały jako tako; płaszcz podarty i popalony zastępował mi mundur, który się rozpadł w kawały; z pod czapki przeglądały włosy na głowie. Karabin do spółki z lederwerkami i tornistrem maskował w części te braki. Maską natomiast nie przysługiwała oficerowi. Byłem też zakłopotany na serwo i myślałem, jakby przydały się teraz te pieniądze, które mi po bitwie pod Nady-Szarlo zginęły, gdy na kwaterze majora obity się o uszy moje wyrazy następujące:

— Obowiązany jestem wypłacić wam, koledzy, na uekwipowanie się oficerskie po (nie pamiętam, ile)...

I wyliczył należność każdemu z nas z osobna. Jeszcze z nami o służbie i mustrze słów kilka zamienił i pożegnał nas: „do widzenia.“

Wprost od majora udałem się do sklepów z bielizną, odzieżą i obuwiem; kupiłem sobie buty, koszulę, ineksprimable, spodnie, kitle, czapkę; sprawunki te zawiązałem w chustkę, poszedłem do łazienek, kazałem sobie do kąpieli przynieść sporą spirytusu dozę i, przy pomocy mydła, oczyściłem się całkowicie. W łazienkach porzuciłem odzież dawniejszą; wyszedłem ztamtąd w odzieży nowej i całej. Czułem się niby odrodzony. Kupiłem sobie następnie pałasz z pendentem, zamówiłem u krawca mundur, zaopatrzyłem się w bieliznę, nabyłem płaszcz—przeobraziłem się.

Pozostawaliśmy w Miskolcu dwa miesiące blisko. Legion zreformował się, powiększył i fizyognomię zmienił. Piechota pod dowództwem pułkownika Idzikowskiego, który w Nanaszu, zdaje mi się, zorganizował batalion drugi, liczyła batalionów trzy: jazda rozrosła się na dwa pułki, każdy po szwadronów cztery: pierwszym dowodził Tehórznicki, drugim Poniński (obecnie generał w służbie włoskiej)—dowództwo nad obydwoma było przy Tehórznickim, oficerze z roku 1831, żołnierzu typowym, kawalerzyście pełnym przywar i zalet, przywiązanych do człowieka przyrosłego

do konia i szabli. Był to obraz hipocentaury nowożytnego, przyozdobionego w czerwony do ogórka podobny nos i obdarzonego głosem chrapliwym, którym w boju do żołnierzy wołał:

— Kto się boi, niech się za mego siwka schowa!...

Pułk pierwszy miał kaski białe i mundury granatowe z wyłogami białymi, drugi kaski czerwone i wyłogi czerwone.

Piechocie zmieniono mundury z białych na granatowe: bataliony podzielono na pięć kompanij: cztery liniowe, piąta strzelecka.

Zorganizowano artylerję pieszą i konną, po pół baterji tej i tej. Sformowano oraz kompanię saperów.

Do szeregów wszedł żywiol odmienny od tego, jakim był poprzedni. Zapełnili je eks-żołnierze z wojska austriackiego. Inteligencya weszła do kadrów. Stopnie oficerskie niższe dostały się nam, podoficerom wysłużonym, wyższe oficerom z wojsk polskiego i austriackiego. Pomiędzy nimi trafiały się postacie, godne pendzla i pióra. W oczach mi stoi kapitan Piotrowski, krępy brunet, wychowanek szkoły konstantynowskiej, wysadzający się przy komendzie na głos ostry i nauczający, że:

— Na komendę „marsz!“ noga z d...y jak piorun powinna wyskoczyć!...

Ćwiczenia odbywaliśmy codziennie: bataliony pierwszy i drugi w komplecie pełnym, trzeci w pół-komplecie z powodu, że jego szeregi uzupełnione być miały jeńcami, z których nadestaniem zwlekano. Z racji tej kompanie batalionu naszego liczyły w szeregach nie więcej sześćdziesięciu ludzi. Do ćwiczeń to wystarczało. Kadry oficerskie i podoficerskie znajdowały się w komplecie.

Ćwiczenia wszakże nie zabierały całego czasu. Zaznaliśmy nieco życia garnizonowego w towarzystwie tak pomiędzy sobą, jakoteż na zewnątrz szeregów wojskowych. Dni upływały nam wesoło. Staliśmy na kwaterach u obywateli, którzy okazawali nam uprzejmość wielką i szczerą; jadaliśmy po restauracyach; zgromadzaliśmy się na kawę w cukierni; po karczmech wieczorami tańczyli szeregowi; oficerów zapraszano na wieczorki; pułk pierwszy ułanów dawał bal dla obywatelstwa: bal powiódł się świetnie; zabrzmiada mi na nim w uszach produkeya literacka — jeden z oficerów od ułanów deklamował „Wachmistrza Dorosza“ W. Pola. Cygani słyszeć się dawali z popisami muzycznymi po restauracyach, kawiarniach, spacerach i placach. Marsz Rakocze-go i czardasze rozbrzmiewały od rana do wieczora, a tu i ówdzie improwizowały się tańce pod gołym niebem: Węgrzy tańczyli



czardasza, Polacy krakowiaka i oberka. Dziwiła mnie ilość znaczna kobiet ze sfery ludowej, należących do narodowości polskiej. Mówiły narzeczem mazowieckiem i brały udział szczerzy w pohlankach żołnierskich.

W takim stanie rzeczy nastąpiło to, co nastąpić było powinno. Gdzie jest młodzież wojskowa i młodzież płci niewieściej, tam się kleją romanse. O romansach też dużo było mowy. Opowiadano o powodzeniach, doznawanych przez kolegów moich od jazdy i piechoty. Zachciało się też i mnie na drodze tej szczęścia spróbować. W tym celu, upatrzawszy sobie mieszkającą w rynku Węgierkę ponętą, przechadzałem się często przed oknami jej, usiłując przybierać właściwą w razach podobnych minę. Zdarzył mi się z racji tej wypadek fatalny. Fensterparada moja wypadła w dzień targowy; chciałem się przemknąć zgrabnie przez szereg przekupek i zaczepiłem pałaszem o garnek z mlekiem; garnek się wywrócił, mleko lunęło, jam odskoczył na jaja, które pod stopą moją zgniecione zostały. Za mleko i za jaja zapłaciłem i już więcej na fensterparadę nie występowałem. W ten sposób wyraziła się pierwsza i jedyna awantura romansowa, do której wmieszana była osobistość moja. Los, jaki jaja spotkał, mógłby być losem serca pięknej Węgierki. Serce to jeżeli pękło, to nie z mego powodu. Dziewczyna ta, jeżeli przy życiu pozostaje, jest dziś staruszką i śmiać się musi, ile razy wspomnienia wywołują jej przed oczy oficera polskiego, dla miłości jej oblanego mlekiem i deptanego jaja.

Parę innych jeszcze wspomnień do pamięci mi się ciśnie.

Zbieraliśmy się w cukierni; właścicielem jej był Szwajcar, człowiek uprzejmy i zamożny, który w Miskolcu posiadał dużą winnicę i dobrze zaopatrzoną piwnicę. Piwnica znajdowała się w winnicy; winnica zaś leżała za miastem, na pochyłości góry, u której stóp przepływa wśród głębokich a urwistych brzegów jeden z prawobrzeżnych dopływów Cissy, zwany Rima, łączący w sobie charakter potoku górskiego z charakterem rzeki średniej wielkości. Na szosie przebywa się ją po moście murowanym. Dla skrócenia drogi do winnic, rzuconą była na słupach wążka, wysoka a długa, w jedną zaopatrzoną poręcz, kładka, która się trzęsła pod stopami przechodniów. W okolicach górskich kładki podobne zdarzają się często. Ze Szwajcarem często mówiliśmy o uprawie winogron, o winnicach i winie; razu pewnego kilku nas zaprosił on do piwnicy swojej, celem pokazania osobliwości tej ludzom, którzy nie podobnego nie widzieli. Udaliśmy się tam w dniu i o godzinie oznaczonej, w towarzystwie właściciela, któ-

ry nam za przewodnika służył. Przeszliśmy kładkę i ścieżkami, do góry się wspinającami, dostaliśmy się do winnicy, u której spodu stał dachem okryty budynek, mający z zewnątrz i wewnątrz pozór altany ogrodowej, zaopatrzonej w sofy, krzesła, stół okrągły na środku i stolików parę pod pełnemi okien ścianami. W jednej ze ścian znajdowały się duże, kute drzwi. Były to drzwi, prowadzące do piwnicy, wykopanej, jak się kopia tunele. Zstępowało się do niej po paru schodach. Szwajcar, dawszy każdemu z nas do ręki lampeczkę szklaną do picia, drzwi otworzył i, poprzędzając nas ze świecą, wprowadził pomiędzy ustawione szeregami beczki. Szeregi ciągnęły się długo. Szwajcar od czasu do czasu zatrzymywał się, opowiadał o genealogii i zaletach wina zawartego w pewnej beczek ilości. W jednej z nich odektnął szpuncik, znajdujący się w górnej połowie dna i z otworu tryskał płyn, któryśmy zbierali w lampki. W ten sposób z wykładem łączył się i przykład. Sprawdzaliśmy opowiadane zalety win, kosztując z beczek wedle porządku ich wieku. Zaczęliśmy od młodych i szli stopniowo ku coraz to starszym. Lampki małe Szwajcar nie więcej, jak w części czwartej napełniał; kazał nam je podnosić, do światła nastawiać, grę koloru uważać i pić smakując. Powtarzało się to jednak często — tak często, że ja, nie czując z natury do win pociągu, wychylał za ledwie lampkę piątą, a na pięć cztery na beczki ukradkiem wylewał. Nie szemrało więc mi w głowie. Nie szemrało w głowie i towarzyszom moim, którzy spehiali lampki z religijną dla wysoce szlachetnego trunku czcią. Jednego zastanowiło to, odezwał się:

— Wino doskonałe i lekkie.. Czuć je w gębie, ale nie w głowie...

— Odłóż pan uwagę tę na później... — odparł Szwajcar.

W piwnicy podchmienie czuć się nie dawało zgoła, pomimo, żeśmy przekosztowali wszystko, co do kosztowania było i każdy z nas, z wyjątkiem mnie, wypił nie mniej, jak butelkę wina kapitalnego. Gdyśmy próbowanie owo skończyli, gospodarz, wyprowadziwszy nas do izby, wezwał, ażebyśmy na sofach i krzesłach spoczynku zażyli.

— Czyżeśmy zmęczeni!... — odezwał się ktoś.

— Chodzi nie o zmęczenie, ale o to — odpowiedział — izby nam trudno było na kładkę trafić...

— Oho!... — zawołał Jan Zamoyski, imiennik wielkiego hetmana, mąż dzielnie potykający się z kieliszkiem i kolega dobry.

— Usiądź pan... — wezwał go gospodarz.



— Miałbym na kładkę nie trafić?... Cóżem ja wypił?... Naparsteczków kilkanaście!... Pijałem tyle i trafiałem, gdzieś trafić zamierzyłem... Pójdę!...

— Nie żartuj pan... — upomniał go Szwajcar.

— Pójdę!.. Kto ze mną?..

— Ja!... — odpowiedziałem.

Za przykładem naszym nie poszedł nikt. Ruszyliśmy we dwóch, ja przodem, Zamoyski za mną; idąc podżartowywaliśmy sobie z tych, co zostali; wprędce wszakże, mimo że najtrzeźwieszy był, uczuwać począłem następstwa kosztowania, które w Zamoyskim wyrażało się za pomocą belkotania. Prawił coś o jakichś Jankach, Frankach, o Krakowie skąd był rodem, o winie *Cracoviae educatum*, *Varsaviae bibatum*, o różnych innych jeszcze tym podobnych i tym niepodobnych rzeczach, aż doszliśmy nareszcie do kładki. Wszedłem na nią, a będąc na środku i czując, jak się podemną chwieje i widząc w głębi przelewające się po kamieniach nurty Riny, pomyślałem: jak też tędy Zamoyski przejdzie? Nie oglądałem się jednak. Gdy do końca kładki doszedłem, usłyszałem za sobą krechtanie pijane, klątw kilka i plusk wody wielki. Błysnęło mi w myśli przypuszczenie, że Zamoyski do rzeki wpadł. Nie oglądałem się wszakże. Udałem się wprost na kwaterę, nie wiedząc, jak się to stało, że zaszedłem i zasnąłem. W parę godzin później przebudziłem się i dopiero przypomniałem sobie, że Zamoyskiego na kładce wypadek spotkał. Zimno mi się zrobiło. Zerwałem się i w chwil kilka później wchodziłem na podwórze domu, w którym kwaterował Zamoyski. Pierwszym przedmiotem, jaki mnie uderzył, była odzież jego, rozwieszona do suszenia. Wpadłem do izby i ujrzałem go, śpiącego snem kamiennym. Zapytywałem go później o losy, jakie go spotkały, a mianowicie, jak się uratował. Nie wiedział o niczem. Domyślał się wpadnięcia do wody z tego, że się potłukł i zamoczył. Dziwiła mnie i oburzała obojętność, z jaką go własnym jego zostawiłem losom. Prawda—sam tego cięży byłem. Koledzy, co z nami piwnicę Szwajcara zwiedzali, w winnicy się przespali i bez wypadku powrócili.

# Mickiewicza „Księgi pielgrzymstwa polskiego“ i Lamennais'go „Paroles d'un croyant.“

## I. Geneza i ogólny charakter.

Mało dotychczas znane, a prawie wcale nieopracowane dzieje stosunku Mickiewicza do Lamennais'go, przedstawiają ciekawy objaw wzajemnych wpływów dwóch twórców na siebie. Wpływy te rozwijały się na tle zasadniczego pokrewieństwa charakterów i umysłów obydwu pisarzy i zamykają się w pewnej, określonej epoce, pomiędzy rokiem 1830 a 1834. Zarówno Mickiewicz, jak i Lamennais, w chwili poznania się z sobą są już mniej więcej skończonymi ludźmi, o silnie zarysowanych fizyognomiach duchowych, o wyraźnie rozwiniętych talentach. Stąd pochodzi, że nie może u nich być mowy o pospolitem naśladownictwie, bo obok pokrewieństwa duchowego, przedstawiają również zasadnicze różnice w poglądach na świat. Gdy z biegiem czasu różnice te rozwijać się będą coraz silniej—nastąpi wreszcie moment, kiedy ludzie ci, idący dotychczas obok siebie, zerwą zupełnie stosunki duchowe, a jeden z nich (Mickiewicz) wyprze się nawet zupełnie wszelkich stosunków z drugim. Każdy z nich pójdzie swoją, odrębną drogą—i nie spotkają się już nigdy albo tylko przygodnie.

W rozprawie niniejszej pragnę rozpatrzyć wpływ Mickiewicza na Lamennais'go, t. j. ściślej wzięwszy „Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego“ na „Paroles d'un croyant,“ które wywołały w Europie tak sprzeczne sądy i uczucia, tyle zachwyty i oburzenia, zapatu i potępienia, entuzjazmu i zgrozy. Z nielicz-



nych objawów wpływu literatury polskiej na obcą—ten jest chyba najwybitniejszy i najbardziej charakterystyczny. Dowodzi nadto niezbicie, jak poeta polski potrafił w swej małej książeczce zebrać i skupić to wszystko, czem Europa ówczesna żyła, co ją bolało, co radowało, w co wierzyła i co ją przejmowało oburzeniem i wstrętem. W tem jej znaczeniu ogólnem tkwi tajemnica jej wpływu na Lamennais'go.

Zanim wejść w szczegóły, t. j. ugrupowanie analogij i reminiscencyj, chciałbym przedewszystkiem, w ogólnych przynajmniej zarysach, określić *genezę* obydwu dzieł. Ułatwi mi to stwierdzenie tego, o czem już napomknąłem, t. j. że wpływ Mickiewicza na Lamennais'go (jak i naodwrot) nie jest niczem przypadkowym ani też nagłym, ale że „Księgi pielgrzymstwa“ stają się mu *wyrazem* jego własnych uczuć i myśli, nagromadzonych w ciągu kilku lat przełomowych jego życia, wracających w nim i domagających się wypowiedzenia. Tylko, że wyraz ten w tym wypadku jest tak silny i jaskrawy, tak zupełnie i idealnie oddaje wszystko, czem dusza żyła, jest zjawiskiem, pomimo wszystko, tak nowem i tak olśniewającym, że Lamennais jest niem oszołomiony, poddaje mu się zupełnie, zaczyna prawie że mówić słowami „Książ“, gdyż bardziej odpowiadającego swym uczuciom kształtu znaleźć w sobie nie może.

Ażeby dobrze zrozumieć *genezę* „Paroles d'un croyant“, trzeba pobieżnie chociażby zastanowić się nad znaczeniem epoki między 1830 a 1834 r. w życiu duchowem Lamennais'go. Jest to bowiem czas, kiedy odbywa się w nim zasadniczy przełom moralny, którego jaskrawym i poetycznym wyrazem są właśnie „Paroles d'un croyant.“ Było to pierwsze przełamanie się w nim kierunków dwóch wielkich kultur, jednej wypracowanej przez stulecia, potężnej, wszechwładnej, mającej za sobą siłę i powagę tradycyi i moc wiekowego trwania—i drugiej, rodzącej się dopiero wśród tumanów i mgieł rewolucyj i pierwszych ruchów ludowych, niewyraźnej, raczej przeczuwanej i wytęsknionej, niż określonej ściśle i jasno wskazującej kierunek. Pragnienie stopienia, zlania ich obydwóch w nową całość, co, jako rezultat, wynikło z owego przełamania się, okazało się niemożliwe do przeprowadzenia, przynajmniej z punktu widzenia Lamennais'go. Kościół przez usta swej głowy, papieża Grzegorza XVI, potępił najkategoryczniej usiłowania *L'Avenir'a* w tym kierunku, potępił jego stanowisko bezwzględnej wolności, tak w dziedzinie życia duchowego, jak i społecznego. Kościół nie opuścił swego stanowiska na straży autorytetu, które przez Lamennais'go już zostało przewyciężone.

Pozostają mu wobec tego dwie drogi wyjścia: ugiąć się przed kościołem, albo stanąć w buncie przeciw niemu. Trzecia zasadniczo nie istnieje. I choć Lamennais'mu zdawało się, że ją znalazł przez rozdzielenie kwestyi religijnej od kwestyi społecznej i zupełne poddanie się kościołowi w sprawach dotyczących pierwszej, zachowanie zaś zupełnej wolności co do drugiej — to jednak rozdział ten był całkiem sztuczny, sprawa była wewnątrznie i zasadniczo już rozstrzygnięta: Lamennais przez samo takie rozróżnienie już z szeregow kościoła wystąpił—otwarte zaś przyznanie się do tego i wstąpienie w szeregi demokracji rewolucyjnej było już tylko kwestyą czasu. Nie mogło się to oczywiście odbyć od razu, bez całego szeregu walk i zmagani się, wybuchów rozpacz i cofań się, momentów energii i osłabnięcia. Przejścia te są jedyną w swoim rodzaju historią *osobistego* niemal przeżywania tragicznego konfliktu kulturalnego i pozostają w ścisłym związku z genezą „Paroles,“ które ukazują się w r. 1834, w dwa lata po powrocie z pielgrzymki do Rzymu, tak fatalnie zakończonej encykliką „Mirari vos.“

Stanowisko kościoła, potępienie przezeń nie tylko doktryny l'Avenir'u, ale i powstania polskiego, które Lamennais uważał za walkę wolności z absolutyzmem, przyprawiły go o boleść i rozgoryczenie, których wymowne i silne wyrazy znajdujemy we współczesnej jego korespondencji. Rozwiane zostały bezwzględnie wszelkie marzenia o nowym ruchu ludów pod egidą kościoła, o przetworzeniu Społeczeństw na podstawach chrystyanizmu, opartego o kościół, któryby swą powagą i świętością nadawał sankcję i moralne choćby zwycięstwo wszystkim próbom w tym kierunku tak licznym w owej epoce. Kościół oficjalny, urzędowy wiązał się z tymi znieawidzonymi i przeklinanymi przez Lamennais'go gabinetami, z rządem Ludwika Filipa. A równocześnie coraz wyraźniej dochodziło do uszu wołanie ciemzonego politycznie, społecznie i ekonomicznie *ludu* wszystkich krajów o prawo do życia i rozstrzygnięcia o swoim losie. Trzeba było wyraźnie i otwarcie stanąć po jednej stronie. Domagało się tego sumienie wiecznie czujne i poczucie godności. Milczenie w takiej sytuacji pożytywaneby być mogło za zgodzenie się na istniejący porządek rzeczy. Należy więc wypowiedzieć wszystko, wypowiedzieć za wszelką cenę, choćby to miało nowe burze i wyklęcia na głowę ściągnąć — trzeba iść za głosem sumienia, które wzdyga się na widok tego, co się wokół dzieje, trzeba tym, którzy cierpią i męczą się, ukazać jasno i niezbicie, że do nich należy *przyszłość* niedaleka już, pocieszyć ich i dźwignąć, natchnąć wiarą i siłą



do tworzenia tej przyszłości, wskazać drogę nieomylnie do niej prowadzącą.

Oto w ogólnych zarysach stan duchowy Lamennais'go w chwili, gdy zapoznaje się z francuskim przekładem „Ksiąg pielgrzymstwa.“ Opisał go szeroko w liście do arcybiskupa Paryża, zamieszczonym w *Affaires de Rome*, zaczynającym się w ten sposób:

„Gdy przed powrotem moim do Paryża, przebywałem na wsi, gdzie życie wewnętrzne ma więcej energii, płynie bardziej intensywnie—wówczas tłum myśli i uczuć, jakie tylko wzniecić może widok tak smutny społeczeństwa dzisiejszego, wdarł się do mojej duszy i zwarzył ją. Sądziłem, że spisanie tego, com czuł, stanie się dla mnie rodzajem ulgi. Stąd „Paroles d'un croyant.“

Listy jego z epoki 1832—1834 pełne są uwag, nastrojów, poglądów i pojęć, które wejdą do „Paroles,“ jako to: rozpadanie się starego społeczeństwa, zarodki nowego, bliskość decydujących przewrotów, lud, jako najzdrowsza siła społeczna, walka dwóch zasad: despotyzmu i wolności, krytyczne stanowisko wobec Rzymu i t. p. Ten sam charakter, bardziej wizyonerski, nosi epilog drugiej części „Affaires de Rome,“ zatytułowanej: *Des maux de l'Église et de la société et des moyens d'y remédier*, napisanej podczas pobytu w Rzymie w r. 1832 u Teatynów, na przedmieściu *Frascati*, niedokończonej i później wcielonej do „Affaires de Rome.“

Jakkolwiek mamy bardzo mało wyraźnych danych na to, możemy jednak z wszelką pewnością twierdzić, że stosunki osobiste Lamennais'go z Mickiewiczem były podówczas dosyć bliskie. Mickiewicz we wrześniu 1832 r. był już w Paryżu, t. j. właśnie w owym czasie, kiedy Lamennais powrócił był z Rzymu i tam się na krótki czas zatrzymał. Nie ulega wątpliwości, że Mickiewicz odnowił dawną z nim znajomość. Zapoznał się również w tym czasie z Montalembertem (jeżeli go nie znał z czasów pierwszej bytności w Paryżu) i być może, że w jego domu, gdzie bywało mnóstwo Polaków (Kniaziewicz, Worcell, Zaleski, Zan, Dwernecki, Dembiński, Platerowie, Czartoryski, Zamoyski i t. d.), miał sposobność widywania się z Lamennais'm, związanym wówczas najgorętszą przyjaźnią z młodym Montalembertem. Widać to z listów Lamennais'go, pisanych w miesiąc później w październiku 1832 r. do Montalemberta z *La Chenaie* (jego miejsca rodzinnego, gdzie najchętniej przebywał), w których dopytuje się ustawicznie o Mickiewicza i prawie w każdym liście przesyła mu ukłony i pozdrowienia. „Powiedz Mickiewiczowi, że bylibyśmy bardzo szczęśliwi, gdybyśmy go mogli przyjąć w naszym małym ustroniu.“ „Pozdrów odemnie najserdeczniej naszego Rio i Mickiewicza.“

Mickiewicz z Platerem mieli się wybrać do La Chênaie celem omówienia z Lamennais'm i jego bratem Janem projektu założenia Szkoły dla młodzieży polskiej pod kierunkiem obu braci. Ks. Jan Lamennais ofiarowywał szkole tej gmach swego seminarium w Fougères. Z tej okazji pisał Lamennais w maju 1833 r.: „Byłbym zapomniał powiedzieć Ci, że jeżeli Mickiewicz przyjedzie z Tobą, to należałoby, żeby i mój brat zjawił się tutaj...“ W czerwcu zaś t. r.: „Powiedz hr. Platerowi i Mickiewiczowi, że byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym mógł ich mieć u siebie.“

Mickiewicz jednak, z niewiadomych przyczyn, nie przyjechał, a także projekt szkoły polskiej nie doczekał się zrealizowania. Za to w ostatnich dniach stycznia 1833 r. złożył wizytę Lamennais'mu w Paryżu, o czem mamy wzmiankę w liście tego ostatniego z 2 lutego 1833 r.: „*Przed kilku dniami* złożył mi wizytę Mickiewicz i będzie przychodził nadal. Podobał mi się bardzo pod każdym względem.“

Z niecierpliwości, z jaką dopytuje się Lamennais prawie w każdym liście o postępkach przekładu „Ksiąg pielgrzymstwa“ na język francuski, wnioskować można, że przy bliższem poznaniu się z Mickiewiczem nabrał o nim wysokiego wyobrażenia i koniecznie chciał się zapoznać jaknajprędzej z jego dziełem. O „Księgach“ donosić mu musiał wiele Montalembert (korespondencya jego, niestety, nie jest jeszcze wydana), który był niemi tak zachwycony, że nie wahał się położyć swego nazwiska, jako tłómacza, na francuskim przekładzie „Ksiąg“ (przekładu dokonał w rzeczywistości Bohdan Jański, a Montalembert poprawił go i ogładził) nie tylko dla zsolidaryzowania się z ich treścią, co zresztą zaznaczył w obszernej przedmowie, ale i dla tego, żeby dziełu temu nadać we Francyi większy rozgłos.

9 stycznia 1833 r. pisze Lamennais: „Oczekuję niecierpliwie pracy Mickiewicza.“ 12 lutego t. r. to samo: „Oczekuję niecierpliwie publikacji dzieła Mickiewicza z Twoją przedmową.“ 23 lutego t. r. pyta: „Kiedyż ukaże się wreszcie przekład dzieła Mickiewicza?“

Wreszcie 1 marca t. r. dowiaduje się, że przekład już ukończony i zgadza się na dołączenie doń swego „Hymne à la Pologne“, napisanego w Rzymie w kwietniu 1832 r. w albumie Henryetty Ankwiczówny: „Jestem zachwycony tem, że Twój przekład dzieła Mickiewicza już ukończony. To, co mi o niem mówisz, wzbudza we mnie gorącą chęć przeczytania go. Możesz doń oczywiście dodać tę małą elegię (t. j. „Hymne à la Pologne), jeżeli



sądziysz, że ona nie bardzo odbijać będzie od zachwycającego dzieła Mickiewicza... Biedny naród! Ale on odżyje..."

Zanim jednak dzieło zostało wydrukowane i przesłane mu, jeszcze kilkakrotnie zapytuje o nie. Wreszcie otrzymuje korektę 1 maja 1833 r. (sam przekład ukazał się w druku 16 maja 1833 r., t. j. pod tą datą donosi o nim „Pielgrzym“). Przeczytał ją widocznie jednym tchem, bo już następnego dnia donosi przyjacielowi: „Otrzymałem wczoraj pocztą *trzydzieście kartek* książki Mickiewicza. Nie czytałem nic bardziej wzruszającego i oryginalnego. To małe dziełko sprawi ogromnie wiele dobrego nie tylko Polakom, ale i Francuzom, jak również wszystkim narodom, na których języki będzie przełożone. Należałoby wysłać je do Anglii, Niemiec i Włoch. Jeżeli się bardzo śpieszysz, to wydrukuj, nie czekając, moje zdanie..."

Listy jego z tego czasu pełne są zachwytów i uniesień nad „Księgami pielgrzymstwa.“ 4 maja 1833 r. pisze do Montalemberta: „Coraz bardziej wzrasta we mnie przekonanie, jak wiele dobrego zrobić może ta mała książka. Czy nie możnaby znaleźć jakichś środków rozpowszechnienia jej pomiędzy młodzieżą, a przede wszystkim wśród ludu?“ 5 maja do tegoż: „Nie zaniedbaj żadnego sposobu rozpowszechnienia „Ksiąg pielgrzymstwa polskiego.“ *Jest to książka ludzkości całej.*“ 6 maja do margrabiego *de Coriolis*: Ukaże się niebawem mały tomik pod tytułem: „Księgi pielgrzymstwa polskiego“ przez Mickiewicza, *bezwątpienia pierwszego poetę naszej epoki*: są tam rzeczy porywające; nie zapominając zupełnie o odległości, dzielącej słowo ludzkie od słowa bożego, ośmieliłbym się czasem powiedzieć: *to jest piękne, jak Ewangelia. Tak czysty wyraz wiary i wolności zarazem jst cudem w naszym wieku niewolnictwa i niewiary.*“ 9 maja do hrabiny *Senfft*: „Zło powszechne dotyka w znacznej części zarówno Panią, jak i mnie, a innych ludzi jeszcze bardziej, aniżeli nas. Proszę spojrzeć na tych biednych Polaków, na ten cały naród! Ich wielki poeta Mickiewicz napisał dla nich zachwycające dziełko, które przełożył Montalembert p. t. „Le livre des Pèlerins polonais.“ Zaopatrzone jest w przedmowę, która wyda się Pani zbyt gorącą, a na wygłoszone tam zasady polityczne nie będzie Pani mogła zgodzić się. Z tem zastrzeżeniem zmuszona Pani będzie uznać (o ile się grubo nie mylę), że jest to *jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie napisano w ostatnich czasach.* Wszystko, co wiem o Polsce, wszystko, czego się o niej dowiaduję codziennie, doprowadziłoby mnie do obłędu, rozpacz i wściekłości, gdyby mnie nie podtrzymała *wiara*..."

Dalszy ciąg listu jest wyraźnym dowodem, jak pod wpływem „Ksiąg“ wyobraźnia Lamennais'go zaczęła pracować silniej i nasuwać mu jaskrawe, zupełnie apokaliptyczne obrazy i wizye: „Onegdaj, *peten tych uczuć* i opanowany głębokim smutkiem, naszkicowałem rodzaj portretu, jak następuje: „Był w piekle straszliwy demon, zrodzony ze związku Pychy z Bezbożnością, a imię jego było: *Zbrodnia*. Ponieważ rozsiewał zgrozę w dziedzinach piekielnych, a na jego widok sam Szatan odczuwał dziwne wzruszenie, jakgdyby zło czyste, absolutne, nieskończone przesunęło się przed jego obliczem — więc wygnał go Szatan ze swego państwa. Wygnany potwór przybrał na się postać ludzką i schronił się na ziemię...“

8 maja Lamennais pisze znowu o „Księgach“ do *Benoît'a d'AZY*, a w liście tym widać już wyraźne alluzye pod adresem kościoła i duchowieństwa: „Niebawem ukaże się mała książka p. t. „*Le Livre des Pélérins polonais*.“ Jest to rzecz zachwycająca. Radzę Ci bardzo przeczytać ją. *Ach, jakże religia jest piękna, jeżeli nie robi się z niej rynsztoka do wylewania wszelkiej głupoty umysłów i wszelkiej zgnilizny serc.*“

Takie same zachwyty Lamennais'go nad „Księgami pielgrzymstwa“ opisuje Maurycy de Guérin, jeden z uczniów jego — w dziele p. t. *Reliquiae*, Paryż 1861 r. Widzimy więc, że stały się one dla niego pewnego rodzaju objawieniem, gdyż dominowały w nich dwa pojęcia: wiara i wolność, w ścisłym, organicznym zespoleniu, wspierając się wzajemnie i dopełniając. To, czego Lamennais daremnie domagał się od kościoła, o co walczył i wołał przez całą swą działalność lat ostatnich, to widział urzeczywistnione w dziele poety polskiego. Tam czysta i głęboka wiara łączyła się z szczytną dążnością do wolności. Tam narodowi całemu wskazana została droga wiary, chrześcijańskiej miłości, braterstwa ludów, wcielenia w życie ich etyki chrześcijańskiej, jako podstawy współżycia i niepodległości. Z kart tej książki rozlewały się nietylko słodkie słowa wiary i miłości, ale grzmiały również pioruny wielkiego gniewu i oburzenia na wszelką niesprawiedliwość i krzywdę. Była to rzeczywiście „książka ludzkości całej“ w tem znaczeniu, że pomimo formalnego ograniczania się do narodu polskiego, określała jednak przez kierunek kultury polskiej kulturę ogólnoludzką i jej podstawowe zasady. W tym zaś kierunku schodziła się najzupełniej z poglądami Lamennais'go, jemu samemu wiele zawdzięczając, tak, że we wpływie jej na ukształtowanie się „*Paroles d'un croyant*,” mamy ciekawe zjawisko, które nazwałby można powracającą falą wpływów.



Jakiego rodzaju i jakiej siły był ten wpływ, będziemy mieli sposobność ocenić przy szczegółowem zestawieniu obydwu dzieł. Tu tylko zaznaczyć potrzeba, że „Księgi pielgrzymstwa“ oddziaływały znacznie na *uksztaltowanie się* „Paroles“—lecz nie na ich genezę, t. j. nie stały się bezpośrednią czy pośrednią przyczyną powstania samego zamiaru czy też myśli dzieła. W tej kwestyi wypada usunąć pewne nieporozumienie. Władysław Mickiewicz w swej monografii (tom II, str. 211) powiada: „W dziele „Sprawy rzymskie“ pisze Lamennais: „Wziąłem z Pielgrzymstwa polskiego p. Mickiewicza myśl do „Paroles d'un croyant“—nie podaje jednak ani wydania, ani strony.“<sup>1)</sup> Nie przypuszczam, aby szanowny autor cytował rzecz nieistniejącą zupełnie. Tem dziwniejsze jest jednak, że zdania tego, mimo skrupulatnych poszukiwań, ani w „Affaires de Rome,“ ani w żadnym innem dziele Lamennais'go, ani też w jego korespondencyi znaleźć nie mogłem. Nie wspomina też o tem żaden z krytyków francuskich, zajmujących się rozbiorem „Paroles d'un croyant.“ W korespondencyi Lamennais'go natomiast znajduje się ustęp przeczący wprost powyższemu zdaniu, a mianowicie w liście do Montalemberta z 16 maja 1833 r.: „*Przed przeczytaniem dzieła Mickiewicza, zaczęłam małą książkę w rodzaju zupełnie analogicznym.*“<sup>2)</sup>

Jeżeli więc przed przeczytaniem „Ksiąg“ rozpoczął „Paroles“ (bo o nich tu niewątpliwie mowa), to jasne, że nie z nich wziął myśl do swego dzieła. „Księgi“ mogły się przyczynić do jej jaśniejszego uświadomienia, mogły nawet pełnić ją w pewnym, określonym kierunku, ale jej bezpośrednio nie zrodziły. Ten kierunek mógł być nawet odmienny od poprzednio zamierzonego, ale niezmienna to postaci rzeczy, a przeczy temu poniekąd powiedzenie samego Lamennais'go, że dziełko to miało być w rodzaju *zupełnie analogicznym*. Nadto w liście z 1 maja 1833 r. (a więc w dniu otrzymania pierwszych 13 kartek „Ksiąg“), Lamennais, mówiąc o swej filozofii, którą wtedy pisał, dodaje: „J'aurai de plus quelques autres fragments à te montrer.“<sup>3)</sup> Są to niewątpliwie fragmenty „Paroles d'un croyant.“ W liście zaś z 27 kwietnia 1834 r. do M. Blaise'a powiada: „L'écrit en question („Paroles“) n'est pas

1) To samo w przekładzie „Ksiąg“ na język francuski wyd. przez Wł. Mick. i Levy'ego. Paryż 1864, str. 125.

2) *Lettres à Montalembert* str. 133. Ten ustęp też cytuje i uważa za decydujący prof. Kallenbach w swej monografii o Mickiewiczu.

3) *Ibidem* str. 118.

du tout une boutade d'humeur soudaine et passagère, *mais le fruit de mûres reflexions. Il y a près d'un an qu'il est achevé.*"<sup>1)</sup> To samo wyznanie, że już *prawie* rok minął od napisania dziełka, znajdujemy w liście do arcybiskupa Paryża z 29 kwietnia 1834 r.<sup>2)</sup> Z tego okazuje się, że „Paroles“ ukończone zostały *najwcześniej* w maju 1833 r. (wcześniej nie mogło się to stać, bo jeszcze 16 maja pisze Lamennais, że *zaczął* to dziełko, zob. str. 65), a powiędzenie, że są rezultatem *dojrzałego namysłu*, tembardziej dowodzi, że pomysł ich powstał przed zapoznaniem się z „Księgami,“ bo te doszły go dopiero tegoż miesiąca, t. j. w maju 1833 r.

Autograf „Paroles,“ znajdujący się w „Bibliothèque nationale“ w Paryżu,<sup>3)</sup> bardzo ciekawy pod innymi względami (np. co do wyraźnego starania się o nadanie językowi tonu biblijnego i częste w tym kierunku przerabianie frazesów), nie daje jednak żadnych wskazówek, które ustępy napisane zostały przed a które po zapoznaniu się z „Księgami.“ Sądząc z cech czysto formalnych, t. j. pisma, pióra, atramentu i t. p., możnaby wprawdzie wykazać, że rozdział pierwszy i drugi nie są pisane jednym ciągiem, ale z pewną przerwą — trudno jednak orzec, czy tylko ten pierwszy przypada na czas przed przeczytaniem „Książ,“ czy też i następne i które z nich.

Jakkolwiekbydz, myśl napisania „Paroles“ powstała w Lamennais'm samodzielnie, a geneza ich określona być musi temi pierwiastkami charakteru i stanu duchowego autora, które naszkicowaliśmy powyżej. On sam uzasadnia w listach swych współczesnych co go skłoniło do wydania, a więc pośrednio i napisania tego dziełka.

„Motywy, które mnie skłoniły do wydania mego pisma są następujące: 1-o) świadomość, że tak czyniąc, *wypełniam obowiązek*, ponieważ zbawienie świata upatruję tylko w jedności porządku, prawa, sprawiedliwości i wolności; 2-o) *konieczność ustalenia mego stanowiska*, które w oczach społeczeństwa jest obecnie chwiejne i fałszywe; 3-o) *oczyszczenie mego imienia w przyszłości z zarzutu*, że współdziałał ze straszliwym systemem tyranii, która ciąży dziś nad wszystkimi ludami.“ W liście zaś do barona Vitrolles

<sup>1)</sup> A. Blaize: *Oeuvres inédites de Lamennais*. Paris, Dentu, 1866, tom II, str. 140.

<sup>2)</sup> *Affaires de Rome*: str. 172.

<sup>3)</sup> W dziale „Manuscrits“ pod liczbą 4275 (Manuscrits français—Nouvelles acquisitions), str. 123 (stronice podzielone na pół i zapisane do połowy po obu stronach) rozmiary 195 × 155 mm.



z 25 maja 1834 r.: „Co do mnie, to pragnąłem, napiętnowawszy zbyt jawne nadużycia mocarstw, pocieszyć słabych, biednych, małych, uciśnionych i ukazać im w powrocie do uczuć sprawiedliwości, miłości i ludzkości—niezawodną nadzieję lepszej przyszłości. Te same tony dźwięczą w dedykacji „Paroles d'un croyant,“ zwróconej do *ludu* (nie „ludów“), a zamieszczonej w pierwszym wydaniu z r. 1834.

A więc dziełko to wypłynęło przedewszystkiem z konieczności określenia swego stanowiska w walce despotyzmu z wolnością, ugruntowanie swej pozycyi w oczach świata (i swoich własnych), zejścia ku małym i uciśnionym i przyniesienia im kojącego balsamu na ich cierpienia i smutki przez wskazanie im niedalekiej, świetlanej przyszłości i drogi, którą mają pójść, aby przyspieszyć zapanowanie na ziemi sprawiedliwości, miłości i swobody.

Jeżeli z tem porównać genezę i przeznaczenie „Książ pielgrzymstwa“ — to odrazu rzuca się w oczy zasadnicza ich wspólność. Jak Lamennais tak i Mickiewicz niewątpliwie pragnął „określić swoje stanowisko“ i „ugruntować swoją pozycyę“ w znaczeniu znalezienia nowej *równowagi duchowej* po przełomie w Improwizacyi. Jak Lamennais, tak i on schodził do *bliźnich*, w danym wypadku do narodu swego, niosąc w dłoni balsam ukojenia dla cierpiącej, waśniami rozdartej, złudnemi nadziejami uwodzonej emigracyi. Jak Lamennais, tak i on nadzieję lepszej przyszłości widział w powrocie do elementarnych, zasadniczych uczuć chrześcijańskich: sprawiedliwości, miłości, braterstwa. Jak „Paroles d'un croyant“ tak i „Książ pielgrzymstwa“ są wyrazem pewnego, decydującego przełomu moralnego, są wstąpieniem na nową drogę żywota, słupem żelaznym, postawionym na granicy dwóch epok działalności. W tym ich charakterze, w tej ich *tendencji*, w tem *pójściu do bliźniego* leży obydwu utworów zasadniczy punkt wspólny.

Rozmaite jednak są drogi do bliźniego prowadzące, rozmaite wewnętrzne przyczyny, pchające człowieka do oddania się *człowiekowi* w służbę, a wszystkie leżą zawsze w nim samym, wszelkie poświęcenie się i służba dla drugich jest przedewszystkiem zaspokojeniem swoich własnych, najistotniejszych, osobistych potrzeb duchowych. *Der Eine geht zum Nächsten weil er sich sucht und der Andere weil er sich verlieren möchte* — powiada *Nietzsche* w rozdziale Zarathustry, traktującym o miłości bliźniego. To zdanie jest jakby umyślnie stworzonym dla określenia ówczesnego stosunku Lamennais'go i Mickiewicza do środowiska, wśród którego żyli i do którego *schodzili* i tych najgłębszych, podstawo-

wych, tajemnych pierwiastków genezy „Paroles“ i „Książ“, t. j. tych, które były nieświadomem, ukrytem źródłem, z jakiego płynęły późniejsze już, uświadomione, skodyfikowane, powyżej nakreślone cele i pragnienia.

Nie chcąc narazić się na zarzut fantazyzowania, postaram się powyższe twierdzenie uzasadnić. Cóż to znaczy, że Lamennais szuka *siebie*, schodząc do bliźniego? Czyż nie sprzeciwia się temu znane jego określenie wszelkiej działalności społecznej jako przedewszystkiem poświęcenie *siebie*, abnegacja *z siebie*, zapomnienie *o sobie*? Czyż nadto cała jego działalność przed „Paroles d'un croyant“ niema również charakteru społecznego, więc dla czego owo „szukacie siebie“ ma się rozpocząć dopiero teraz? Otóż właśnie o to chodzi, że w owym żądaniu i pragnieniu poświęcenia siebie i abnegacji z siebie, wyrażała się najistotniejsza cecha jaźni Lamennais'go, podstawowa potrzeba jego temperamentu czyli wyrażał się *on sam w swojej najgłębszej istocie*. Od samych początków swego duchowego życia ta potrzeba jest w nim najsilniejsza—ciągle szuka jakiejś idei, jakiejś sprawy, której mógłby się oddać najzupełniej aż do zapamiętania, bezwzględnie wyładować wszystkie swe siły aż do wyczerpania się zupełnego. Problematy i zagadnienia religijne, filozoficzne, polityczne były dla niego nie materiałem *dla studyów*, ale wprost i dosłownie *treścią życia*. Zmagał się z niemi, brał za bary, ulegał, zwyciężał i wicznie szukał, szukał czegoś, w czymby mógł odnaleźć siebie, wiarę w siebie, wiarę w człowieka, jego wartość i twórczość celową. I nigdzie się nie mógł znaleźć *w całości*, żadna ze spraw, której się oddawał, nie wyczerpywała całej jego treści wewnętrznej, we wszystkim pozostawała jakaś reszta, pominałszy już to, że każda z nich stawiała sobą nieprzewyciężoną przeszkodę do poświęcenia się jej zupełnego. Oddał się naprzód całej sprawie kościoła—odrzucono jego usługi, chciał jeszcze raz kościół połączyć z nowoczesnym ruchem społecznym—wyklęto go, więc pozostaje mu *Sprawa ludu* i tam się teraz zwraca z tem samem bezwzględnem oddaniem się, bo w tem był on cały, on najprawdziwszy i najistotniejszy. Idąc do bliźniego, do ludu tak samo szuka siebie, szuka pola, gdzieby się mógł wypowiedzieć cały—czyż bowiem w rezultacie nie jest szukaniem siebie owo pragnienie określenia swego stanowiska, ugruntowania swej pozycji—o czem mówi sam w listach wyżej wzmiankowanych. I tam się też *odnajduje i wyzwała*. „Paroles d'un croyant“ to wybuch najgłębszych, najszczerzych źródeł jego duszy, wypowiedzenie najzupełniejsze i *jedynie* całej swej treści wewnętrznej. I choć oburza się



na niego cały katolicki świat, choć gromy jeden po drugim biją w jego głowę—on jest spokojny, wewnętrznie jasny i zrównoważony, ufny jak dziecię i silny jak lew. „*La satisfaction de soi-même est préférable à tout. J'aime mieux les tempêtes au dehors qu'au dedans*“ — pisze w chwili, kiedy drukuje się najpiękniejsze dzieło jego życia.

Mickiewicz jest tym „drugim,“ który idzie do bliźniego, ażeby siebie zatracić. Zatracić w znaczeniu rozpląnięcia się w bezimiennym żywiole narodowym. Improwizacya nie była dla niego czystym aktem sztuki, nieobowiązującym do niczego poematem—lecz krwawą walką z samym sobą. Bunt Mickiewicza-Konrada przeciw Bogu i niezawinionym cierpieniom narodu, został przez Mickiewicza-ks. Piotra uznany za szatańskie dzieło pychy („*Paroles d'un croyant*“ za bunt świadomy i uświęcony). Ks. Piotr nakazywał wyrzec się i zgnębić w sobie wszelkie pierwiastki buntu i królewskiego instynktu władania narodem, a więc zatracić w sobie pewne cechy istotne organizacyi duchowej. Z dwóch zasadniczych możliwości jego natury, jedna została uświęcona na korzyść drugiej. Tu więc pytanie, czy owo „zatrącenie się narodowe“ nie było właśnie szukaniem i odnalezieniem siebie, nie może mieć miejsca—bo tu pewne, elementarne instynkty zostają zagubione, *świadomie* spychane na samo dno duszy. A że są rzeczywiście naczelné i zniszczone zupełnie być nie mogą, świadczy o tem epoka towianizmu, gdzie Mickiewicz odnajduje się i wyzwala, staje się pełnym i skończonym człowiekiem przez zrównoważenie i zharmonizowanie w sobie wszystkich cech swej natury.

Te różnice w samej genezie „Ksiąg pielgrzymstwa“ i „*Paroles*“ musiały oczywiście wpłynąć i na ogólny ton tych dzieł. Ton zwierzeń Lamennais'go ma charakter namiętny, gorący, wybuchowy. Zbyt wiele już milezał, zbyt wiele nagromadziło się w nim myśli i uczuć, aby je mógł spokojnie i w pewnym systematycznym układzie podawać. „Księgi“ zaś są pod tym względem zupełnie odmienne. Spokojne przeważnie i nastrojone na podniosły ton, poważne są i surowe, pełne wewnętrznego namaszczenia. Z każdego słowa bije opanowanie siebie i przedmiotu ponad wszystkim, nawet w rzadkich chwilach uniesienia, góruje spokój przeświadczenia, że się przemawia uczuciami i słowami narodu. „*Paroles d'un croyant*“ mają charakter raczej spowiedzi gorącej, gwałtownej—to znowu rzewnej i tkliwej, przeplatanej apokaliptycznemi wizjami teraźniejszości i przyszłości—to znowu ustępami przepięknego liryzmu (jak np. ten, którego każda strofka kończy się słowami: „*L'exilé partout est seul*“)—„Księgi pielgrzym-

stwa" są katechizmem, zbiorem prawd i moralnych nauk narodowych. Nawet i w szczegółach występują różnice, już naturalnie z czego innego wypływające. Jakkolwiek bowiem zasady moralne, wyłożone w „Księgach," mają znaczenie ogólnoludzkie, to jednak przeznaczone są dla narodu polskiego, a w szczególności dla Emigracyi. To też Mickiewicz prawie wyłącznie do niego się zwraca, jego naucza i podnosi na duchu. Co więcej, występuje tu wyraźnie koncepcya narodu polskiego, jako mającego spcyalne powołanie, misyę dziejową do spełnienia: odrodzenie ludzkości przez wolność i poświęcenie się; pielgrzymi polscy są dziedzicami tej wolności, którzy „zgniłą Europę" uczyć mają cywilizacyi chrześcijańskiej.

Lamennais stoi na stanowisku najogólniejszem, międzynarodowem. Cała ludzkość przedstawia mu się, jako jeden w mękach i poniżeniu żyjący człowiek: „I cały rodzaj ludzki ukazał mi się, jako jeden jedyny człowiek. A człowiek ten wyrządził wiele złego a mało dobrego, zniósł wiele cierpień, odczuł mało radości. I oto leżał tam w nędzy swej, na ziemi już to stężalej w lód, już to piekącej żarem, wychudzony, zgłodniały, cierpiący, złamany niemocą, wijący się w konwulsyach, zakuty w kajdany—dzieło kuźnicy Szatana."

Do tego całego rodzaju ludzkiego, zakutego w łańcuchy, zwraca się Lamennais. Jemu niesie pociechę i zapowiedź lepszej przyszłości. Najogólniej ujmuje wszystkie rodzaje występku, zbrodni i grzechu, wszystkie sposoby wyzysku ekonomicznego, ucisku politycznego, społecznego i narodowego. Nie brak oczywiście aluzyj do stosunków francuskich, jako najlepiej autorowi znanych i najbardziej go obchodzących, ale nigdzie nie jest to wyraźnie zaznaczone, nigdzie nie jest wymienione nazwisko żadne, naród jakiś czy władza, jak to bardzo często zdacza się u Mickiewicza.

Z powyższego łatwo wywnioskować, że u Mickiewicza silniej dźwięczeń będzie struna *narodowa* (w najszerszem znaczeniu), u Lamennais'go zaś *społeczna*. Dla Mickiewicza kwestya społeczna właściwie nie istnieje zupełnie, nietylko w „Księgach," ale i w artykułach Pielgrzyma. O ile tylko Polska powstanie, to przez to samo, przez ten sam fakt, kwestya społeczna zostanie rozwiązana na sposób nowy, nieznanym, dobrowolnym, polskim. Mamy u niego naród polski i jego ideę przeciwstawioną nietylko rządowi, ale i innym narodom (rozdział o bałwanach narodowych)—u Lamennais'go ludzkość wcieloną w ludy i lud i przeciwstawioną tronowi i potęgom ziemskim. Lamennais przede wszystkim czuje zło



i nędzę społeczną, anormalne stosunki polityczno-społeczne — pojęcie ojczyzny jest u niego związane najściślej z załatwieniem naprzód piekących spraw społecznych. Obaj są przekonani gorąco, że radykalny przewrót jest konieczny i blizki — tylko że ten przewrót Mickiewicz pojmuje raczej jako przetworzenie się wewnętrzne jednostki, z którego wszystko inne wypływa („O ile polepszyście i powiększyście dusze wasze, o tyle polepszyście prawa wasze i powiększyście granice“) — Lamennais zaś raczej jako przetworzenie się stosunków i form społecznych, które jednostce dopiero umożliwić może wszelką pracę wewnętrzną, wyzwolić i wydobyć na jaw wszystkie jej treści i bogactwa. Oczywiście, że oba te pojęcia u obydwu autorów nie wyłączają się, nie są postawione jako sprzeczne z sobą — niema mowy o zupełnem *zapoznawaniu* jednego z nich, owszem, obydwaj dopełniają się i harmonizują — chodzi tylko o to, na które z nich kładziony jest specjalny *nacisk*, bo to decyduje w stawianiu haseł i środków praktycznej działalności. Różnice te wystąpią silniej u Mickiewicza-towiańczyka i Lamennais'go-demokraty.

Ażeby podnieść znaczenie swych słów, nadać im więcej powagi i namaszczenia, przybrał je Mickiewicz w majestatyczną szatę prozy biblijnej i uczynił tem śmiały wyłom w zwyczajach literackich ówczesnych, które omijały dotychczas czy też nie śmiały przyoblekać treści świeckiej w formę, stanowiącą wyłączny przywilej pism świętych. To też Mickiewicz jednym zachwycił tym krokiem, innych oburzył, ale wszystkich zadziwił. Lamennais należał do tych pierwszych, a jakie wrażenie musiała na nim zrobić ta forma stara, zastosowana do rzeczy nowych, świadczy fakt, że sam począł w niej i stworzył jedno z najpotężniejszych swych dzieł. W liście do Sainte-Beuve'a z powodu jego reeenzyi „Paroles“ pisze Lamennais między innemi:

„By przemówić do ludów, szukałem wyrażeń najbardziej zrozumiałych i posługiwałem się językiem najprostszym. Sądziłem, że powinienem się starać, pod tym względem przynajmniej, *zbliżyć się do Ewangelii.*“ <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Forgues, *Revue contemporaine*, 25 août 1885, str. 505; w autografie mamy liczne ślady przerabiania fraz na styl poważny, namaszczonej a prostej up. (słowa w nawiasach są w autografie przekreślone), str. 58: „Ne vous laissez pas tromper par [les mots] de vaines paroles.“ str. 2 a: „Fils de l'homme, moute sur les hauteurs et [dis (no) nous] annonce ce que tu [aperçois] vois; str. 2 c: „Je vois un troisième peuple sur lequel six [monarques] rois ont [posé] eux le pied i t. p.

Co do dalszych punktów stycznych to przede wszystkim trzeba zaznaczyć to, cośmy widzieli wspólnego w artykułach politycznych, t. j. gorącą wiarę—pojęcie wolności i demokratyzmu (naturalnie z zastrzeżeniami, poczynionemi powyżej, zwłaszcza co do Mickiewicza). Stanowisko ich nie jest jednak ściśle dogmatycznym, katolickim, jeżeli przez katolicyzm rozumie się kościół urzędowy, a zwłaszcza jego stosunek do kwestyj polityczno-społecznych. W sprzeczności z kościołem stoją obydwaj przez swą rewolucyjność (silniejszą u Lamennais'go, słabszą w „Księgach,” ale niezaprzeczoną u Mickiewicza), przez swe stanowisko bezwzględnie wolnościowe (które kościół w encyklikach, wymierzonych przeciw Lamennais'mu, potępił), przez absolutne odrzucenie wszelkiego kompromisu z powszechnie przyjętymi metodami polityki rządów, którą oni uważali za negację wolności, czy to było brutalne gniewienie i deptanie wszelkich objawów życia, czy też układne, dyplomatyczne, a ku temu samemu zmierzające rządzenie Ludwika Filipa, wreszcie przez owo zupełnie wywrotowe hasło walki, rzucone wszelkiemu uciskowi i obłudzie pod jakąkolwiekby szatą się ukrywały. To też zrozumiałem się staję, że dzieła ich dostały się na indeks.

Charakter ewangeliczny obydwu utworów nie leży wyłącznie w ich formie i języku, lecz przede wszystkim w pewnym, przesiąkającym wszystko tonie *proroczym, apostołskim*. Wiara w to, że przez ich usta przemawiają uczucia, marzenia, tęsknoty, poniżenie i cierpienia ludów, dała im niewątpliwą pewność siebie i przejęcie się swoją misją. „*Jest we mnie jakaś moc, która mnie popycha; mam jakieś zadanie do wypełnienia*. Bez tego, bez niezwalczonego uczucia jakiegoś obowiązku, który na mnie włożono, byłbym niezdolny do napisania jednego wiersza. *Jest to jakgdyby jakiś głos, który mówi do mnie ciągle i którego jestem słabem tylko echem*; gdy on zamilknie, wówczas i ja, pozostawiony samemu sobie, zachowam zupełne milczenie”—powiada Lamennais. I w innym miejscu: „*Idę za głosem, który woła do wrót przyszłości: „Otwórzcie się;“ a do ludów: „Wejdźcie.*” Mickiewicz zaś tak samo utworu swego nie uważa za „wymyślony,” lecz za wyraz zbiorowych uczuć narodowych. To też głos ich brzmi, jak mowa proroków Starego Testamentu, gniew ich jest gniewem mężów bożych, gromiących zepsucie i przepowiadających koniec starego świata—nauki moralne, jakby czerpane z objawień. „*A niektóre rzeczy z łaski Bożej.*” Lamennais w snach swoich i wizjach, jak Mojżesz, rozmawia z Bogiem twarzą w twarz—przez usta zesłańców z niebios głosi światu nowe prawdy, oparte na Ewangelii.



W samem ujęciu rzeczy przebija u obydwóch jeszcze jeden charakterystyczny rys, który należy podkreślić. Umysłowość ich cechuje pewna *prostolinijność*. Jest to nic innego, tylko to, co się zwyczajnie nazywa brakiem zmysłu rzeczywistości, brakiem zmysłu dla różnorodności, kalejdoskopowości, dla splotów komplikacji, zawikłań, rozdarć, rozbieżności pierwiastków, z jakich się składa rzeczywistość ludzka. Jest to przykładanie do wszystkiego, bez względu na naturę i właściwości zjawisk, jednej prostej, twardej, niekompromisowej i nieprzystosowującej się filozofii. Jest to pewna ciekawa odmiana dogmatyzmu, który, według jednego, z góry przyjętego *wzoru*, uświęca i sankcjonuje jedne objawy życia indywidualnego i zbiorowego, a potępia w czambuł inne, nie starając się nawet postawić sobie pytania (bo to przechodzi jego możliwość) czy przypadkiem w tych pierwszych nie tkwi część drugich i naodwrot, czy nie istnieje jakaś strefa pośrednia, w której się jedne z drugimi łączą i tworzą nową kombinację, której pomijać nie można. We wszelkiem dzieleniu czegokolwiek na „równe połowy“ tkwi konieczna nieściśłość. Tłómaczenie wszystkiego prosto i jednakowo, bardzo łatwo staje się tłómaczeniem za prostem i niewystarczającym. Rozpatrywanie czegoś pod *jednym* kątem widzenia, daje zawsze poznanie rzeczy tylko z jednej strony, na korzyść nieprzebranego bogactwa jej całokształtu. Prostota jest świętą — ale i naiwną. Naiwną nie w znaczeniu przeciętnem, ale Chrystusowem. I w tem jest siła i moc przekształcająca. Bez niej wszyscy reformatorowie, burzyciele przeszłości i budownicy przyszłości utraciliby swą piorunowość, swą wewnętrzną pewność i „nieomylny instynkt lotu.“ Ich znajomość świata jest zupełnie inna, z innych podstaw wyrosła, jej punkty zasadnicze określone zostają przez jakąś transcendentalną geometryę — jak się wyraża Sainte-Beuve. Ich świat jest wydedukowaną wizją przyszłości, poczętą *à priori*, ustanowioną z zewnątrz czy z góry. „Une vision, la vision apocalyptique, engloutit le temps l'espace, un tient nul compte des passions humaines, dédaigne les obstacles, les réalités, les règles conventionnelles et les transactions; la vision crée un antic objectif, un objectif qui brille seulement au bout de l'horizon, comme une magnifique, aurore boréale... — powiada *Ballanche*. I „Księgi,“ a przedewszystkiem i w silniejszej mierze „Paroles,“ są właśnie taką wizją apokaliptyczną świata. Nie ulega wątpliwości, że określenie to mniej przylega do „Ksiąg,“ ale w rezultacie, w najogólniejszem znaczeniu, i one dają się pod nie podciągnąć.

## II. Zestawienie tekstów.

Wszystkie powyżej omawiane cechy i właściwości zrozumie my i ocenimy lepiej systematycznie idąc za rozwojem myśli w obu utworach. Analogiczna linia rozwojowa da się w nich przeprowadzić — przez co równocześnie ułatwione zostanie zestawienie analogij oraz szczegółowe określenie i ocenienie wpływu Mickiewicza na Lamennais'go.

Obydwaj autorowie rozpoczynają od „początku,” od dawnych, szczęśliwych czasów i przeciwstawiają je obecnym.

„Na początku była wiara w jednego Boga i była wolność na świecie. I nie było praw, tylko wola Boga i nie było panów i niewolników, tylko patryarchowie i dzieci ich.“ Lamennais: „I przenieśliem się w duchu w te czasy odległe, a ziemia była piękna i bogata i żyzna, a mieszkańcy jej żyli szczęśliwie ponieważ żyli w braterstwie (III; żeby ułatwić oryeantacyę, nie podaję numeracyi stronic, która w każdym wydaniu „Paroles“ jest inna, lecz liczby rozdziałów, które są wszędzie jednakowe.)“ „Przed ośmnastu wiekami Słowo rozsiało nasienie boskie, a Duch święty je zapłodnił. I ludzie widzieli, jak zakwitło, i spożywali jego owoce, owoce z drzewa życia, rosnącego w ich ubogiej zagrodzie“ (I). Ale ludzie wyrzekli się Boga, na ziemi zapanowała niewola i wszyscy dostali się pod panowanie imperatora rzymskiego. Rychło jednak odrodziła się ludzkość, przyjąwszy naukę Chrystusa i „wróciła na ziemię sprawiedliwość“ i braterstwo narodów i „wolność w Europie rozszerzała się powoli, ale ciągle i porządnie, od królów szła wolność do panów wielkich, a ci będąc wolnymi, rozlewali wolność na szlachtę, a ze szlachty szła wolność na miasta (?) i wkrótce miała zniżyć na lud“ (?).

Lamennais, rozpoczynwszy od chrześcijaństwa, odrazu je zestawia ze stanem obecnym i w formie wizyi przedstawia niewolę ludów i blizki już błysk jutrzejki wolności. Później dopiero powraca do przyczyny zła i osłabienia chrześcijaństwa, którą, narówni z Mickiewiczem, upatruje w „królach“ (a więc już nie w upadku wiary w autorytet, jak w „De la religion...“). Wszystko bowiem byłoby poszło dobrze w chrześcijaństwie, „ale królowie zepsuli wszystko.“

Nietrudno spostrzedz, że kwestya tego „zepsucia“ inaczej trochę traktowana jest u obydwóch autorów. U Mickiewicza przyczyna zła leży w tem, że królowie *stali się źli* i szatan wstąpił w nich. Lamennais motyw królów (oczywiście w znaczeniu alle-



gorycznym) przejmując, ale według niego zło leżało nie w tem, że królowie *stali się zli*, ale że się *wogóle zjawili* na świecie, a wraz z nimi pojęcie władzy człowieka nad człowiekiem. Mickiewicz nie widzi zła w samej *istocie* władzy królewskiej, tylko w tem, *jaką* ona jest. Może być dobrą i skuteczną, a złą staje się, gdy szatan w królów wstępuje. („Nie myślcie, aby urząd przez się zły był i nauka przez się zła była. *Ale ją ludzie zepsuli*“). Dla Lamennais'go zaś samo *uznanie się* człowieka za króla jest grzechem. Jest to zapewne szczególnie tylko, ale bardzo ciekawy do charakterystyki obydwu twórców, ponieważ daje widzieć kładzenie nacisku przez Mickiewicza na wartość wewnętrzną jednostki—przez Lamennais'go zaś na instytucje i formy społeczne. Jakichże tedy środków używali królowie, aby zepsuć to, co chrystyjanizm ugruntował na ziemi. W „Księgach narodu polskiego“ powiadają oni:

„Patrzmy, oto narody *przychodzą do rozumu* i do dostatków i żyją uczciwie, że ich karać nie możemy, i miecz rdzewieje w rękach naszych, a narody *przychodzą do wolności* i władza nasza słabieje, a skoro dojrzeją i całkiem wolne będą, władza nasza ustanie. Starajmy się, aby narody były znówu głupie, a tak nie poznają się swoich i żeby kłóciły się z sobą, a tak nie połączą się z sobą przeciwko nam.“

U Lamennais'go rzecz ta przedstawiona jest szerzej, w całym rozdziale XIII, w formie nieco przesadnej i popsutej w nastroju akcesoryami drugorzędnego romantyzmu. Zdawałoby się, że ustęp ten przejęty jest z Mickiewicza. A jednak tak nie jest. W tej części bowiem „Affaires de Rome,“ która zatytułowana jest „Des maux de l'Église et de la société...“ a napisana została w Rzymie w r. 1832, znajdujemy ustęp zupełnie podobny, gdzie wyrażone są te same myśli: „Ażeby powstrzymać ruch narodowy, który ich niepokoi, używają rządu *sily* i starają się *zdusić wszelką myśl*... Uciekają się również do trzeciego środka, który polega na protegowaniu, a czasami nawet na wywoływaniu (provoquer) *rozwiązłości obyczajów wśród młodzieży*... Wzrost niewiary służy im pod tym względem znakomicie. Użyteczny zaś jest im jeszcze i w tem, że *stwarza rozdział pomiędzy ludnością*, która w przeciwnym wypadku dążyłaby do jedności...“

Nadto Sainte-Beuve, pisząc o „Paroles“ zaraz po ich ukazaniu się, powiada: „Wiem, że słowa, które autor kładzie w usta siedmiu mężów... są dosłownie wyjęte z pewnej książki włoskiej, niedawno wydrukowanej w Modenie.“ Jest to zapewne mowa o książce p. t. *Dialoghetti sulle materie correnti nell'anno 1831*. Zdanie

to Sainte Beuve'a jest o tyle ważne, że był on wtedy w ścisłych stosunkach z Lamennais'm, sam zajmował się wydawaniem „Paroles,“ był więc o nich najdokładniej poinformowany, a co najważniejsza, sam Lamennais, pisząc do Sainte-Beuve'a z okazji tej recenzji, dziękując mu za słuszne uwagi i przyznając się do przejawskrawienia tego ustępu, *mi słówkiem nie zaprzeczył*, że jest on dosłownie wzięty ze wspomnianej książki włoskiej. Jeżeli nie powyższy ustęp z „Affaires de Rome“ — to w każdym razie to ostatnie decyduje, że o przejęciu tych myśli z Mickiewicza nie może być mowy. Jest to bardzo ważne i nauczające ze względu na konieczność bardzo ostrożnego i wszelkiemi zastrzeżeniami opatrzonego traktowania t. zw. wpływów literackich, gdy chodzi o rzeczywistych twórców. Bardzo możliwemby było nawet, że ustęp ów nie jest przejęty nawet z „Dialoghetti,“ lecz powstał zupełnie samodzielnie: wyraża przecież tak ogólne rzeczy i tak ogólnie znane, rzeczy, na które wszyscy ludzie ciągle patrzyli i mieli przed oczyma, że niebyłoby zupełnie dziwnem, iż Mickiewicz, Lamennais oraz nieznaną autor „Dialoghetti“ wyrazili je w podobny sposób, a zupełnie niezależnie od siebie.

W zestawieniu obydwu powyższych ustępów w opracowaniu Mickiewicza i Lamennais'go, widzimy przede wszystkim zasadniczą różnicę tonu. To, co u Mickiewicza zaznaczone jest spokojnie w kilku wierszach, u Lamennais'go rozwichrza się w wizję, przejmującą grozą i niesmakiem. Cała jego natura, gwałtowna i niepokalmowana, cały jego temperament, znajdujący tylko ogromną miłość i ogromną nienawiść, wielkie współczucie i wielki gniew proroka, w którym nie było miejsca na względnoci, wyrozumienia, tolerancje i pobłażania—przebija z tych kart. Przyznaje się we wzmiankowanym powyżej liście do Sainte-Beuve'a, że „le blâme devait être plus équitablement reparti,“ t. j. jak się domagał krytyk, nie tylko na królów, ale na całą tę klasę wyższą i średnią, która ich podtrzymuje. Wspólne z Mickiewiczem są następujące myśli: sprzeczność między władzą królewską a wolnością, walka wypowiedziana wolnej myśli i zasada: *divide et impera* (Mickiewicz mówi o dzieleniu narodów—Lamennais raczej o zastosowywaniu tej zasady do różnych warstw tego samego narodu). Ale Lamennais nie porzestaje na tem; widzi on jeszcze inne środki do gnucenia wolności; pomijam oddzielenie narodów od siebie murem chińskim, aby się nie mogły porozumiewać, dalej kata, jako najlepszego ministra, i zepsucie obyczajów (na niektóre bowiem z nich i Mickiewicz zwracał uwagę, choć na innych miejscach)—chodzi mi o podkreślenie pewnego momentu, którego Mickiewicz



nie mógł, czy też *nie chciał* wprowadzać do „Ksiąg,“ a mianowicie: przekupienie duchowieństwa i zniewolenie go do fałszowania nauki Chrystusa przez naginanie jej do ich celów. Mickiewicz dopiero w epoce towianizmu, w krytyce urzędowego kościoła stanie na tem stanowisku, obecnie jeszcze zła tego nie widzi, zbyt przesiąknięty jest *Rzymem*. To też nigdzie u niego w tym okresie nie spotykamy wycieczek przeciw duchowieństwu. Jest ono jeszcze dla niego ściśle połączone z pojęciem kościoła i katolicyzmu. Inaczej u Lamennais'go, którego doświadczenia w tym kierunku były bardziej *osobiste*, a więc silniej odczute. To też w „Paroles d'un croyant“ śmiało i jaskrawo tę kwestyę stawia. Nie go już nie powstrzymuje od gorzkich, nienawistnych słów pod adresem hierarchii kościelnej. I nietylko jej. W autografie dochował się ustęp o papieżu (wykreślony w wydaniu książkowym przez Sainte-Beuve'a), który naocznie dowodzi, jak daleko już wówczas zaszedł Lamennais w nienawiści i pogardzie dla swych poprzednich najgorętszych ukochań...

Idźmy dalej za rozwojem myśli „Ksiąg pielgrzymstwa.“

„Szatan — czytamy w „Paroles“ — który jest królem ciemności narodów, poddał im, dla wzmocnienia ich tyranii, podstęp piekielny. I rzekł im: Oto co należy uczynić: Wybierzcie z każdej rodziny najsilniejszych młodzieńców, dajcie im broń i wyćwiczcie ich we władaniu nią, a będą walczyć za nas przeciw swoim ojcom i braciom; bo przekonam ich, że jest to działalność chwalebna (glorieuse). I uczynię im dwa bałwany, które nazwę *Honor i Wierność* i wynajdę prawo, które nazwę *Posłuszeństwem biernem*“ (XXXV).

Tu mamy znowu przykład samodzielnego obrobienia przejętego motywu. Założenie jest to samo — chodzi o zdemaskowanie pewnych „bałwanów,“ czyli pojęć, wymyślonych specjalnie i usankcjonowanych celem trzymania narodów w karchach posłuszeństwa i ślepej karności. W wykonaniu odróżnia się jasno stanowisko Lamennais'go, jako nietylko „antihonorowe,“ ale wprost antimilitarne. On w samej instytucji armii takiej, jak ją pojmują królowie, widzi zło, widzi przede wszystkim narzędzie do gnucenia wszelkich rewolucyj wewnętrznych, gdzie żołnierz walczy przeciw swym ojcom i braciom, dla sprawy jemu samemu wrogiej.

Mickiewicz w dalszym ciągu wyszczególnia najrozmaitsze bałwany narodowe, jakie różni władcy dla swych ludów porobili, więc Hiszpanom dostała się *preponderencya* albo *influencya* polityczna, Anglikom *panowanie na morzu i handel*, Niemcom *Brod-sinn* — a wszystkim razem *Interes*. „Ale jeden naród polski nie

kłaniał się nowemu bałwanowi i nie miał w mowie swojej wyrazu na ochrzczenie go po polsku, równie jak na ochrzczenie czciocieli jego, którzy nazywają się z francuskiego *egoistami*."

Pojęcie *interesu* występuje również i u Lamennais go jako to, które w stosunkach międzynarodowych, społecznych i osobistych najwięcej się przyczyniło do zapanowania zła i stało się niejako uosobieniem panujących stosunków, jedyną pobudką czynów ludzkich.

"To, co wywołuje niezgody i nieporozumienia, co wytwarza stosunki oburzające ludzi uczciwych i rujnujące całe rodziny—to przedewszystkiem brudny *interes*, nienasycona namiętność zdobywania i posiadania." Ale zaraz dodaje, że „drugą przyczyną wiecznych niezgód są *złe prawa*“ (XXIX).

I tu rozchodzą się drogi obydwu pisarzy na pewien czas. Mickiewicz bowiem poprzestaje na ogólnej charakterystyce tego, co nazywa narodowymi bałwanami, a co jest pewnem skażeniem narodowego ducha danych ludów, podniesieniem pewnych cech nieistotnych, choć niewątpliwie w nich istniejących, do godności narodowego ideału. Zgodnie ze swem zapatrywaniem, że jak w człowieku indywidualnym pobudką wszystkiego jest jedno stałe uczucie, tak i działanie narodów z takiej wspólnej przyczyny wypływać musi—wyjaśnia poeta wykoszlawieniem i spaceniem tej zasady przez „królów.“ Dalsze konsekwencye tej sprawy nie obchodzą go już. Poprzestaje tylko na zaznaczeniu, że naród polski wyłączony jest od tej ogólnej charakterystyki. Lamennais zaś w całym szeregu rozdziałów kwestyę tę pogłębia i rozszerza; zastanawia się nad rozmaitymi rodzajami zła, które wyniknęły z uznania interesu za Boga. Przyczem znowu wyraźnie występuje na jaw ten jego *zmysł społeczny*, reagowanie przedewszystkiem na nieszczęścia dla ludu stąd wynikłe, rozpatrywanie wszystkiego z punktu widzenia jego potrzeb i... interesów. Więc z bystrością ogromną i znajomością stosunków współczesnych kreśli początki i rozwijanie się wyzysku ekonomicznego (w poetycznej oczywiście transkrypcyi), który dochodzi do zupełnych potworności w ustroju kapitalistycznym (VIII)—przyczyny niezgody, nienawiści i walk pomiędzy braćmi, pochodzącymi od jednego ojca. Z zapałem i siłą proroka-reformatora głosi, że posiadający i możni są tyranami świata, bije w nich gromami gniewu i przekleństwa. Waleczyć z nimi nietylko potrzeba, ale jest obowiązkiem każdego człowieka. Wola ludów przeważa na szali prawa boskiego, bo nie one zostały stworzone dla „królów,“ ale królowie dla nich (XIX). Nie o wolność wypisaną na papierze chodzi, ale



o rzeczywistość, bezwzględna, niczem niekrępowaną swobodę człowieka. A takiej niema obecnie na świecie, taką trzeba sobie dopiero wywalczyć. Ale „une foule d'hypocrites“ nie daje ludowi nawet prawa do walki, prawa choćby do wywalczenia sobie lepszych warunków życia, podwyższenia zarobku („une augmentation du salaire, afin que vous puissiez vivre, vous, vos femmes et vos enfans“) — oni nawet twierdzą bluźnierczo, że panowanie kilku jednostek nad masami, pogrążonemi w niewolnictwie, jest prawem ustanowionem przez Boga (XXII).

„Odpowiedzcie im — woła Lamennais — że bogiem ich jest Szatan, wróg rodzaju ludzkiego i że waszym Bogiem jest ten, który Szatana zwyciężył“ (XXII). Stary świat rozpada się, wali i trzęsie w posiadach. Ale zdaleka widny już świt jutrzeńki i Lamennais po każdym ze swych apokaliptycznych obrazów wskazuje ją z wiarą i nadzieją.

U Mickiewicza takich silnych akcentów społeczno-rewolucyjnych niema. Nietylko dalekim jest od jaskrawości i egzaltacji Lamennais'go, który jak dawniej całą swą promienną, ślepą miłość i uwielbienie zlewał na kościół, tak teraz przenosi je na lud — ale wprost całą t. zw. kwestyę społeczną pomija. Jest rzeczą wielce zadziwiającą, jak jego ta sprawa zupełnie nie dotyka, ani nie wywołuje żadnej uczuciowej reakcyi. O stosunkach społecznych w Polsce, z punktu widzenia Lamennais'go, niema ani wzmianki, a jeżeli jest, to tylko jako zachwyty i duma (np. z okazji konstytucyi 3-go maja). Jest to bardzo charakterystyczne, ale i zrozumiałe, jeżeli się weźmie pod uwagę to pojęcie ojczyzny-Polski u Mickiewicza, w którym zawierało się *implicite* wszystko i braterstwo ludów, i republikanizm chrześcijański, i poświęcenie się za wolność, i rozwiązanie kwestyi społecznej rozumiałe samo przez się. Wobec tego nie uznawał potrzeby zajmowania się temi sprawami osobno. Nędza materialna, głód, wyzysk ekonomiczny były dla niego czemś podrzędnem, co się załatwi przez przykazanie miłości.

Straszne, przeciwehrześcijańskie dzieło zniszczenia, dokonywane przez władców tego świata, znajduje nawet swe uzasadnienie i upodstawowanie teoretyczne, filozoficzne. Są ludzie, którzy z prawideł rozumu wychodząc, starają się istniejący porządek rzeczy uznać za konieczny i idealny.

„I znaleźli się filozofowie, którzy dowodzili, że imperator tak czyniąc, dobrze czyni.“ „Któż otacza możnych tego świata i służy im, i pomaga w dziele zniszczenia?“ — pyta Lamennais. Czy czyni to lud? Nie.

„Bogaci i zauszniccy ich, chcący się wzbogacić, upadłe kobiety, przeklęte służebnice ich tajemnych rozkoszy, błazny, szaleńcy, co mącą im sumienia ! *falszywi prorocy, co je oszukują.* (XXXII).

A na innym miejscu:

„I znaleźli się *falszywi prorocy*, którzy wmówili w kilku ludzi, że wszyscy inni urodzili się dla nich; i uwierzyli w to zarówno jedni, jak i drudzy, na słowo fałszywych proroków.“ (VI).

Strasznym też będzie sąd i zemsta ludu w przyszłości. Mickiewicz maluje je jaskrawo w całym rozdziale XXIII, którego tu w całości przytaczać nie mogę. Mowa tam jest o rządcach i mędrcach francuskich i angielskich, którzy „jako szyna żelaza zimnego legną między ludem swoim i despotyzmem obcym i bici będą i żuzle, i skry z nich lecieć będą na kraj świata, a *głód ich będzie tak srogi, że obrzynać będą uszy bliźnim swym i uszy samym sobie i piec i jeść.*“

U Lamennais'go znajdujemy podobnie bezwzględne przepowiednie pod adresem rządów. Obaj bowiem stoją na stanowisku, jak je określił Mickiewicz w XII rozdziale. „A człowiek rozumny w mowach pobłażający jest; wszakże jeśli zwierzchnikiem jest i sędzią i lud mu da miecz w ręce, wtenczas surowy jest i sędzi, i karze podług sumienia, albowiem przez usta jego wyrokuje lud cały, a mieczem jego zabija ręką ludu.“

Lamennais w kilku miejscach w formie wizyjnej maluje przyszłą dolę królów wydziedziczonych, wyklętych i zapomnianych. Mamy taką wizję w rozdziale XIV, dalej w rozdziale XXXIII, kiedy opisuje męki i wieczny przed ludem strach królów, który nie daje im spokoju nawet we śnie. Pozatem w rozdziale XXIII, gdzie już pewną analogię ze słowami Mickiewicza odkryć można:

„Będzie się ich (t. j. królów, bogaczy i władców) widziało błędzących po drogach publicznych, zebrzących u przechodniów o parę łachmanów dla pokrycia nagości, o *kawałek chleba czarnego dla zaspokojenia głodu*, a wątpię czy otrzymają, o co będą prosili.“

\*

\*

\*

Na tem kończą się wspólne momenty tej części obu utworów, którą można nazwać *negatywną*, t. j. krytykującą istniejące stosunki. Przystępujemy kolejno do części *pozytywnej*, t. j. odpo-



wiedzi na pytanie, co należy czynić, by przyspieszyć jutrzeńkę wolności i swobody, jakimi środkami walczyć i jak się do walki przygotować? Na to odpowiadają Mickiewicz i Lamennais całym szeregiem rad, wskazówek i ilustrujących je przypowieści, których charakter będzie oczywiście ściśle odpowiadał stanowisku, z jakiego krytykowali teraźniejszość, a co zatem idzie pokrewieństwo ich i różnice również z tego ogólnego stanowiska wypłyną.

*Miłość* trzeba uczynić uczuciem rządzącem, uczynić normę stosunku między ludźmi, normę stosunku do braci pogwałconej w nędzy i upadku. Braterstwo zapanuje stąd tak pomiędzy poszczególnymi ludźmi, jak i narodami — *braterstwo ludzi i ludów*. Zastąpi ono obecne pożeranie się wzajemne i wieczną walkę o kawał papieru, nazwanego traktatem, o port, o miasto, o faktoryę, wór bawełny i wór pieprzu.“ Egoizm zastąpi ofiara i poświęcenie się jednych dla drugich. Mickiewicz woła na różnych kartach „Ksiąg.“

„A rządcą francuski rzekł: „Nie możemy krwią naszą ani pieniędzmi tego niewinnego (naród polski) odkupywać, bo krew moja i pieniądz mój do mnie należą, a krew i pieniądz narodu mego do mego narodu należą.“ I wyrzekł ten rządcą ostatnie bluźnierstwo przeciw Chrystusowi, *bo Chrystus uczył, że krew syna człowieczego należy do wszystkich braci ludzi.*“

To samo w przypowieści o ogniu w pewnym mieście, gdzie dzięki samolubstwu spaliło się całe miasto (VIII). Tylko, że tu mieszają się już pierwiastki mesyjanistyczne — przeciwstawienie etyki polskiej etyce innych narodów, jak w przypowieści o gajowym, etyki chrześcijańskiej etyce żydowskiej (XV). Silniej jeszcze dźwięczy ta nuta w rozdziale XVIII. „A wasz zakon inny jest, bo wy mówicie: *Wszystko co nasze jest, ojczyzny jest; wszystko co naszej ojczyzny jest, wolnych ludów jest.*“

Lamennais zaś powiada: „Miłujcie się nawzajem, a nie będziecie potrzebowali obawiać się ani wielkich tego świata, ani książąt, ani królów. Nie mówcie nigdy: *Oto ten należy do takiego to narodu, a ja należę do innego narodu. Albowiem wszystkie ludy miały na ziemi jednego ojca, którym jest Bóg*“ (IV).

(„I zapomniały ludy, iż od jednego pochodzą Ojca“ — powiada Mickiewicz.)

„Całe ciało cierpi, skoro się uderzy jedna jego część. *Jesteście wszyscy jednym ciałem*. Nie można uciskać jednego z was, żebyście równocześnie wszyscy nie byli uciskani“ (IV).

„Ojciec niebieski złączył ludzi w rodziny i wszystkie rodziny są siostrami, złączył ich w narody i wszystkie narody są braćmi;

i ktokolwiek dzieli rodziny od rodzin, narody od narodów rozłącza to, co Bóg złączył, dokonywa dzieła Szatana“ (XIX).

Ta idea łączności i braterstwa ludów, ta jej światowość, to życie tętnem całej ziemi, solidarność wszystkich walczących i pracujących—nie jest pustym frazesem w ustach Lamennais'go i Mickiewicza; całe ich życie świadczy o tem, że ten „punkt programu“ realizowali w czynie. Wystarczy przypomnieć stosunek Lamennais'go do Polski, Belgii, Irlandyi, co do Mickiewicza zaś legiony włoskie i legię na Wschodzie.

Nietylko miłować się trzeba nawzajem, ale i łączyć do wspólnej walki: jedność i zgoda są pierwszym i nieodzownym warunkiem wszelkiej owocnej pracy. „Wchodząc na naradę albo znowę upokorcie się przed oczyma waszemi, albowiem bez pokory niema zgody. Stał nie mówi się do ludzi: *podnieście się do zgody, ale skłońcie się do zgody*“ (XII; przypowieść o wilkach, VIII).

Mickiewicz ujmuje tę kwestyę głębiej. Jedność i zgodę osiąga się przez zrzeczenie i pokorę. Trzeba wprzód tę rezygnacyę ze swoich osobistych poglądów czy uczuć uznać i wyrobić w sobie, zanim będzie możliwa jakaś wspólność pracy. Uderza on tu w jedno z najboleśniejszych miejsc emigracyi i wogóle każdego zbiorowego życia — bo uderza we wszechwładne prawa jednostki i wzywa do kontrolowania granicy, gdzie się kończy jej najistotniejsza treść, która zgwałconą być nie może — a gdzie zaczyna warcholstwo.

Lamennais'mu o te subtelności nie chodzi; bierze on sprawę ze strony realnej, praktycznej. Interes wspólny wprost i powodzenie sprawy nakazuje łączenie się wzajemne. W całym szeregu przypowieści i przykładów wskazuje na to. Mamy i u niego podobne powiastki o wilku, który rzuca się na trzode owiec i pożera jedną po drugiej, ponieważ nie bronią się wspólnie (IV), w rozdziale zaś VII o drzewie samotnem, targanem przez wichry i o człowieku samotnym, wyzyskiwanym przez możnych. Wogóle Lamennais, podobnie jak Mickiewicz, gęsto przeplata swe nauki ilustrującemi je przypowieściami.

„Niema rzeczy, którejby nie dokonali ludzie połączeni czy to dla dobra, czy też dla zła. Dzień więc, w którym się zjednoczycie, będzie dniem waszego oswobodzenia“ (XXIX).

Chodzi mu nie tyle o jedność narodową, ile o jedność i solidarność uciśnionych. Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni — oto następna przestroga i dewiza, rzucona narodom przez Mickiewicza, ludom przez Lamennais'go. Mickiewicz powiada: „Dla drugich bądźcie łagodni, a dla siebie surowi“ (XII). W autografie zaś:



„Bo błędem brzydzić się potrzeba, ale błędzących łagodnie sądzić.“ Nie wyszukujcie ustawicznie błędów w przeszłości i w ludziach, którzy je tworzyli. „*Ludzie dobrzy sądzą, zaczynając od dobrej strony*, bo łatwo widzieć niedostatki, a trudno zalety“ (X). Jeżeli chodzi o przeszłość, to Mickiewicz stosował tę zasadę rzeczywiście w całości, podkreślając (ze względów pedagogicznych) prawie wyłącznie tylko jej jasne strony. Ale nawet w stosunku swym do spraw i ludzi współczesnych mu opierał się na niej (oczywiście do pewnego stopnia, gdyż stosowana do wszystkiego, staje się obojętnością i brakiem własnego stanowiska). Pobłażanie jednak może bardzo łatwo przejść w *słabość* i zamykanie oczu na pewne rzeczy. Zrozumie to Mickiewicz dopiero w epoce towianizmu; teraz częstokroć miesza oba te pojęcia.

Inaczej u Lamennais'go. Pobłażanie i wyrozumiałość, tolerowanie choćby najdrobniejszej rzeczy, sprzeciwiającej się ustanowionemu stosunkowi człowieka do świata, było wprost przeciwnem jego naturze. Nie uznawał słabości, wahań się, momentów cofania i grzechu obojętności. Wszystko, co nie było świadomą i celową pracą dla ludzkości, przedstawiało mu się jako przeżytek albo chwast, który jaknajprędziej usunąć należy. Pobłażanie czy też „przebaczanie“ w takich wypadkach uważał za zdradę swej sprawy. To też jego stanowisko w kwestyi sądenia drugich jest zgoła odrębne: „Gdy zobaczycie człowieka prowadzonego do więzienia albo na tortury, nie spieszcie się z wydaniem sądu: „Oto jest człowiek zły, który popełnił zbrodnię przeciw ludziom.“ Albowiem może jest to człowiek dobry, który chciał się poświęcić dla bliźnich i za to jest karany przez ich ciemńycieli. Gdy zobaczycie naród zakuty w kajdany i wydany katu, nie spieszcie się z wydaniem sądu: „Oto naród gwałcicieli, który chciał zaburzyć pokój świata. Albowiem może jest to naród męczeński, który umiera dla zbawienia rodzaju ludzkiego“ (V).

Nie ulega kwestyi, że chodzi tu o coś zupełnie innego, niż abstynencję od surowego sądenia wogóle, a mianowicie o wyzwoleńie się od panującej, oficjalnej, ogólnie przyjętej *etyki* i o stworzenie podwalin nowej. Nie można ludzi ani rzeczy osądzać według tych norm i praw, jakimi sądeni oni są przez nowoczesne państwa i sądy. To, co przez nich uważane jest za zbrodnię i karane więzieniem, kwalifikuje *nową etyką*, etyka przyszłości, jako cnotę najwyższą. „Człowiek, którego prowadzą do więzienia, jest może właśnie tym, który się chciał poświęcić dla dobra bliźnich i za to jest karany przez ich ciemńycieli.“ Etyce

tych ostatnich przeciwstawić trzeba etykę wyzwalającego się człowieka.

W drugiej części cytowanego ustępu, gdzie mowa o narodzie męczęńskim, umierającym dla zbawienia świata, jest wyraźna aluzja do Polski i upadku powstania. Czy świadczy to o przejęciu się Lamennais'go nie tylko ogólnymi tendencjami i fakturą „Książki pielgrzymstwa,” ale nawet specjalnymi poglądami historyzoficznymi Mickiewicza? Sądzę, że nie byłoby w tem nic dziwnego, nawet jeżeli się zwróci uwagę na niewątpliwie realniejszy i pozytywniejszy umysł Lamennais'go i z takiego stanowiska oceni tę kwestyę. Pomocnem tu może być pewne wyrażenie się jego w *Le livre du peuple*, dziele pochodzącem z czasu, kiedy poglądy jego, przez szereg ewolucyj, były już utrwalone; powiada tam:

*„Każdy naród ma stosownie do swego geniuszu, środowiska i klimatu. w którym przebywa, specjalną funkcję do wypełnienia, którą mu Opatrzność naznacza dla postępowego doskonalenia się ludzkości. Dalekie od stawiania mu przeszkód, wszystkie narody powinny mu przychodzić z pomocą, albowiem pracuje dla wszystkich, pracując dla siebie...”*

Wspólne jest dalej i wielkie u obu autorów poszanowanie dla starców i starszych w narodzie. Obaj radzą do nich udawać się ze sporami, a nie przed trybunały wyrosłe z ucisku i niewoli (Mickiewicz rozdz. XVII i XXIV, Lamennais XXIX). Kiedy to wszystko zostanie spełnione, kiedy przetworzą się z gruntu stosunki społeczne i istota wewnętrzna człowieka, a ludy zrozumieją swą potęgę i wartość — wtedy zapanuje królestwo boże na ziemi; a konieczność jego i bliskość, jakżeśmy to już wyżej zaznaczyli, przeczuwają obaj z równą wiarą i siłą. W liście do swej przyjaciółki, pani de Seufft, pisze Lamennais: „Odczuwam w głębi duszy niezmierną wiarę w przyszłość społeczeństwa, niewzruszoną nadzieję czegoś wielkiego, co się przygotowuje w tajemnicy przeznaczeń boskich. Zapewniam Panią, że jesteśmy świadkami początku nowej epoki.”

Jakżeż wygląda w pojęciu Lamennais'go i Mickiewicza to królestwo boże, ta wolność i swoboda? Oczywiście, że ani jeden, ani drugi nie daje szczegółowego systematu państwowego, czy społecznego przyszłości. Na czem jednak polega wolność, ta podstawa przyszłości i jaką ma być? Mickiewicz bliżej jej nie określa w „Księgach,” zaznacza tylko po wielokroć, że wolność w rozumieniu polskiem różni się znacznie od pojmovania jej przez inne narody i że to właśnie Polacy pokazać mają Europie prawdziwe jej oblicze. Z artykułów politycznych jednak wiemy, że



„do imienia Polski przywiązane jest wyobrażenie nie tylko wolności i równości, *ale poświęcenia się za wolność i równość powszechną*. Tego wyobrażenia nie zawiera w sobie dotąd żadne znajome nazwisko partji.“

Lamennais zaś szeroko rozpisuje się o tem i jakkolwiek zaznacza na końcu swej książki, że prawdziwa ojczyzna i szczęście człowieka nie jest na ziemi, to jednak dla tej ziemi chce zdobyć wolność i szczęście w granicach najszerszych i te granice określa realnie. Prawie, że wylicza (w formie poetyckiej) znane już z „l'Avenir“ postulaty, jak: wolność słowa, zgromadzeń, stowarzyszeń, szerokie, demokratyczne reformy społeczne, udział ludu w rządach i t. d. (XIX, XXII). Nie jest jednak ciasnym, nie uważa tego wszystkiego za cel ostateczny, ale za stopień do wzniesienia się na jeszcze wyższy poziom kultury, do podniesienia się jeszcze wyżej ku Bogu. „Jutrzienka wolności zabłyśnie nad wami, gdy siłą i hartem *zrzucicie z siebie kajdany niewoli*. Jutrzienka wolności zabłyśnie nad wami, gdy powiecie sobie w głębi dusz waszych: *Chcemy być wolni*; i kiedy dla wolności gotowi będziecie znieść wszystko i poświęcić wszystko. Jutrzienka wolności zabłyśnie nad wami, skoro u stóp krzyża, na którym umarł za was Chrystus, *poprzysięgniecie sobie umrzeć jedni za drugich*“ (XX).

W powyższych trzech określeniach wolności widać wyraźnie podział jej na trzy rodzaje i pewne *stopniowanie* tego pojęcia. Pierwszy rodzaj, to *wolność zewnętrzną*, zrzucenie kajdan niewoli; drugi — to wolność wewnętrzną, *wola wolności*, poświęcająca dla niej wszystko; trzeci wreszcie — to pojęcie wolności, jako *poświęcenie się za nią*, czyli stanowisko identyczne z Mickiewiczem.

Pomijam inne nieliczne analogie i reminiscencye obu dzieł, jako oderwane i nie rzucające nowego światła na badaną kwestyę.

Reasumując zaś powyższe wywody, stwierdzić należy, że oba omawiane utwory stoją do siebie w stosunku bardzo bliskim, tak pod względem genezy (z zastrzeżeniami, poczynionemi powyżej), jak treści i formy. Było to rezultatem zarówno pokrewieństwa duchowego obu autorów, jak i wpływów czysto literackich. Pierwsze omawialiśmy na początku niniejszej pracy, tłumacząc niem przeważnie siłę i zakres oddziaływania na siebie Lamennais'go i Mickiewicza. Co się tyczy drugich, to jest w danym wypadku wpływu „Ksiąg pielgrzymstwa“ na „Paroles d'un croyant“ — to staraliśmy się go przez odpowiednie zestawienie charakterystycznych momentów uwydatnić. Polegał on na przyjęciu się duchem i formą „Ksiąg“ (co ułatwił im ówczesny, bar-

dzo im zbliżony stan duchowy Lamennais'go), oraz na przejmowaniu poszczególnych a licznych motywów i myśli. Nie jest to jednak zwyczajne i naiwne „naśladownictwo,“ lecz przenoszenie zaczerpniętych w „Księgach“ idei i obrazów na własny grunt, przetrawianie ich i obrabianie zawsze samodzielne, indywidualne. Pomijanie jednych, rozszerzanie i niekiedy pogłębianie innych, a zwłaszcza inne *oświeclanie* poszczególnych kwestyj i kładzenie nacisku na strony przez Mickiewicza nieporuszone, świadczy o tem niezbiacie. Tak samo i forma Lamennais'go jest jego własną, oryginalną i zachowującą odrębny charakter, pomimo to, że urobiona została pod wrażeniem i na wzór biblijnej prozy „Ksiąg pielgrzymstwa.“

Na zakończenie pozostaje jeszcze jedna ciekawa kwestya, a mianowicie, jakie wrażenie zrobiły „Paroles“ na Mickiewiczu i jak je przyjął? Mamy co do tego dwa świadectwa w literaturze mickiewiczowskiej, niestety, nie przez niego samego pozostawione w dziełach czy korespondencyi, ale podane przez jego przyjaciół, Bohdana Zaleskiego i Lévy'ego, jako jego własne słowa. Zaleski pisał w r. 1834 do Kąsiewicza: „De Lamennais wydał świeżo książkę w rodzaju Ksiąg Narodu: Paroles d'un croyant, a raczej poprostu naśladowanie Mickiewicza z wielu plagiatami(?). Adam powiada, że *bije w niej pokłon Molochowi częściej od niego*, choć ksiądz i w sutannie; bardziej mu się to nie godziło.“

Pomijam zupełnie powierzchowne i nieuzasadnione skwalifikowanie „Paroles,“ jako plagiatu. Ważniejsze są rzekome słowa Mickiewicza o biciu w nich pokłonu *Molochowi*. Czy ten Moloch jest *mollochem* (jak słowo to rekonstruuje prof. Kallenbach) i ma oznaczać *lud*, tego nowego boga Lamennais'go, któremu bije pokłony — trudno rozstrzygnąć. Termin *Moloch* wydaje mi się właściwszym, a wytlómaczenie tego wyrazu znajdujemy w zdaniu Mickiewicza, w „Księgach“ wypowiedzianem z okazji różnych „bałwochwalców:“ „Bo Bóg ich, który się nazywa *la souveraineté du peuple*, to jest *wszechmocność ludu*, jest Bóg *zawistny i trawiący jak ogień*.“ Otóż „Bóg zawistny i trawiący jako ogień“ jest to mniej więcej to samo, co *Moloch* i terminem tym oznaczony jest nie lud sam, ale *pojęcie jego wszechwładztwa* i w takim też znaczeniu wyraz ten mógł być użyty w zastosowaniu do „Paroles.“

Jakkolwiekby, musimy z tego (a zwłaszcza z braku innych źródeł, pochodzących bezpośrednio od Mickiewicza) przypuścić, że „Paroles“ nie wprawiły poety polskiego w zachwyt. Gdyby nań



choć silniejsze wywarły wrażenie, byłby niewątpliwie wspomniał o tem w swej korespondencji. Potwierdza to i sąd jego późniejszy, zanotowany w dzienniku Lévy'ego:

„Z powodu przekładu Dantego (Lamennais'go), o którym mu nadmienilem—pisze Lévy—Mickiewicz rzekł: „Jeżeli to dobre tłómaczenie, zostanie może dziełem jego najtrwalszem, ponieważ utwory polemiczne po niedługim czasie idą w zapomnienie.“ Dodał: „*Blizko znałem się z Lamennais'm.* Po naszych kłeskach z 1831 r. to może jedyny z mężów politycznych Zachodu, który szczerze zapłakał nad upadkiem Polski. „Słowa wieszczce“ (Paroles d'un croyant—pod takim tytułem przetłómaczone były na język polski przez Aleksandra Jełowickiego, Paryż 1834) wiele narobiły hałasu, *ale jest to dzieło zbyt retoryczne, aby nie przebrzmiało. Lamennais widział w Kościele jedynie stronę urzędową.*“

To zdanie, jak i inne z tego mniej więcej czasu pochodzące, a zapisane w dzienniku A. Chodźki: „L'abbé de Lamennais *natchnienie swoje czerpie z inteligencji i dlatego nie jest wielkim.* Niekiedy tylko ma chwile jasne i wtedy mówi z ducha,“ (jakkolwiek obydwie wypowiedziane były już znacznie później: drugie w roku 1847 — pierwsze około 1850 r.) zdają się lepiej dawać wglądnięć w przyczyny obojętności Mickiewicza dla „Paroles.“ Leżała ona w jego organicznej, w towianizmie jeszcze spotęgowanej, niechęci do owego nieszczęsnego „rozprawiania,“ które mu się w sposób najprzykrzejszy mieszało z wszelką potrzebą *uświadamiania* sobie i *systematyzowania* swoich pojęć i poglądów.

Na tym punkcie był tak przeczulony, że dochodził do niesprawiedliwości, dopatrując się pierwiastków „retorycznych,“ nawet tam, gdzie go ze wszystkich pism Lamennais'go było najmniej, gdzie go nawet *wcale* nie było, t. j. w „Paroles d'un croyant.“ Na karb tego przeczulenia policzyć należy także scharakteryzowanie Lamennais'go w liście do Skrzyneckiego, jako *suchego, racjonalnego teologa* (zob. str. 32). Mickiewicza tak odstraszało wszelkie rozumowanie, wszelka analiza wprowadzana do kwestyj, które, według niego, tylko uczuciem można rozstrzygać, że nie próbował nawet zastanowić się nad pytaniem czy owa retoryka, czy dyalektyka jest istotną cechą dzieł Lamennais'go, czy nie ukrywa się pod nią i nie przebija z niej właśnie najczystsze, najbardziej intensywne uczucie człowieka, owładniętego wielką miłością i wielką nienawiścią. Gdyby był chciał zajrzeć choć trochę poza zewnętrzną, nieistotną formę pism Lamennais'go nawet z pierwszego okresu jego twórczości, nie mówiąc już o „Paroles“ i następnych, byłby to uczucie czyste i żywiołowe, kierujące wszystkim i naczelne

dojrzał, jak je dziś musi dojrzeć każdy, kto jakiegokolwiek dzieło jego weźmie do ręki.

\*

\*

\*

Na „Księgach“ i „Paroles“ kończą się faktycznie „stosunki duchowe“ Mickiewicza i Lamennais'go. Dalsze ich koleje są stopniowem rozwijaniem się w nich pierwiastków organizacji psychicznej, rozbieżnych, jakkolwiek mających pewne punkty styeczne z racyi zasadniczego pokrewieństwa temperamentów i umysłów. Ogólny jednak kierunek rozwojowy idzie po różnych wytycznych. W każdym z nich zaczynają coraz wyraźniej dochodzić do głosu, uplastyczniać się i nabierać jednolitego wyrazu te ich właściwości i cechy, które tworzyły *różnice* w treści, opracowaniu i charakterze dzieł nawet z epoki najbliższej łączności. W obydwóch odbywają się tajemne, nieświadome przemiany duchowe, powracające ich coraz bardziej *samem sobie*, t. j. temu, co w nich było ową *faculté maîtresse*, przezierającą przez całą twórczość *mniej lub więcej* silnie i wyraźnie, zależnie od *więcej lub mniej* silnego udziału świadomości.

Lamennais, po wydaniu „Paroles,“ coraz bardziej skłania się tam, gdzie należał już oddawna ze swoim temperamentem, t. j. do rewolucyjnej demokracji. Przedtem jeszcze pragnie zlikwidować swoje stosunki z Rzymem, opisać całą historję swych wiar, nadziei, walk i rozczarowań—i w ten sposób powstaje jedna z najpiękniejszych jego książek „*Affaires de Rome*.“ Zaciągając się w szeregi republikańskiej, rewolucyjnej demokracji, wnosi w nie wszystkie najcenniejsze właściwości swego charakteru: bezwzględną szczerłość, niczem niewzruszoną niekompromisowość, absolutne oddanie umiłowanej sprawie wszystkich swych sił, niezachwianą wiarę w jej świętość i przyszłość, przyjęcie i rozwijanie zasady demokratycznej do jej najdalszych, najbardziej „nie-możliwych“ do zrealizowania konsekwencyj, granitowość przekonań i najczystsze niczem nie osłabione uczucie. Cała jego twórczość poświęcona jest odtąd ludowi. Prawie wszystkie jego dzieła, wydane od tego czasu, nim tylko i jego sprawą się zajmują (2 tylko poświęcił zagadnieniom teoretyczno-filozoficznym), jako to: *Le livre du peuple* 1837, *Politique à l'usage du peuple* 1838 (przedruk artykułów z dziennika „Monde“), *De l'Esclavage moderne* 1839,



*Le Pays et le Gouvernement* 1840 (za co skazany został na rok więzienia), *Du Passé et de l'Avenir du Peuple* 1841 i t. d.

W Mickiewiczu poza życiem i działalnością zewnętrzną, wpływającą stale z nastroju „Książ,” odbywa się ukryta, nieświadoma praca przygotowawcza na przyjęcie towianizmu. Coraz bardziej zajmują go mistycy i tajemnice życia wewnętrznego; coraz bardziej stroni od „gwarów i swarów“ roboty politycznej. Wreszcie jak piorun uderza weń zjawienie się Towiańskiego—następuje nowy przełom, nowe przemienienie się, „kwiaty i wiosna i w sercu i w duchu.“

MANFRED KRIDL.

# Wyprawa Deniski.

Ciemną i nieznaną jest historia ruchu patriotycznego w Polsce w pierwszych latach dziejów porozbiorowych. Cóż wiemy o organizacjach lwowskiego Zgromadzenia Centralnego, rozrzuconych po wszystkich ziemiach byłej Rzeczypospolitej, o akcie konfederacyi krakowskiej, stworzonym dla uprawnienia patriotycznej reprezentacyi, o insurekcyjnych formacyach wojskowych na Mołdawii, o przygotowaniach i zamierzeniach powstańczych w kraju, o związkach patriotów polskich z republiką francuską i z Portą otomańską?

Po wszystkich tych pracach, zamierzeniach, zawodach, zostało nam tylko parę pamiętnikarskich relacyj, z których jedna tylko, relacya Ogińskiego, jest nieco w szczególności obfitszą, ściśłą i naogół wiarygodną. Ale żaden z pamiętnikarzy naszych—Ogiński, ani Kosmowski, Drzewiecki, Tański, którego ustną opowieść spisał Józef Paszkowski w życiorysie generała Blumera—nie patrzył na fatalne zakończenie owej pielgrzymki zbrojnej „na Wołoszczyznę“, nie uczestniczył w szalonej wyprawie Deniski, nie był świadkiem akcyi prześladowczej w kraju.

Aby odtworzyć dzieje niedoszłego powstania polskiego w roku 1797 niepodobna poprzestać na tej garści wiadomości, nieraz biegunowo ze sobą sprzecznych, które przechowały się wśród Polaków. Trzeba tę historycę odbudować ze strzępów jej, rozsianych po archiwach: z korespondencyi dyplomatycznej, z doniesień generałów, gubernatorów, dyrektorów policyi, starostów, ze skromnych raportów szpiegowskich, z protokularnych zeznań więźniów i zdrajców. Praca ta, podjęta pod nieocenionem kierownictwem prof. Szymona Askenazego, jest dopiero w zaczątkach; w skromnym tylko zakresie zdołałem wyzyskać mało dostępne Archiwum



Namiestnictwa lwowskiego; nie dostałem się dotąd do aktów sądowych; z Paryża, gdzie zbiegały się nici całej akcji, posiadam tylko kilka dokumentów, udzielonych mi przez kolegę w historycznej pracy. Paromiesięczne studia w archiwach wiedeńskich—Archiwum Domu, Dworu i Stanu, Archiwum Wojny, akta byłego ministerium policji w Archiwum Spraw Wewnętrznych—pozwalają mi jednak przedstawić ostatni akt dramatu—wyprawę Deniski i sąd doraźny.

\*

\*

\*

Wczesną wiosną roku 1797 rozsypani po obu gospodarstwach konfederaci skupiać się zaczęli nad Dniestrem i Prutem, tam, gdzie Raja Chocimska klinem się wrzynała między Bukowinę, a Podole austriackie i rosyjskie. Tutaj—w Chocimskiej Rai i przyległych mołdawskich powiatach—było zdawna upatrzone przez emigrację i ministerium francuskie siedlisko reprezentacji i siły zbrojnej narodowej. Stąd przez wieś Zasławną na Bukowinie, należąca do patryoty Tadeusza Turkuła i przez Horodenkę, w której właśnie osiadł, jako dzierżawca, członek Zgromadzenia Centralnego, hrabia Pius Raciborowski, utrzymywano stałą komunikację z Galicyą. Główna kwatera była w Filipowcach, folwarku położonym już na ziemi tureckiej, a do tegoż Turkuła należącym: Głowacki, rządcą folwarku, należał do spisku. Tutaj, w Filipowcach, przebywał od upadku insurekcji z dwoma tylko paromiesięcznymi przerwami człowiek, który był duszą całej akcji, i który rzucił owo zamaszyste, rymowane hasło, obiegające od początku roku 1795 wszystkie ziemie Rzeczypospolitej: „Kto kocha Ojczyznę, niech śpieszy na Wołoszczyznę!“ Był to brygadyr insurekcyjny, wódz niedoszły wołyńskiego powstania, człowiek młody, gorący i rzutki—Joachim Denisko, tytułujący się teraz generałem wojsk Polski i Litwy. Od roku już formował on regularne kadry wojskowe. Istniały zawiązki pułków. Piechota w mundurach zielonych z czarnymi obszlegami, kawalerya w tradycyjnym granacie o czerwonych wyłogach i plastronach.

Krawcy, Żydzi mołdawscy i galicyjscy, szyli pośpiesznie odzież dla nowych przybyszów. Mieli powstańcy szewców, ale złych, jak skarżył się pewien dezertier z oddziału. Nie było cza-

pek uniformowych; używano wołoskich, barankowych, które ozdabiano francuską kokardą wolności i nazywano desperatkami, albo dla czarnej ich barwy żalobą po Kościuszcze. Posiadano karabiny, przemycone, w części przynajmniej, z Galicyi i z „Nowo-Rosyi,“ pistolety i szable. Przeważnie nie była to broń kalibrowa. Koni było mało; wiosną zaczęto je skupować; rozpoczęto budowę stajen w Filipowcach i Ryngaczu. Przystąpiono również do formacyi nowego oddziału kawaleryi w konfederatkach białych i jasno-szarych wołoszkach z czerwonym kornierzem. Cyganie kuli lance. Liczba ogólna żołnierza przekroczyła w owym czasie 2,000 głów.

Zyli z grosza, nadsyłanego z kraju; w pewnym zakresie, nie dającym bliżej się oznaczyć, otrzymywali zasiłki pieniężne od paszy chocimskiego, gospodarów i od przedstawicieli Francyi. Wszystkie pieniądze przywiezione składano do wspólnej kasy. Denisko uzyskiwał od paszy chocimskiego „teskiry,“ na mocy których otomańscy agowie, wołoscy bojarzy i musule dawali kwatery, strawę i furazę powstańcom. Na wyżywienie ich wypróżniły się śpichlerze w Zaslawniej i w Sinowcach wsi Lanckorońskiego, poszły na rzeź wszystkie woły z obory w Filipowcach.<sup>1)</sup>

W marcu 1797 r. ukonstytuowała się legalna władza konfederacyi. Stało się to w porozumieniu z Centralizacyą lwowską z jednej a patriotami polskimi w Paryżu z drugiej strony. Była to „rada,“ jak powiadają jedni, „dyrekcya,“ jak nazywają drudzy, z siedmiu „przysięgłych“ złożona, umocowana przy naczelniku Denise, który nie stanowił niczego bez zasięgnięcia jej zdania. Wybrano ją na zebraniu czterdziestu oficerów polskich. Wchodzili w jej skład: pułkownik Krynicki, podpułkownik Marchocki, porucznik Jan Głiński, Ojrzanowski, Przybyłowski, Seweryn Zakrzewski; nadto—w późniejszym może czasie—major Przyszychow-

<sup>1)</sup> List Joachima Deniski do nieznanego patrioty galicyjskiego, pisany wiosną r. 1796, dołączony w niemieckim przekładzie do raportu barona Margelika z 31 lipca 1797 r. (Akta b. ministerjum policyi).—Zeznanie Jana Chmielowskiego, zbiega z oddziału polskiego, w raporcie lwowskiej Dyrekyi Policyi z 20 maja 1797 r. (j. w.).—Protokół zeznań Lewińskiego i Wygońskiego, spisany w Czerniowcach w dniach 26 i 28 kwietnia 1797 r., w załączniku do raportu hr. Trautmansdorfa (wicegubernatora wsch.-gal.) z 27 maja t. r. (j. w.).—Raport starosty bukowińskiego bar. v. Balsch z 1 lipca 1797 r. (zeznania porucznika Żurowskiego; Arch. Nam. lw., akta prezydyalne).—Raport Harnoncourt'a z 23 kwietnia 1797 r. (dołączone dwie relacye szpiegowskie; Akta Nadwornej Rady Wojennej).—Raport szpiegowski z Botuszan, 24 czerwieca 1797 r. do komendy remontowej (j. w.; kopia w aktach policyjnych).



ski i Michał Bereczowski, późniejszy więzień w sprawie Centralizacji. Pierwszym ich aktem była odezwa, ułożona podobno w porozumieniu z Deputacją paryską, wzywającą szlachtę w obu Galicyach i w „Noworosyi“ do rewolucyi, ofiary krwi i mienia za wolność Polski. Kilku emisaryuszy powiozło tę odezwę do kraju, między nimi dwaj z pośród „przysięgłych.“ Ksawery Powąła Dąbrowski, od sierpnia r. 1796 samowwający, czy też narzucony przez Francję marszałek związku wojskowego w Bukareszcie, schodził teraz na plan drugi; pozostała mu skromna rola agenta Deputacji paryskiej i jako taki bawił on teraz w Chocimiu, w goscinie u zacnego Bekir-Paszy.<sup>1)</sup>

Zbliżała się chwila działania i rosły serca w wychodźcach. Z początkiem kwietnia grono oficerów polskich zaawanturowało się na Bukowinę, na bal do dziedziczki wsi Ternawka, Soicz Podluczasy; chytrze wybadywani przez austriackiego szpiega, odpowiadali, że „jak tajemnica Trójcy Świętej jest niepojętą dla ludzi, podobnie w niepojęty sposób zmartwychwstać musi państwo polskie.“ Wtedy to przybył do Chocimia od strony Konstantynopola, przez Jassy, generał francuski, którego zwą „Sortir“ austriackie szpiegi, a którym był niezawodnie Carra-Saint-Cyr, konsul francuski w Bukareszcie, przeznaczony przez Dubayet'a, ambasadora Francyi, na militarnego kierownika akcji powstańczej. Jechał za wiedzą władz mołdawskich, które ułatwiały mu podróż, pojazdem, zaprzężonym w osiem koni; towarzyszyło mu trzech oficerów. „Zaraz — donosi feldmarszałkowi-lejtnantowi hrabiemu Harnoncourt szpieg, wysłany do Rai — zgromadzili się emigranci, z czego wnoszą, że ten Sortir ma nimi rozporządzać; miał on także popłacić wszystkie ich długi. Ci emigranci odzywają się publicznie, że wpadną do Galicyi, aby ocalić swą ojczyznę i opowiadają, że Polska zostanie ocaloną w cudowny sposób. Niedaleko Filipowicz, nad rzeką Prutem, mają pod szafasami rozłożyć się obozem.“

Możemy domyślać się, jakim był ów cudowny sposób ocalenia Polski. Jedną z relacyj szpiegowskich, dołączonych do raportu

<sup>1)</sup> Zeznania Lewińskiego j. w.—Zeznania Chmielewskiego j. w.—Raport Harnoncourt'a z 10 lipca 1797 r. (akta Nadwornej Rady Wojennej).—Zeznania dodatkowe Lewińskiego w raporcie lwowskiej dyr. policji z 1 lipca t. r. (akta ministerjum policji).—Raport starosty zaleszczyckiego bar. v. Dyke z 20 czerwca roku 1797 (Arch. Nam.).—Rękopis generała Józefa Paszkowskiego: „Wspomnienie o Ignacym Blumerze;“ udzielił mi go łaskawie prof. Askenazy.

Harnoncourt'a z dnia 23 kwietnia, wspomina, że oczekują emigranci nalejścia Dąbrowskiego z 5,000 ludzi.<sup>1)</sup> Tym razem miano na myśli Jana Henryka Dąbrowskiego, wodza legionów włoskich. Był to początek rewolucyjnego miesiąca Floréal roku V; miesiąc przedtem, dnia 5 Germinal — 25 marca — przedstawił generał wodzowi naczelnemu armii włoskiej projekt przedarcia się do Polski. Przez terytoryum otomańskie miała legia polska — w sile 5 do 6,000 żołnierzy — wzmocniona paru tysiącami Francuzów, przedrzeć się do Galicyi, połączywszy się z „tysiącami patryotów, którzy dziś marnieją na Wołoszczyźnie i Mołdawii.“ Podobny plan omawiano jednocześnie w Paryżu z ministrem spraw zagranicznych, Karolem Delacroix i uzyskano dlań aprobatę Dyrektoryatu.

W Galicyi gotowano się do powstania.<sup>2)</sup> W lutym lub w pierwszych dniach marca opracowało Zgromadzenie Centralne obszerną, tajną instrukcyę dla stowarzyszeń; zalecano w niej ze szczególnym naciskiem wciąganie mieszczan do organizacji. „Podobnie należy szczególnie na to baczyć — mówiło Zgromadzenie Centralne — ażeby i w pracującego wieśniaka, w którym budzić należy obecnie nadzieję powrócenia ogólnej szczęśliwości, tegoż samego ducha wpoić i przygotować go do świętych ofiar za ojczyznę.“ Nakazywano dobrowolną ofiarę pieniężną, zbieranie byłych żołnierzy i ludzi zdolnych do walki, gromadzenie sukna, skór i karabinów. Układano plany zbrojnego wybuchu, kombinując je z wtargnięciem oddziałów powstańczych od strony tureckiej. W ręce generała Karola Kniaziewiczza złożyć chciano wojskowe dowództwo; zaprzyjaźniony z nim Drzewiecki sprowadził go do Galicyi. Wysłano Drzewieckiego do Warszawy, dla odtworzenia tam organizacji patryotycznej. Wioskę jego, Leśniowice pod Lwowem, wyznaczono na punkt zborny dla powstańców. Jan Krasnodębski,

<sup>1)</sup> Relacye szpiegowskie dołączone do raportu Harnoncourt'a z 23 kwietnia (j. w.); raport starostwa bukowskińskiego z 11 kwietnia 1797 r. (Arch. Nam.).

<sup>2)</sup> Instrukcyja dla Ludwika Trzecieckiego z dnia 6 marca 1797 r.; podpisali sekretnym atramentem w imieniu Zgromadzenia Centralnego Klemens Leszczyński, jako przewodniczący, Pius Raciborowski, Franciszek Strzałkowski, Augustyn Trzeciecki. Wykryta na Podolu rosyjskiem i zakomunikowana władzom austriackim, znajduje się w przekładzie niemieckim w aktach b. ministerium policyi. — Pamiętniki Drzewieckiego, wyd. krakowskie, str. 50 sq. — Raport lwowski dyrektora policyi, Streschera, z 7 kwietnia 1797 r. (kopia w cytowanym lwowskim protokóle czynności; oryginał w aktach min. pol. przy raporcie Gaisrucka z 8 kwietnia t. r.).



były generał powstańczy za Kościuszki, potajemnie przebywający we Lwowie, pokierować miał powstaniem samej stolicy kraju.

Nowe nieporozumienia wynikły wówczas na emigracyi.<sup>1)</sup> Denisko chciał niezwłocznie akcyę rozpocząć, licząc może na pomoc, przyobiecaną Ksaweremu Dąbrowskiemu przez samozwańczego paszę Widynia „Bonapartego tureckiego”—Passwana Ogłu. Inny odłam, z pułkownikiem Kazimierzem Małachowskim na czele, powstrzymać chciał wybuch aż do zbliżenia się Jana Henryka Dąbrowskiego do Mołdawii. Młodego Andrzeja Horodyskiego, który z instrukcyą Centralizacyi i jakąś poufną misyą jechał do Sztambułu, gdzie generał Rymkiewicz zaprezentował polskich patriotów, zatrzymały te spory na pograniczu. Zażądano od Centralizacyi, by przywódcy jej zjechali do Filipowic, celem rozstrzygnięcia sporu. Tutaj zaszedł wypadek, brzemienny w tragiczne następstwa: ujęto 22 kwietnia dwóch kuryerów powstańczych, wiozących listy od Raciborowskiego do Horodyskiego i Deniski i list pewnego porucznika, przebywającego w Horodence, do Kazimierza Małachowskiego. Zeznania kuryerów, Lewińskiego i Wygońskiego, wymuszone chłostą, pociągnęły za sobą uwięzienie Waleryana Dzieduszyckiego, Piusa Raciborowskiego i Tadeusza Turkułta. Centralizacya traciła najwpływowszych swych członków. Wrażenie w kraju było wstrząsające. Władze austriackie uświadomiły sobie rozmiary niebezpieczeństwa, grożącego istniejącemu porządkowi w ogołoconej z wojska Galicyi; rozpoczęto przygotowania do odporu.

Ale gorszy cios miał niebawem zdruzgotać nadzieje patriotów polskich: wieść o podpisaniu w Leoben preliminaryów pokojowych.<sup>2)</sup> Około 10 maja dotarła ona na pogranicze. „Emigranci polscy są skonsternowani i przybici tą wieścią“ — pisał 16 maja Timoni, agent konsularny w Jassach. Po pierwszym przygnębieniu wybuchły wśród wojska nowe, gwałtowne spory. Wtedy to

<sup>1)</sup> Chmielewski j. w. — Oba listy Raciborowskiego i list „porucznika“ w przekładzie niemieckim w aktach b. min. policyi. — Protokół zeznań Lewińskiego i Wygońskiego, j. w.; tamże przedstawiona z niezwykłą dobroduszością cała procedura śledcza. — O dokonanych aresztowaniach raport Gaisrucka z 8 czerwca 1797 r.; w załącznikach protokoły, spisane w Horodence i w Jabłonowie (akta b. min. pol.).

<sup>2)</sup> Timoni do Kancelaryi Dworu i Stanu, 16 maja 1797 r. (Arch. Dworu i Stanu). — Rękopis Paszkowskiego j. w. — Raport Novacka z Czerniowiec 24 maja 1797 r. (Akta Nadw. Rady Wojennej). — Dodatkowy raport Harnoncourt'a z 10 lipca t. r. (w aktach N. R. W.).

zapewne wysłano Kazimierza Małachowskiego do Konstantynopola po wieści i wskazówki; wtedy pobiegł tam może i sam Denisko. Przywiózł Małachowski, oprócz potwierdzenia wieści o zawarciu preliminaryów pokojowych, opinię—może generała Rymkiewicza— „że wyprawa na Galicyę byłaby już niepotrzebną i kompromitującą osoby, że potrzeba się rozejść.“ Przyszło wówczas do gwałtownych zająć między umiarkowanymi a zapaleńcami. Istnieje szpiegowska, austriacka relacja, którą 24 maja przesłał Harnoncourt'owi major Novack, komendant pogranicza: że oficerowie polscy rankiem naszli brygadyera w jego domu, zabrali mu papiery i pieniądze, zażądali rachunków i że o złożeniu go z dowództwa powiadomiono wszystkich emigrantów. Niebawem jednak, po nowych gwałtownych zająciach, dowództwo znowu spoczęło w ręku Deniski. „Zapaleńcy nie wierzyli Małachowskiemu, chcieli postawić na swoim i siłą przymusić innych do wykonania raz powziętego planu.“ Podobno trzeba było arnautów pewnej damy wołoskiej, by obronić przed nimi oponentów. „Tak skłóceniu między sobą, rozpraszała się na wszystkie strony.“ Szczipła tylko garść została przy Denise, skupiając się na lewym brzegu Prutu, w Rai Chocimskiej. Powiadali, że przebijają się do Galicyi, a jeśli to się im nie powiedzie, złączą się z paszą Widynia, który niebawem wkroczy na Mołdawię.

Ale najpierwszy, jeszcze przed nadejściem wieści złowróznej, wyniósł się z tonącego okrętu były marszałek konfederacyi, Ksawery Dąbrowski. W pierwszych dniach maja, a więc zanim jeszcze wiadomość o preliminaryach zdołała dotrzeć do Chocimia, mówił kanclerz rosyjski, książę Bezbordko, do austriackiego ambasadora: „Teraz sam Dąbrowski, czując skruchę z powodu swych czynów, prosi, by pozwolono mu wrócić pod panowanie Jego Cesarskiej Mości i możnaby mu na to pozwolić, obserwując go zblizka, aby nie mógł powrócić do swych zgubnych projektów...“ Miał Bezbordko na myśli, przez zabawne *qui pro quo*, wodza legionów, bynajmniej nie skłonnego do skruchy, ale to, co mówił, odnosiło się do pana Ksawerego. Apologeta jego i towarzysz w petersburskiej podróży, Stanisław Kosmowski, powiada w swym pamiętniku, że dopiero wieść o Leoben, która przyprawić miała eksmarszałka o kilkutygodniową malignę, sprawiła, iż wystosował pismo do Pawła I, ofiarując mu swe służby. W istocie już koło 20 czerwca—wcześniej więc, niż zdołałby wedle relacyi pamiętnikarza, dojść list ów do Petersburga, znalazł się na dworze imperatora sam Ksawery Dąbrowski. Jak wynika z przytoczonych wyżej słów kanclerza rosyjskiego, list wyprzedził przybycie Dą-



browskiego o dwa miesiące prawie; pisany musiał być w połowie kwietnia, w chwili, gdy nadzieje były u szczytu. Nie rozpacz więc była pobudką do tego kroku.<sup>1)</sup> Z późniejszej depešy Dietrichsteina, który Cobenzl'a zastępował w Petersburgu, dowiadujemy się, że w liście tym proponował Dąbrowski cesarzowi, iż wszystkich emigrantów z Mołdawii w służbę jego przywiedzie i dwa pułki z nich utworzy. Tu zdaje się kryć istotna przyczyna odstępstwa. Chciał Dąbrowski odzyskać możność odegrania pierwszorzędnej, kierowniczej roli; chora ambicja przywiodła go do zaprznięcia i frymarki krwią bratnią?

Istnieje austryacka relacya z pierwszych dni maja, pochodząca od rotmistrza Schauera, który na wywiady jeździł po Mołdawii, że Denisko i Dąbrowski grozili sobie wzajemnie szubienicą. Nasuwa się podejrzenie, że wówczas to Dąbrowski ujawnił swe zamiary wobec oficerów polskich i że to było przyczyną tego gwałtownego starcia. Postąpienie Dąbrowskiego utrzymano w ścisłej tajemnicy. Jeszcze wyjeżdżając z Bukaresztu rozgłosił on,

---

<sup>1)</sup> Trudno się dziwić, że Kosmowski, wybielić chcąc sławę swego przyjaciela i przywódcy, balamutnie przedstawił wątek i kolejność wydarzeń. Wszak niedawno jeszcze nowoczesny znany polski historyk, pisząc, bez żadnej chyba apologetycznej tendencji, artykuł o Ksawerym Dąbrowskim, przedstawił tę sprawę w sposób następujący: „Niebawem pokój Francyi z Austryą w Campo-Formio z 17 października r. 1797 widoki wtargnięcia zastępów polskich z Wołoszczyzny do Galicyi rozproszył (nb. autor nie wie zatem o dokonanym na parę miesięcy przedtem napadzie na Bukowinę). Konsul francuski w Konstantynopolu (nb. takiego nie było weale) otrzymał polecenie związek wojskowy Dąbrowskiego (którego nb. nie było już w Turcyi od pół roku) rozpuścić. Wreszcie na wieść o wstąpieniu na tron Pawła I (które nb. miało miejsce równo 11 miesięcy przed pokojem w Campo-Formio), Dąbrowski, wykolejony z dotychczasowego trybu działalności, zamierzył siebie i oficerów swoich za protekcją St. Augusta (który nb. zderawnował Dąbrowskiego, jako pospolitego awanturnika) umieścić w armii rosyjskiej.“ (Wielka Encyklopedia Ilustrowana, tom XV—XVI, str. 192. Podpisany W. S.).

Krótko powiedziawszy, kuryer, wiozący z Petersburga do Turcyi wieść o wstąpieniu na tron imperatora Pawła i udzielonej Polakom amnestyi, jechalby rok coś bezmała. Od tego spiętrzenia niedorzeczności mógł się przecież autor uchronić, gdyby był przejrzał uważnie II tom Ogińskiego, gdzie na stronie 250 sq. pod datą 29 lub 30 listopada r. 1796 opowiedzianą jest rozmowa z agentem rosyjskim, wiozącym do Jass wieść o udzielonym Polakom pardonie. Raporty Timoniego stwierdzają, że już w styczniu n. r. niektórzy emigranci, którym bieda i tułactwo dogryzły, zgłaszali się do konsulatu rosyjskiego po paszporty.

że udaje się do Wenecyi, gdzie obejmie komendę nad brygadą francuską. Tę samą pogłoskę rozszerzono wśród żołnierzy, gdy chyłkiem, z paru oficerami, wyjechał z Chocimia.<sup>1)</sup> Ironia losu chciała, że tego awanturnika i odstępcę witano na petersburskim dworze jako niebezpiecznego, a nawróconego twórcę polskich legionów we Włoszech, bohatera z pod Powązek i Bydgoszczy, a nabytkiem tym kłuto w oczy austriackich dyplomatów.

\*

\*

\*

Dnia 26 czerwca wczesnym rankiem rozległy się wystrzały alarmowe na całej linii Dniestru i w paru punktach bukowińskiego pogranicza. Rozpoczęła się akcja powstańcza.<sup>2)</sup> Co skłonić mogło Deniskę do szalonego postanowienia, by wypowiedzieć wojnę Austrii na czele stu kilkudziesięciu czy dwustu żołnierzy? Zeznawali później nieszczęśliwi jeńcy — ranni i konający — przy „sumarycznem badaniu,” że wierzyli, iż powstanie galicyjskie już zaczęte, że zastaną kraj w ogniu walki. Przed stanowczą akcją

<sup>1)</sup> Depesza Cobenzla z Moskwy, 4 maja 1797 r., z 24 czerwca t. r., 20 lipca t. r. (apostille 4); depesza Dietrichsteina z 14 sierpnia t. r. Post scriptum 2, poświęcone w całości Ksaweremu Dąbrowskiemu, zadaje zupełny kłam grubym zmyśleniom Kosmowskiego; depesza tegoż z 20 września t. r. (apostille 4); wszystkie w Arch. Dworu i Stanu. — Raport Harnoncourt'a z 10 maja 1797 r. (kopia w aktach b. min. policyi). — Raport szpiegowski z Botuszan 24 czerwca (j. w.). — Raporty Merkelinsa, c.-k. konsula w Bukareszcie, z 24 i 30 marca t. r. (Arch. Dworu i Stanu).

<sup>2)</sup> Raporty Harnoncourt'a z 10 lipca i 11 t. m. r. 1797 (Akta Nadw. Rady Wojennej). — Zeznanie Popowskiego, ordynansa Deniski, złożone 26 października v. s. w rosyjskiej ambasadzie w Stambule, w przekładzie francuskim dołączone do depeszy Herbert'a z 25 listopada r. 1797 (Arch. Dworu i Stanu). — Raport szpiegowski z Botuszan, 24 czerwca t. r. (j. w.). — Raport barona v. Dyke z 3 lipca t. r. (Arch. Nam. i cytowany „Geschäftsprotocoll”). — Raport Timoniego z 14 lipca t. r. (Arch. Dworu i Stanu). — Ogiński l. c. II p. 182. — Raporty starostów zaleszczyckiego i bukowińskiego, składane w odstępach dni paru; obszernie wyciągi w protokóle czynności gubernialnego prezydium (Arch. Nam., j. w.). — „Allerunterthänigster Vortrag” Nadwornej Rady Wojennej z 16 lipca 1797 r. (akta N. R. W.). — Raport hr. v. Gaisruck do Pergema z 24 lipca 1797 (akta min. pol.).



miał im powiedzieć brygadyer, że byle do Horodenki się dostali, w liczmem już towarzystwie pociągną na Lwów. Czy mógł tak ludzię się dowódca nieszczęsnej wyprawy? Czy nie była bardziej zasadną szpiegowska, austriacka relacya, tuż przed wyprawą spisana, w której mowa, że zgromadzenie lwowskie prosiło emigrantów, by, dla uniknięcia niechybnego nieszczęścia, zupełnie nie rachowali na Galicyę? Niewyraźne wskazówki nasuwają jednak przypuszczenie, że wyprawy dokonano w terminie, pierwotnie, przed wiadomością o preliminariach, naznaczonym na wybuch powstania. Świadczyły o tem notowany przez oba gubernia współczesny napływ młodzieży z obu pozostałych zaborów do Galicyi. Spodziewał się może Denisko, że na odgłos wystrzałów Galicyanie, chcąc nie chcąc, siądą na koń i połączą się z ruchem, a rachuby te, przetworzone w gawędach żołnierskich, odnalazły się we wspomnianych zeznaniach. Na podstawie tychże zeznań donosił później zaleszczycki starosta, że powstańcy są pod władzą konsula francuskiego w Bukareszcie i że on to nakazał im wystąpić, zapewniając jakoby, iż nie jeszcze urzędownie nie wie o pokoju. Rosyjski konsul generalny w Jassach obwiniał również Carra-Saint-Cyr'a i księcia Ypsilanti, że za ich to wiedzą dokonano napadu. Według Ogińskiego miał Denisko krótko przed akcyą być w Konstantynopolu i stamtąd przywieść decyzję; notuje również Ogiński pogłoskę, że szło o rekonesans, zalecony przez Dubayet'a. Pogłoska niedorzeczna. Nie nakazuje się rekonesansów, jeśli się nie zamierza rozpocząć niezwłocznie działań wojennych, o tem zaś nie mogło wówczas być mowy. Inny cel mógł mieć Dubayet, zachęcając Deniskę w jego przedsięwzięciu: skompromitować władze otomańskie, ściągnąć austriacki pościg na tureckie terytorium, powtórzyć to, co dokonało się za czasów barskich. Wiadomo, że zgnębiła go wieść o preliminariach, że przyszła w chwili, gdy zdawało mu się, że dosięga celu swych wysiłków.<sup>1)</sup> Marzył może teraz, że w razie nagłego wybuchu turecko-austriackiej wojny, prysną układy, walka znowu się rozpali, że jemu przypadnie wielkie zadanie pokierowania dywersyą od Wschodu i wskrzeszenia Polski...

Rozpaczliwie szczupłą była owa siła zbrojna, którą osłaniał Harnoncourt Galicyę przed groźącym atakiem.<sup>2)</sup> W owym czasie

<sup>1)</sup> Wpływ tradycyji barskich na Dubayet'a stwierdza Ogiński l. c. — A. Dry: „Soldats ambassadeurs sous le Directoire.“ I. Dubayet.

<sup>2)</sup> Gaisruck do Pergena 10 kwietnia 1797 r. (akta b. min. pol.). — Tenże 8 czerwca t. r. (j. w.). — Gen. Komenda Wojsk. do prezydium gubernialnego

jedna kompania piechoty stanowiła cały garnizon stolicy kraju; na pograniczu, po odliczeniu wojsk niezbędnych do strzeżenia wybranego właśnie rekruta, zostawały dwie kompanie piechoty do działania w polu. Dodać do tego należy ruchawkę starościńską: chłopów, w przeróżny oręż uzbrojonych i, mimo wszelkie pochwały urzędowe, bardzo skorych do uciezki i strzelców bukowskińskich, plajaszami zwanych. Kawaleryi zrazu nie było wcale; z trudem uzyskał Harnoncourt u Nadwornej Rady Wojennej, że przysłano mu jeden szwadron sabaudzkich dragonów. Ten to szwadron od ciężkich kłopotów miał ocalić Austryę.

Po drobnych utarczkach w dniach 26 i 27 czerwca rozbrojono parę małych posterunków, spalono parę baraków strażniczych, wzięto lub usiłowano zabrać jakieś skarbowe pieniądze po komorach—cofnęli się powstańcy w chocimskie lasy. Jakim był cel owych pierwszych napadów, trudno odgadnąć. Okazał się Denisko szalonym straceńcem, jak nazywali go Austryacy, ale złym partyzantem. Sądząc, jak się zdaje, że rozprasza uwagę nieprzyjaciela i siły jego rozdrabnia, w istocie ostrzegł go, wzmógł jego czujność, przyspieszył akcyę obronną. Teraz zebrał, co się dało, z pozostałych mu żołnierzy; miało być tego 160 konnicy i 32 strzelców pieszych. Podzielił brygadyer tę garstkę na trzy oddziały; pierwszy prowadził sam, drugim dowodził porucznik Iliński, piechotą dzielny Fryderyk Mellfort, były major gwardyi koronnej. Dnia 30 czerwca pod wieczór przeszli ponownie granicę, z zamiarem przebicia się do Galicyi. Pod Dobronowcami—na północ od Czerniowiec—natknęli się niespodzianie na wojsko, które poprzedniej nocy tam nadeszło: półczwarta plutonu dragonów, pół kompanii piechoty z jednym działem. Dowodził komendant pogranicza. W walce wzięła z austryackiej strony udział sama tylko konnica, poparta, jak się zdaje, przez plajaszów; piechota nie zdążyła na plac boju. Jazda powstańcza przypuściła odważnie dwa ataki; ale w upartej, ręcznej walce uległa sprawności przeciwnika i poszła w rozsypkę. Iliński z trudem wyrąbał się z pośród dragonów. Strzelcy polscy bili się dzielnie ze starościńską zbieraniną, padli jednak wszyscy pod ciężciami szabel. Jedenastu rannych po-

---

14 kwietnia, 10 czerwca (protokół czynności w Arch. Nam.). — Najpoddajniejszy raport Nadw. Rady Woj. 2 maja 1797 r. — Harnoncourt do FML. v. Schröder 9 kwietnia 1797 r. (akta min. pol.) — Harnoncourt do Timoniego 21 czerwca t. r. (Arch. Dworu i Stanu). — Tenże do Nadw. Rady Wojennej 25 czerwca 1797 r. (akta N. R. W.).



wstańców wpadło ogółem w austryackie ręce; liczbę zabitych Polaków oceniają na 48 austryackie raporty. Regularne wojsko austryackie miało 9 zabitych i 28 rannych, w tej liczbie jednego oficera.

Ze szczątkami swego oddziałku, opuszczony zresztą przez Ilińskiego, pociągnął z wolna Denisko w stronę Dunaju. Pobyt wojskowych polskich na pograniczu stawał się niemożliwym.<sup>4)</sup> Długo osłaniała ich gościnność otomańska: długo starali się gospodarowie, pasza chocimski, drogmani Porty i ministrowie tureccy utaić sam fakt istnienia konfederackiego wojska, a na natarczywe nalegania z rosyjskiej i austryackiej strony odpowiadali ugrzecznoną zawsze, zwykle przysłoniętą odmową, dodając niekiedy dyskretne a zjadliwe do niej uwagi. Teraz stawało się to niemożliwym. Na pierwszą wieść o napadzie otrzymała Porta od ambasadora Francji oświadczenie, że Republika nie przyznaje się do Deniski; do paszy i gospodarza wysłano od długich obiecywany miesiąc ministrom obu cesarskich dworów rozkaz usunięcia wychodźców polskich aż za Dunaj. Pod wpływem groźnych żądań Harmoncourt'a, popartych później przez Kancelaryę Dworu i Stanu, Abu Bekir-Pasza i Kallimaki, gospodar mołdawski, uprzedzili rozkazy Porty, radząc Polakom, w najżyczliwszy zresztą sposób, by usunęli się w głąb państwa. Niewzruszoną była Porta na punkcie bezkarności powstańców. „Czy chcecie zatem, by Porta kazała na pal wbić Deniskę?“ — pytał z uśmiechem książę Ypsilanti, Drogman Porty, austryackiego tłumacza, nalegającego na przykładowe ukaranie „burzycieli spokojności powszechnej i pokoju między dwoma sąsiedzkimi i zaprzyjaźnionymi mocarstwami.“ Nie tylko pal, ale żadna wogóle kara nie dotknęła polskich powstańców. Opieką władz otomańskich, francuskich konsulatów i ambasady cieszyli się nadal. Generał Rymkiewicz wyjednywał im przy pomocy Dubayet'a fermany i zasiłki na przejazd do Wenecji, dla połączenia się z legionami. Długo jednak tułali się jeszcze emigranci polscy po Turcyi. Niektórzy przed dżumą kryć się musieli po lasach, obdarci, wygłodzeni, nędzni, zanim zdołali wreszcie dotrzeć do Konstantynopola. Wielu musiało wynajmować się bojarom do robót polnych. Garstka z tych, którzy nie chcieli brać

---

<sup>4)</sup> Korespondencya Harmoncourt'a z Abu Bekir-Paszą w Arch. Wojny (akta Nadw. Rady Wojemiej).—Raporty Timoniego i Herbert'a, oraz instrukeye dla Herbert'a w Archiwum Dworu i Stanu.—Rękopis generała Paszkowskiego.—Raport Dietrichsteina z Petersburga, 4 sierpnia 1798 r., dopisek 9 (Arch. Dworu i St.).

udziału w napadzie, uzyskała pardon Harnoncourt'a i prawo powrotu do Galicyi. Wielu zgłaszało się do ambasadora rosyjskiego i do konsula generalnego w Jassach, wyjednując sobie amnestye, w czem pomocnym był im podobno dawny ich przywódca, teraz generał-major rosyjski, formujący właśnie z Polaków pułk kawalerji—Ksawery Dąbrowski. W liczbie tych, którzy uzyskali amnestye rosyjską i zwrot skonfiskowanego mienia, znalazł się, po dłuższej tułaczce i poniewierce, sterany i rozgoryczony dowódca nieszczęsnej wyprawy—Joachim Denisko.

\*

\*

\*

Oddając się w ręce komendy austriackiej, mówił porucznik Chmielewski, zbiegły z obozu Deniski, że czyni to, bo wie, iż źle skończy się wszystko, a powstańców traktować będzie rząd nie jako żołnierzy, ale jako buntowników i rozbójników. Przewidywania te sprawdzić się miały w sposób straszny.

Z liczby jedenastu powstańców, ujętych w dniach 26 i 30 czerwca, trzech zmarło w szpitalu lub przy transporcie. Harnoncourt, który na wieść o starciu popędził na pogranicze i osobiście ścigał zeznania z jeńców, na wyjeździe z Czerniowiec wystosował dnia 7 lipca do barona von Balsch, bukowińskiego starosty, następujące pismo: „Dnia dzisiejszego w ręce władzy politycznej zostaną wydani w liczbie ośmiu, wszyscy ranni, wyłapani przez wojsko cesarsko-królewskie, z którego wielu padło lub odniosło rany, uczestnicy bandy podpalaczy, morderców i rozbójników, którą dowodził Denisko, uznany już za polskich czasów przez Rzeczpospolitą za rabusia i mordercę; banda ta, według własnego wyznania owych ośmiu złoczyńców, nie co innego miała na myśli, jak wdrzeć się do Galicyi i państwem tem ovladnąć.“<sup>1)</sup>

Od chwili ujawnienia powstańczych zamiarów był Harnoncourt zaciętym orędownikiem represyi bezwzględnej i krwawej. Pierzchała jego wiara w zbawcze skutki sejmikowania z polską szlachtą i w jej osobliwsze przywiązanie do błogich rządów cesarsko-królewskich władz. Wiedział oddawna, „że mówić szlach-

<sup>1)</sup> FMS. Harnoncourt do bukowińskiego starostwa 7 lipca 1797 r. z Czerniowiec, kopia przy raporcie z 10 lipca (akta N. R. W.).



ciowii o Warszawie, to tyle, co mówić Żydowi o Jerozolimie, za którą wciąż płacze.“ Ale w myśli mu nie postało, że pod obuchem przeżytych doświadczeń runą tak rychło, tak silnie niedawno rozbudzone sympatyje polskich patriotów do Austrii, że orężna z nią walka stanie się celem ich tajnych zamierzeń. Odkąd dowiedział się o tem, zmieniła się gruntownie polityka jego wobec Polaków. Domagał się teraz natarczywie od swego rządu, by dano „kilka prędkich, a surowych przykładów.“ <sup>1)</sup>

Nie zgodziły się władze cywilne na oddanie pod sąd wojenny pojmanych kuryerów, na zawieszenie sądu doraźnego nad każdym, któryby znosił się z emigracją. Ale co do postępowania „przy stwierdzonych już zbrodniach“ panowała między nimi a Harnoncourt'em zupełna harmonia. Na pierwszą wiadomość o utarczках w dniu 26 czerwca i wzięciu pierwszych jeńców, komunikowało pod datą 8 lipca ministerium policyi hrabiemu v. Gaisruck, gubernatorowi Galicyi Wschodniej, że „w myśl najwyższego postanowienia trzej do Czerniowiec w więzach odstawieni zbrodniarze, którzy bądź co bądź dopuścili się rabunku i którzy w razie, jeśli nie przed hołdem, ale po nim opuścili Galicyę, są nadto zbuntowanymi poddanyini, a zatem formalnymi zbrodniarzami stanu, mają być niezwłocznie oddani władzy kryminalnej do prędkiego postępowania... Zresztą nakazuje Jego Cesarska Mość, by na przyszłość nad takimi zbrodniarzami stanowiono natychmiast sąd doraźny.“ <sup>2)</sup> Niebawem otrzymano we Wiedniu wiadomość o boju pod Dobronowcami, o nowych jeńcach; w raporcie swym oznajmiał Harnoncourt, iż, wobec obowiązujących na Bukowinie doraźnych sądów, oddał wszystkich jeńców w ręce politycznej władzy, przez starostę zaprezentowanej. Na złożonym w tej sprawie przez Nadworną Radę Wojenną najpoddanyszim raporcie dopisał własnoręcznie cesarz Franciszek: „służy do wiadomości i należy wszystkich tych jeńców oddać pod sąd doraźny.“ Zgodnie z tem zwrócił się hrabia Tige, generał kawaleryi, zastępujący prezydenta Rady, do hrabiego Lazańskiego, najwyższego dyrektoryalnego ministra, z prośbą o wydanie starostwu bukowińskiemu

<sup>1)</sup> List Harnoncourt'a (do Thuguta?) ze Lwowa 15 marca 1795 r. (kopia w Arch. Wojny, akta gabinetowe). — Raport jego z 9 maja 1797 r. (kopia w aktach min. pol.; nota Nadw. Rady Wojennej do Pergena z 6 czerwca 1797 r. i najpoddanyszey raport jej z tejże daty (w odpisie tamże). — Raport Gaisrucka z 8 czerwca t. r. (j. w.).

<sup>2)</sup> Lwowski prezydyalny protokół czynności (j. w.) pod datą 14 lipca, wyciąg z pisma ministerium policyi z dnia 8 t. m.

odpowiednich rozkazów, gdy reskrypt odrębny cesarza i króla, podpisany w Hetzendorfie 20 lipca, inaczej nieco zadecydował. „Moja stanowcza wola do tego zmierza—pisał cesarz Franciszek— ażeby, z powodu polskich zgromadzeń wojskowych na Mołdawii, ei pośród nich, którzy zostaną ujęci przy ponownych zbrojnych napadach, zostali straceni za wyrokiem sądu doraźnego, ei jednak, którzy w inny sposób zostaną pochwyceni, albo których wykryto już, lub na przyszłość się wykryje wewnątrz tutejszych państw, jako ich pomocników lub karygodnych, wtajemniczonych w sprzyśiężenie, zostali osądzeni według przepisu patentu z 2 stycznia 1795 r. przy jaknajśpieszniejszym postępowaniu i ukarani, co należy odnieść i do tych jeńców, których pojmano już przy dotychczasowych napadach, a których, z powodu długiej zwłoki, nie można już chyba (wohl) oddać pod sąd doraźny.“ Opierając się na powyższym ustępie reskryptu, oparł się minister Lazansky żądaniu Nadwornej Rady Wojennej, zwracając uwagę, że „wypadek został tam wyraźnie ustalony, a ludzi, trzymanych w niewoli już od wielu tygodni, oddawać pod sąd doraźny chyba nie można.“<sup>1)</sup>

Ludzkie skrupuły cesarza i króla były bezprzedmiotowe. Władze galicyjskie nie czekały na wiedeńską decyzję i już z raportu Harnoncourt'a wynikało jasno, że czekać na nią nie zamierzają. Tym razem nie napotkał Harnoncourt żadnej opozycji ze strony władzy politycznej. Na pierwszą wiadomość o walce, stoczonej 30 czerwca, pisało prezydyum gubernialne do Balscha: „Co się tyczy sądu doraźnego, który ma się teraz odbyć, to jest rzeczą tamtejszych władz sądowo-karnych.“ Następnego już dnia— 5 lipca—wydało prezydyum lwowskiego sądu apelacyjnego sądowi karnemu w Czerniowcach rozporządzenie, ażeby wprowadzić sądy doraźne nad polskimi rewolucjonistami lub tymi, którzy z nimi się łączą, według ogólnej ustawy sądowo-karnej par. 239. „Ponieważ jednak w Czerniowcach niema kata, polecono zatem lwowskiemu sądowi karnemu, ażeby na razie tutejszego kata na każdorazowe żądanie tam wysyłał. Powiadomione o tem lwowskie prezydyum gubernialne poleciło tegoż dnia bukowińskiemu starostwu,

<sup>1)</sup> Raport najpoddajszy Nadwornej Rady Wojennej z 16 lipca 1797 r.; in rubro Resolutio Caesarea Regalis (akta N. R. W.).—Nota Nadw. Rady Wojennej do Harnoncourt'a, Thuguta, Pergena, Lazanskiego, 19 lipca t. r. (brulion j. w.).—Nota Directorii z 21 lipca 1797 r. (oryginał tamże).—Najwyższy reskrypt odrębny z Hetzendorfu, 20 lipca 1797 r., brulion w aktach Najw. Rady Wojennej; oryginał tamże, tamże kopia w protokóle czynności; inna kopia w aktach b. min. policyi.



by ujętych wywiadowców lub przywódców rewolucyi natychmiast oddawało w ręce sądu.<sup>1)</sup> W żadnem z tych rozporządzeń nie było wyraźnie mowy o losie pojmanyh już jeńców, owszem, określano w nich tryb postępowania w podobnych okolicznościach na przyszłość. Milcząc, zdawano się jednak zostawiać Harnoncourt'owi wolną rękę. Jaki z niej użytek uczynił generał, o tem wiemy. Znaczenie oddania jeńców w ręce starosty było jasnem dla stron obu, dla niego i dla generała. Obaj doskonale pamiętali, że od czasów wojny tureckiej Bukowina „ma ten przywilej, że bandy rozbójnicze są doraźnie sądzone“ i że z przywileju tego czyniono użytek jeszcze w roku 1795. W tym sensie zrozumiał też starosta rozporządzenia apelacyi, według którego mają insurgenci podlegać sądowi doraźnemu, wobec czego zarządzono też egzekucyę na 11 t. m.<sup>4</sup>

Raport v. Balscha z wiadomością o zamierzonej egzekucyi doszedł do Lwowa 9 lipca. Następnego dnia wydano nowe rozporządzenie prezydyalne, w którym zalecano wstrzymanie egzekucyi, pod wpływem zapewne niepewności, co do opinii wiedeńskiej. Rozporządzenie to nadeszło do Czerniowiec już po zgonie nieszczęśliwych jeńców.

Dnia 10 lipca o godzinie 10 rano powiedziano siedmiu powstańców i przewodnika ich, chłopa mołdawskiego, na sąd doraźny; jako ustawowe miejsce przestępstwa upatrzono miejscowość w pobliżu Toporowiec — wioska na północny wschód od Czerniowiec, blisko dwie mile od miasta, gdzie odbyła się w dniu 26 czerwca jedna z potyczek.<sup>2)</sup> Wieczorem zjechał sędzia kryminalny cum suis i starosta v. Balsch wraz z tłumem ciekawych. Przez całą noc trwały badania; zakończono je dopiero następnego dnia po południu; o 4 godzinie odczytano podsądnym wyrok śmierci; o piątej rozpoczęła się egzekucya: przerwana, jak się zdaje, przez burzę i deszcz ulewny, wlokła się parę godzin. „Ponieważ mistrz Grün nie przybył ze Lwowa—pisze jeden z komisarzy policyi do swego kolegi—podjął się dozorca więzienny Garsky ekspedycyi i, jak słyszę, wywiązał się ze swego zadania, jak na początkującego, wcale dobrze i pozostanie chyba katem...“

<sup>1)</sup> Lwowski protokół czynności pod datą 4, 5, 10 lipca r. 1797 (j. w.).

<sup>2)</sup> Lista jedenastu pojmanyh powstańców dołączona do raportu Harnoncourt'a z 10 lipca 1797 r. (akta N. R. W.).—Druga lista, z oznaczeniem porządku stracenia i krótką wiadomością o egzekucyi dołączona do raportu Margelika z 31 lipca t. r. (akta b. min. pol.).—Tamże dołączone pismo z Czerniowiec z 12 lipca t. r. z opisem tracenia.

Pierwszy zawiśł na szubienicy ów chłop-przewodnik, Iwan Serbu, zraniony i pojmany 26 czerwca pod Toporowcami. Był najęty za 15 guldenów przez powstańców... Uznano go najmniej winnym i od niego rozpoczęto trącenie. Drugim był pięćdziesięcioletni szlachcic z Podola, Tomasz Ordyński, ranny i pojmany 30 t. m. pod Dobronowcami. Trzecim Józef Kamiński z Szarogrodu na Podolu, szlachcic, w wieku lat 54, ujęty pod Toporowcami 26 czerwca. Czwartym ośmnastoletni Wołyniak, szlachcic, nazywał się Stefan Narodosławski. Dostał się do niewoli 30 czerwca pod Dobronowcami. Piątym był 22 letni Antoni Dobrowolski, z Przasnysza, szlachcic, pojmany 30 czerwca. Szóstym był Tomasz Bazyli Jaśnicki z Włocławka, lat 26, pojmany między Onulem a Czernym Potokiem 26 czerwca. Siódmym Jan Lesięcki, 27 letni, szlachcic z województwa braclawskiego, jeniec z 30 czerwca.

Osmym był Fryderyk Mellfort, potomek hrabiowskiej rodziny angielskiej, która z Jakóhem Stuartem opuściła ojczyznę; urodzony w Warszawie, był major przy gwardyi koronnej, pod Dobronowcami miał nad strzelcami komendę. Jako najciężej winny, bo jeden z dowódców, patrzeć musiał na zgon wszystkich towarzyszy. Na niego zwrócone były oczy całego tłumu. Zachowywał się mężnie. Dopiero, gdy ujrzał, że siódmego powieszono, dreszcz przeszedł ręce i nogi skazańca; zbladł śmiertelnie. W tej chwili spoczęły na nim ręce kata. Przyszedł do siebie i patrzył przez chwilę spokojnie na widzów. Po chwili tragedia dobiegła końca. Władze pozostały na miejscu do następnego rana, czekając zapewne na zdjęcie i zakopanie trupów.

Dnia 14 lipca poszedł ze Lwowa raport do Najwyższego Dyrektoryum o wyroku i egzekucyi. Dekret wydany z tego powodu uspokoił w zupełności strwożone nieco sumienia biurokracyi galicyjskiej. Pisało Dyrektoryum: „Przyjmuje się do wiadomości doniesienie o dokonany już straceniu pojmanyh insurgentów, ponieważ najwyższa decyzya, zapadła pod datą 21 lipca, określa sposób postępowania w podobnych razach na przyszłość.“ Dzieło Harnoncourt'a i Balscha otrzymało, aczkolwiek po czasie, sankcyę najwyższą. Dnia 14 września zapadła nowa rezolucya cesarsko-królewska, mocą której sądom doraźnym podlegać mieli wszyscy pochwycony powstańcy, choćby ich nie ujęto z bronią w rękę. A akcyę prześladowcza była już w pełnym toku.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Protokół lwowski pod datą 14 lipca i 26 sierpnia; tamże wyciąg z dekretu Dyrektoryum; tamże pod datą 26 września wiadomość o najwyższem postanowieniu z 14 t. m.



Niedawno—z końcem lutego 1797 roku—imperator Paweł I robił wyrzuty austriackiemu dyplomacie z powodu zbytnej pobłażliwości galicyjskiego rządu. „Kilku aktów surowości, zarządzonych u nas przeciw winnym — pisał Cobenzl dnia 2 marca do kancelaryi Dworu i Stanu — wywarłyby w chwili obecnej bardzo dobre wrażenie u Pawła I...“<sup>1)</sup>

W kilka miesięcy później nie miał już dwór petersburski powodów do podejrzeń i skarg na zgubną pobłażliwość Austrii. Pomędzy rządem jej, a polskim społeczeństwem stanęły na długie dziesiątki lat cienie straconych żołnierzy polskich i jęki katowanych więźniów.

MARYAN KUKIEL.

<sup>1)</sup> Raport Cobenzla z 2 marca 1797 r., apostille 2 (Arch. Dworu i Stanu).

# ORGANIZACYA POŚREDNICTWA PRACY.

Ekonomiści szkoły liberalnej, analizując istotę pracy roboczej, wypowiadają myśl mniej więcej jednakową, myśl brzmiącą bezwzględnie i dogmatycznie: „Praca ludzka, jak każdy przeciętny towar, stanowi przedmiot tranzakcyi handlowej. Unormowanie pracy roboczej zależy przedewszystkiem od ogólnej konjunktury rynkowej, a więc zapotrzebowania i zaofiarowania sił roboczych. Inne czynniki nie grają w tym względzie żadnej roli. Ani pracodawca, ani państwo, czy społeczeństwo nie mają mocy wpływać na uregulowanie pracy zarobkowej.

Zdania te podniesione zostają do dogmatu przez Lassalla, który w swem znanem „prawie śpiżowem pracy roboczej“ wskazuje na tendencję kapitalistyczną, dążącą do świadomego i ciągłego obniżania skali wynagrodzenia. Prawo śpiżowe bezlitosne dla robotnika — zawiera zapowiedź jego smutnej, beznadziejnej egzystencji.

Nie może być mowy o polepszeniu bytu robotniczego. Wszelka działalność społeczna stanowi w dzisiejszym ustroju kapitalistycznym jedynie paliatyw.

Rozwój stosunków życiowych zaprzecza prawdziwości podobnie jednostronnego traktowania sprawy. Bez przesadnego optymizmu społecznego możemy chyba z całą stanowczością twierdzić, że położenie robotnika zmieniło się na lepsze nie tylko absolutnie, lecz stosunkowo.

Wbrew beznadziejnym twierdzeniom indywidualistów, stojących w tym wypadku w jednym szeregu z przedstawicielem zniwanidzonego przez siebie socjalizmu, Lassallem, społeczeństwo



w Zachodniej Europie i państwo umiało stworzyć cały szereg instytucyj. Urządzenia te podniosły pod każdym względem poziom społeczny i materyalny robotników.

Równocześnie sami pracujący na drodze samopomocy starają się walczyć o swe prawa. Dzisiejszy robotnik nie jest owym ciemnym proletaryuszem pierwszej połowy XIX wieku, gdy fabrykant był nieograniczonym panem położenia.

I wśród organizacyj, których zadanie ma polegać między innymi na polepszeniu bytu robotniczego, wysuwają się na plan pierwszy biura pośrednictwa pracy, od niedawna dopiero prowadzone na szeroką skalę społecznej inicjatywy. Biura zbliżają pracodawcę i robotnika. Wyszukują dla pozbawionych pracy zajęcie—starają się zapobiedz tej tak często powtarzającej się klęsce braku robotnika z jednej strony, a nadmiaru sił roboczych—z drugiej. Pośrednictwo pracy nie może mieć charakteru przedsiębiorstwa handlowego, jeżeli chce sprostać swemu celowi. W dzisiejszych zachodnio-europejskich instytucjach pierwiastek społeczny, jak zobaczymy poniżej, w większości wypadków należycie uwzględniono.

Istniejące obecnie biura są wytworem ostatnich stosunkowo czasów. W dawniejszych epokach pracę powyższą prowadzono poniekąd sporadycznie. W okresie panowania cechów, gdy duchem korporacyjnym przejęte było średniowieczne społeczeństwo, majstrowie cechów sami zajmowali się wyszukiwaniem pracy. Uczeń czy też czeladnik meldował się w cechu. Sprawdzano, czy odpowiada wymaganiom. Zwykle pracowity czeladnik nie mógł odejść z kwitkiem w imię obowiązującej zasady: „cech jest jedną wielką rodziną, do której należy wspomagać słabszych towarzyszy.“ Punkt widzenia zaczerpnięty z tradycyj bractw rzemieślniczych, z których powstały w większości wypadków średniowieczne cechy.

Już w XV i XVI wieku widzimy pewne zmiany w tym kierunku. „Sielanka cechowa“ doznaje znacznych wstrząśnień. Majstrowie nie okazują dawnego uczucia „ojcowskiej miłości“ do czeladników, stanowiących niepożądanych współzawodników w rzemiośle. Stosunki, jak wiadomo, zaostrzyły się do tego stopnia, że czeladnicy występują zbrojnie przeciw uroszczeniom cechów. Powstają osobne, niezależne związki czeladne, które wypisały na swym sztandarze walkę w celu uzdrowienia organizacyi cechowej.

Związki, wzmocniwszy się na siłach, zdołały ująć w swe ręce pośrednictwo pracy. Każdy czeladnik wiedział, że znajdzie w obcym mieście gospodę, gdzie otworzą mu gościnnie wrota. Starszy izby czeladnej (Herbergsrater) miał obowiązek wyszuka-

nia mu stosownej pracy. Przeprowadzono wogóle zasadę, że czeladnik może otrzymać zajęcie li tylko za pośrednictwem przełożonego swej gospody. Inaczej majstrowie nie mieli prawa przyjmować zgłaszających się do nich bezpośrednio. W ten sposób związek czeladny osiągnął zupełną kontrolę nad uregulowaniem tej sprawy. Równocześnie rozwija się pośrednictwo pracy, jako prywatne przedsiębiorstwo. Raisenstein, w swym dziele „Der Arbeitsnachweis“ (1897) wspomina, że w pierwszej połowie XIV wieku cztery córki manki króla Jana Dobrego, w celu dostarczenia zdrowych mamek dla dworu królewskiego i domów znaczniejszej szlachty, zakładają biuro, które miało podobno duże powodzenie. Skarżyli się tylko ówczesni, przytaczamy na odpowiedzialność cytowanego powyżej autora, że kantor pobierał zbyt duże wynagrodzenie. Daleko już później, w r. 1580, powstaje projekt Montaignes'a, który chciał stworzyć pewnego rodzaju generalny instytut pośrednictwa dla dostarczania towarów i ludzi. Projekt zostaje urzeczywistnionym przez medyka nadwornego Ludwika XIII, Renaudot, który otrzymuje patent królewski na założenie podobnego rodzaju biura. Skończyło się jednak na dostarczaniu dla dworu oficyalistów rolnych.

W epoce rozluźnienia związków cechowych stosunki się zmieniają. Cech traci swoje pierwotne znaczenie i sprawa zostaje w zawieszeniu. Zjawiają się warsztaty większe, pierwotne fabryki zaczynają rugować dawną wytwórczość rzemieślniczą. O organizacyi pośrednictwa pracy na wzór dawnej rzemieślniczej nie ma mowy. Dostarczanie pracy staje się jednym z obowiązków ówczesnej dobroczynności. Pisarze społeczni XVII i XVIII wieku pragną za pomocą dostarczania pracy załatwić wogóle kwestyę ubogich.

Panująca wówczas doktryna merkantylistyczna wychodziła z założenia, że społeczeństwo ma możność rozwiązać zupełnie prawidłowo sprawę ubogich przez skierowanie ich do pracy. Zamiast ślepej jałmużny, która nie przynosi żadnej korzyści na dłuższą metę, dawajmy nędzarzom pracę, powrócmy ich do życia pożytecznego—pisali publicyści XVIII wieku. Wskazówki, głoszone przez teoretyków tamtejszej epoki, znalazły zastosowanie w praktyce, szczególniejszej Anglia umiała dużo w tym kierunku działać. Racionalne na pierwszy rzut oka zapatrywanie w praktycznem jednakże zastosowaniu na szerszą skalę nie przyniosły znacznych rezultatów. Robotników, pracujących przymusowo, prosto wyzyskiwano. Kapitalista poczytywał sobie za wielką zasługę społeczną, że dawał zajęcie w swej fabryce wykolejonym



elementom. Z drugiej strony te pierwsze zastępy proletaryatu fabrycznego niezwiązane były w jakikolwiek sposób z warsztatem pracy. Robotnicy ci wiedzieli, że los ich nie poprawi się zupełnie, chociażby przedsiębiorstwo rozwijało się znakomicie, pracowali niechętnie, bez zapału. Praca nieprzynosiła rezultatów należytych.

Nic też dziwnego, jak słusznie zaznaczają badacze rozwoju kwestyi społecznej, że z powodu wpływania do przemysłu różnych żywiołów wykolejonych produkcya fabryczna nie mogła odpowiednio się rozwijać. Należy jednak zaznaczyć, że w pewnych wypadkach, jak np. w urządzeniach dobroczynnościowych Hamburga (około 1790 r.), zdołano osiągnąć przez systematyczne kierowanie żebraków do pracy, dodatnie rezultaty. Naogół jednak wielkie nadzieje, pokładane w podobnego rodzaju rozwiązaniu sprawy, zawiodły, tembardziej, że przedsięwzięcia rewolucyi francuskiej, aby za pomocą warsztatów narodowych zapewnić wszystkim pracę, nie odegrały żadnej wybitnej roli.

Zapatrywania zmieniają się zatem zasadniczo. Panująca doktryna liberalna pragnie znieść wszelką inicjatywę państwową czy społeczną na polu działalności ekonomicznej. Jeżeli są jakie biura pośrednictwa pracy, w organizacyi swej oparte bywają na indywidualnych wysiłkach i stanowią rzemiosło, prowadzone dla zarobku. O społecznym pierwiastku w pierwszej połowie XIX w. niema jeszcze mowy.

Specyjalnie cieszyły się ogromnem powodzeniem we wszystkich krajach europejskich biura stręczenia służby domowej i czeładzi. Kantory powyższe przynosiły duży zysk przedsiębiorcom.

Brak określonych norm prawodawczych wprowadził ogromne zamieszanie. Niekiedy prywatni przedsiębiorcy starali się na niekorzyść pracujących wyzyskać swoje położenie. Wiadomem jest powszechnie, że najlepiej wychodzą materyalnie ludzie, czerpiący swe zyski ze stosunków pieniężnych z ludnością mniej zamożną. Nadużycia skłoniły rząd francuski do wydania w r. 1852 ustawy, regulującej prowadzenie przedsiębiorstwa.

Był to pierwszy krok w tym względzie w Zachodniej Europie. Ustawa robi zależnem prowadzenie biura od uzyskania koncesyi. Organy municypalne mają rozstrzygać, czy dana jednostka zasługuje na zaufanie, czy pod względem moralnym i prawnym odpowiada wymaganiom. Właściciel biura powinien przedsiębiorstwo swe prowadzić w lokalu zabezpieczonym należycie co do warunków zdrowotnych. Zdarzało się bowiem bardzo często, że szukający pracy przymuszeni byli dnie całe przepędzać w brudnych, nieopalanych pomieszczeniach. Dla kontroli ze strony po-

licy obowiązkowem jest prowadzenie stosownego rejestru, do którego należy wpisywać wszystkie zgłoszenia. Nie otrzymuje nikt miejsca, dopóki nie zostaje zanotowanym w rejestrze. Ustawa przewiduje również przepisy, co do wysokości wynagrodzenia za pośrednictwa. Jest oznaczoną ściśle taryfa, której przekroczenie pociąga za sobą stratę koncesyi. Nie wolno pobierać żadnych wynagrodzeń dodatkowych za wyrobienie miejsca. Zapłata za pośrednictwo zostaje dopiero pobraną po otrzymaniu przez daną jednostkę pracy.

W ten sposób starano się choć w części zapobiedz rozszerzającym się w zastraszający sposób nadużyciom. Niejednokrotnie bowiem zdarzało się, że całe biuro stanowiło humbug wyzyskiwania łatwowiernych. Płacono wkładki, a nie otrzymywano nic wzamian. Zjawisko, którego byliśmy świadkami przed niedawnym czasem na naszym gruncie. Prawodawstwo francuskie, robiące pierwszy wyłom w „świętej i nienaruszalnej,“ podług ówczesnych pojęć, wolności gospodarczej, poprawiło poniekąd warunki. Inne państwa europejskie poszły za przykładem Francyi.

Najlepsza jednakże ustawa nie zapobiegnie złemu. Istota pozostała ta sama: los pracującego zależy od niezawsze uczciwych pośredników, którzy umieją obejść prawo i wyzyskać położenie. Należało wogóle usunąć pośrednictwo prywatne, które traktuje sprawę z punktu widzenia jedynie zysków materialnych. Już w drugiej połowie przeszłego stulecia starali się wybitni działacze we Francyi, jak J. Molinari i prefekt Sekwany, Ducoux, o wprowadzenie instytucyj, któreby umożliwiły do pewnego stopnia wyrównanie stosunku podaży do popytu w różnych miejscowościach. Nie odrazu jednakże gmina ujęła w swe ręce tę sprawę. Starano się w części obejść pośrednictwo prywatne przez powoływanie do życia różnorodnych instytucyj, o szerszym już podkładzie—natury bardziej społecznej.

Mamy tutaj do zanotowania działalność organizacyj dobroczynnych, następnie związków robotniczych i przedsiębiorców. Myśl, aby działalność dobroczynna zajęła się dostarczaniem pracy dla ubogich, nie jest nową. Wspomnieliśmy powyżej, że panujące prądy ekonomiczne XVII i XVIII stulecia starały się poniekąd rozwiązać sprawę ubogich przez skierowanie ich do pracy. U nas, w Polsce, istniało np. w 1545 r. założone bractwo św. Jana, które postawiło sobie za zadanie wyszukiwać pracę zdolnym a znajdującym się bez zajęcia ludziom. Instytut hamburski w końcu przeszłego stulecia wprowadził w czyn te same zasady. Czytamy w sprawozdaniu z r. 1791: „Im Hamburg giebt es keine offen-



tlichen Bettler, niemand kann in Hamburg not leiden.“ Organizacje hamburskie nie utrzymały się długo. W wieku XIX zasłynęło ze swych filantropijnych urzędzeń miasto niemieckie Eberfeld. Dzięki swej sprawnej organizacji wewnętrznej system eberfeldzki zdobył uznanie ogólne i zaczęto naśladować urządzenia eberfeldzkie nie tylko w Niemczech, ale i w całej Europie. Urządzono tam wzorowe biuro pośrednictwa, będące w zawiadywaniu instytucji filantropijnej. Biuro uwzględnia nie tylko zgłoszenia potrzebujących pracy, ale równocześnie samo wyszukuje pozabawionych zajęcia i stara się odnaleźć im stosowne miejsca. Cały szereg opiekunów ma za zadanie bezpośrednio dowiadywać się o poszczególnych wypadkach, aby w możliwie krótkim czasie zaradzić. Biuro, założone w końcu 1860 r., ma przeważnie lokalny charakter, oddało jednakże wielkie usługi dla samego miasta. Pośrednictwo prywatne nie gra tutaj żadnej roli.

W kilka lat później założono w Sztuttgarcie podobną instytucję: Stuttgarter Bureau für Arbeitsnachweis. Założyciele instytucji w samej ustawie zaznaczyli, że biuro ma na celu okazać pomoc społeczną z jednej strony pracodawcom, którzy cierpią niejednokrotnie na brak odpowiednich sił roboczych, z drugiej zaś pozabawionym zajęcia robotnikom. Pośrednictwo oparte jest na zupełnej bezpartyjności i bezstronności. Robotnicy, szukający zajęcia, płacą 20 f. wpisowego. Sumę tę zwraca biuro w razie, gdy nie znajdzie się odpowiednie zajęcie. Pracodawcy płacą 40 f., które nie są w żadnym razie zwracane.

Podobną organizację posiada biuro berlińskie, następnie biura dobroczynności publicznej w Anglii i Austrii. Przed kilkoma laty przy Towarzystwie dobroczynności założono u nas w Warszawie analogiczną instytucję, o której mówić będziemy niżej przy rozpatrywaniu naszych wogóle stosunków. Instytucje jednak dobroczynnościowe nie cieszą się powodzeniem wśród sfer robotniczych. W ostatecznych tylko razach robotnik uświadomiony chce korzystać z pomocy filantropijnej, widząc w tem, słusznie czy niesłusznie, patronat klas posiadających. Należy również dodać, że niektóre biura wprowadziły zbyt daleko idącą kontrolę „moralności,” co się odbija niekorzystnie na stosunku wzajemnym do robotników. Z tego też powodu i organizacje przedsiębiorców na tem polu nie znajdują wiele uznania.

Pośrednictwo pracy przez związki przedsiębiorców odbywa się na zasadzie prawodawstwa przemysłowego większości państw europejskich. Dany punkt głosi, że związki fabrykantów mają prawo brać w swe ręce inicjatywę pośrednictwa pracy. Niektóre

z tych związków, szczególnie w Niemczech, aby przeciwstawić się korporacyom robotniczym i wytworzyć pewnego rodzaju przeciwwagę, starały czynnie zająć się tą sprawą (związek fabrykantów branży metalowej, cygar etc.). Tutaj wchodzi w grę względy natury czysto politycznej: przedsiębiorcy pragną utrzymać kontrolę nad robotnikami. Pracujący, którzy nie dotrzymają z jakichkolwiek bądź względów do czasu, zastrzeżonego w kontrakcie, albo też robotnicy, grający rolę w strejkach lub należący do obozu socjalistycznego, są skazani na bojkot. Nie otrzymają pracy w fabrykach, należących do związku. Fabrykanci, aby cele powyższe rzeczywiście w życie wprowadzić, muszą się zobowiązać brać robotników tylko za pośrednictwem swego związku. W ten sposób główna zasada idei pośrednictwa pracy—bezstronność, zostanie spaczoną przez pierwiastek czysto politycznej natury.

Względy polityczne zawarte są poniekąd i w pośrednictwie pracy, prowadzonym przez związki zawodowe robotnicze. Klasycznym krajem organizacyj pracujących jest Anglia. Trades-uniony angielskie, które początkami swymi sięgają XVIII stulecia, zdołały zogniskować w swych szeregach cały wykwalifikowany proletaryat fabryczny. Robotnicy angielscy w połowie XIX stulecia przeszli przez ogień rewolucyjny. T. zw. ruch czartystów, zmierzający do wywalenia swobód dla klasy robotniczej, pociągnął za sobą wiele ofiar. Była to jednak doskonała szkoła polityczna. I od r. 1848, t. j. od czasu gdy czartyzm stracił zupełnie znaczenie, robotnicy angielscy weszli na drogę pracy ewolucyjnej. Proletaryat zachodnio-europejski w owej epoce budził się dopiero, robotnik angielski, po przebyciu ciężkiej drogi doświadczeń, mógł myśleć o twórczych czynach. Trades-uniony, nie wyrzekając się walki o prawa robotnicze, pragną pokojowego załatwienia sporu między pracą a kapitałem. Zajmując stanowisko konsekwentne, związki te zdołały wywalczyć uznanie kapitalistów, którzy muszą się liczyć z taką kolosalną potęgą...

Jednym z głównych zadań, które zakresliły organizacje angielskie, jest *pośrednictwo* pracy. Powyższa działalność prowadzoną jest na zasadach daleko idącej decentralizacji. Punkt ciężkości spoczywa na związkach lokalnych, które mają obowiązek przesyłania miesięcznych sprawozdań o wolnych miejscach i równocześnie o liczbie pozbawionych pracy. Każdy z członków stowarzyszenia obowiązuje się również do dawania znać o każdym miejscu w instytucyi, w której pracuje. Jeżeli okaże się, że członek związku pomógł w zdobyciu zajęcia człowiekowi obcemu z pominięciem swych towarzyszy korporacyjnych — spotyka go kara. Z drugiej



strony niektóre związki wypłacają dla zachęty niewielką nagrodę każdemu ze swych członków, który dostarczy pracy swemu koledze. Dzięki tym urządzeniom, każdy z członków ma zupełny obraz rynku pracy wewnątrz swego związku lub zawodu, dokładne wiadomości o wszystkich miejscach wolnych, w dodatku w wielu związkach, o ile członek udaje się dla objęcia pracy do innej miejscowości, otrzyma zasiłek na drogę i przeprowadzkę.

Możliwość przeprowadzenia w ten sposób całej działalności możliwą jest li tylko na gruncie angielskim, gdzie stowarzyszenia robotnicze zdołały wywalczyć w stosunku do pracodawcy poważne stanowisko. W Niemczech sprawa się przedstawia zupełnie inaczej: tutaj stowarzyszenia robotnicze nie są jednolitego charakteru. Dzielią się one na czysto socjalistyczne, demokratyczno-chrześcijańskie, liberalne (Hirsch-Dunkerowskie) oraz od niedawnego czasu przybyły jeszcze narodowe (polskie). Wszystkie te związki z samego swego zabarwienia służą przede wszystkim celom natury politycznej—chęć wyrobić swych członków w zasadach danej partji czy stronnictwa.

Wobec tego, mało wogóle mogą się zajmować sprawami pośrednictwa pracy. Kapitałiści niechętnie zresztą występują wobec powyższych stowarzyszeń. Pamiętnym jest fakt niedawny w czasie ogólnego bezrobocia robotników górniczych w t. zw. Rulrgebiet. Kilku „baronów górniczych“ nie chciało zupełnie wchodzić w pertraktacye z potężnymi organizacyami robotniczymi, liczącymi tysiące członków. Stali na punkcie widzenia brutalnego manchesteryanizmu: uznajemy indywidualnego robotnika, nie chcemy mieć do czynienia z nieznanymi nam stowarzyszeniami. Urzędy więc pośrednictwa pracy, prowadzone przez związki niemieckie, nie cieszą się zaufaniem pracodawców, widzących w tych organizacyach członków wrogich sobie poglądów.

Trochę lepiej sprawa przedstawia się na gruncie austriackim, gdzie związki zawodowe wzięły na swoje barki pośrednictwo pracy. Stowarzyszenia w Austrii noszą charakter narodowy, są wszystkie zabarwienia socjalistycznego, jednakże z powodu swych antagonizmów nacyonalnych muszą uwzględniać nietylko interesy czysto robotnicze, ale również i szersze—ogólno-narodowe. Na najwyższym stopniu rozwoju pod tym względem stoją Czechy. Organizacye robotników czeskich, uznając solidarność proletaryatu w platonicznej teoryi, bardzo jaskrawo podkreślają swoją odrębność narodowościową i prowadzą politykę zupełnie samodzielnią, niezależną od wskazówek centralistów wiedeńskich.

Miałem sposobność przed niedawnym czasem poznać ową organizacyę pośrednictwa pracy, skoncentrowaną w rękę czeskich robotników. W dużym pałacu, na Hyberske náměstnie—pałacu, należącym do „dumnego rodu“ hr. Kinských, pomieściły się instytucye kulturalne robotnicze. Znajduje się tam centralne biuro stowarzyszeń spożywczych, uniwersytet ludowy oraz centralne biuro związków zawodowych. Wchodzimy do małego pokoiku. Ogromny biust Marksa rzuca się przedewszystkiem w oczy. Jesteśmy w samym sercu „knowań anti-burżuazyjnych“. Przypomina się redakcyja pism rewolucyjnych, wystawiana niejednokrotnie w różnych dramatach pour epater les bourgeois. Sekretarz biura, znany działacz społeczny, Steiner, dawny poseł do parlamentu, udziela informacyj. Związki zawodowe czeskie, podobnie jak austriackie, rozwinęły żywą działalność na polu pośrednictwa pracy. Czescy przedsiębiorcy zwracają się do związków nader chętnie. Objasniono mi, że tajemnica zdobycia zaufania pracodawców polega na dostarczaniu bezwzględnie dobrych robotników. Związki pośredniczą tylko dla swych członków. Robotnik niestowarzyszony otrzymuje pracę dopiero po wstąpieniu do związku. Stowarzyszenia starają się niewykwalifikowanych robotników skierowywać do robót ziemnych, przy budowie mostów, budowli etc., t. j. tam, gdzie chodzi przedewszystkiem o siłę fizyczną. W poszczególnych wypadkach związek poniekąd bierze na siebie odpowiedzialność za dostarczanych robotników, stara się też na swoją rękę, jak głosi sprawozdanie,<sup>1)</sup> zdobywać wiadomości o danym kandydacie. Pośrednictwo pracy oparte jest na decentralizacyi, t. j. podług przykładów angielskich i niemieckich, każdy związek lokalny prowadzi pracę na swoją rękę, donosząc jedynie centralnemu sekretaryatowi o ruchu na rynku pracy.

Charakterystyczne jest stanowisko w czasie strejku. Wiadomo, że związki niemieckie socyalistyczne po wybuchu bezrobocia wykazują bezwzględną solidarność. Przejorniej postępują robotnicy czescy: o ile bezrobocie przeciąga się z winy robotników, godzą się pośredniczyć w wyszukiwaniu pracowników innych. Sprawozdania zaznaczają, że związki nie chcą brać na siebie odpowiedzialności za niezgodne z zasadami „honoru proletaryackiego“ postępowanie. Równocześnie jednak nie zaniedbują użycia bojkotu

<sup>1)</sup> Steiner J. A. Škatula E. Deset roku odborového. hnutí československého. Zpráva sekretariátu Odborového Sdružení českoslov. k. IV, odborového mu sjezdu organizací československých konanemu 28 zří 1907 w Praze.



przeciw łamistrejkom lub też tym pracodawcom, którzy nieludzko obchodzą się z robotnikami. Na pierwszej stronie pism zawodowych robotniczych widzimy ostrzeżenia, aby w tych i tych przedsiębiorstwach z takich a takich powodów nie szukać pracy. Organizacje zatem czeskie, nad których rozwojem zatrzymałem się nieco dłużej, przedstawiają to charakterystyczne zjawisko, że są stowarzyszeniami natury politycznej (partyjnej)—jednakże umieją nadać swej działalności charakter bezstronny w sprawach ogólnokulturalnej natury.

Niewielkimi rezultatami mogą się wykazać biura pośrednictwa pracy robotników francuskich. Zadanie to podjęły z jednej strony syndykaty robotnicze i przedsiębiorców, z drugiej—t. zw. *compagnonnages* — związki czeladników. Zrzeszenia te przypominają w swym wewnętrznym ustroju dawne korporacje czeladników, którzy wiązali się w obronie swych praw. Instytucje te nie osiągnęły znacznych rezultatów.

I w innych krajach organizacje robotnicze na polu pośrednictwa pracy nie odbiegają daleko od ogólnego typu.

Wogóle, jak widzimy z charakterystyki poszczególnych form pośrednictwa pracy, prowadzonego przez poszczególne korporacje, działalność w tym kierunku nie odznacza się, z wyjątkiem może Anglii i Czech, dużym napięciem.

Jeden z poważniejszych ekonomistów niemieckich, prof. Jastrow, wydawca specjalnego pisma, poświęconego tej sprawie (*Arbeitsmarkt*), pisze co następuje: „Wynik przeglądu pośrednictwa pracy jest do pewnego stopnia przerażający. Rozpoczęliśmy go z myślą określenia względnej wartości działalności zakładów wyszukiwania pracy, utrzymywanych przez robotników i pracodawców i unyślne stowarzyszenia—kończymy zaś stwierdzeniem faktu, że działalność wszystkich tych zakładów niknie zupełnie. Przyczyny tego zjawiska są — z jednej strony niechęć robotnika do wszelkiej akcyi filantropijnej w dziedzinie społecznej, z drugiej zaś — zabarwienie polityczne, którem odznaczają się związki bądź robotników, bądź pracodawców.“ Dlatego też należało zasadniczo zmienić w tym względzie podstawy dotychczasowej działalności, wprowadzając *gminne* wyszukiwanie pracy. Pierwszy przykład na tem polu dała Francya. Do najlepszych jednak stosunkowo wyników doszło szwajcarskie pośrednictwo pracy. Pod wpływem obrad komisji administracyjnej z r. 1882 dla badania kwestyi robotniczej wniesiono w r. 1886 do paryskiej rady municipalnej projekt urządzenia z ramienia gminy centralnej giełdy pracy o rozgałęzieniach w różnych punktach miasta. W lutym

1887 r. nastąpiło otwarcie pierwszej takiej instytucji, która nie nosiła czysto bezpartyjnego charakteru. Była zato organizacya polityczna, subwencyonowana przez gminę. Uczy nas o tem sprawozdanie: „Pozostawszy nadal na podstawie wolnej umowy, macie panowie, jeżeli nie obowiązek, to prawo dostarczenia robotnikom środków do walki z kapitałem przy pomocy równej, legalnej broni; bez giełdy pracy pozostanie stale ciężkiem położenie syndykatów robotniczych. Tem samem staje się koniecznem, by ci ostatni rozporządzali lokalami i biurami, do których każdy może przyjść bez obawy, że pociągnie to za sobą koszta; możność zbierania się w lokalach takich pozwoli robotnikom zapoznać się i zgłębić liczne kwestye, dotyczące ich rzemiosła; umożliwionem im będzie śledzenie rozwoju produkcyi w każdej gałęzi przemysłu i to nietylko Francyi, ale świata całego. Robotnicy zmuszeni dzisiaj ograniczyć się na wyrażaniu swych cierpień w sposób gwałtowny, wobec którego władze stoją bezradne — w inny sposób zaczną wpływać na zmianę swego położenia.“ W istocie więc szło przedewszystkiem o skierowanie ruchu robotniczego w odpowiednie łożysko.

Połączenie zadań czysto ekonomicznych z politycznemi stało się niebawem zdradzieckiem dla giełdy pracy. Instytucye stały się terenem walki partyjnej. W parę lat potem zamknięto paryską giełdę pracy, którą otwarto ponownie w r. 1895. Postarano się przytem, aby prefektura Sekwany oraz rada gminna dostateczny posiadały wpływ w zarządzie i administracyi giełdy pracy. Nie uzdrowiło to jednak w dostateczny sposób stosunków. Byliśmy świadkami niedawnych zająć między organizacyami giełdy pracy, a władzami administracyjnemi.

Na gruncie francuskim doktrynerskie postawienie sprawy i połączenie dwóch odrębnych zupełnie zadań społecznych — idee słuszną w zasadzie wykrzywiło w praktyce.

Lepiej poczęła sobie w tej mierze Szwajcarya.

W roku 1888 miasto Bern otworzyło miejskie biuro pośrednictwa pracy, które stara się zadośćuczynić potrzebom wszystkich gałęzi pracy. Obydwie strony — poszukująca pracowników i poszukująca pracy — płacą pewne minimalne wpisowe. W wypadkach strejku w jakiejś branży biuro przerywa swoje pośrednictwo aż do ostatecznego załatwienia sprawy. W berneńskim biurze pracy główny zarząd spoczywa w ręku władz miejskich. W Bazylei otwarto podobne biuro w r. 1889; nosi charakter czysto państwowy. Kanton pokrywa wszelkie niedobory, starając się, aby koszta robotników, poszukujących pracy, wypadły jaknajniższe.



Wprowadzono jednakże, zdaniem naszym, nader słuszną zasadę, że biuro pobiera zawsze minimalne wpisowe, aby wyłączyć jakikolwiek moment dobroczynnościowy. Władze kantonalne mają ogólny nadzór nad prowadzeniem biura. Pozatem do zarządu należą przedstawiciele robotników i pracodawców.

Powyższe biura, oparte na zupełnej bezpartyjności, oddają wielkie przysługi poszukującym pracy. Biura komunikują się z podobnymi organizacyami w Szwajcaryi, aby mieć dane o rynku pracy. Nie było to jednak wystarczającym i powyższemu brakowi postarano się zaradzić, jak zobaczymy niżej, na innem polu.

W Niemczech pierwszy Sztuttgartardt założył biuro, wzorowane na szwajcarskich. Biura jednakże niemieckie miały jeden zasadniczy błąd: pierwotnie usunięto od udziału w zarządzie robotników zorganizowanych zawodowo lub robotników wogóle. Dzięki temu, wytworzył się wrogi stosunek pomiędzy gminnymi biurami pośrednictwa pracy a biurami stowarzyszeń zawodowych. Jeszcze w r. 1896 oświadczył się kongres zawodowy w Berlinie stanowczo przeciw komunalnej inicjatywie w tym względzie. Mimo to jednakże powoli przełamano niechęć i w r. 1899 kongres zawodowy we Frankfurcie n/M. przyznał, „że wobec panujących stosunków w niektórych miejscowościach, korzystniejszym będzie dla niektórych zawodów przystąpienie do gminnych biur pośrednictwa“. Postanowili tylko pewne wytyczne zasady, aby zarząd spoczywał w rękach komisji, złożonej z przedstawicieli pracodawców i robotników, dalej, aby biura odmawiały usług nieuczciwym pracodawcom. Poniekąd te postulaty wcielono w czyn. Istniejące biura niemieckie, komunalne, jak również i biura w innych krajach, są oparte na następujących mniej więcej podstawach: Nie przeważają w tych organizacyach ani wpływy robotników, ani pracodawców—ponieważ wszelka przewaga wpływów jednostronnych działałaby w sposób ujemny na szerokość rozpowszechnienia ich czynności. Biura opierają się na zasadzie pełnego samorządu, w którym są uwzględniane interesy pracodawców i robotników.

Gminy wiejskie i miejskie zakładają społeczne biura pośrednictwa pracy. Instytucje te otrzymują stosowne zapomogi, wewnętrzna zaś administracya zależy od gmin. Na czele stoją zaufani mężowie ze strony pracodawców i pracujących — prezesem zarządu jest przedstawiciel gminy. Dla stworzenia możliwie dokładnego obrazu rynku pracy przestrzegana jest przy zbieraniu danych statystycznych możliwie ścisła klasyfikacya podług gałęzi pracy.

W tych mniej więcej ramach zamyka się organizacya tych instytucyj, różniących się ze sobą w pewnych poszczególnych punktach. Zasada pozostaje na ogół jednakową.

Przy określaniu zakresu działalności pozostają dwie ważne kwestye do rozstrzygnięcia: Jakie stanowisko ma zająć biuro w czasie bezrobocia — oraz czy usługi za pośrednictwo mają płacić strony zainteresowane lub państwo, ewentualnie gmina. Niejednokrotnie pracodawcy wymagali, aby biura wyszukiwania pracy nie brały wcale pod uwagę strejku i nie zmieniały w niczem z tego powodu swego postępowania. Robotnicy pragnęli, aby biura zawieszały zupełnie swoją działalność w miejscowości, gdzie zdarza się bezrobocie. Nie mogło dojść do porozumienia. Obydwie strony przytaczały cały szereg uzasadniających dane poglądy argumentów. W r. 1893 robotnicy berlińscy zaproponowali, aby działalność biura skierować w czasie strejku przeciw tej ze stron, która wrazie zatargu odmawia zwrócenia się do pośrednictwa sądu przemysłowego. Pogląd ten wchodzi coraz częściej w życie w tych krajach, gdzie wprowadzono wspomniane instytucye. Kwestya pozostaje jednak nieuregulowaną w krajach nieposiadających powyższych instytucyj. Na naszym gruncie naprzykład nie prędko sprawa sądów rozjemczych wejdzie na porządek dzienny. A tymczasem biuro pośrednictwa pracy, oparte na zasadach więcej społecznej natury, otrzymać możemy w niedalekiej przyszłości. Sprawa tem trudniejsza do rozstrzygnięcia, że podobna instytucya u nas musi postępować w sposób bardzo ostrożny, aby nie zrazić żadnej ze stron zainteresowanych. Nie jesteśmy w stanie jednostronnie powiedzieć: stajemy po tej lub tamtej stronie. Polityka społeczna musi wychodzić z założenia, że w pewnych wypadkach strejk jest konieczną bronią w rękach robotnika, jest zjawiskiem, powtarzającym się coraz częściej w naszych warunkach gospodarczych. Równocześnie nie możemy odmówić słuszności tym przeciwnikom strejku, którzy wskazują na smutne skutki „orgii“ strejkowej w naszym kraju...

Zdaniem mojem wypada w tych specjalnych warunkach, w jakich znajduje się nasze życie gospodarcze, wybrać drogę poniekąd pośrednią. Biuro pośrednictwa pracy nie ma prawa zachowywać się neutralnie, t. j. przechodzić nad sporem między kapitalistą a robotnikiem do porządku dziennego. Byłoby to wprost niebezpiecznie dla dobra samej sprawy. Przemysłowcy nasi, niestety, nie dowiedli jeszcze zupełnej dojrzałości społecznej. Postępowanie sfer przemysłowych łódzkich jest jaskrawym tego dowodem (obniżanie obecnie zarobków etc.). Biuro pośrednictwa pra-



cy o ile chce stać na gruncie społecznym powinno badać dokładnie każdy poszczególny wypadek. Zgłasza się np. przemysłowiec z żądaniem robotników, z powodu strejku w jego fabryce. Wtedy biuro sprawdza, z czyjej winy nastąpił strejk — wchodzi tem samym siłą rzeczy w rolę rozjemcy. Dopiero po należytem zbadaniu sprawy może wydać stosowną decyzję. Po pewnym czasie takiego postępowania sfery przemysłowe pojmą, że działają tutaj pobudki szerszej społecznej natury.

O drugim ważnym punkcie—bezpłatności pośrednictwa—toczą się spory po dziś dzień. Kongres związków zawodowych w r. 1899 wypowiedział się stanowczo za bezpłatnością. W Niemczech w większości wypadków praktyka wykazała dobre skutki bezpłatnego wyszukiwania pracy. Przykład Szwajcaryi wskazuje na zupełnie inne zjawisko, gdzie podobnie, jak we Włoszech, biura mają zasadę pobierać pewną, bardzo niską zresztą, zapłatę.

Niejednokrotnie rozmawiałem w tej sprawie z działaczami szwajcarskimi, którzy, podług mnie, wypowiadali całkiem słuszny pogląd; z punktu widzenia pedagogiki społecznej jest nader ważnem, aby nie przyzwyczajając sfer robotniczych do darmowego korzystania z instytucyj społecznych. Należy ustanowić minimalną zapłatę, którą wypada ściągać, jako wpisowe. Wtedy stosunek robotników do instytucyi staje się zupełnie innym—upada zupełnie pierwiastek patronatu, czy specjalnej opieki. W każdym bądź razie kwestya powyższa pozostawia jeszcze pole do dyskusyi.

Na naszym gruncie naprzykład kierownicy wydziału pracy przy Warsz. Towarzystwie Dobroczynności wypowiadają się stanowczo przeciw pobieraniu jakiegokolwiek wpisowego. Ani poszukujący pracy, ani pracodawcy w dzisiejszych warunkach nie będą nic płacili za pośrednictwo.

Zorganizowanie gminnego pośrednictwa pracy posunęło naprzód całą sprawę—nie wyczerpało jej jednak należycie. Chodzi o ustalenie statystyki robotniczej, aby wyrobić sobie dokładne pojęcie o stosunkach popytu i podaży. Ułatwi to znacznie robotnikom znalezienie odpowiedniego zajęcia... Tułaczka robotnika za pracę sprowadza ogromną stratę czasu i pociąga za sobą wielkie ofiary. Tułaczka robotnika—mówi cytowany wyżej Jastrow—stanowi taką postać wyszukiwania pracy, przy której wszelkie wydatki poszukiwania spadają całkowicie i wyłącznie na barki robotnika. W dodatku tłumy tułających się w poszukiwaniu zajęcia robotników wytwarzają przesadne pojęcie o podaży pracy. Nie istnieje na rynku pracy inne zjawisko, któreby równie potężnie wpływało na obniżenie ceny płacy—jak właśnie podobna tu-

łączka, pomijając już te wstrętne formy współzawodnictwa pomiędzy robotnikami, do jakich doprowadza ona nieraz, jak na przykład opłacanie majstrom pewnego odsetka pensyi za dostarczenie miejsca.

Dlatego też państwa zachodnio-europejskie przysły do wniosku, że należy poza zorganizowaniem pośrednictwa pracy—powierzyć osobnym instytucjom prowadzenie wyczerpującej statystyki robotniczej. Statystyka ma dwojakie cele: informować państwo i społeczeństwo o ilości robotników—o wynagradzaniu w poszczególnych branżach—o warunkach pracy—a następnie dać dokładny i wyczerpujący obraz pozbawionych pracy i zapotrzebowania pracy. Chodzi jednym słowem o dokładne dane rynku pracy. Taką olbrzymią pracę podjąć mogą specjalne rządowe instytucje — zaopatrzone w środki materyalne i odpowiednio wykształcony personel urzędniczy.

Sposób, w jaki prowadzą powyższą statystykę — może nosić nazwę centralistyczno-decentralistycznego. Funkcjonują poszczególne biura, mające lokalny charakter. Biura powyższe działają w danej okolicy i mają zadanie zbierać li tylko materyał bez wyciągania jakichkolwiek wniosków. Uporządkowany materyał biur wysyłają następnie do centralnej instytucji, która zajmuje się specjalnie porządkowaniem i redagowaniem ostatecznych danych. Równocześnie działają w tej mierze i związki zawodowe. W ten sposób pośrednictwo pracy otrzymuje uzupełnienie przez dokładną statystykę ruchu roboczego...

Staraliśmy się, o ile możności, przedstawić wytyczne punkty działalności pośrednictwa pracy w Zachodniej Europie. Na tem tle ogólnem należy poznać stan rzeczy u nas w Polsce...

Niestety — nie możemy pochwalić się dużymi rezultatami. Zrobiliśmy bardzo mało... Nie pójdę tutaj utartą drogą taniego krytycyzmu i nie zacznę piorunować na nasz zastój, niedołęstwo etc. Byłoby to najłatwiejszem załatwieniem sprawy: u nas wszystko złe, jesteście do niczego nie zdolni — dobrobyt i hart społeczny zaczyna się po tamtej stronie słupów granicznych w Katowicach czy Ołtoczynie... Nie możemy tak powierzchownie patrzeć na sprawę...

Jeżeli na innych polach działalności społecznej byliśmy w stanie niejedno uczynić... w sferze spraw robotniczych nie mogliśmy poprostu dojść do jakichś rezultatów. I dlatego przede wszystkim, nasze *warunki* społeczne są przyczyną, że odstaliśmy za Zachodnią Europą i poczynamy dopiero marzyć o tem, co na Zachodzie już wprowadzono oddawna. Nie mieliśmy swobody



zrzeszania się—a więc związki zawodowe nie istniały i *ipso facto* nie mogły prowadzić pośrednictwa pracy. Nie mamy samorządu—inicyatywa w tej mierze gminy czy miasta nie ma pola do akcji skutecznej. Z tych zatem przyczyn pozostawały dwie drogi: albo inicyatywa prywatna, albo też, działalność filantropijna. Dopiero w ostatnich czasach mamy możliwość na szerszą skalę coś działać... poruczywszy prowadzenie podobnego rodzaju spraw osobnym stowarzyszeniom. Nie jest to jednakże praca wszechstronna, do której są wskazane przedewszystkiem, i chyba jedynie, zniżki *komunalne*.

Inicyatywa prywatna—to smutnego wyglądu przeciętny kantor stręczenia służby — gdzie odbywa się targ służbą. Chodzi o to, aby dziewczynie, poszukującej zajęcia, znaleźć cośkolwiek, i pani, którą losy do kantoru sprowadziły, wetknąć „jakikolwiek towar.“ Bierze się kantorowe... i o nic dalej już się nie troszczy... Słusznie podkreśla w tej mierze St. Bukowiecki: „Znaczna część utrzymujących kantory należy do osób wielce podejrzanego prowadzenia się. Utrzymujący kantor nie rzadko wprost usiłują zwiększyć możliwie ilość zmian miejsc przez robotników dla rozszerzenia pola swego pośrednictwa. W tym celu odmawiają pracowników i różnią ich z pracodawcami.“ Z drugiej zaś strony, pominawszy już i tę okoliczność, kantory prywatne uwzględniają jednostronnie przeważnie t. zw. służbę i oficjalistów, w wyszukiwaniu pracy dla innych pracowników pośrednicząc tylko wyjątkowo. Wogóle całą działalność prowadzą nader nieporządnie.

Na ową plagę społeczną już dawno zwrócono uwagę—niestety bezskutecznie. Między różnorodnemi staraniami naszego społeczeństwa, aby utworzyć pośrednictwo pracy, na uwagę zasługują z jednej strony wysiłki Towarzystwa wzajemnej pomocy pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy, oraz Wydziału pośr. pracy przy W. T. D.

Na mocy ustawy Tow. prac. hadlowych ma obowiązek zbierania wiadomości i prowadzenia dziennika o posadach niezajętych. Punkt ten stanowi punkt wyjścia dla stosownej działalności. Poprzednio prawo korzystania z pośrednictwa pracy służyło wyłącznie członkom, lecz już w r. 1888 rozszerzono działalność instytucji. Rekomendacya odbywała się za minimalną opłatą na koszt biurowe. Towarzystwo stara się przeprowadzić dokładnie zbadanie wszelkich kwalifikacyj kandydatów, gdyż pracodawcy biorą kandydatów na odpowiedzialność korporacyi. Rok rocznie zgłasza się przeciętnie do 1,500 potrzebujących pracy — i tyleż zgłoszeń pracodawców.

Szersze znaczenie społecznej natury posiada wspomniany wyżej Wydział pośrednictwa pracy, założony w r. 1904. Instytucja zdołała w krótkim czasie zyskać sympatyę ogółu przez swe starania bezstronnego służenia sprawie. Jest to fakt bądź co bądź znamienne — jeżeli weźmiemy pod uwagę, że inicjatywa instytucji dobroczynnych nie cieszy się w sferze robotników specjalnem uznaniem. Przed dwoma laty dłuższy czas poświęciłem studjowaniu tej instytucji, prowadzonej przez ks. Gąssowskiego.

Uderzyło mnie bardzo charakterystyczne zjawisko: Biuro starało się nietylko pośredniczyć w wyszukiwaniu pracy, ale również pragnęło, aby praca mogła być jak najbardziej stosowną dla danego osobnika. Z tego powodu przewodniczący biura, o ile możliwości starał się osobiście załatwiać petentów, jeżeli chodzi o pracę bardziej wykwalifikowaną. Podziwiałem, z jaką cierpliwością wysłuchiowano skarg i żalów tych zastępów nędzarzy, którzy zostali wyrzuceni na bruk. Instytucja nietylko zajmuje się pośrednictwem pracy, ale również sama na własną rękę wyszukuje pracę <sup>1)</sup>.

Największy procent zgłoszeń wykazuje dział służby do wszystkiego, następnie szwaczek, robotników fabrycznych i woźnych. Uderza nas jednakże zniżka i zgłoszeń i zapotrzebowań, przy równoczesnym wzroście procentowym umieszczeń pracujących. Kierownicy instytucji objaśniają ten fakt przez niechęć robotników do dobroczynności wogóle. Z jednej strony pracodawcy uciekają się do pośrednictwa biura w ostatecznych tylko wypadkach. Dlatego też zdaniem obecnych kierowników należy jaknajśpieszniej utworzyć samodzielną zupełnie instytucję, opartą nie na zasadach natury społecznej.

Instytucja pośrednictwa pracy w przyszłym samorządzie powinna zależeć bezpośrednio od miasta

Równolegle z powyższym wydziałem pośrednictwa istnieje Warszawskie biuro pośrednictwa pracy, oraz związki zawodowe

<sup>1)</sup> Rozwój instytucji wykazuje następująca tablica:

	Zgłosiło się	Zapotrzebowano	Umieszczono	
Rok 1905	10,407	7,329	4,120	39,6% <sub>0</sub>
„ 1906	9,734	5,097	3,025	32,0% <sub>0</sub>
„ 1907	7,432	5,817	3,267	45,0% <sub>0</sub>
„ 1908	7,700	5,000	3,000	42,8% <sub>0</sub>



robotnicze prowadzą pośrednictwo pracy. Warszawskie biuro stanowi przedsiębiorstwo prywatne, oparte jednak na podstawach społecznych. Zgodnie z tym charakterem i zasadami, ustalonymi dla działalności podobnych biur przez praktykę zagraniczną, nowe biuro obejmuje działalnością wszystkie gałęzie pracy. Poza tem, jak głosi 2-gi punkt regulaminu, Biuro ma prowadzić statystykę podaży pracy i popytu we wszystkich jej gałęziach i ma ogłaszać wyniki. Biuro chce wprowadzić pewne minimum wynagrodzenia za pewne prace w dziale służby, usuwa źródło wyzysku i demoralizacji, t. j. kantorowych. Są to pierwiastki czysto społeczne. Działalność zatem, o ile w danych warunkach było można prowadzić, rozwijała się na ogół dość pomyślnie. Była to jednak kropla środków zaradczych w ogromnem morzu naszych potrzeb w tym kierunku. Bezrobocie jest największą z plag naszego ustroju gospodarczego. Aby temu zaradzić, pojedyncze wysiłki temu nie wystarczą.

Z drugiej strony istniejące biura pośrednictwa uwzględniają przeważnie pośrednictwo robotników fabrycznych i wogóle oficjalistów. Odłogiem leży pośrednictwo pracy robotników rolnych. Sprawa ta ma na naszym gruncie nader ważne znaczenie z dwóch powodów: jedne okolice kraju cierpią na brak robotnika rolnego, a inne znów mają nadmiar i występuje ogólne obniżanie zarobków, a co za tem idzie — proletaryzacja.

Ponieważ następnie nie jesteśmy w stanie dać zarobek wszystkim siłom roboczym — rocznie około 200.000 ludzi wyjeżdża tak zw. Saksy... Wyjeżdżają tłumy, rzucone na pastwę obcym pośrednikom—wyjeżdżają, nie znając poprostu ani warunków pracy, ani bardzo często — wynagrodzenia.

Nie miejsce tutaj zastanawiać się nad istotą obieźsastwa, ani też przyczynami, które ruch ten wywołują. Nie będziemy zupełnie zastanawiali się, czy ruch powyższy jest dodatniem czy ujemnem zjawiskiem społecznem. Podkreślamy jedynie: ruch obieźsaski istnieje; — społeczeństwo nie ma możliwości ruchu tego tamować, gdyż zarobki zagranicą są wyższe i ludność przywozi do kraju oszczędności. Na tej zasadzie społeczeństwo musi zająć się, aby nie zorganizowany ruch wziąć w swoje ręce, aby obieźsasi nie byli wydani na pastwę nieuczciwych agentów pruskich. Zadanie palące, dopominające się uregulowania...

Występują zatem dwa cele pośrednictwa pracy: dostarczanie robotnika z okolic jednych do drugich, a następnie unormowanie sprawy obieźsaskiej...

Powstała na gruncie naszym przed niedawnym czasem instytucja: towarzystwo wzajemnej pomocy pracowników rolnych, jako jedno ze swych zadań, postawiła w programie swej pracy powyższego rodzaju dwojaki pośrednictwo. Towarzystwo, jak głoszają statuty, utworzone zostało z myślą zespolenia pracodawców i pracowników rolnych we wspólnej pracy. Pragnie dokonać tego na drodze wzajemnej pomocy, zarówno pod względem materialnym, jako też przez podniesienie kulturalne i etyczne pracujących na roli. Towarzystwo zabiega o poprawienie warunków bytu pracowników rolnych, oraz o podniesienie jakości pracy i najodpowiedniejszy dobór sił pracowniczych.

W Towarzystwie już w roku zeszłym powstała myśl zorganizowania wydziału najemników sezonowych, aby właścicielom dostarczyć dobrych robotników, zająć się losem wychodźców (obieżasów), wyzyskiwanych przez pokątnych agentów. W tym roku została zorganizowana pierwsza część zadania: towarzystwo przy pomocy całego szeregu swych korespondentów zdołało zebrać dane o stanie rynku pracy. Korespondenci po zbadaniu miejscowych warunków donoszą wydziałowi o przypuszczalnej liczbie robotników, o żądaniach, stawianych przez pracujących. Wydział upoważnia do pertraktowań i wprost już zawiera kontrakt z drugą stroną — pracodawcami.

Otrzymałem wskazówki ze strony kierowników biura, że pierwsze partie skontraktowanych przez biuro robotników już odeszły na miejsce przeznaczenia. O statystyce nie może być jeszcze mowy, gdyż praca dopiero zaczyna się właściwie. Równocześnie dla zebrania odpowiedniego materiału o wychodźstwie sezonowym wydział w tysiącach egzemplarzy rozesłał między właścicieli ziemskich, nauczycieli wiejskich, księży, działaczy na polu kulturalnym etc., odpowiednią ankietę, w celu dowiedzenia się, jak właściwie ta sprawa stoi. Nie mamy bowiem pojęcia, ile ludności wychodzi—gdzie, etc. Po zebraniu danych już na rok przyszły wydział przystąpi do opieki nad wychodźcami sezonowymi.

Tyle mniej więcej zdziałały wysiłki społeczne. Wysiłki te nie przyniosły odpowiednich rezultatów z powodu specjalnych warunków. Zachodnia Europa, wyprzedziwszy nas pod każdym względem, zdołała w całej rozciągłości zorganizować podobne instytucje, oparte na podstawie gminnej...

O instytucjach takich u nas możemy mówić dopiero po otrzymaniu samorządu, gdy będziemy w stanie prowadzić odpowiednią politykę społeczną...



Na Zachodzie marzenie utopisty socyalnego, Karola Fourier, o gminnym kantorze pośrednictwa stało się realnym czynem... Fourier oczekiwał codziennie na złotodajnego kapitalistę, który miał mu przynieść pierwszy milion na urzeczywistnienie jego planów społecznych... I mylił się—to nie wysiłki najbardziej nawet uspołecznionych kapitalistów, ale wola całego społeczeństwa stwarza instytucje o głębszym podkładzie. Demokratyczny bowiem rozwój społeczeństwa zdolen jest jedynie konsekwentnie przeprowadzać pożądane reformy socyalne.

D-R ŻELISŁAW GROTOWSKI.

## X literatury angielskiej.

The letters of John Ruskin. London. George Allen 1909.—The love-letters of Thomas Carlyle and Jane Welsh. London. John Lane 1909.

Znamienne zrządzienie trafu rzuciło jednocześnie prawie na rynek księgarski dwa wydawnictwa, uzupełniające moralną i duchową fizyognomię dwóch pisarzy z rasy zwiastunów i proroków, związanych ze sobą zasadniczymi kierunkami myślowymi i zadzierzgniętymi silnie węzłami przyjaźni, która przybierała u młodszego z nich charakter pełnej uwielbienia czci wobec wielkiego poprzednika. Mam tu na myśli Carlyle'a i Ruskin'a, dwóch najznakomitszych przedstawicieli mistycznego idealizmu w Anglii XIX-go stulecia, których nazwiska, skojarzone w historyi tego ruchu, powracają znów przed nas w jednym niemal momencie, z racyi ukazania się korespondencyi miłosnej jednego z Jane Welsh, jego narzeczoną i korespondencyi z przyjaciółni drugiego, uprzytomniając nam żywo wpływ, jaki obydwaj wywarli na obecne ukształtowanie się angielskiego społeczeństwa. Wymiana listów pomiędzy Carlyle'm a jego przyszłą żoną trwała od r. 1821 po rok 1826, w końcu którego nastąpiło ich małżeństwo. Zbiór ich, ogłoszony drukiem przez bratanka pisarza, Aleksandra Carlyle'a, powodowanego pietyzmem wobec jego pamięci i pragnieniem obalenia nie zawsze przychylniej mu legendy, jaką utrwały jego samooskarżenia i biografia jego przez Froude'a—mieści się w dwóch tomach i składa z dwustu blisko epistoł, którym intelektualny i duchowy poziom dwojga korespondujących nadaje niepoślednią wartość literacką i ideową. Dwutomowa również korespondencya Ruskin'a, przedstawiająca zakończenie pełnego wydawnictwa dzieł jego, podjętego przez E. T. Cook'a i Aleksandra Wedderburn'a, zawiera przeważnie nieogłoszone dotąd nigdzie drukiem listy



i dostarcza obfitego zasobu niezmiernie interesujących dokumentów, w których świetle postać estetyka, moralisty i reformatora społecznego występuje ze szczególną wyrazistością. Zarówno więc gatunek treściowy tych refleksyj i wywnętrzeń, jak ich wartość artystyczna i psychologiczna, składają się na uczynienie z ich zespołu dzieł, zasługujących na wyróżnienie w produkcji wydawniczej ostatnich miesięcy. Ale zaciekawienie, jakie budzą, spotęgowane jest niewątpliwie w znacznym stopniu przez krystalizujące się coraz wyraźniej w umysłach uświadomienie roli, jaką odegrali w rozwojowym trybie narodu autor *Sartora Resartusa* i jego uczeń i następcą, najwięcej pociągający z pomiędzy apostołów laicznych, jakich wydała Anglia XIX stulecia.

Carlyle był inicjatorem, mistrzem całego zastępu pisarzy i myślicieli, którzy poprowadzili dalej rozpoczęte przezeń dzieło, źródłem, z którego czerpali ożywczą podniecie. Żaden z nich nie poszedł ściśle jego śladem, wszystkich jednak pobudził do płodnego czynu swym wymownym głosem, piętnującym dotkliwie systemy kierownicze społeczeństwa, kosztującego w przesądach i twardym automatyzmie i domagającym się zasadniczego zreformowania form jego bytu i myślenia. Wszyscy odrzucili za jego impulsem wskazania materyalistycznej filozofii XVIII-go wieku, by zwrócić się ku idealistycznym koncepcjom życiowym. Wszyscy stali się, jak on, krzewicielami zasady moralnej, — „interpretatorami idei boskiej i niejako objawicielami nieskończoności.“ Jego namiętny zapał i oburzenie krzepi i hartuje do boju za swe prawdy wewnętrzne, ku którym każdy z nich dąży właściwą sobie drogą, Ruskin'a, Matthew Arnold'a, Karola Kingsley'a, Denisona Maurice'a w Anglii, Emerson'a w Ameryce. Emerson, który był jednym z jego najgorętszych zwolenników pierwszej doby, określił nader trafnie wywieraną przezeń akcyę. Słowa Carlyle'a były, zdaniem jego, jak łopot skrzydeł, trzepoczących nieustannie nad całą masą przeżytków społecznych, ufundowanych na zbyt mocno jeszcze trzymających się podstawach. Przywoływał na nie uwagę i podtrzymywał w umysłach płomień gniewu i protestu.

Oddziaływanie Carlyle'a ujawniło się istotnie w taki przedewszystkiem sposób, co bynajmniej nie zmniejsza jego doniosłości. Akcyę Ruskin'a natomiast, podobnie jak wpływ jego, były więcej bezpośredniemi, obejmując, poza garstką wybranych, pomiędzy którymi wyliczyć należy oboje Browning'ów, Waltera Crane'a, Wiliama Morris'a, bardzo szerokie sfery społeczne. Sama jego postać intelektualna, mniej potężna zapewne, jest więcej różnorodna, choć równie, a może nawet bardziej dogmatyczna. I choć obaj

występują jako kontynuatorowie Milтона i pisarzy religijnych XVI-go wieku, w których, wraz z duchem proroków Izraela, odżywa ich rytm porywający a solenny,—Ruskin okazuje się niezaprzeczenie więcej rdzennie angielskim, bo urobionym z tych zasadniczo sprzecznych na pozór pierwiastków, które nadały rasie w ciągu wieków jej cechy najistotniejsze. W pokrewny sposób uzasadniają obydwaj obowiązek społeczny, cele i zadania ugrupowań ludzkich, Carlyle jednak, przenikniony postulatami idealistycznej filozofii niemieckiej, wnosił wogóle do swej twórczości w dość wybitnym stopniu wpływy obcej kultury. Nie znajdujemy ich u Ruskin'a, wykazującego na każdym kroku swą organiczną łączność z gruntem, którego jest wytworem. W swych pojęciach o Bogu, o naturze i pięknie, o ideale estetycznym i etycznym jest wyraźnie i przedewszystkiem Anglikiem. Większość wygłaszanych przezeń teoryj przedstawia uzupełnienie lub pogłębienie myśli, które budziły się w mózgach całego szeregu jego poprzedników i współczesnych, którzy nie dążyli mimo to zresztą, w znacznej części wypadków równie jak on wytrwale, świadomie i niezłomnie do przetworzenia kapitalistycznej i zindustrializowanej Anglii, chorej duchowo i zrujnowanej fizycznie, w zdrowy agregat społeczny—do przywrócenia jej wolnego tchnienia życia, siły i wesela. Sformułowane w poezyi, literaturze, filozofii i sztuce, czy też przebywające w umysłach w stanie energij potencjonalnych, idee te były częstką składową duchowej i moralnej atmosfery najlepszych wyobraźni nacji w dobie wiktoriańskiej i wcześniejszych okresach. Ruskin jest mniej niekonsekwentny i mniej skomplikowany, nierównie mniej ekscentryczny i mniej też przesadny, bo pulsujący pełnią szczerzego wyczucia, niż wydaje się nieraz tym, którzy nie chcieli zastanowić się bliżej nad drogami intelektualnej i etycznej ewolucyi Anglii. Dlatego też przypomnienie głównych zarysów jego postaci i tła, na którym wykwitła jego działalność, wydaje mi się niezbędnem w chwili, gdy jego korespondencya przynosi ostatni przyczynek do charakterystyki człowieka i bojownika. Sama ta korespondencya również przemówić może dopiero z właściwą elokwencyą do tych, którzy uwidocznili sobie należycie drogę jego twórczości i naturę jego wezwania do społeczeństwa, nabrzmiałego całym bólem, nurtującym jego istotę.

Pierwsze wystąpienia Ruskina na polu piśmienniczym przypadają na smutną i ciężką epokę. Od ostatnich dziesiątków lat XVIII-go stulecia Anglia rolna poczęła przetwarzać się w ognisko wielkiego przemysłu. Metamorfoza ta odbywała się w zdumiewająco pospiesznem tempie; fabryka odrywała od ziemi coraz licz-



niejsze zastępy pracowników. Ale dopiero zniesienie cła zbożowego, które ochraniało produkty gleby od niebezpiecznego współzawodnictwa obcokrajowego, sprowadziło ostateczny tryumf nowych form życia zbiorowego. Rząd liberalny zadał tym aktem prawodawczym cios ostateczny uprawie gruntu. Wnet też olbrzymie przestrzenie kraju pokryły się siecią fabryk i lasem kominów; mieszkańcy wsi, pozbawieni dotychczasowych środków istnienia, napływali gromadnie do miast, tworząc milionowy proletaryat roboczy, tłum istot zmechanizowanych, oddanych na usługi maszynie. Jest to doba, w której cztero i pięcioletnie dzieci pracują po ośm godzin dziennie w kopalniach a straszliwa hypokryzja obyczajowa krzewi się tak przemożnie, że wniesienie do parlamentu projektu prawa, mającego znieść tę potworność, spotyka się z oporem ludzi, cieszących się ogólnem poważaniem, którzy mają czoło protestować przeciw *ograniczeniu swobody osobistej* małoletnich męczenników przez zabronienie im pracy w szybach. Doba, w której nędza mas, ich wyczerpanie i zwyrodnienie fizyczne osiąga skrajnych granic, w której każdy moment przynosi nowe pogwałcenie zasady moralnej i nowy też dowód zaniku zmysłu i potrzeby piękna, nowe wtargnięcie przygnębiającej swą banalną ohydą wszechszarzyzny i wszech tandety.

Początkowo Ruskin dostrzega prawie wyłącznie tę beznadziejną brzydotę nowej Anglii, przeciw której burzy się cały jego wytworny i arystokratyczny estetyzm. Z tem gorętszym zapalem szuka ucieczki przed nią w kontemplacji i analizie natury i sztuki i ustanowieniu ich wzajemnego związku. Założenia dostarczają mu refleksje nad dziełem wielbionego przezeń bezwzględnie Turner'a, które poprowadzą go do zbudowania systemu, wyłożonego w pięciu tomach *Modern Painters*. I tu od pierwszych już stron występuje człowiek, dla którego nie istnieje zgoła utylitarna filozofia XVIII-go wieku, wraz z jej wynikami praktycznymi, przyjętymi przez XIX-te stulecie. Cofa się poza nią ku chrześcijańsko-protestanckim koncepcyom życiowym, przechowującym się w każdym pokoleniu u pewnej grupy ludzi o określonej formacji moralnej i ustanawiającym ciągłość z duchem przeszłości. Nie uznaje autorytetu wiedzy, odrzuca jej zdobycze. Przyswoił sobie w znacznej części wypadków jej literę, nie chce wglądać w jej istotę. Cała teoria sztuki, zawarta w *Modern Painters*, oparta jest na podstawach teologicznych. W jego stosunku do wszechświata nic nie sprzeciwia się hebrajskiej interpretacji stworzenia. Każda forma ożywionej i martwej przyrody staje się w jego oczach symbolem, wyrażającym jakąś intencję twórcy; zespół ich składa

się na wspaniałą księgę bytu, w której wola Boga, jego zamiary i wyroki wypisane są niezatartymi głoskami. Ale ten biblijny mistyk czysto angielskiego typu jest jednocześnie poetą i roman tykiem nawskroś równie angielskim. To też dusza rzeczy, która przemawiała zawsze z niezmierną wymownością do twórców jego rasy, będzie szeptała i jemu również swe zwierzenia. Poza postacią zewnętrzną i materią myśl jego spostrzeże to, czego nie objęłyby zmysły—pierwiastki zasadnicze a niewidzialne, przedstawiające jednak dla tego człowieka, który przez bardzo długie lata życia pozostanie wierzącym prosto i ulegle, nie to bynajmniej, co znalazłby w nich panteista. Są one w jego pojęciu li tylko śladem Boga w stworzeniu, jego technieniem. Stąd też piękno w tem stworzeniu „proporcjonalne jest do wartości moralnej przedmiotu, jest uzewnętrzniającą się szlachetnością i czystością“ a zarazem przystosowaniem się do prawa moralnego. Prawo to zaś wymaga podporządkowania części całości, wiernego spełniania przez każdą z tych części wyznaczonej funkcji, dyscypliny elementów, które składają się na zewnętrzną harmonię przedmiotu. Stosuje się to do różnych pierwiastków poszczególnych organizmów, zarówno jak do ich ugrupowań.

W rozważaniach tych odnajdujemy już wytyczne punkty całej ideologii społecznej, którą Ruskin głosić będzie w następstwie, gdy odwróci się od wszystkiego, co pochłaniało go w młodości, by pełnić to, co uważa za swą misję. Zerwie wówczas ze sztuką i analizowaniem jej zasad, lecz zachowa pod powłoką swego specjalnego lecz zupełnie szczerego socjalizmu, zakorzeniony głęboko, bo wrodzony, właściwy rasie kult hierarchij socyalnych i dyscypliny, ujmującej w swe karby energie czynne ku ich największemu dobru. Jest też typowym przedstawicielem tej rasy moralizatorskiej na wszystkich polach życia, w sposobie, w jaki ustanawia skalę wartościową dzieł sztuki. Artysta, interpretujący dla swych spółbraci stworzenie, staje się pośrednikiem między Bogiem a nimi; intuicje jego są tejże natury, co religijne, gdyż wypływają z jego obcowania z myślą Stwórcy. Trzeba przebywać w stanie łaski, by umieć tłómaczyć tę myśl, włożyć jej refleks w dzieło sztuki. „Prawdziwie wielka sztuka jest hymnem pochwalnym i adoracją.“

W myśl tej zasady najwyższą sztuką jest dla Ruskina uroczysta, szlachetna i pogodna sztuka chrześcijańska, święta ekstaza, wyrażona w najpiękniejszych barwach i symbolach, rozsnuwająca się u wielkich prymitywów na tle z lazuru i kryształu. Całą produkcję artystyczną, stojącą poza nią, klasyfikuje na działy i ro-



dzaje według swych gradacyj moralnych, a więc stosownie do podniosłości traktowanego przedmiotu. Zgoła niepotrzebnem byłoby zaznaczać, jak szerokie pole pozostawiać musi dowolności podobny systemat estetyczny, wyrzucający całkowicie za nawias artystów bardzo wysokiej miary, nie chodzi mi jećnak o wykazanie wad jego od dawna stwierdzonych, lecz o uwydatnienie rdzenia angielskich cech organizacyi duchowej Ruskina, ujawniających się w tych poglądach. Więcej niż jakakolwiek inna, sztuka angielska przenikniona jest pragnieniem wydobywania, poza zewnętrznym pozorem, wartości i znaczeń moralnych. W stosunku do przyrody staje się kultem spirytualistycznym i religijnym, wielbiącym całe jej życie utajone. Takimże kultem jest u poetów natury, poczynając od Wordsworth'a. Uwielbienie samego Ruskina dla Turner'a jest też przedewszystkiem hołdowaniem artyście, umiejacemu oddać najwięcej uduchowione fizyognomie przyrody, przez które Bóg wypowiedział się w sposób najcałkowitszy, najwięcej bezpośredni i wzruszający. Turner wydobywa integralne i ukryte życie pejzażu, a zdołał to osiągnąć, zdaniem Ruskina, dlatego, że najlepiej z pomiędzy nowoczesnych artystów pokazuje poza naturą Stwórcę, że w każdym szczególe wszechstworzenia dojrzał, poza rzeczami przypadkowemi i zewnętrznemi, ślady intencji boskiej.

Toż samo kryterium, jakiego używa wobec sztuk, nazwanych przezeń graficznemi, najszlachetniejszych, bo najwięcej kontemplatywnych, zachowane zostanie przez Ruskina wobec architektury, mimo jej od nich odrębność, jej charakter abstrakcyjny i subiektywny. (*Seven Lamps of Architecture, Stones of Venice.*) Ale Ruskin odróżnia w niej stronę praktyczną, przystosowując ją do naszych potrzeb i duchową, czyniącą z niej dzieło piękna. Podobnie jak malarz i rzeźbiarz, architekt jest, jako artysta, interpretatorem myśli boskiej. Wynika stąd, że piękno architektralne polega przedewszystkiem na dekoracyi, która jedynie wywoływać może przed nasze oczy świat form organicznych, i objawiać nam ukryte cele przyrody, przemawiające z ich odmian niezliczonych. Podobnie pojmowana ozdoba staje się „znakiem Boga na podobieństwo jego dzieła—nie zmanifestowaniem naszej radości wobec praw, które sami stwarzamy, wobec zdobytych przez nas swobód i naszych wynalazków, lecz symbolem naszego umiłowania praw boskich, stałych, codziennych, praw wszechświata, praw dziesięciu przykazań, a nie reguł stylu doryckiego...” (*Stones of Venice*).

Wywody te, odnośne do gotyku, są w gruncie rzeczy stwierdzeniem niezbędności ekstatycznego niemal przejęcia się przed-

miotem, pobudzającym twórczość, które sprawia, iż artysta wyzwolony z siebie, zespala się z tym przedmiotem. Ale ujęcie ich w podobnie mistyczną i moralizującą formę możebnem jest tylko u człowieka, wyrosłego w tradycjach purytanizmu i uznającego za prawdziwe to natchnienie, które przyobleka w kształty idee, pochodzące od Boga i opanowujące całkowicie umysł artysty, gdy tenże uprawia sztukę religijną, lub przejmujące go w sposób więcej nieokreślony wobec kontemplacji natury. Druga jeszcze cecha tego mistycyzmu wyodrębnia go jako nawskroś angielski: jest w nim charakterystyczne zupełnie skojarzenie idealizmu z realizmem, marzenia i konkluzyj pozytywne, przejawiające się w nieustannem wezwaniu do skupiania energii aktywnych i manifestowania siły organizacyjnej. Widzieliśmy już, że ta współpraca dla celów całości, podporządkowywanie szczegółów zespołowi, dobra jednostki dobru typu zwać się będzie u Ruskina w jego rozważaniach nad otaczającym nas światem ożywionym i nieożywionym przystosowywaniem się do prawa moralnego. Jest ono również niezbędnem w sztuce, gdzie wyraża się najbardziej znamienne w usuwaniu przypadkowości dla myśli przewodniej—tego, co Ruskin nazwie dążeniem zawartej w istocie boskości ku Stwórcy. Poddanie się temu prawu warunkuje urzeczywistnienie piękna.

Nietrudno już przewidzieć z góry, jakim może być stosunek człowieka o podobnej organizacji mózgowej do problemów życiowych i w jaki sposób przemówi Ruskin jako reformator i wychowawca społeczeństwa, największy, dodajmy to, z wychowawców swego kraju w drugiej połowie XIX-go stulecia. A zagadnienie estetyczne zaczyna coraz więcej przeobrażać się dlań w zagadnienie etyki społecznej. Krucyata, którą rozpoczął w imię miłości sztuki, zamieni się w apostołstwo w imię miłości bliźniego. Piąty tom *Modern Painters*, dzieła, w którym zamknął wyniki trzydziestu lat studyów, badań i rozmyślań, zakończony będzie nie apologią sztuki bynajmniej, lecz wezwaniem do reformy społecznej. Bezpośredniego impulsu do zwrócenia swych rozważań ku tym kwestyom, dostarczyły mu spójność, potęga i majestat wczesnej architektury weneckiej, której czar wypowiedział z taką magią w swych *Stones of Venice*, ale cały światopogląd działacza społecznego spoczywa już w zarodku w *Modern Painters*.

Piękno i harmonia przeszłości, zaklęte w kamieniach Weneccyi—wyczuliły wrażliwość Ruskina na brzydotę, smutek i wulgarność teraźniejszości. Jednocześnie zaś w umyśle jego powstało pytanie, jakim musiało być społeczeństwo, które stworzyło podobną architekturę? Łącznem i posłusznem, obowiązującym jednako



wszystkich dyrektywom moralnym, dokonywujacem więc każdym swym czynem wysiłku dośrodkowego, którego zaniechanie spowodza rozkład i upadek. Oto jaką odpowiedź przyniosły mu jego medytacye. Odkrył wówczas swą misyę. Nakazywała mu ona skupić wszystkie swe władze duchowe ku pracy nad uzdrowotnieniem ojczystego społeczeństwa, odbiegłego daleko od tych ideałów, którym wierne służenie zbudowało w średnich wiekach moc i szczęśliwość Wenecyi. Zło, toczące organizm Anglii, uwydatniło mu się z dręczącą wyrazistością. Ruskin postanowił przeciwdziałać mu wszelkimi środkami, a przeciwdziałanie to widział przede wszystkim w zwalczaniu destrukcyjnej akcji ustroju kapitalistycznego i zdobyczy wieku utylitarnego, które zamieniają ludzi w automaty i zabijają duszę swych ofiar, przytępiając w nich wszystkie fibry wycucia. Tam, gdzie rządzi jedynie prawo konkurencyi, musi zamierać wewnętrzna treść życia. I wówczas pośród mas, pozbawionych należytej odporności, poczynają szerzyć się z niepokojącą szybkością wszystkie plagi społeczne: występek, choroba, pijaństwo, deprawacya. Dodajmy wreszcie atmosferę okropnej, prowokującej niemal brzydoty, w której płyną dni tych istnień. Nigdzie zaś może piętno jej nie wycisnęło się równie wyraźnie jak w Anglii, żaden kraj nie posiada miast, których ponura ohyda dorównywałaby niektórym ogniskom wielkiego przemysłu angielskiego w epoce, gdy Ruskin rozpoczął swą propagandę społeczną. I nie jego jednego objęła bezmierna nostalgia i groza wobec moralnych i organicznych spustoszeń, jakich dokonywał w jego społeczeństwie nowy układ bytu. Jednocześnie z nim prawie Matthew Arnold stanął do podobnejże, jak on, walki. Jak zwyciężyć jednak zło wszechwładne? Cywilizując nacyę— odpowiada Arnold— lecząc ją z rutyny przesądów wyspiarskich, w których uścisku kostnieje powoli. Wlewając w jej organizm jak największą *żywołność*— mówi Ruskin, ku osiągnięciu czego prowadzi wzmocnienie *wrażliwości*— normalnej *wrażliwości* człowieka zdrowego i zrównoważonego, nie zaś zdolności reagowania nerwowego wobec sztucznych podnieć, niemniej szkodliwego, zdaniem jego, od martwoty.

Od dni Adama Smith'a powtarzano wciąż obywatelowi angielskiemu, że najwyższem dobrem i zrealizowaniem największego postępu jest nagromadzanie bogactw, nie zastanawiając się nad tem, iż miliardy Anglii komercyalnej wyrosły z nędzy mas roboczych i kosztem bezwzględnej wartości ludzkiej i energij duchowych całego społeczeństwa. Tymczasem te to energie właśnie składają się na jego prawdziwe bogactwo—na życie entuzjastycz-

ne, intensywne i gorące, które jest niezbędnym warunkiem pomyslnego rozwoju jednostki i zbiorowości. Ale życie takie wykwita jedynie w doskonale zorganizowanych społeczeństwach, związanych przez cele wspólnego dobra i poddających się kwoli ich urzeczywistnieniu pewnym autorytetom, pewnym tradycjom, pewnym nakazom moralnym, „które umysł świadomy uznaje za *obowiązki*.“ Powracamy tu więc do przewodniej myśli teorii sztuki Ruskin'a i jego rozważań wobec natury, do zasady zgodnego przystosowywania się pierwiastków do zadań całości. Żaden zaś z systemów moralnych nie ułatwia, według niego, w równie wysokim stopniu uskutecznienia owej zasady, jak etyka chrześcijańska, wykreślająca duszy tak imperatywnie pewne kategorie gestów i stawiająca tak zdecydowane *veto* przeciw innym. Jestto również etyka najwięcej społeczna i najbardziej altruistyczna, najżywiej przenikniona myślą o potrzebach ogółu. Ruskin jest w XIX-ym wieku najgorętszym jej apostołem. Odrzuca kult rozumu, którego wyznawcy nie pojmują głębokich racyj dawnych dyscyplin życiowych i kroczą do anarchii i rozkładu. Istnienie jego staje się niezłomnym czynnikiem w myśl tej etyki: kładzie w niego czas swój, siły, inteligencję i fortunę. Nędza i niedola współbliźnich nęka go, jak zmora i zakłóca mu spokój każdej chwili.

Gdyby jednak nawet wielu ludzi okazało się już dziś niezdolnymi do szczerej wiary, nie wyklucza to jeszcze dla Ruskin'a możliwości zbudowania współczesnym pokoleniom życia harmonijnego i krzepkiego. Należy tylko podjąć wychowanie ich od lat najmłodszych, nie pozostawiając go na los trafu i przypadkowych wpływów. Dać przedewszystkiem ciału zdrowie, zakładać szkoły na wsi, gdzie, wraz z siłami fizycznymi, dziecko zyska w otoczeniu uduchowiającego działania przyrody najlepsze swe wartości moralne. W nauczaniu strzedz się rutyny i ciasnoty, gwałcenia natury dziecka. Wznosić gmachy szkolne, odpowiednie wymaganiom higieny i estetyki, proste i szlachetne w liniach i dekoracyi, pełne powietrza i światła. Wszczepiać w młode umysły ukochanie prawdy, poszanowanie dla cnót, które zbudowały najwznioślejsze czyny przeszłości, współczucie dla cierpienia i *posłuszeństwo*. Posłuszeństwo—oto wyraz, który powraca najczęściej może w teorii społecznej Ruskina i brzmi dziwnie zaiste w epoce, której hasłem stało się jaknajszersze wyzwolenie jednostki z tyranii wszelkich nakazów. Jest naturalnym i logicznym w systemie tego biblijnego proroka, opartym na kastowości i krzepko ustanowionych hierarchiach socyalnych—korporacyjno-feodalnym niemal, a jednak socyalistycznym na właściwy Ruskinowi sposób.



Podobna koncepcja była zresztą wogóle możliwą w jednej tylko właśnie Anglii, u człowieka, wyrosłego z jej protestanckiej i arystokratycznej tradycji, ustanawiającej wyraźniejsze, niż gdziekolwiek, typy różnych kategorii społecznych, z jej poszanowania dla przeszłości, która urobiła siły teraźniejszości. Posłuszeństwo w pojęciu Ruskina nie jest przytem służalczym wyrzeczeniem się swych praw ludzkich, a tylko uległością autorytetowi zasady moralnej, żądającej w myśl dobra zbiorowości i sprawnego funkcjonowania jej organizmu — wypełniania zobowiązań, jakie nakładają na każdego i na każdym stopniu drabiny społecznej pełnione przezeń czynności. To też przypomina wciąż o tych obowiązkach zarówno szefom, jak podwładnym, clergyman'owi i squire'owi, zarówno jak pracownikowi rolnemu i rzemieślnikowi. Nikt nie okazał się surowszym odeń dla arystokracji, nieświadomej swej doniosłej roli; nikt nie karmił więcej, niż on, bezwzględnie i bezlitośnie egoizmu i niedbalstwa tych, z których warunki ich istnienia czynią kierowników i wodzów, a którzy nie umieją czy nie chcą stanąć na wysokości zadania.

Ideał społeczny Ruskina stawia oczywiście siłę moralną ponad siły umysłowe, wyżej nad wiedzę, inteligencyę i talent, które nie mogą ustrzedz od rozkładu nacyj, pozbawionych dyrektywy kierowniczej. Pamiętajmy też, że domaganie się posłuszeństwa zasadzie moralnej kojarzy się w jego systemie z żądaniem pełni życia. Nie wpada tu bynajmniej w sprzeczność z samym sobą, życie bowiem jest treści boskiej i pozostaje takim, nie ulegając wykrzywieniu i zwyrodnieniu, a zachowując, przeciwnie, integralne swe piękno, póki jest zgodnem z prawem obowiązku. Mistycyzm jego, jak wogóle mistycyzm angielski, prowadzi go więc do konkluzyj praktycznych. Na ile zaś teorye jego zgodne są z instynktem rasy, świadczą o tem najlepiej niezliczone dziś instytucye religijne i społeczne, powstałe często za potężnym impulsem jego nauczania i wezwaniem innych apostołów tejże sprawy, a dążące do podniesienia moralnego przez wytworzenie zdrowego i zrównoważonego materiału ludzkiego.

Wiele rzeczy u Ruskina musi wydać się niekonsekwencyą i ekscentrycznością na kontynencie. Ciskanie anatem ludziom, nagromadzającym egoistycznie bogactwa, wyrzucanie arystokracji jej win i grzechów społecznych, walka o prawa nędzarza do lepszego losu, potępienie nadużyć i niesprawiedliwości, a jednocześnie—negowanie teoryj równościowych i rządów demokratycznych, wstręt do republiki i rewolucyi, powstawanie przeciw zdobyciom postępu. W Anglii jednak, powtarzam to jeszcze, nie wyosabnia się on bynajmniej pod tym względem. Cały szereg działaczy i myślicieli podejmował po Carlyle'u toż samo zagadnienie w podobny sposób i dochodził do pokrewnych wniosków: apologii autorytetu i dążenia do przekształcenia dusz przedewszystkiem, jedynej gwarancyi szczęścia społecznego, związanej zresztą nierozłącznie ze zdrowiem i równowagą fizyczną. Wiemy również, że ta Anglia epoki kształtowania się wielkiego przemysłu potrzebowała nadewszystko właśnie reakcyi entuzjazmu, wzruszenia i idealizmu przeciw nadmiernemu zmateryalizowaniu, w jakie pograżyła ją nagła metamorfoza warunków jej rozwoju, przecięcie żywych fibrów, które łączyły w kraju wolnym człowieka z naturą. Z drugiej strony w życiu jej społecznem zachodzą zjawiska, tłumaczące poniekąd wiele złudzeń i chimerycznych projektów Ruskin'a. Mimo zasadniczego konserwatyzmu i tradycjonalizmu, mnoży na każdym kroku przejawy tego socyalistycznego toryzmu, którego Ruskin był tak doskonałym wcieleniem: zrealizowała wysoce demokratyczne urządzenia, przyniosła Europie pierwszy przykład prawodawstwa społecznego, pokazuje nam przedstawicielei partyi zachowawczej, wystawiających w swym programie ośmiogodzinny dzień pracy, dała najrozleglejsze zastosowanie prawu stowarzyszeń, zebrań i strajków.

\*

\*

\*

Rzut oka na Anglię dzisiejszej doby wykaże urzeczywistnienie wielu idei Ruskin'a. Ewolucya kraju poszła pod licznymi względami w pożądanym przezeń kierunku. Czy za wpływem prowadzonej przez niego propagandy? Nie zawsze niewątpliwie, niejednokrotnie bowiem rezultaty zgodne z jego pragnieniami, osiągnięte zostały za pomocą potępianych przezeń środków. W każ-



dym jednak razie na wszystkich drogach czynu i pod wszystkimi formami Anglia dąży wytrwale i z dodatnim skutkiem ku wzmożeniu w swym organizmie *siły i ilości życia*, w których Ruskin widział słusznie najniezbędniejszy pierwiastek normalnego i harmonijnego rozwoju, najwyższe bogactwo nacyi. Wychodząc z tej zasady uważał, między innymi, że kampania przeciw alkoholizmowi, zabierającemu zdrowy materiał ludzki, posiada większą doniosłość, niż walka z pewnemi chorobami, z gruźlicą naprzykład, której ofiarą padają przedewszystkiem jednostki wycieńczone i słabe, nie mogące produkować energij aktywnych. Przyrost życia w sensie, jaki nadawał temu wyrazowi Ruskin, jest we współczesnej Anglii faktem niezawodnym. Wyrwać plebs miejski z ciemnoty i zapicia, z nędzy i depresyi, wykorzenić z pośród niego występki, rozbudzać i odradzać w nim duszę, szczepić w nią pewne wytyczne wskazania moralne — oto wspólny dziś cel wszelkiej działalności społecznej, czy to podejmuje ją państwo, czy jego poszczególni obywatele lub ich ugrupowania. W duszę narodu weszła większa pogoda, krążą w niej świeże prądy wyczucia i wrażliwości, rozwarły się przed nią jaśniejsze horyzonty. Odycha odmienną atmosferą, niż przed pół wiekiem.

Życie tego narodu nie jest również tak bezwzględnie, jak ongi, pozbawione piękna, którego wychowawcza rola, głoszona gorąco przez Ruskina, została nareszcie należycie zrozumiana. Wpływ jego na tem polu jest niezawodny i stanowczy. Wszędy mnożą się parki i ogrody, a jednocześnie instalacje zabaw na świeżem powietrzu dla dzieci ze wszystkich klas społecznych. Szkoła wiejska przystosowuje się do modeli, skreślonych przez wielkiego apostoła miłości bliźniego, do mieszkań robotniczych wchodzi światło i słońce, do mieszkań burżuazyjnych nieznaną w nich dawniej jasność, barwa i wesele. W urzędzeniu uniwersytetów ludowych, klubów robotniczych (*settlements*) i klubów wiejskich przejawia się stała dążność do dania umysłowi pokarmu i rozrywki, w harmonijnem otoczeniu, kształcącym zmysł estetyczny. Ale urzeczywistnienie tego dzieła nastąpiło w znacznej mierze za współdziałaniem czynników, których akcji Ruskin nie uznawał zgoła. Hołdując hierarchiom społecznym, chciał wszystkiego dla ludu, lecz nie przez lud. Nie wierzył w demokrację i jej rządy. Tymczasem dostęp jej do nich przyspieszył w wielu okolicznościach zrealizowanie jego marzeń. Przyspieszyła je również nauka, której kult zwalczał tak usilnie. Nie mniej jednak nauczanie jego, przypominające nieustannie, że o losach i szczęściu społeczeństwa stanowi przedewszystkiem *gatunek jego materiału*

*ludzkiego*, zaważyło wiele. Był pełnym płomiennego liryzmu, a nie-milkącym głosem, którego echo rozchodziło się szeroko, wezwaniem, które rozbrzmiewało we wszystkich sercach i unysłach, apostołem piękna i apostołem pełni zdrowego życia. I tego właśnie Ruskin'a cześć angielskie społeczeństwo.

\*

\*

\*

Dla każdego, kto, znając pisarza, estetyka, działacza i bojownika, gromiącego w proroczych akcentach zło wieku, zechce poznać bliżej człowieka — posiadać będą dwa tomy listów jego nieocenioną doniosłość. Wydanie ich zakończy dwudziestopięcioletnią już pracę pp. Cooke'a i Wedderburn'a, poświęconą dziełu Ruskina, z których sześć lat zajęto im obecne wydawnictwo. Dzieje myśli Ruskina i kolejne jej etapy uwydatniają się po przez tę korespondencję z niezmierną wypukłością. I silniej jeszcze, niż w twórczości, zaakcentowuje się w tych wrażeniach chwili, powierzanych przyjaciółom, w tych refleksjach, któremi dzieli się z nimi—ów przygnębiający i nieobjęty smutek, jaki owładnął jego duszą wobec majestatycznych kamieni Wenecyi, by nie opuścić go więcej. Mimo lekkiego tonu niektórych listów, mimo nadzwyczaj sympatycznego gatunku jego wesołości, przejawiającej się przeważnie w korespondencji z kobietami (Kate Greenaway, miss Wedderburn, miss Beever i t. d.) i nadającej im czar szczególny, mimo żartobliwych uwag i spostrzeżeń—nie przestajemy czuć ani przez chwilę, że łyzy cierpiącej ludzkości i chmury, spowijające jej istnienie, przesłaniają mu odtąd wszelkie inne wizye. Całe niemal jego życie staje się od owej doby, gdy wejrzał w materialne i moralne niedomagania tłumów, wielkim bólem, nurtującym go aż do najszybszych głębin istoty. Wszystko dostarcza mu powodu do melancholijnych medytacyj i wysnuwania swej filozofii rozpaczycy. Życie jest „walką, pełną ran ciężkich i bezpożytecznych jęków.“ „Jestem znów chory—pisze w r. 1863 do Mortona z gór Mornexu, gdzie rozmyślał nad przedstawiającą mu się misją.—Z jednej strony pragnienie pokoju i piękna, z drugiej straszliwe wezwanie, które nakazuje mi opór przeciw zbrodniom ludzkim i walkę za nędzę. Lecz wydaje mi się, jak gdyby to wołanie było głosem wezbranej krwią rzeki, która uniesie mnie bezsilnego na swych falach, pośród czarnych skrzepów.“



Z biegiem lat każdy objaw humoru poczyna drażnić go, jak drażniłyby go niesmaczne i ordynarne koncepty wobec zmagania się z agonią lub popisy kłowna nad rozwartym grobem. Stąd surowe i niesprawiedliwe napaści na Daudet'owskiego „Tartarin de Tarascon,” którego nazwie „kwintesencją niezrozumiałej bezmyślności.” Stąd zaciekłość i oburzenie, z jakim wyrzucać będzie swym spółrodakom skłonność do ośmieszania i karykaturowania wszystkiego zgoła. „Uważam—mówi—iż niema nic śmiesznego na świecie. Życie przynosi, przeciwnie, tak wiele rzeczy, godnych politowania i pełnych melancholii, że nie pozostawia wprost miejsca na śmieszność. To też skłonność do obracania w żart faktów poważnych jest naszą plagą, poniżającą nas i czyniącą twardymi na wszystko.” I jeszcze w tejże kwestyi. „Stan rzeczy we Włoszech w czasie największego rozkwitu ich sztuki wykluczał wprost prawie możliwość śmiechu. Bitwy, jak batalia pod Montaperti i Meloria, wielkorządcy, jak Eccelino, królowie, jak Karol d'Anjou—wszystko to nie pozwalało zaiste, by usta ludzi układały się do śmiechu. W epoce szczytnego wybudzania życia duchowego we Florencyi, w dobie Dantego, wielkiego przedstawiciela najświetniejszych cech umysłu rasy—nieszczęścia i egzercyje prywatne i publiczne były tak niesłychane, że wątpię, by Florentczycy śmieli się wówczas kiedykolwiek.”

Wszystko przytem, „cokolwiek robią ludzie, jest błędnem; niszczą natomiast, cokolwiek jest dobrem.” Najwięcej może jednak beznadziejna gorycz przejmuje go wobec pewnych ujemnych zjawisk przyrody. Oto jaką uwagę dyktuje mu parazytyzm w świecie roślinnym. „Wszystko, co zdarzyło mi się w życiu, wydaje mi się rzeczą małej wagi wobec druzgoczącego i przygnebiającego wrażenia, jakie sprawiają mi, ujawniające mi się z dnia na dzień, w miarę jak pogłębam jej tajemnice, okrucieństwo i szkarada natury, którą zwykłem był uważać za tak boską.” Z równą też bezwzględnością, jak na stronach swych książek, występować będzie w listach przeciw tym moralnym i duchowym kierownikom społeczeństwa, którzy nie pojmują istotnej treści swych zadań. Z powodu śmierci Dickens'a, któremu przypisywano pewne wpływy na ukształtowanie jego indywidualności, mówi między innemi: „Był głównie *manager'em* scenicznym i używał wszystkich sposobów wywierania wrażenia na publiczność. Święto Narodzenia Chrystusa oznacza u niego pudynę i jemiolę—a nie zmartwychpowstanie, nie ukazanie się gwiazd nowych, nie nauczanie mędrców.”

Gdy zważymy, jak ten bojownik o lepsze jutro ludzkości mało wierzy w tę ludzkość i w swe pokolenie, tem więcej wzra-

stać musi nasz podziw dla jego dziesiątek lat długiego apostołstwa. Ufając w bardzo słabym stopniu w wartość materiału ludzkiego, włożyć w urabianie jego i przygotowywanie świata dróg szczęścia całą swą energię i cały swój zapał wraz z olbrzymią częścią swej fortuny — może tylko duch i umysł wielkiej miary. Prawda, iż w listach swych mówi, że „najsmutniejsze nasze myśli są również naszymi najmądrzejszymi myślami i wówczas dopiero, gdy umiemy dźwigać brzemień smutku, zdolni jesteśmy również patrzeć jasno na rzeczy.“ Nie skarży się więc na swój smutek i nie boleje nad nim, choć jest nieraz w nastroju człowieka, którego „wino mąciłby ktoś stale błotem.“ Bo ten wycierający zewsząd smutek i ta nostalgia, w jaką pogrąża go płytkość dusz i ich ubóstwo, potworny ucisk społeczny, ciemnota i znieprawienie—wykreśla jasno drogę reformatorowi. Ten tylko, kto objął istotę zła i rozmiary dokonanych przez nie spustoszeń — może uświadomić sobie naturę wskazanego na nie lekarstwa i zapobiegać, w miarę swej mocy, jego fatalnemu działaniu na organizm zbiorowy.

Zapobieganie takie wymagało, w przekonaniu tego torysa-socjalisty, wtłoczenia społeczeństwa w kadry obcych mu już hierarchij. Lecz wyrażało się również w rozbudzaniu w sumieniu jednostek i ugrupowań ludzkich poczucia ich wzajemnego wobec siebie *obowiązku*, będącego najwyższem prawem moralnem. I wypowiadało się w końcu w nieustannem dążeniu do podniesienia wartości życia przez wniesienie w nie zdrowia, równowagi, siły i piękna. Stąd ten człowiek melancholij, w którego duszy skarga krzywdy ludzkiej zagłuszyła inne melodye, stał się krzewicielem wesela i pogody — jednym z największych dobroczyńców ludzkości.

\*

\*

\*

Korespondencya Carlyle'a z Jane Welsh nie dostarcza nowych komentarzy do jego twórczości, ani dorzuca nowych rysów do jego działalności, lecz przynosi ostateczne wyjaśnienie stosunku z żoną. Wiadomem już jest oddawna, jak mylnie światło rzucała na ten stosunek biografia Froude'a, który, cytując mimo woli Carlyle'a pewne ustępy z listów, wyrwane z całości, dla poparcia swych argumentów, zdeformował rzeczywistość, jak to czynił nie-



jednokrotnie we wszystkich swych dziełach wskutek swego namiętnego temperamentu bojowca. Ogłoszenie więc dziś drukiem całej korespondencji jest poniekąd aktem sprawiedliwości wobec obojga Carlyle'ów.

Przypomnę tu, iż Jane Welsh stała towarzysko wyżej od Carlyle'a. Pochodziła z zamożnej rodziny i była w epoce, gdy nastąpiło ich poznanie, piękną i elegancką panną światową, lubiącą rozrywki i nienadającą się na pozór na żonę uczonego a zwłaszcza samotnika. Carlyle wprowadzony został do domu jej matki przez swego przyjaciela, Edwarda Irvinga, który był przez dłuższy czas nauczycielem wybitnie zdolnej i inteligentnej dziewczyny i powziął dla niej w obcowaniu z nią żywsze uczucie. Miss Welsh nie pozostała na nie obojętną, lecz Irving oddalił się sam od niej, uważając się za związanego z inną narzeczeństwem, którego zerwania pragnął i oczekiwał, nie śniąc jednak wystąpić sam jako strona zrywająca... Zbliżenie jej do Carlyle'a rozpoczęło się od pożyczania książek, któremu towarzyszyła wymiana listów.

Nie ulega wątpliwości, że miss Jane okazywała pierwotnie pewne zainteresowanie nowemu znajomemu, jeśli nie wyłącznie, to w każdym razie przeważnie ze względu na jego przyjaźń z Irvingiem. Powierzchowność jego była zbyt niewdzięczna, a obejście zbyt sztywne i nieśmiałe, by mógł wydać się pociągającym tej wytwornej istocie. Ale niezadługo już bystra jej inteligencja i przenikliwość oceniła należycie niepospolitą wartość duchową, kryjącą się za mało zachęcającą powłoką. Jeśli Carlyle nie zawsze umiał w owej epoce wypowiadać elokwentnie swe myśli (nabył dar ten w następstwie), to celował natomiast w sztuce przybierania ich we wspaniałą a często porywającą szatę pisanego słowa. Przypuszczenie szturmu do fortecy serca Jane Welsh za pomocą listów było zaiste w danym wypadku najlepszym środkiem dostania się do niej. Carlyle okazał się znakomitym strategiem, walczającym umiejętnie coraz lepsze postęunki.

Zdarzały się niezaprzeczenie chwile, gdy władnęło nim przygnębienie. Wiedział, że jego miłość nie znajdzie poparcia w rodzinie dziewczyny, której matka marzyła dla niej o „światniejszej“ partyi, niż ta, jaką przedstawiało w jej oczach małżeństwo z Carlyle'm. Jeden z listów, napisanych pod wrażeniem dręczących go nieraz obaw, datowany jest z „Piekła.“ Powoli jednak umacnia się w przeświadczeniu, że osiągnie upragnionego celu. Zdobywa istotnie uczucia ukochanej. W jednym z dość częstych przystępów rozgoryczenia mrs. Carlyle orzekła kiedyś w następstwie, iż poślubiła męża swego dla zadośćuczynienia ambicyi i jest obecnie

godną politowania istotą, mimo, iż towarzyszył jej życia przeszedł wszystkie jej oczekiwania. Korespondencja jej z Carlyle'm świadczy wymownie, iż rzeczy miały się inaczej. Gorące przywiązanie kobiety dorównywa miłości mężczyzny. Pełna jest naprzykład lęku, gdy przypuszcza, że dawny stosunek z Irving'em może stanąć w poprzek jej szczęściu.

Okoliczności życia i różnice usposobień spowodowały niejednokrotne nieporozumienia między tym dwojgiem w ciągu lat późniejszych. Ukrywając zbyt przed mężem swe urazy do niego i zdrażnienia miłości własnej, mrs. Carlyle powierzała je natomiast często swemu dziennikowi i przyjaciółom; stąd legenda o przykrych stosunkach domowych. W gruncie rzeczy jednak łączyło zawsze tę parę małżeńską głębokie uczucie, którego przekonywającym dość dowodem było ze strony Carlyle'a całe jego istnienie po śmierci żony, o którym świadczyło też aż nadto poświęcenie się Jane Welsh zadaniom i celom twórczym męża. Listy utwierdzają nas jeszcze w przeświadczeniu zdobytem już poprzednio w tym kierunku.

M. RAKOWSKA.



# BUDOWA ŚWIATA.

---

## I.

Już w czasach bardzo odległych odróżniali ludzie pośród światel niebieskich dwie zasadniczo różne kategorie. Jedną z nich stanowiły gwiazdy, które tworzyły niezmiennie ugrupowania, czyli gwiazdozbiory, drugą zaś, bardzo nieliczną, te, które zmieniały położenie na niebie, przechodząc z gwiazdozbioru do gwiazdozbioru. Gwiazdy pierwszej kategorii nazywały się stałemi, drugiej zaś—planetami, do których też, aż do czasów Kopernika, zaliczano księżyc i słońce.

Dosyć wczesnie wytworzył się pogląd, że planety rozmaicie są od nas oddalone; co do gwiazd stałych, to wszystkie umieszczano w jednakowej odległości i wyobrażano je sobie, jako przytwierdzone do sklepienia niebieskiego, które uważano za materialną kryształową granicę dostępnego dla oczu ludzkich świata.

Zgodnie z takim poglądem zagadka budowy świata tkwiła tylko we wzajemnym stosunku planet, one bowiem stanowiły istotną jego treść. Planetami więc też tylko przeważnie zajmują się wszystkie starożytne teorie astronomiczne, a punktem kulminacyjnym wszystkich w tej dziedzinie dociekań jest synteza, przekazana nam w *Almageście* Ptolomeusza.

Zresztą zjawiska niebieskie były ulubionym przedmiotem rozlicznych fantastycznych rojeń, które łączyły je z wierzeniami religijnymi i mitami. Do tych mitów wciągnięto nietylko słońce, księżyc i planety, ale też i gwiazdy owej najodleglejszej „ósmej sfery.“ Różne ich ugrupowania, w których fantazyja poznawała niedostrzegalne dla nas kształty bohaterów, zwierząt i t. p., zachowały dotąd nazwy, nadane im w odległej starożytności. Nie

uszedł uwagi naiwnego, ale spostrzegawczego starożytnego obserwatora także pas nieba, który w pogodne noce wielkiem kołem ciągnie się od poziomu do poziomu i wyraźnie jasnością swą odznacza się na ciemnym tle gwiazdzistego nieba. I ten pas nieba, zwany drogą mleczną, wielokrotnie wplata się w starożytne legendy i tam znajduje swe mityczne wyjaśnienie.

Wogóle wszakże rozmieszczenie gwiazd na niebie wydawało się zawsze bardzo zagmatwanem i chaotycznym. Wprawdzie spostrzegano w kształtach gwiazdozbiorów podobieństwo z ludźmi i zwierzętami, ale nie znajdujemy śladów, aby dążono do wynalezienia w tych ugrupowaniach jakiegoś ogólniejszego prawa. Nazwy niektórych gwiazdozbiorów, jak np. Wąż, Smok, Rzeka Erydan etc., zdają się świadczyć o tem, że pewne wybitne linie gwiazd zwróciły uwagę starożytnych spostrzegaczy, ale dopiero nowsza nauka poczęła w tych ciągach gwiazdowych szukać wskazówek w badaniach nad budową świata.

Po Ptolomeuszu przyszedł Kopernik, który zatrzymał niebo i słońce, a ziemi wyznaczył skromne miejsce w szeregu innych planet, których ruchy niesforne w sposób genialny uporządkował. Ale w poglądach na niebo i gwiazdy Kopernik pozostał wierny zapatrywaniom starożytnych; niebo jest dla niego jeszcze tą granicą świata, za którą „nie znajduje się nic.“

W odkryciu Kopernika tkwił jednak zarodek poglądów nowych. Chęć pewniejszego ugruntowania teorii Kopernika przez jej zwolenników, a obalenia jej przez przeciwników pobudziła działalność obserwacyjną, zmierzającą do wykrycia tych drobnych ruchów gwiazd, które musiały być odzwierciedleniem biegu ziemi dokoła słońca, t. j. t. zw. paralaksy rocznej. Niemożność dostrzeżenia tych ruchów prowadziła do wniosku, iż odległość gwiazd jest olbrzymią w porównaniu z odległością słońca. W miarę zaś, jak wzrastała dokładność obserwacji i zacieśniały się granice, których paralaksa przekraczać nie mogła, w tym samym stopniu rozszerzały się rozmiary sfery niebieskiej.

Skoro zdobyto jaśniejsze pojęcie o odległości gwiazd, musiały też uleże zmianie zapatrywania na ich naturę. Już w dziełach Keplera znajdujemy poglądy, które z biegiem czasu zostały w całości potwierdzone i przyjęte. Ponieważ planety, chociaż odległość ich od nas jest rozmaita, wszystkie widzimy na tem samym sklepieniu niebieskiem, więc niema powodu sądzić, że gwiazdy wszystkie są jednakowo od nas odległe, tembardziej, gdy stwierdzenie ruchu ziemi dokoła osi usunęło tę pozorną łączność gwiazd, która zdawała się wypływać z ich wspólnego ruchu dziennego.



Gwiazdy, które świecą w tak olbrzymich odległościach od nas, blaskiem swym często dorównują planetom, tak stosunkowo nam bliskim, muszą więc one rozmiarami wielokrotnie przewyższać te ostatnie. Że zaś świecą one światłem własnym, jak słońce, więc są i co do swej natury i co do rozmiarów ciałami niebieskimi tego samego rzędu co słońce. Wszechświat napełniony jest niezliczonymi słońcami, unoszącymi się w różnych kierunkach i odległościach od nas. Dokoła jednego z tych słońc, najbliższego, biegnie ziemia.

W ten sposób kulistość świata została sprowadzoną do czynników fizyologiczno-optycznych, a zarazem upadła naiwna idea materialności sklepienia niebieskiego. Podobnie jak ziemia przez Kopernika zdegradowana została do roli towarzyszkii słońca, umieszczonego w środku świata, tak samo z czasem i słońce zaliczone zostało do szeregu tych niezliczonych punktów świetlnych, których znaczenia dawniej tak niedoceniano, że nie uważano ich prawie za godne jakichś głębszych badań. Ale pomimo tych epokowych koncepcyj, niemożność wykrycia u gwiazd jakichś zmian, ani wykrycia ich odległości, czyniła człowieka wprost bezradnym w stosunku do tych odległych słońc i stawiała je, zdawało się, poza zakresem badań ludzkich.

Upłynęło kilka wieków natężonej pracy, i dziś z dumą spoglądać możemy na obfite jej plony. Bez przesady powiedzieć można, że każdy dzień przynosi nam obecnie więcej wiadomości z głębin wszechświata, niż dawniej tysiącolecia. Weźmy z tych różnorodnych badań pod uwagę jeden rozdział, który dotyczy stanowiska naszego, t. j. naszego słońca, pośród innych gwiazd, oraz sposobu rozinieszczenia gwiazd w tej przestrzeni, którą napełniają. Zagadnienie to wiąże się najściślej z zagadnieniem drogi mlecznej i całkowite jego rozwiązanie należy uważać za szczyt wszystkich usiłowań, dążących do poznania tajemnic wszechświata. Jesteśmy jeszcze bardzo daleko od wytkniętego celu, ale, choć bardzo powoli, zbliżamy się do niego. Najważniejsze wyniki, otrzymane w tym przedmiocie, stanowią treść tego artykułu.

## II.

Pomiary astronomiczne są dziś tak dokładne, iż wymierzyć można kąt, pod którym widziałby jest włos ludzki z odległości jednego kilometra. Ale kąt taki, wynoszący dwie setne części sekun-

dy łuku, jest już granicą osiągalnej dokładności. Paralaksą roczną gwiazdy nazywa się kąt, pod którym z tej gwiazdy widzialną jest odległość ziemi od słońca, czyli t. zw. jednostka planetarna, wynosząca 150 milionów kilometrów. Jeśli ta odległość widzialną jest z gwiazdy pod kątem takim przynajmniej, jak włos ludzki z odległości 1 kilometra, to jeszcze paralaksę tej gwiazdy wymierzyć można. Odpowiada takiej paralaksie odległość gwiazdy 10 milionów jednostek planetarnych, albo krócej się wyrażając, 150 lat światła. Rokiem światła nazywamy drogę, którą światło, mające szybkość 300,000 kilometrów na sekundę, przebiega w ciągu roku.

Pomimo takiej dokładności pomiarów stwierdzić zdołano paralaksę zaledwie u niespełna 100 gwiazd, z kąd wynika, że odległość gwiazd, nie przekraczająca 150 lat światła, należy do wyjątków, większa zaś jest regułą. Pomiar bezpośredni daje nam więc tylko pojęcie o najmniejszych odległościach, pozostawiając nas co do największych, a więc też co do rzeczywistych rozmiarów świata materialnego, w zupełnej niewiedomości.

Położenie gwiazd na niebie określa nam tylko kierunki, w których się one znajdują w przestrzeni. Dwie gwiazdy, widzialne na niebie tuż obok siebie, w rzeczywistości mogą być od siebie bardzo odległe. Jeżeli obie są od nas bardzo daleko, to kąt, pod którym widzialną jest od nas ich wzajemna, równie wielka odległość, może być bardzo małym; również blisko siebie na niebie mogą być widzialne dwie gwiazdy, gdy jedna z nich jest stosunkowo bliska, a druga bardzo odległa od nas, jeżeli kierunki, w których je widzimy, są zbliżone. Zdawałoby się więc, że z rozmieszczenia gwiazd na niebie nie można wyciągnąć żadnych wniosków co do ich odległości. Jednakowoż niemożność wyznaczenia odległości dokładnych, których jedyną podstawą jest paralaksa, kazałaby nam wprost zaniechać badań nad rozmieszczeniem słońc w przestrzeni, gdyby nie można było w tej sprawie znaleźć innych punktów wyjścia.

Jakiemkolwiek jest rozmieszczenie gwiazd w przestrzeni, to nie ulega wątpliwości, iż obraz nieba musi wykazywać ścisły związek z tem rozmieszczeniem przestrzennem, podobnie jak rzut jakiejś figury trójwymiarowej na płaszczyznę znajduje się w ścisłym związku z kształtem przestrzennym tej figury. Naturalnie sam rzut nie wystarcza do dokładnego poznania odpowiadającego mu kształtu przestrzennego, ale może on być podstawą pewnych hipotez, których słusność na innej jakiejś drodze wypróbowaną i stwierdzoną być może.



Gdyby naprzykład wszystkie gwiazdy były rozmieszczone w przestrzeni kulistej z jednakową gęstością, a ziemia zajmowała jej środek, to na równych co do powierzchni polach nieba we wszystkich kierunkach liczba gwiazd byłaby jednakową; przy różnych gęstościach rozmieszczenia przestrzennego liczby gwiazd na równych polach znajdowałyby się w prostym stosunku do gęstości przestrzennej w odpowiednich kierunkach. Przy równomiernym rozmieszczeniu przestrzennem, a postaci układu, różnej od kuli, widzielibyśmy tem więcej gwiazd na równych polach, im dalej w odpowiadających im kierunkach rozciąga się układ gwiazdowy. Łatwe rozumowanie geometryczne prowadzi do wniosku, że liczby gwiazd na równych polach miałyby się do siebie, jak sześciiany odległości, do których w tych kierunkach rozciąga się układ.

W rzeczywistości rozmieszczenie gwiazd na niebie bardzo jest nierównomierne, co uderza na pierwszy rzut oka; wynika ztąd, że albo gęstość rozmieszczenia przestrzennego gwiazd jest w różnych kierunkach bardzo różną, albo też, że w różnych kierunkach układ gwiazdowy rozciąga się na odległość rozmaity. Ten ostatni pogląd został uznany za bardziej prawdopodobny i stał się punktem wyjścia najwcześniejszych badań nad budową świata.

Kiedy na gwiazdy poczęto zapatrywać się, jako na bardzo odległe słońca, a sklepienie niebieskie w swej materialnej postaci istnieć przestało, stała się palącą kwestya, czem jest ta jasna smuga światła, tworząca zamknięty pas na sklepieniu niebieskiem, która od najdawniejszych czasów nosiła nazwę drogi mlecznej. Problem drogi mlecznej pierwotnie był daleko prostszy, niż obecnie. Jedni sądzili, że jestto jasna materya gazowa, opasująca jednolitym pierścieniem nasze stanowisko w wszechświecie, inni utrzymywali że pas drogi mlecznej zawdzięcza swą jasność niezliczonym gwiazdom, skupionym w jego granicach, tak drobnym, że ich oddzielnie widzieć nie można.

Dla rozstrzygnięcia tego dylematu wystarczało znaleźć środki, służące do spotęgowania siły ludzkiego wzroku. Stało się to z chwilą, gdy wynalezioną została luneta. Okazało się wówczas, że we wszystkich miejscach drogi mlecznej przez lunetę dostrzedz można było wiele oddzielnych gwiazd tam, gdzie oko widziało tylko jednolitą jasność. Wprawdzie i te gwiazdy widzialne były jeszcze na tle jasnym i droga mleczna, widziana przez lunetę, nie różniła się wyglądem od widzianej bez lunety; ale wydawał się uprawnionym wniosek, że można drogę mleczną uważać za

zbiorowisko drobnych gwiazd, co dałoby się stwierdzić jednakże dopiero za pomocą lunet, jeszcze o wiele silniejszych.

To skupienie gwiazd w drodze mlecznej objaśnia Kant w ten sposób, iż w kierunku płaszczyzny drogi mlecznej układ rozciąga się dalej, niż w innych kierunkach, a skutkiem tego na pole określonej wielkości w tym kierunku przypada daleko więcej gwiazd. W rozumowaniach swych oparł się on na analogii z układem słonecznym. Jak wiadomo, planety krążą dokoła słońca w drogach, których płaszczyzny nieznacznie względem siebie są nachylone. Pomimo ich różnej odległości od słońca, spostrzegacz, znajdujący się na słońcu, widziałby je na pozornem sklepieniu niebieskiem w granicach wąskiego pasa, okalającego niebo. Otóż gdyby tych planet były tysiące lub miliony, obserwator miałby przed sobą zjawisko, całkiem podobne do zjawiska drogi mlecznej. Aby wyjaśnić istnienie gwiazd także poza granicami pasa drogi mlecznej, należy tylko przypuścić, że gwiazdy są rozmieszczone w płaskiej przestrzeni, np. kształtu, podobnego do kamienia młyńskiego, i że słońce, umieszczone gdzieś pośrodku tej przestrzeni, otoczone jest ze wszystkich stron innymi słońcami tego układu. Uważając kształt taki za pierwsze przybliżenie, możnaby dążyć do wyników dokładniejszych przez dokładne badanie rozmieszczenia gwiazd na niebie.

Pierwsze podstawy takich szczegółowych badań zawdzięczamy niestrudzonemu pionierowi nauki, Williamowi Herschelowi. Rozporządzał on największym teleskopem swojej epoki, dwudziestostopowym reflektorem, którego zwierciadło własnoręcznie wykonał. Za pomocą swej lunety mógł on widzieć jeszcze gwiazdy prawdopodobnie 16 wielkości, i przystąpił do swych studyów w założeniu, że najdrobniejsze z gwiazd, widzialnych przez jego lunetę, znajdują się na granicy układu gwiazdowego. Badanie swoje nazwał on „sondowaniem nieba,“ a polegało ono w zasadzie na liczeniu gwiazd, widzialnych w polu jego lunety w różnych częściach nieba. Jak olbrzymiem było to przedsięwzięcie, wystarczy powiedzieć, iż na całe niebo przypadało 832,979 pól widzenia lunety Herschla, a pomiędzy niemi zdarzały się takie, w których liczba gwiazd widzialnych wynosiła po kilka tysięcy. Liczenia więc rzeczywiste mogły objąć tylko nieznaczną część nieba. Ponieważ chodziło o to, aby pola zbadane mniej więcej równomiernie rozmieszczone były na całym niebie, więc syn Williama, John Herschel, udał się na przykład Dobrej Nadziei, aby wykonać tę samą pracę na półkuli południowej, którą ojciec dokonał na półkuli północnej.



Ogółem liczenia obu Herschlów objęły 5,700 pól, a więc za ledwie 150-tą część całego nieba. Pomimo to doprowadziły one do kilku ciekawych wyników.

„Sondowanie“ jest to mierzenie głębokości; w tym wypadku chodziło o wymierzenie głębokości układu gwiazdowego we wszystkich kierunkach. Widzieliśmy, że na podstawie liczby gwiazd, widzialnych w polu, można względną głębokość w różnych kierunkach określić, jeżeli rozmieszczenie słońc w przestrzeni jest wszędzie jednakowo gęste. W tym wypadku głębokości w różnych kierunkach mają się do siebie, jak pierwiastki sześciennego z liczb gwiazd, widzialnych na równych polach nieba w tych kierunkach. W istocie Herschel taką hipotezę co do rozmieszczenia przyjął za pierwsze przybliżenie i wyznaczył 5,700 głębokości w tyluż różnych kierunkach. W ten sposób określił 5,700 punktów na powierzchni, ograniczającej układ gwiazdowy, i na podstawie tych punktów wykreślił ogólny przebieg owej powierzchni granicznej w podobny sposób, jak wykreśla się przebieg linii krzywej na podstawie szeregu danych jej punktów.

Postać układu, otrzymana przez Herschla, z kształtu przypomina soczewkę podwójnie wypukłą, której średnica 3 razy przeszła jest dłuższą, niż jej grubość. Średnica ta przypada w płaszczyźnie drogi mlecznej, w tej więc płaszczyźnie układ gwiazdowy rozciąga się przeszło 3 razy tak daleko, aniżeli w kierunku do niej prostopadłym. Schemat powyższy Herschla został bardzo rozpowszechniony przez zamieszczanie go w różnych dziełach popularnych, w których podawany bywa, jako najprawdopodobniejsza postać układu gwiazdowego. W rzeczywistości zaś nie jest on niczem więcej, jak dyagramem, przedstawiającym graficznie wyniki statystyki, odnoszącej się do liczby gwiazd, widzialnych w różnych punktach nieba przez wielką lunetę Herschla.

Herschel bowiem nie dotarł we wszystkich kierunkach do granic układu; w szczególności nie udało mu się rozdzielić na oddzielne gwiazdy drogi mlecznej. Takie „dziury w niebie,“ w których gwiazdy oddzielne można było widzieć na całkiem ciemnym tle, były wprawdzie dosyć liczne, ale nie mniej liczne były miejsca, w których z poza drobnych gwiazd wyzierało mglistym światłem jaśniejące tło drogi mlecznej. Takie miejsca narzucały pytanie, czy wogóle gwiazdy zajmują jakąś przestrzeń skończoną, a jeżeli nie, to naturalnie nie może być mowy o jakimś układzie gwiazdowym wogóle, gdyż układ wszelki wyobrażamy sobie zawsze, jako w pewnych granicach zawarty; a jeżeli niema granic, to niema i określonej postaci.

Jeżeliby więc nawet hipoteza równomiernego rozmieszczenia mogła być na innej drodze uzasadniona, to soczewka Herschla bynajmniej nie przedstawiałaby postaci układu gwiazdowego, którego istnienie przedewszystkiem należy wykazać, lecz tylko kształt tej przestrzeni, w której mieszczą się wszystkie gwiazdy, począwszy od najjaśniejszych, aż do 16 wielkości.

Oczywiście nawet taki wynik, stosunkowo skromny, miałby dla nas znaczenie bardzo doniosłe. Zobaczmy więc, o ile hipoteza równomiernego rozmieszczenia gwiazd zgadza się z obserwacją.

### III.

Gwiazdy nie są to proste rzuty punktów w przestrzeni na pozorne sklepienie niebieskie, są to punkty świetlane o różnej jasności. Powiadamy, że gwiazdy posiadają różną „wielkość“ i wiemy, że przez lunetę Herschla widziane były prawdopodobnie gwiazdy 16 wielkości. Wielkość jest to pojęcie, w fotometrii astronomicznej dokładnie określone. Najjaśniejsze gwiazdy nieba należą do wielkości pierwszej, najślabsze z tych gwiazd, które normalne oko bez pomocy szkieł jeszcze rozpoznaje, są wielkości 6-ej. Liczba, wyrażająca wielkość, rośnie, gdy jasność gwiazdy maleje, i mianowicie stosunek jasności gwiazd dwóch kolejnych wielkości wynosi 2.5. Znaczy to, że gwiazda 1-ej wielkości jest 2.5 razy jaśniejszą, niż gwiazda 2-ej wielkości, ta znów jest 2.5 razy jaśniejszą od gwiazdy 3-ej wielkości i t. d. Stąd wynika, że od jednej gwiazdy 1-ej wielkości otrzymujemy taką samą ilość światła, co od 100 gwiazd 6-ej wielkości, co od 10,000 gwiazd 11-ej wielkości lub miliona gwiazd 16-ej wielkości.

Ta różnica wielkości gwiazd w wyżej przytoczonych badaniach Herschla wcale nie była braną w rachubę. Uwzględnienie wielkości w połączeniu ze statystyką jest rzeczą nader ważną przedewszystkiem dlatego, że pozwala na sprawdzenie słuszności hipotezy równomiernego przestrzennego rozmieszczenia słońc.

Jasność gwiazdy jest wielkością, zależną od odległości. Z dwóch słońc, jednakowych co do rozmiarów, z których jedno jest dwa razy tak odległe od nas, niż drugie, pierwsze wydaje się 4 razy mniej jasnym, niż drugie. W ogólności powiadamy, że jasność maleje w tym samym stosunku, w jakim rośnie kwadrat odległości. Skutkiem tego gwiazda 1-ej wielkości stałaby się



dla nas gwiazdą 6-ej wielkości (t. j. 100 razy mniej jasną), gdyby odległość jej wzrosła dziesięciokrotnie.

Jeżeli więc w polu widzenia lunety widzimy gwiazdy aż do pewnej wielkości określonej, to liczba gwiazd widzialnych, jak widzieliśmy, może być przy pewnych założeniach miarą rozległości układu w tym kierunku. Ale że jasność szybko maleje ze wzrostem odległości, więc także i stosunek liczb gwiazd różnych wielkości zależeć musi od prawa rozmieszczenia przestrzennego.

Aby tę rzecz wyjaśnić, wyjdźmy z założenia najprostszego, że rozmieszczenie przestrzenne gwiazd jest równomierne, i przypuśćmy, że rozmiary rzeczywiste wszystkich słońc są jednakowe, t. j. że z różnych odległości wydawałyby się równie jasnymi. Jakiby w takim razie musiał być stosunek liczb gwiazd dwóch kolejnych wielkości, który w dalszym ciągu, za przykładem astronomów angielskich, będziemy nazywali wprost „stosunkiem gwiazd”? Jeżeli odległość, z której słońca wydają się nam gwiazdami 1-ej wielkości, przyjmiemy za jedność, to gwiazda 2-ej wielkości (2.5 razy mniej jasna) znajduje się w odległości 1.6, gwiazda 3-ej wielkości w odległości 2.5 i t. d. takich „jednostek gwiazdowych.“ Liczby 1, 1.6, 2.5, 4.0, 6.3, 10.0, 16, 25, 40 przy powyższych założeniach określają odległość gwiazd pierwszych 9 wielkości. Zakreślając kule promieniami, równymi tym odległościom, znajdziemy, że przestrzeń, zawarta pomiędzy powierzchnią jakiejś danej kuli a powierzchnią sąsiedniej mniejszej, jest 3.95 razy mniejsza, aniżeli przestrzeń między powierzchnią tejże kuli a powierzchnią sąsiedniej większej kuli. Pomiędzy powierzchniami pierwszej i drugiej kuli znajdują się wszystkie gwiazdy 1-ej wielkości, pomiędzy powierzchniami drugiej i trzeciej kuli wszystkie gwiazdy 2-ej wielkości i t. d. A że przy równomiernym rozmieszczeniu w równych przestrzeniach zawarte są jednakowo liczby słońc, więc też gwiazd każdej następnej wielkości byłoby 3.95 razy więcej, niż gwiazd wielkości poprzedniej.

Wniosek, wypływający z tego rozumowania jest taki, że gdyby wszystkie słońca były jednakowo jasne i z równomierną gęstością w przestrzeni rozmieszczone, to stosunek gwiazd byłby stały i wynosiłby 3.95.

W rzeczywistości wiemy, że rozmiary rzeczywiste słońc są bardzo różne. Pośród gwiazd, których paralaksę udało się nam wymierzyć, które są więc najbliżej nas, znajdują się gwiazdy nawet 8-ej wielkości, a pośród gwiazd pierwszej wielkości są takie, które żadnych śladów paralaksy nie wykazują, a więc znajdują się o wiele dalej od tych gwiazd drobnych. Wynikają stąd ol-

brzymie różnice rozmiarów rzeczywistych. Tak na przykład z pośród gwiazd, których odległość, a więc i rozmiary, znamy, Arktur pod względem siły światła 5,370 razy przewyższa nasze słońce, gwiazda zaś № 11,677 katalogu Oeltzena wysyła w przestwór tylko 80-tą część tego światła co słońce. Arktur więc pod względem ilości światła, którą wysyła, przewyższa tę ostatnią gwiazdę 430,000 razy. Jeżeli zaś tak wielkie różnice stwierdzamy już pośród kilkudziesięciu gwiazd najbliższych, to z pewnością otrzymalibyśmy różnice o wiele większe, gdybyśmy mogli porównać ze sobą ogół słońc.

Pomimo tych różnic, jak wykazuje rachunek prawdopodobieństwa, dla stosunku gwiazd otrzymalibyśmy tę samą wartość, co przy słońcach jednakowej wielkości, gdyby słońca różnych rozmiarów pomieszane były ze sobą bez jakiegoś określonego prawa. Wobec tego, iż za prawidłowością tego rodzaju nic nie przemawia, możemy oczekiwać, iż stosunek gwiazd w istocie w głównej mierze zależy od prawa rozmieszczenia przestrzennego.

Aby porównać wynik teoretyczny z rzeczywistym stanem rzeczy, należy policzyć, ile gwiazd każdej wielkości w istocie dostrzegamy na niebie. Statystykę taką należy oprzeć na dokładnych danych katalogowych. Taki materiał, rozciągający się na całe niebo, mamy już dzisiaj dla gwiazd do 9.5 wielkości. Dla półkuli północnej zawarty jest on w katalogu Argelander'a „Bonner Durchmusterung,“ w którym liczba gwiazd do 9.5 wielkości wynosi 324,198. Dla półkuli południowej materiał jest mniej jednorodny, gdyż pochodzi od rozmaitych obserwatorów; najobszerniejszy jest katalog Gilla i Kapteyna, „Cape photographic Durchmusterung,“ w którym liczba gwiazd wynosi 445,936. Biorąc pod uwagę cały materiał katalogowy, okazuje się, że stosunek gwiazd nie jest stały dla wszystkich wielkości, ale różnice te noszą charakter przypadkowy, gdyż nie wykazują systematycznego przebiegu. Można więc uważać średnią arytmetyczną oddzielnych wartości tego stosunku za wyraz przeciętnego rozmieszczenia gwiazd w przestrzeni. Średnia ta wartość wynosi 3.9, a więc bardzo mało różni się od wyżej otrzymanej wartości teoretycznej.

Widzimy zatem, że, uwzględniając tylko gwiazdy dziewięciu pierwszych wielkości, liczby rzeczywiste gwiazd każdej wielkości ze znacznym przybliżeniem odpowiadają założeniu równomiernego rozmieszczenia. Wobec tego, iż o kształcie przestrzeni, w której te gwiazdy są zawarte, nic jeszcze nie wiemy, należy powyższy wynik rozumieć w ten sposób, iż gwiazd każdej wielkości jest



w przybliżeniu tyle, ileby ich być musiało, gdyby zawarte one były w obrębie kuli o promieniu 40 jednostek gwiazdowych, (t. j. równym tej odległości, w której gwiazda 1-ej wielkości widzialną byłaby jako gwiazda 9-ej wielkości) przy jednakowej wszędzie gęstości przestrzennej.

Wypływa stąd jeszcze inny ważny wniosek, mianowicie, że im gwiazda wydaje się mniejszą, tem w większej od nas znajduje się odległości. Wiemy wszakże, iż słońca rozmiarami rzeczywistymi bardzo się między sobą różnią, a więc jasność gwiazdy nie tylko od jej odległości zależy. Wniosek powyższy zatem do gwiazd poszczególnych zastosowania mieć nie może. Należy go rozumieć tak, że średnia odległość gwiazd danej wielkości jest tem większą, im gwiazdy te są mniejsze. Wyżej podane odległości, w których gwiazda 1-ej wielkości schodziłaby po kolei do rzędu gwiazd 2-ej, 3-ej i t. d. wielkości, możemy teraz uważać za średnie odległości gwiazd tych wielkości. Poprzednio przyjęta jednostka gwiazdowa może być teraz uważana za średnią odległość gwiazd 1-ej wielkości, a liczby 1.6, 2.5 i t. d. takich jednostek wyrażają po kolei średnią odległość gwiazd 2-ej, 3-ej i t. d. wielkości.

#### IV.

Wyniki powyższe, jako oparte na dokładnym materiale katalogowym, mają dla kwestyi budowy świata znaczenie podstawowe. Ale dotyczą one tylko najbliższych jego części. Przyjmując, jako średnią odległość gwiazd 1 wielkości 15 lat światła, co wynika ze znanych wartości paralaksy, otrzymamy, że stosunek gwiazd 3.9 ważny jest w obrębie kuli, zakreślonej dokoła naszego stanowiska promieniem, którego długość nie przekracza 750 lat światła.

Jaką jest wartość tego stosunku dla gwiazd drobniejszych, tego nie wiemy. Ale z łatwością możemy się przekonać, że, gdybyśmy wartość jego 3.9 uważali za stałą dla wszystkich gwiazd, doszlibyśmy do wyników sprzecznych z obserwacją, a przede wszystkim odrzucilibyśmy musieli hipotezę układu skończonego wogóle, gdyż przy takim stosunku liczba gwiazd musiałaby wznosić się do nieskończoności. Że stosunek gwiazd, począwszy od pewnej wielkości, musi się zmniejszać, wynika to z następującego rozumowania.

Ponieważ gwiazda danej wielkości jest 2.5 razy mniej jasną, niż gwiazda wielkości poprzedniej, ale za to tych ostatnich jest 3.9 razy więcej, więc ogólna ilość światła, otrzymywana od gwiazd danej wielkości, jest  $\frac{3.9}{2.5} = 1.56$  razy większa, niż ilość światła, otrzymywana przez gwiazdy poprzedniej wielkości. Gdyby jasność gwiazd malała nieograniczenie, a stosunek powyższy pozostał stałym, to ilość światła, którą otrzymywalibyśmy od gwiazd, również rosłaby nieograniczenie. Niebo zatem gwiazdziste świeciłoby jak słońce, a nawet jeszcze jaśniej. Ponieważ tak nie jest, więc wnioskować musimy, iż, od pewnej wielkości począwszy, stosunek gwiazd ma wartość mniejszą, a mianowicie też mniejszą, niż 2.5, gdyż tylko w tym razie ogólna suma światła gwiazd może mieć skończoną i określoną wartość.

Możemy nawet w przybliżeniu określić to miejsce, w którym zmiana wartości stosunku w istocie zajść musi. Łatwo obliczyć, że, przy otrzymanym powyżej stosunku gwiazd, wszystkie gwiazdy 9-ej wielkości dają nam tyle światła, co 670 gwiazd 1-ej wielkości, gwiazdy zaś 11-ej wielkości dawałyby światło, równe 1,600 gwiazdom 1-ej wielkości. A dalej wszystkie gwiazdy, widzialne gołym okiem, dają nam tyle światła, co 390, wszystkie gwiazdy pierwszych 9 wielkości tyle, co 1,500, gwiazdy zaś aż do 11 wielkości włącznie dawałyby tyle światła, co 3,600 gwiazd 1-ej wielkości.

Liczby te odnoszą się do całego nieba. Dla jednej półkuli, widzialnej nad poziomem, należy przyjmować w przybliżeniu połowę wyżej podanych liczb. Jaką ilość światła w rzeczywistości daje nam niebo gwiazdziste? W porównaniu ze światłem pełni księżyca jest to ilość niewielka, a nawet księżyc w kwadrze oświetla wieczory i ranki znacznie lepiej, niż wszystkie gwiazdy nieba. Jeżeli przypuścimy, że księżyc w kwadrze daje 2 razy tyle światła, co gwiazdy danej półkuli, to dla gwiazd całego nieba przyjmujemy tyleż światła, co dla kwadry księżyca. Jest to zapewne zawiele, ale w każdym razie nie zamało.

Otóż księżyc w pełni ilością światła, według pomiarów fotometrycznych, dorównywa 88 tysiącom gwiazd pierwszej wielkości, księżyc zaś w kwadrze tylko 12 tysiącom takich gwiazd. Przy stałym stosunku gwiazd wszystkie gwiazdy aż do 13.7 wielkości, jak wynika z rachunku, dawałyby już powyższą ilość światła, gwiazdy zaś 14-tu wielkości znacznie więcej, bo tyle, co 13,700 gwiazd 1 wielkości.

Ponieważ przez lunety widzimy jeszcze miliony gwiazd drobniejszych 15-oj, 16-oj i t. d. wielkości, a nawet możemy stwier-



dzić istnienie gwiazd 19 wielkości, których światło niewątpliwie przyczynia się do ogólnej sumy światła, otrzymywanego od gwiazd, więc, przyjmując stałą wartość stosunku gwiazd, doszlibyśmy do ilości światła, stojących w rażącej sprzeczności z obserwacją. Wynika stąd, że wartość tego stosunku się zmniejsza, a z powyższego porównania światła gwiazd z księżycem widzimy, że zmniejsza się ona już przed gwiazdami 13-ej wielkości. Ze zaś aż do gwiazd 9.5 wielkości wartość stosunku możemy uważać za stałą, więc zmiana zachodzi pomiędzy wielkością 9.5 a 13-tą.

W celu określenia tej wielkości gwiazd, przy której stosunek gwiazd zaczyna maleć, należałoby rozszerzyć materiał katalogowy na gwiazdy drobniejsze i podać dokładne liczby gwiazd 10, 11, 12 i t. d. wielkości. Liczby te określiłyby stosunek gwiazd z całą dokładnością. Jednakowoż zdobycie takiej realnej podstawy statystycznej jest rzeczą bardzo trudną skutkiem szybkiego wzrostu liczby gwiazd wraz z wielkością. Tak np. w katalogu Argerlandera na 324,198 gwiazd w ogóle, gwiazd do 9 wielkości jest tylko 110,274, samych zaś gwiazd od wielkości 9 do 9.5 jest 213,854; podobnie w katalogu przyładka Dobrej Nadziei na 445,936 gwiazd jest gwiazd pierwszych 9 wielkości tylko 79,724, gwiazd od wielkości 9 do 9.5—87,759, reszta, t. j. 278,453, stanowią gwiazdy drobniejsze, lecz nie mniejsze, jak 10 wielkości. Opierając się na danych tego rodzaju, można oczekiwać, iż na całym niebie liczba gwiazd pierwszych 10 wielkości wynosi około miliona i ćwierć, liczba zaś gwiazd pierwszych 11 wielkości przekracza 4 i pół miliona. Można sobie wyobrazić, z jak wielkimi trudnościami połączone musi być nie tylko zdobycie, ale i opracowanie takiego materiału statystycznego.

Obecnie jest w toku olbrzymie przedsięwzięcie, którego celem jest skatalogowanie całego inwentarza gwiazdowego aż do 11 wielkości włącznie. Za podstawę służą zdjęcia fotograficzne, co ułatwia znacznie pracę, gdyż pomiary spórzędnych oraz jasności mogą być uskuteczniane na kliszach; dzięki temu możliwszy jest większy podział pracy oraz zużytkowanie na nią godzin dnia, gdy bezpośrednio obserwacje tylko w nocy dokonywane być mogą. Klisze do tego katalogu już prawie w całości zostały wykonane, opracowanie ich również postępuje naprzód, choć dosyć wolno. Dotąd ogłoszono zaledwie kilkanaście tomów tego wielkiego katalogu fotograficznego, gdy całość obejmie prawdopodobnie tomów kilkadziesiąt.

Materiał, dotąd zebrany, jest wprawdzie tylko fragmentaryczny, ale opracowane części nieba przypadają w okolicach dość

równomiernie na niebie rozmieszczonych; jeżeli więc wnioski, które z niego wypływają, nie są całkiem dokładne, to przynajmniej tak samo są uprawnione, jak wnioski, wypływające z sondowań Herschlów, które, jak wiemy, objęły tylko niewielki ułamek całego nieba. Nie wchodząc w szczegóły, możemy powiedzieć tyle, że stosunek gwiazd nie wykazuje jakiegoś wyraźnego zmniejszenia się aż do gwiazd 11 wielkości. Możemy więc wnioski poprzednio wyprowadzone rozszerzyć aż do gwiazd pierwszych 11 wielkości, t. j. powiedzieć, że liczba gwiazd aż do 11 wielkości łącznie jest taką, jakąby była, gdyby gwiazdy te równomiernie rozmieszczone były wewnątrz kuli o promieniu, równym średnicy odległości gwiazd 11 wielkości, która, jak łatwo obliczyć, równa się 100 jednostkom gwiazdowym, czyli 1,500 lat światła. Aż do tej odległości, a więc w granicach kuli o średnicy 3,000 lat światła budowę świata możemy w tem znaczeniu uważać za jednolitą, iż rozmieszczenie gwiazd w częściach najbliższych jest w przybliżeniu takie same, jak w częściach najodleglejszych.

Ale między wielkością 11 a 13 zachodzi radykalna zmiana, jak to udało się nam stwierdzić drogą pośrednią. Lecz i bezpośrednio można to stwierdzić na podstawie mnóstwa klisz, zdejmowanych w różnych częściach nieba dla najrozmaitszych celów. Naturalnie dane są fragmentaryczne, a statystyki oddzielnych klisz dokonywano przeważnie tylko przygodnie przy rozwiązywaniu różnych zagadnień specjalnych, ale wszystko, co tą drogą zdobyto, daje już pewien punkt oparcia. Wynika stąd, że liczba gwiazd 12 wielkości na tych kliszach w istocie jest znacznie mniejszą, niż przy stałym stosunku gwiazd, że jest ich zaledwie 2 razy tyle, co gwiazd 11 wielkości. Znaczyłoby to, że stosunek gwiazd przy 12 wielkości nagle spada z 3.9 na 2.

Ale i ten stosunek jeszcze maleje niezawodnie przy mniejszych gwiazdach. Gdyby gwiazdy miały nieograniczenie, a wartość tego stosunku już więcej się nie zmniejszała, to łatwo obliczyć, że nawet przy nieskończeniu wielkiej liczbie gwiazd suma światła, którąbyśmy od gwiazd otrzymywali, nie przekroczyłaby 18,000 gwiazd 1-ej wielkości. Jak zobaczymy później, w istocie najmniejsze gwiazdy, są to gwiazdy 19-ej wielkości. Przy stałym stosunku 2 aż do tych gwiazd najdrobniejszych suma światła gwiazd dosięgłaby 16,000 gwiazd 1-ej wielkości, a więc byłaby znacznie większą, niż światło kwadry księżyca. Obserwacya temu przeczy, a więc stosunek gwiazd maleje wraz z jasnością ich.

Uwaga powyższa pouczna, że nawet nieskończenie wielka liczba gwiazd może nam dawać ilość światła niewielką, jeżeli tylko, po-



cząwszy od pewnej wielkości, stosunek gwiazd jest niewielki. Tak na przykład, gdyby, począwszy od gwiazd 12 wielkości, stosunek gwiazd miał dla wszystkich następnych wielkości wartość 1.5, to wprawdzie gwiazd każdej następnej wielkości byłoby półtora raza tyle, co poprzedniej, tak, że dla coraz mniejszych gwiazd liczba ich rosłaby do nieskończoności—ale pomimo to, ogólna suma światła gwiazd nie przekraczałaby 12,000 gwiazd 1 wielkości, a więc zaledwie dorównałaby jasności księżyca w pełni. Pomimo więc wszystkiego, cośmy dotąd powiedzieli, nie mamy jeszcze dowodu na to, że gwiazdy tworzą skończony układ, zajmujący ograniczoną część przestrzeni. Dowodem tym byłoby stwierdzenie, iż gwiazdy nie mają nieograniczenia, t. j., że gwiazd mniejszych, aniżeli pewnej wielkości określonej, nie dostrzeglibyśmy nawet przy nieograniczonym wzroście siły naszych środków optycznych. Ale, zdaje się, że i pod tym względem wyniki badań są dziś już zupełnie pewne.

Wprawdzie dotąd niema jeszcze takiej lunety, przez którą możnaby zobaczyć wszystkie gwiazdy; każda nowa, doskonalsza luneta stwierdza istnienie gwiazd mniejszych, aniżeli widziane poprzednio. Lecz z pomocą lunecie przychodzi klisza fotograficzna. Doświadczenie wykazuje, że wszystkie gwiazdy, widzialne przez daną lunetę, można za pomocą tej samej lunety odfotografować, gdy klisza przez godzinę wystawiona jest na działanie światła. Gdy klisza wystawiona jest dłużej, występują na niej już gwiazdy dla oka niewidzialne, i tem drobniejsze, im dłużej trwa działanie światła.

Teoretycznie zdawałoby się, że wystawiając kliszę dowolnie długo, możnaby otrzymać na niej gwiazdy dowolnie małe. Praktycznie taka ekspozycja ma swoje granice. (Warunkiem koniecznym, aby na kliszy coś otrzymać, jest działanie światła, choćby bardzo słabego. Atmosfera ziemska pochłania część światła, idącego od gwiazd, i jak z pomiarów absorbcyi wypływa, gdyby istniały gwiazdy 20-ej wielkości, to atmosfera nasza byłaby dla nich całkiem nieprzezroczystą—na powierzchnię ziemi światło tych gwiazd już by nie dochodziło. Najmniejsze więc gwiazdy, jakie na kliszy otrzymywać jeszcze możemy i jakie przez lunety kiedykolwiek widzieć będziemy mogli, mogą być conajwyżej 19-ej wielkości. Ale, pomijawszy tę okoliczność, także i czas ekspozycji nie może być zbyt długim). Aby otrzymać za pomocą danej lunety na kliszy gwiazdy o jedną wielkość słabsze, aniżeli widzialne przez nią, ekspozycja musi trwać 3.6 godziny, dla otrzymania następnej wielkości wystawiaćby już trzeba 13 godzin, a dla

gwiazd o 3 wielkości mniejszych, już 47 godzin. Najdłuższe rzeczywiście osiągnięte czasy ekspozycji nie przekraczają 30 godzin, a i taka ekspozycja połączona jest z olbrzymimi trudnościami, z których jedną stanowi okoliczność, że ekspozycja musi być rozłożona na szereg nocy, a dosyć rzadko się zdarza, aby następowało po sobie kilka nocy pogodnych. W każdym razie widzimy, że z pomocą fotografii można badać jeszcze gwiazdy o 2.5 wielkości słabsze, niż te, które za pomocą najsilniejszych lunet widzieć możemy.

Przez największe dzisiejsze refraktory widzialne są gwiazdy do 17-ej wielkości i jeszcze nieco mniejsze, fotograficznie zatem można z ich pomocą jeszcze otrzymywać gwiazdy mniejsze, niż 19 wielkości. Te gwiazdy więc znajdują się u granic poznawalnej przestrzeni. Zachodzi więc pytanie, czy te granice są też granicami tej przestrzeni, w której mieszczą się gwiazdy. Na pytanie to możemy odpowiedzieć twierdząco.

Aczkolwiek dokładnej statystyki w tym względzie niema, począwszy od jakiejś 15 lub 16 wielkości liczba gwiazd z wielkością nie tylko zdaje się nie wzrastać, ale raczej maleje. Jest to naturalnie tylko wrażenie, wynikające z szacowania, bardzo zresztą niepewnego, gdyż gwiazd takich są miliony. Ale gwiazd 18-ej wielkości jest już naprawdę mało, a gwiazdy mniejsze są rzadkością; nawet na bardzo gęsto zasianych gwiazdami kliszach stanowią one tylko nieznaczny odsetek. Ten więc spadek liczby, a zarazem fakt, iż najdrobniejsze gwiazdy znane nie przypadają jeszcze na granicy naszej możliwości obserwacyjnej, choć już blisko niej się znajdują, prowadzi nas do wniosku, że najdrobniejsze dostępne dla nas gwiazdy są to najmniejsze ze słońc najbardziej od nas odległych. Możemy więc teraz powiedzieć, że wszystkie otaczające nas gwiazdy tworzą układ skończony tak rozległy, iż słońca, znajdujące się na jego krańcach, widzimy jako gwiazdy dziewiętnastej wielkości. 16 milionów takich gwiazd dorównywa ilością światła jednej gwiazdzie 1 wielkości.

## V.

Związek pomiędzy gwiazdami drogi młecznej a resztą gwiazd nieba, wywnioskowany na drodze czysto spekulacyjnej przez Kanta, został stwierdzony przez sondowania Herschla. Wyrazem tego związku jest wzrost liczby gwiazd na pole widzenia w miarę



zbliżania się do drogi mlecznej. W celu łatwiejszego badania związku, jaki zachodzi między gęstością pola a odległością jego od drogi mlecznej, stosuje się układ spólrzędnych, którego zasadniczą płaszczyzną jest płaszczyzna koła, schodzącego się najlepiej z przebiegiem drogi mlecznej. Koło to nazywa się równikiem galaktycznym (od  $\gamma\lambda\lambda\alpha$  = mleko), a punkty nieba, o  $90^\circ$  od równika galaktycznego odległe, nazywają się biegunami galaktycznymi. Jeden z nich, przypadający na półkuli północnej, t. j. biegun galaktyczny północny, znajduje się w gwiazdozbiorze Warkocza Bereniki, drugi, południowy, znajduje się w gwiazdozbiorze Rzeźbiarza na półkuli południowej. Równik galaktyczny tworzy z równikiem świata kąt, wynoszący  $63^\circ$ , i przecina się z tym ostatnim w dwóch punktach o  $180^\circ$  odległych. Jeden z tych punktów przecięcia, w którym droga mleczna przechodzi z półkuli północnej na południową, znajduje się w gwiazdozbiorze Jednorozca, w drugim z nich, położonym w Orle, droga mleczna z półkuli południowej przechodzi na północną.

Odległość gwiazdy od równika galaktycznego, liczona na wielkiem kole, przechodzącym przez bieguny galaktyczne, nazywa się szerokością galaktyczną tej gwiazdy. Wynik, do którego doprowadziły sondowania Herschlów, w krótkości możemy wyrazić w ten sposób, że średnia liczba gwiazd na polu jest tem większa, im mniejsza jest szerokość galaktyczna pól, branych pod uwagę. Droga mleczna jest to więc ten pas nieba, w którym gęstość gwiazd, rosnąca stale od biegunów, osiąga swoją największą wartość. Nie jest ona więc zjawiskiem lokalnem, ale częścią zjawiska ogólnego, obejmującego całe niebo.

Późniejsze badania tylko w części potwierdziły ten wynik ogólny. Okazało się mianowicie, że ów pas największej gęstości w istocie istnieje, ale że schodzi się on co do położenia ogólnego z czysto lokalnem skupieniem pierścieniowem, które nie przekracza poza granice widzialnego pasa drogi mlecznej, i że świetność drogi mlecznej głównie na rachunek tej drugiej części przypada.

Istniejące katalogi pozwoliły na badanie rozmieszczenia względem drogi mlecznej gwiazd każdej wielkości oddzielnie. Okazało się, że ta tendencya zgęszczania się gwiazd w kierunku drogi mlecznej ujawnia się już u najjaśniejszych gwiazd i uwydatnia się coraz wyraźniej dla gwiazd drobniejszych. Dla gwiazd pierwszych 6 wielkości gęstość w drodze mlecznej jest 1.4 razy większa, niż u biegunów, dla gwiazd katalogu Argelandera 3.2 razy większa. Wzrost tej gęstości jest stateczny od biegunów do równika galaktycznego. Dla gwiazd Herschla gęstość w drodze

mlecznej przewyższa 30 razy gęstość u biegunów, ale wzrost ten jest stateczny tylko do granic pasa drogi mlecznej, w tym zaś pasie zachodzi gwałtowny wzrost gęstości w ten sposób, jakby stateczne prawo wzrostu gęstości zakłócone zostało przez wystąpienie w tym miejscu lokalnego zgęszczenia. W istocie występują tu w ogromnej liczbie drobne gwiazdy, począwszy od 14 wielkości, które, jak stwierdzono później, tylko w nieznacznej ilości spotykane są w innych częściach nieba. Należy więc w naszym układzie odróżniać dwie części odrębne: część bliższą, której wewnętrzna jednolitość wyraża się w statecznym wzroście gęstości gwiazd od biegunów galaktycznych do równika galaktycznego, i część dalszą, do której należą w głównej mierze drobne gwiazdy drogi mlecznej. Łączność obu części ujawnia się w tem, że płaszczyzna pierścienia zewnętrznego jest zarazem płaszczyzną, w której najgęściej gromadzą się gwiazdy części wewnętrznej.

Przy równomiernem rozmieszczeniu gwiazd w przestrzeni, jak wiemy, stosunek gwiazd wynosiłby 3.95. Mniejsza wartość tego stosunku oznaczałaby, że gęstość przestrzenna gwiazd maleje dla gwiazd odleglejszych, większa zaś wartość prowadziłaby do wniosku, że gęstość ta wraz z odległością wzrasta. Przy całym równomiernem rozmieszczeniu ten stosunek oczywiście odnosiłby się nie tylko do ogólnej liczby gwiazd danej wielkości, ale też zachowałby tę samą wartość dla jakiegokolwiek małej części nieba, powiedzmy dla jakiegokolwiek pola widzenia lunety. Inne mi słowy, liczba 3.95 przedstawiałaby nie tylko stosunek liczby, ale też stosunek gęstości gwiazd dwóch kolejnych wielkości w każdym miejscu nieba.

Ale widzieliśmy, że na niebie gęstość gwiazd rośnie dla każdej wielkości wraz ze zbliżaniem się do równika galaktycznego; oznacza to, że i gęstość przestrzenna w kierunku tej płaszczyzny rośnie. Ale rośnie ona prędzej dla gwiazd dalszych, niż dla bliższych. Stosunek 3.9, wynikający z katalogów, jest średnią wartością stosunku gwiazd i ważny jest ściśle dla jednej tylko określonej szerokości galaktycznej. Dla szerokości mniejszych ma on wartość większą, dla większych mniejszą; najmniejszą jest ona w kierunku biegunów galaktycznych, największą w kierunku galaktycznego równika.

Widzimy stąd, że budowa części wewnętrznej układu jest w ogólności taką, że w kierunku biegunów galaktycznych gęstość przestrzenna słońc najszybciej maleje wraz z odległością; w kierunkach, tworzących z osią równika galaktycznego coraz większy kąt, ta gęstość w równych odległościach jest coraz większa, acz-



kolwiek wraz z odległością jeszcze maleje; w pewnym kierunku rozmieszczenie przestrzenne jest równomierne, a bliżej drogi mleczonej gęstość przestrzenna rośnie wraz z odległością gwiazd od nas. Wreszcie w kierunku równika galaktycznego gęstość przestrzenna słońc z odległością od nas rośnie najszybciej.

Taki stan rzeczy mamy prawo przyjmować w przestrzeni, sięgającej do średniej odległości gwiazd 11 wielkości, t. j. aż do tych gwiazd, przy których stosunek gwiazd nagle spada. Spadek ten przemawia za tem, iż gwiazdy drobniejsze są daleko mniej równomiernie rozmieszczone na niebie, a znaczna ich większość gromadzi się w częściach nieba, bliższych drogi mleczonej. Gwiazdy 16 wielkości naprzykład, w drodze mleczonej skupione są bardzo gęsto, ale ogólna ich liczba jest daleko mniejsza, aniżeli wpływająca z zastosowania stałego stosunku gwiazd 3.9. Ale bo też występują one prawie wyłącznie w wązkim pasie drogi mleczonej, który zajmuje tylko siódmą część całego nieba. Naturalnie pośród gwiazd 12 — 14 wielkości jest wiele takich, które należą do części wewnętrznej układu gwiazdowego, jak również nie mało gwiazd jaśniejszych należy do pierścienia zewnętrznego. Ale przecież główną masę słońc części wewnętrznej stanowią gwiazdy do 11 wielkości włącznie, główną zaś masę słońc części zewnętrznej tworzą gwiazdy drobne, począwszy od 14 wielkości.

Pierścień zewnętrzny od części wewnętrznej oddzielony jest prawdopodobnie przerwą pustą. Jeżeli przypuścimy, że grubość układu gwiazdowego, t. j. rozciągłość jego w kierunku prostopadłym do płaszczyzny równika galaktycznego, jest w przybliżeniu wszędzie jednakowa i wynosi tyle, co średnica części wewnętrznej, to szerokość tej przerwy można w przybliżeniu obliczyć. Średnica części wewnętrznej równa się w przybliżeniu podwójnej średniej odległości gwiazd 11 wielkości. Średnia szerokość pasa drogi mleczonej wynosi około  $15^\circ$ , pod tym więc kątem widziana jest z odległości najbliższej części pierścienia podwójna średnia odległość gwiazd 11 wielkości. Wynika stąd odległość 3 razy większa, niż grubość, a szerokość przerwy 5 razy tak wielka, jak średnia odległość gwiazd 11 wielkości, a zarazem i to, że początek pierścienia znajduje się w średniej odległości gwiazd 15 wielkości, czyli 9,000 lat światła, co nie stoi w sprzeczności z przypuszczeniem, iż wiele gwiazd 13 i 14 wielkości do tego pierścienia należeć może. Tak olbrzymie odległości wydają się czemś nieprawdopodobnym i fantastycznym, i oczywiście też nie można liczbom podanym przypisywać innego znaczenia, jak orientacyjne. Nie wyrażają one ścisłych wielkości, ale dają o nich wyobraże-

nie. Różnica, wynosząca nawet 1,000 lat światła, nie odgrywa roli tam, gdzie mamy do rozporządzenia przestrzeń nieskończoną wszechświata. Można by te wielkie rozmiary układu znacznie zredukować, przyjmując, że odległe gwiazdy drogi mlecznej są słońcami co do rozmiarów mniejszemi o wiele od tych, które stanowią najbliższe nasze sąsiedztwo,—ale do takiej hipotezy nie mamy żadnej podstawy, a przeciwnie jest wiele dowodów na to, że pomiędzy temi odległemi słońcami zdarzają się olbrzymy, gołem okiem widzialne z naszej ziemi.

## VI.

Wszystkie wnioski powyższe są nader ważne, ale opierają się one w głównej mierze tylko na liczbach wielkich i średnich, a więc charakteryzują tylko schematyczną postać naszego układu gwiazdowego. Wszelkie drobniejsze szczegóły budowy w takim schemacie się zacierają, i to nawet jest głównym jego celem. W tych ramach ogólnych zawiera się cała olbrzymia różnaitość zjawisk, które wykrywa badanie szczegółowsze.

Już poprzednio zwróciliśmy uwagę na fakt grupowego występowania gwiazd, które w rażącej sprzeczności znajduje się ze schematyczną jednorodnością nieba gwiazdzistego, i widzieliśmy, że gwiazdy, w istocie bardzo od siebie odległe, tworzyć mogą takie perspektywiczne grupy. Ale nie nie zmusza nas do twierdzenia, że są to w istocie zawsze grupy perspektywiczne, gwiazdy bowiem naprawdę blizkie w przestrzeni, i na sklepieniu niebieskiem blisko siebie byłyby widzialne. Szczególnie w przypadkach, gdy znaczna liczba gwiazd, mało różniących się co do wielkości, skupia się na małym kawałku nieba, zachodzi duże prawdopodobieństwo, że tworzą one też izolowaną grupę przestrzenną.

Wiemy, że każdej wielkości odpowiada pewna średnia odległość, trudno więc przypuścić, ażeby w szeregu gwiazd równie jasnych i bardzo blizkich siebie, wszystkie znajdowały się w bardzo różnych odległościach, gdyż wtedy trzeba by przyjąć drugi bardzo mało prawdopodobny traf, że i pod względem rzeczywistych rozmiarów gwiazdy tak się uszeregowwały, iż stałym pozostaje stosunek rzeczywistej jasności i kwadratu odległości. Trudno oprzeć się wrażeniu, że to nie prosty przypadek tylko zgromadził na tak niewielkim kawałku nieba 7 jasnych gwiazd Plejad, prócz znacznej liczby drobniejszych. Tę samą wątpliwość bu-



dzi pyszny gwiazdozbiór Oryona lub najbogatszy ze wszystkich w jasne gwiazdy, gwiazdozbiór Łabędzia, a pozatem i wszystkie wybitniejsze ugrupowania gwiazdowe.

W znacznej liczbie przypadków ściślejszy wzajemny stosunek takich gwiazd stwierdziły inne wspólne ich cechy. Tak na przykład: wspólny kierunek i jednakową prędkość własnego ruchu zauważono u znacznej liczby gwiazd Plejad, a także u większości jasnych gwiazd Wielkiego Wozu; gwiazdy Oryona znowu charakteryzują się wspólnem widmem typowem, które zresztą bardzo rzadko bywa obserwowane i t. d.

To samo zjawisko gromadzenia się gwiazd, które już uderza u gwiazd, gołym okiem widzialnych, występuje jeszcze wybitniej u gwiazd teleskopowych, i tem bardziej, im drobniejsze gwiazdy bierzemy pod uwagę. Mniejsze lub większe skupienia gwiazd występują obok miejsc, bardzo ubogich w gwiazdy. Szczegóły te, dla rozmieszczenia przestrzennego gwiazd nader charakterystyczne, giną całkowicie we wszystkich niwelujących schematach.

A już najbardziej odbiega w swej postaci od schematycznego pierścienia, złożonego z drobnych gwiazd, droga mleczna, która w szczegółach swych okazuje się zjawiskiem, skomplikowanem w najzawilszy sposób. Przedewszystkiem pas drogi mlecznej nie wykazuje żadnego wyraźnego ograniczenia, lecz stopniowo i nieznacznie zlewa się z otaczającym tłem gwiazdzistem, a w różnych swych częściach wykazuje różnice jasności oraz szerokości, zawarte w dosyć rozległych granicach. W kilku miejscach pierścień się przerywa na krótko, a przez trzecią część swego obwodu ciągnie się droga mleczna dwiema wyraźnie oddzielonemi odnogami. Zresztą we wszystkich miejscach drogi mlecznej niejednorodność jej budowy ujawnia się w jej plamistym wyglądzie, t. j. w pomieszaniu ze sobą kawałków o różnym stopniu jasności. Przez lunetę widziana, sprawia droga mleczna wrażenie, określone przez Herschla słowami „jakby ktoś garściami sypał piasek,“ które bardzo dobrze charakteryzują jej grudkowatą budowę.

Obraz ogólny drogi mlecznej, jak ją widzimy gołym okiem, jest w krótkich słowach następujący:

Na półkuli północnej droga mleczna zbliża się do bieguna świata najbardziej w Kasyopei na odległość niespełna 27°. W tem miejscu droga mleczna nie odznacza się większą jasnością i szerokość jej dosięga zaledwie około 6°. Przechodząc do sąsiedniego gwiazdozbioru Perseusza, droga mleczna się rozszerza i staje się znacznie jaśniejszą; około gwiazdy  $\epsilon$  Perseusza oddziela się od głównego prądu wązkie odgałężenie, sięgające do grupy Plejad

i sąsiednich Hyad. Następnie, dosyć jeszcze słaba i wązka, przebiega droga mleczna gwiazdozbiór Woźnicy, nogi Bliźniąt, rogi Byka, przecina ekliptykę w bliskości letniego stanowiska słońca, obejmuje częściowo gwiazdy Oryona, i dosięga Jednorożca na równiku. Od tego miejsca począwszy, jasność drogi mlecznej silnie się wzmaga, a również szerokość wzrasta i staje się największą w Okręcie Argo. Tu, przy zboczeniu południowem 33°, droga mleczna rozpościera się wachlarzowato na 20 stopni wszerz. Wkrótce potem przy gwieździe  $\gamma$  Okrętu nagle się przerywa, ale nieco dalej przy gwieździe  $\lambda$  Okrętu zaczyna się na nowo znacznie zwężona. Zwężając się teraz szybko, droga mleczna wkracza do Krzyża południowego, gdzie znajduje się jej najwęższe miejsce; tu szerokość jej nie dosięga 4 stopni. Dalej droga mleczna rozszerza się znowu i jednocześnie staje się bardzo jasną w gwiazdozbiórze Centaura. Tu znajduje się w miejscu, najbardziej zbliżonem do bieguna południowego, a przytem bardzo jasnem, ciemna plama, zwana Workiem węgla—miejsce prawie zupełnie pozbawione gwiazd, widzialnych gołym okiem, a wkrótce potem, w bliskości gwiazdy  $\alpha$  Centaura, droga mleczna dzieli się na 2 odnogi, które łączą się dopiero w gwiazdozbiórze Łabędzia na półkuli północnej.

Odnoga południowa przecina gwiazdozbiór Ołtarza, ogon Niedźwiadka, potem w Strzelcu i Tarczy Sobieskiego staje się bardzo jasną i szeroką, a dalej przebiega Węza, Orła, Strzałę i Jaszczurkę, i dosięga Łabędzia. Gałąź północna, początkowo bardzo wązka, przebiega Wilka i północną część Niedźwiadka, poczem, rozszerzając się, zwraca się ku Wężownikowi, w którym się urywa; ukazuje się następnie w Wężu i, przecinając gwiazdozbiór Orła i Lutni, również wkracza do Łabędzia.

W bliskości gwiazdy  $\epsilon$  Łabędzia rozdwojenie drogi mlecznej kończy się. Zaraz za miejscem połączenia się dwóch odnóg w Łabędziu, droga mleczna staje się bardzo jasną, jest to najwspanialsza część drogi mlecznej w ogóle; trochę dalej pomiędzy gwiazdami  $\epsilon$ ,  $\alpha$ ,  $\gamma$  Łabędzia, zwraca uwagę znowu miejsce ciemne, które nieznacznie tylko ustępuje południowej plamie czarnej w Centaurze. Za Łabędziem droga mleczna słabnie, przechodzi przez gwiazdozbiór Cefeusza, gdzie znajdujemy podobne jak w Łabędziu miejsce ciemne, choć mniejsze i mniej wybitne; tu też oddziela się od drogi mlecznej wązka odnoga, która sięga aż do gwiazd Niedźwiędzicy małej. Słabnąc i zwiększając się, droga mleczna wkracza do gwiazdozbióru Kasyopei, która była punktem wyjścia powyższego opisu.



Dokładne zbadanie nawet tylko ogólnego przebiegu drogi mlecznej pozwala w niej stwierdzić dużo szczegółów symetrycznych. Zwróćmy uwagę tylko na niektóre z nich. Dwa najważniejsze miejsca drogi mlecznej w Kasyopei i Krzyżu południowym są prawie dyаметralnie sobie przeciwległe. To samo dotyczy bardzo jasnych części drogi mlecznej w Jednorożcu z jednej strony i Strzelcu oraz Tarczy Sobieskiego z drugiej strony, a także dwóch najjaśniejszych jej miejsc w Łabędziu na półkuli północnej i w Centaurze na półkuli południowej. Te dwa ostatnie miejsca znajdują się, jedno tam, gdzie zaczyna się rozdwojenie drogi mlecznej, drugie tam, gdzie to rozdwojenie się kończy. Taką samą symetrię względem bifurkacji drogi mlecznej wykazują dwie najciemniejsze plamy w Łabędziu i Centaurze. Niechaj wystarczą przytoczone przykłady. Ta symetria niewątpliwie znajduje się w ścisłym związku z budową pierścienia drogi mlecznej oraz z naszym stanowiskiem w układzie gwiazdowym.

Ale o właściwej wewnętrznej budowie drogi mlecznej lepsze wyobrażenie dają dopiero zdjęcia fotograficzne. Okazuje się, że droga mleczna w głównej mierze nie jest bynajmniej złożoną z gwiazd, ale z jednostek kosmicznych wyższego rzędu — ze skupień gwiazdowych. Te skupienia posiadają postać rozmaitą, często nieregularną, ale przeważa typ mniej lub więcej wyraźny gromad kulistych. Nie we wszystkich można z jednakową dokładnością dostrzedz szczegóły budowy, a wynika to zdaje się głównie z niejednakowej ich odległości. W jednych budowa jest gruboziarnista, gwiazdy są stosunkowo jasne i widzialne oddzielnie, inne złożone są z niezliczonego mrowia najdrobniejszych pyłków gwiazdowych. Miejsca, w których na stopień przypada 100,000 gwiazd lub więcej, nie należą wcale do rzadkości. Ale takie gromady jasno-i-drobno-gwiazdowe widzimy często rzucone na ten sam kawałek nieba, gdzieindziej zachodzą one na siebie częściowo; wszędzie odnosimy to wrażenie, że różne części drogi mlecznej, widzialne w tym samym kierunku, są w bardzo różnych odległościach od nas, tak różnych, że zgadza się ona prędzej z przypuszczeniem istnienia jednej za drugą kilku warstw gwiazdowych, oddzielonych znacznymi przerwami, aniżeli z pojęciem pojedynczego pierścienia.

A gwiazdy oddzielne, czy to w skupieniach, czy też poza niemi, grupować się zdają według nieznanych praw w jakieś kolosalne formacje o nadzwyczaj chaotycznych i fantastycznych kształtach; gdzieindziej układają się one w wyraźne ciągi krzywolinijne, a niekiedy widnieją jakby nanizane na długie proste

nitki. Nie ulega kwestyi, że tam, gdzie na małych kawałkach nieba setki tysięcy drobnych punktów stoją obok siebie, prosty przypadek może wytworzyć jakieś regularne kształty ugrupowań, ale w wielu razach są one tak typowe i tak często bywają spotykane, iż zdaje się, że nie zawsze mamy tu do czynienia li tylko z przypadkiem.

Komplikację drogi mlecznej powiększają mgławice, złożone z jaśniejszej materii gazowej. Te ostatnie, o ile należą do kategorii regularnych, t. j. wykazują jakąś postać prostą, są niewielkie i nie wpływają w sposób wybitniejszy na wygląd drogi mlecznej. Ale prócz nich znajdujemy utwory olbrzymie o postaci całkiem nieregularnej. Snują się one, jak chmury na przestrzeniach olbrzymich, a o rozmiarach ich możemy sobie wytworzyć pewne pojęcie, uprzytomniając sobie odległości, które je od nas dzielą. Długość ich często szacować trzeba na setki lat światła, a oplątują one tysiące gwiazd, których związek z temi mgławicami często wydaje się prawdopodobnym, często zaś stanowią one tło gwiazd bliższych, a zasłaniają przed nami całkowicie lub też częściowo przepuszczają światło gwiazd, z poza nich przeświecających. Gwiazdozbiory Łabędzia, Cefeusza, Perseusza, Jednorożca, Niedźwiadka, Wężownika zapełnione są takimi chmurami mgławic.

Ale wiele okoliczności też przemawia za tem, że znaczna część światła drogi mlecznej ginie dla nas wskutek wielkich ilości ciemnej materii kosmicznej, ukrywającej przed naszymi oczami jaśniejsze poza nią gwiazdy. Zjawiskiem ogromnie często spotykanem w drodze mlecznej są wązkie ciemne kanały, które jakgdyby dzieliły na części nawet najbardziej gęste skupienia gwiazdowe. W tych kanałach często nie widać ani jednej gwiazdy, gdy po obu ich stronach jest ich niezliczone mnóstwo. Takie szczeliny, pozbawione gwiazd, wydają się bardzo mało prawdopodobnymi, gdyż musiałby się one ciągnąć w głąb, aż do krańców układu drogi mlecznej. Chodziłoby tu może o tysiące lat światła—a coby miało oznaczać takie rozstąpienie się na dwie strony setek tysięcy słońc, gdy odległości ich wzajemne znowu, należy przyjmować za zbliżone do tych, które w naszym sąsiedztwie poznaliśmy? Zamiast kanałów, występują w innych miejscach ciemne smugi lub też plamy, których najwybitniejsze przykłady podaliśmy poprzednio. Te ciemne smugi niekiedy widzialne są na brzegach jasnych mgławic, lub też jakby stanowią dalszy ich ciąg, niekiedy zaś same snują się na rozległych przestrzeniach nieba w postaciach podobnych do tych, w jakich często występują mgła-



wice gazowe jasne. Kanały te, plamy i smugi ciemne najłatwiej dadzą się objaśnić, jeżeli przyjmiemy, że to materya, pozbawiona własnego światła, która tylko jako ciemna zasłona widzialna jest na jasnym tle drogi mlecznej.

Wobec tych pobieżnie tylko przytoczonych szczegółów widzimy, jak zawiłym jest problemat drogi mlecznej. Z tem wszystkim podział schematyczny naszego układu na 2 części, oddzielone przerwą, pozostaje faktem naukowym, tylko pierścień zewnętrzny nie składa się już z gwiazd, ale ze skupień gwiazdowych, mgławic jasnych i materyi nieświecącej. Prócz tego pierścień ten zdaje się nie być pojedynczym.

## VII.

Badanie rozmieszczenia gwiazd w części zewnętrznej układu jest utrudnione przez to, iż widzialna droga mleczna jest sumą pasa największej gęstości gwiazd części wewnętrznej oraz pierścienia zewnętrznego. Gwiazd pierwszego rodzaju jest naturalnie o wiele mniej, niż gwiazd części zewnętrznej, ale mimo to jest ich bardzo wiele. Jest więc rzeczą nader ważną oddzielić jedne gwiazdy od drugich, gdyż tylko w takim razie możnaby każdą z części układu badać oddzielnie.

Widzieliśmy, że gdy na niebie skupiają się obok siebie gwiazdy mało różniące się jasnością, to zachodzi prawdopodobieństwo, że tworzą one też grupę przestrzenną. Ale w takim skupieniu lokalnem bywa zazwyczaj jeszcze wiele gwiazd drobniejszych, i zachodzi pytanie, czy i te drobne gwiazdy do tej samej grupy przestrzennej należą. Otóż tylko wtedy wniosek co do związku gwiazd jasnych i drobnych jest uzasadniony, gdy w skupieniu takim można skonstatować stały w przybliżeniu stosunek wzrostu liczby gwiazd wraz z wielkością, lub też skupianie się coraz drobniejszych gwiazd na coraz mniejszych przestrzeniach nieba. Te dwie alternatywy odpowiadałyby założeniu, że gwiazdy średnio są tem dalej, im są mniejsze, zresztą zaś jedna lub druga zależałyby od kształtu i położenia takiej grupy przestrzennej. W razie, gdy żadna z tych alternatyw nie zachodzi, należy wnioskować, że tylko gwiazdy jaśniejsze tworzą izolowaną grupę przestrzenną, gwiazdy zaś drobne tylko przypadkowo widzialne są w tym samym kierunku.

Tak naprzykład, najjaśniejsze gwiazdy Plejad tworzą izolowaną grupę przestrzenną, gwiazdy zaś drobne, których mnóstwo w tej części nieba widzimy, nie wykazują prawidłowego wzrostu liczby z wielkością, ani nie koncentrują się tem bardziej, im są mniejsze. Wnioskujemy stąd, że do przestrzennej grupy Plejad nie należą. Mamy w tym wypadku dokładny sprawdzian tego wniosku w fakcie, że ruchy własne tych drobniejszych gwiazd nie wykazują tych cech wspólnych, co ruchy gwiazd jaśniejszych tej grupy. To samo możemy powiedzieć o gwiazdach Oryona, skupieniu gwiazd Warkocza Bereniki, o grupie w kłeszczu Raka i t. p.

Badając szczegółowo rozkład gwiazd skatalogowanych na niebie, a mianowicie też w drodze mlecznej, okazuje się, że najbardziej gęste skupienia tych gwiazd bynajmniej nie schodzą się z najjaśniejszymi miejscami drogi mlecznej. W niektórych takich skupieniach stosunek gwiazd bywa daleko większy aniżeli przeciętny, który, jak wiemy, wynosi 3.9. Tak naprzykład w pasie nieba na południe od Bliźniat wartość tego stosunku wynosi 6, a gwiazd 9 wielkości jest tam 200 razy więcej, niż gwiazd 6 wielkości, a pomimo to droga mleczna w tem miejscu wcale jasnością się nie odznacza. Na 33 najjaśniejsze miejsca drogi mlecznej, wybrane przez Houzeau'a, tylko dwa schodzą się z wybitnymi skupieniami gwiazd katalogu Argelander'a. Ale i w tych dwóch wypadkach zgodność jest raczej przypadkowa i za związkami gwiazd jaśniejszych i drobniejszych stanowczo nie przemawia. Jedno z tych miejsc mianowicie przypada w Perseuszu, gdzie na tle jasnej drogi mlecznej jaśnieją dwie wybitne gromadki  $\eta$  i  $\zeta$  Perseusza, utworzone z gwiazd większych i widzialne nawet gołym okiem, co do drugiego zaś, znajdującego się w Łabędziu, to stanowisko, jakie względem niego zajmuje nauka, poznamy później.

W rozmieszczeniu gwiazd do 9.5 wielkości nie dostrzegamy nawet najtypowszych form drogi mlecznej, które występują coraz wybitniej dopiero w rozmieszczeniu gwiazd drobniejszych. Charakterystyczne rozwidlenie drogi mlecznej między Centaurem i Łabędziem zlekka zaznacza się już w rozmieszczeniu gwiazd 11 wielkości. Wynika stąd, jak to już wspomnieliśmy poprzednio, że jasność swoją i kształt droga mleczna zawdzięcza nie gwiazdom jasnym—aż do 11 wielkości włącznie—ale skupieniu gwiazd drobnych. Z drugiej strony w części zewnętrznej jest też znaczna liczba gwiazd jaśniejszych; gwiazd 11 wielkości jest już tyle, że nadwyżka, przez nie spowodowana, w rozmieszczeniu gwiazd tejże wielkości, należących do części wewnętrznej, występuje wyraź-



nie naprzykład przez wystąpienie rozwidlenia drogi mlecznej. Bądź co bądź możemy powiedzieć, że im gwiazdy są jaśniejsze, tem mniejszy procent z nich przypada na gwiazdy części zewnętrznej.

Nie mamy dotąd możności dokładnie oddzielić od siebie gwiazdy części wewnętrznej od zewnętrznej, ale wiele danych pozwala nam to uczynić przynajmniej częściowo. Znane są gwiazdy, które poza granicami pasa drogi mlecznej nigdy nie występują, a więc też z pewnością należą do zjawisk, właściwych części zewnętrznej układu.

Należą do nich przedewszystkiem wszystkie gwiazdy, w których widmach obok ciemnych występują linie jasne. Gwiazd takich do wielkości 10 znamy około setki, a najjaśniejsza z nich,  $\gamma$  Okrętu Argo, jest 3-ej wielkości. Pośród słońce zewnętrznego pierścienia zdarzają się więc takie olbrzymy, iż z ziemi widziane są jako gwiazdy tak jasne, że zaledwie około 300 dorównywa im blaskiem. Ciekawą jest rzeczą, że wszystkie te gwiazdy skupiają się w dwóch przeciwległych miejscach drogi mlecznej tam, gdzie zaczyna się i kończy jej rozdwojenie.

Drugą kategorią gwiazd, właściwych drodze mlecznej, są t. zw. gwiazdy nowe. Nieliczne tylko wyjątki wybiegają z ram, określonych pasem drogi mlecznej. Są to, jak wiadomo, ciemne bryły kosmiczne, które nagle się ukazują i po krótkim zwykle czasie znowu stają się niewidzialnymi. Niektóre z nich przewyższały blaskiem nawet gwiazdy 1-ej wielkości. Gwiazdy te pod tym względem zbliżone są do typu poprzedniego, iż w widmach ich również występują linie jasne. Wskazują one na istnienie w części zewnętrznej warunków, sprzyjających rozżarzaniu się brył ciemnych. Jak się zdaje, warunków tych należy się dopatrywać w ogromnych ilościach materji gazowej, przez którą gwiazdy w biegu swym przedzierać się muszą.

Olbrzymią odległość gwiazd wspomnianych kategorii stwierdza niemożność dostrzeżenia choćby śladów paralaksy, a z drugiej strony i ruch własny ich jest mniejszy, aniżeli dostrzegany u gwiazd równie jasnych innych typów. W braku paralaksy za kryterjum odległości gwiazd, prócz jasności, służyć może ruch własny, gdyż im gwiazda znajduje się dalej, tem pod mniejszym kątem widzialny jest ruch jej rzeczywisty.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę gwiazdy trzech typów widmowych: 1) z jasnymi liniami, 2) z nieznacznymi śladami metalów (gwiazdy białe), 3) z bardzo licznymi liniami metali (gwiazdy żół-

te, do których też należy nasze słońce), to średnie szybkości kątowne są coraz większe w kolei wyliczonych typów.

Pośród gwiazd drogi mleczej przeważna część należy do gwiazd białych, jak to wynika z badań nad czasem wystawienia kliszy, potrzebnym do wystąpienia na niej gwiazd różnych wielkości. Z badań nad rozmieszczeniem takich gwiazd na niebie wynika, że do wielkości 6-ej gwiazdy białe wykazują rozmieszczenie, nie różniące się od przeciętnego dla gwiazd tych samych wielkości. Począwszy od wielkości 6 widoczny jest znaczny przyrost w drodze mleczej, który staje się coraz wybitniejszym dla gwiazd drobniejszych. Wnioskujemy stąd, że u gwiazd białych wpływ części zewnętrznej występuje już począwszy od 6-ej wielkości, chociaż — jak widzieliśmy poprzednio — aż do wielkości 11-ej nie przyczynia się on do wytworzenia charakterystycznych form drogi mleczej. Z gwiazd białych, mniejszych niż 6 wielkości, widzialnych w drodze mleczej, należą do części wewnętrznej te, które posiadają ruch własny znaczny; te zaś, które bardzo powoli zmieniają swe położenie, zaliczyć należy do części zewnętrznej.

Gwiazdy żółte posiadają średnio największy ruch własny, co świadczy o ich bliskości. Gwiazd bardzo drobnych tego typu prawie niema i z wielkim prawdopodobieństwem możemy powiedzieć, że wszystkie gwiazdy drogi mleczej, do tego typu należące, należą do najbliższych słońcu części wewnętrznej układu gwiazdowego.

Gdy chodzi o wnioski natury ogólniejszej, szczegółowe takie segregowanie gwiazd drogi mleczej jest zbyteczne. Ponieważ dokładne dane katalogowe posiadamy obecnie tylko dla gwiazd do 9.5 wielkości, a pośród nich niewielki procent tylko stanowią słońca zewnętrznego pierścienia, więc rozmieszczenie ich na niebie przedstawia ten sam obraz ogólny, jakibyśmy otrzymali po zupełnem usunięciu podłoża, należącego do części zewnętrznej. Z drugiej strony usunięcie z nieba wszystkich tych gwiazd, w bardzo nieznaczny sposób tylko zmieniłoby wygląd drogi mleczej.

Możemy więc na tej podstawie oddzielić badania drogi mleczej właściwej od badania rozmieszczenia gwiazd wewnątrz tej przestrzeni, która rozciąga się do średniej odległości gwiazd 9.5 wielkości.



## VIII.

Co do części zewnętrznej, to widzieliśmy, iż budowa jej jest zbyt złożoną, aby ją można uważać za pierścien, złożony z gwiazd pojedynczych. W każdym razie należy się liczyć z faktem, iż droga mleczna jest rozdwojoną od Centaura do Łabędzia, ciągnąc się w ten sposób na przeszło 120°. Wprawdzie możnaby ciemną przerwę między odnogami uważać za zjawisko z natury swej podobne do licznych smug i kanałów, tak częstych w drodze mlecznej, t. j., uważając drogę mleczną za pas pojedynczy, przypisać jej rozdwojenie ciemnej materii kosmicznej, ciągnącej się na ogromnej długości wzdłuż jasnego pasa. Ale podobne ciemne miejsca nawet w przybliżeniu rozmiarami do tej przerwy się nie zbliżają, i wogóle trudno wyobrazić sobie istnienie materii, wypełniającej w sposób ciągły tak olbrzymią przestrzeń. Z drugiej strony byłby to nadzwyczaj nieprawdopodobny zbieg okoliczności, aby ta ciemna materia właśnie ułożyła się wąską smugą wzdłuż drogi mlecznej, dzieląc ją na dwie części, wobec tylu innych możliwych kierunków.

Musimy więc rozdwojenie drogi mlecznej uważać za rzeczywiste i w przestrzeni przyjąć istnienie w kierunkach tego rozdwojenia dwóch analogicznych skupień gwiazdowych, przypadających w płaszczyznach różnych, skupień, które w perspektywie przecinają się w gwiazdozbiorach Centaura i Łabędzia, a potem już biegną obok siebie w ten sposób, że nakrywają się wzajemnie w całości lub też tylko częściowo, krzyżując się być może kilkakrotnie. Jasność i szerokość tych miejsc, w których odnogi się łączą w istocie, zdaje się przemawiać za takim przecinaniem się pierścieni w tych miejscach i wzajemną superpozycją gwiazd obu pierścieni. Naturalnie pierścieni tych nie można sobie wyobrażać płaskimi; każdy z nich, gdyby oddzielnie mógł być widzianym na niebie, przedstawiałby się jako jasny pas o zmiennej szerokości i jasności i miałby postać nieregularnej linii falistej.

Jednakże i hipoteza dwóch pierścieni, otaczających nas w różnych odległościach, wydaje się zbyt prostą w celu wyjaśnienia budowy drogi mlecznej. W wielu miejscach drogi mlecznej, jak się zdaje, odróżnić należy 3, 4 i więcej warstw gwiazdowych, uszeregowanych jedna za drugą, gdzieindziej znów nawet istnienie drugiej warstwy niczem się nie zaznacza. Poza tem wiemy, że w dwóch miejscach droga mleczna przerywa się zupełnie.

Badania przyrodnicze wogóle prowadzą do wniosku, że zjawiskami rządzą pewne prawa, to znaczy, że gdyby w przyrodzie wystąpiło zjawisko takie, jakie zresztą nigdy i nigdzieby się nie powtórzyło, to stałoby ono w sprzeczności z pojęciem prawa przyrody. Wogóle więc nie możemy oczekiwać, ażeby zjawisko, które raz spostrzegliśmy, nie powtórzyło się już więcej. Układ gwiazdowy jest również zjawiskiem przyrodniczem, jedną z cech, wyróżniających je wybitnie od innych znanych nam zjawisk, jest olbrzymia według naszych wyobrażeń rozciągłość przestrzenna. Ale czyż stąd wynika, ażeby to było jakieś zjawisko jedyne w swoim rodzaju? W stosunku do przestrzeni nieskończonej i rozmiary układu gwiazdowego są drobiazgiem takim samym, jak nasza ziemia lub ziarnko piasku. Z pojęcia prawa przyrody wynika, że ponieważ układ gwiazdowy istnieje, to zapewne jest też więcej układów do niego podobnych. Dlatego też układ gwiazd, którym się zajmujemy, dla odróżnienia od innych prawdopodobnych często nazywaliśmy naszym układem gwiazdowym.

Chcąc więc znaleźć oparcie w poszukiwaniu postaci naszego układu, należy szukać na niebie form, które dałyby się pogodzić z temi wiadomościami, któreśmy o budowie naszego układu zdobyli. Jedną z takich postaci mogłyby być nieliczne mgławice pierścieniowe, których najgłośniejszą przedstawicielką jest mgławica pierścieniowa w Lutni. Ale badania widmowe stwierdziły, że mgławice tego typu nie są skupieniami gwiazd, lecz należą do typu mgławic gazowych. Nie mają one więc żadnego głębszego podobieństwa z naszym układem gwiazdowym. Mgławic o podwójnym pierścieniu nie znamy wcale, więc hipoteza podwójnego pierścienia drogi mlecznej nie znajduje poparcia w żadnej analogii; chyba moglibyśmy ją znaleźć w pierścieniach Saturna, ale zestawianie zjawisk, tak bardzo niewspółmiernych, byłoby niedorzecznością.

Pośród małych, wyraźnie ograniczonych mgławic bardzo nieliczne tylko charakteryzują się widmem liniowym, t. j. utworzone są z żarzących się gazów. Przeważa u takich mgławic widmo ciągłe, świadczące, że mamy tu do czynienia z gwiazdami, skupionemi tak gęsto, iż widzieć ich oddzielnie nie można. Są to więc nierozdzielne zbiorowiska gwiazdowe. O olbrzymiej ich odległości świadczy właśnie ta ich nierozdzielność i stąd wnioskujemy, że nie są to utwory, należące do części wewnętrznej naszego układu. Z drugiej strony nie leżą one też w jego częściach zewnętrznych, gdyż na niebie rozmieszczone są dosyć równomiernie, nie wykazując żadnej tendencji skupiania się bliżej drogi mlecznej,



a w samej drodze mlecznej niema ich prawie wcale. Argumenty te przemawiają za tem, że są to jakieś zbiorowiska gwiazdowe, leżące poza granicami naszego układu gwiazdowego; jeżeli zaś są tak odległe, to możemy im przypisać rozmiary, zbliżone do rozmiarów naszego układu, i podejrzewać w tych małych plamkach jasnych miliony słońc. Już Kant na mgławice zapatrywał się, jako na odległe, niezależne od naszego, układy gwiazdowe, i pogląd taki ma w sobie wiele tajemniczego uroku. Czy jest słuszny, na to obecnie dostatecznych dowodów nie mamy.

Te mgławice nierozdzielne, jak się zdaje, należą do jednego wspólnego typu utworów kosmicznych, wszystkie bowiem w postaci swej wykazują mniej lub więcej wyraźnie budowę spiralną. Mgławice spiralne należały do rzadkości, gdy badano je bezpośrednio za pomocą teleskopu. Od czasu, gdy je poczęto fotografować, stwierdzono, że spiralna budowa jest regułą. Różne postaci mgławic, eliptyczne, wrzecionowate i t. d. są tylko skutkiem różnego nachylenia płaszczyzn, w których zwoje owych wielkich sprężyn kosmicznych przypadają, do kierunku, w którym widzi je obserwator ziemski. Tak naprzykład znana spiralna mgławica w Psach gończych położona jest prostopadłe do promienia widzenia, wielka zaś mgławica w Andromedzie, posiadająca w lunecie postać wydłużonej elipsy, na fotografii ukazuje szereg podłużnych zwojów, które stanowią rzut prawdziwej ich postaci na płaszczyznę, prostopadłą do promienia widzenia. Kąt nachylenia płaszczyzny tych zwojów do promienia widzenia wynosi zapewne około 60°. Mgławica Andromedy, imponująca rozmiarami, i pozwalająca na dostrzeżenie wielu szczegółów budowy wewnętrznej, należy niewątpliwie do najbliższych nam spiralnych gromad gwiazdowych.

W jakiej postaci owe zwoje spiralne przedstawiaćby się musiały obserwatorowi, umieszczonemu pośrodku takiej spirali, można to sobie do pewnego stopnia uprzytomnić: przy odpowiednim rozkładzie zwoju obraz mógłby być bardzo podobny do naszej drogi mlecznej.

Na tej analogii ze spiralnymi mgławicami oparł swe głębokie badania budowy drogi mlecznej Easton. Uważa on nasz układ gwiazdowy za jedną z takich mgławic spiralnych. Zwoje spiralne są bliżej nas w tych miejscach, gdzie droga mleczna jest szeroką, i przebiegają tem dalej od nas, im węższymi się wydają. W gwiazdozborze Łabędzia nie tylko droga mleczna jest najwspanialszą, ale z faktu, że i gwiazdy jaśniejsze wykazują tam największe skupienie, wnioskować można, iż znaczniejszy ich procent

tu, nie gdzieindziej, odpada na część zewnętrzną. Jest więc rzeczą prawdopodobną, że część drogi mlecznej, widzialna w Łabędziu, znajduje się bliżej nas, niż inne jej części. Otóż tę część drogi mlecznej uważa Easton za środkową część układu spiralnego, od której kilkoma wielkimi zwojami spiralnymi rozchodzą się formacje drogi mlecznej, opasujące nasze niebo. Zwoje te różnią się od siebie tak co do długości, jak i co do gęstości rozmieszczenia w nich gwiazd, nie leżą też w jednej płaszczyźnie, lecz odchylają się tylko nieznacznie od pewnej średniej płaszczyzny układu. Zależnie od tego, czy patrzymy wzdłuż tych zwojów, czy prostopadle do nich, czy promień widzenia w pewnym kierunku przechodzi przez jeden zwój, czy też przez większą ich liczbę, a dalej, czy widzimy je w przybliżeniu w jednej płaszczyźnie, czy też pod pewnym kątem od siebie odchylone—całość przedstawić nam może dokładnie ten obraz, jaki w rzeczywistości przedstawia droga mleczna.

Easton istotnie opracował schemat, który z wynikami obserwacji w dość dobrej znajduje się harmonii. Przez odpowiednie dopełnienia możnaby osiągnąć całkowitą zgodność z obserwacją. Jednakowoż słabą stroną hipotezy jest jej elastyczność. Znaczna ilość zmiennych elementów, które dowolnie kombinować można, pozwala wyjaśnić nie tylko budowę drogi mlecznej, ale też skonstruować jakąkolwiek postać dowolną. Przy wielu różnych kombinacjach owych zmiennych elementów można osiągnąć zgodę z danymi obserwacji — i dlatego nie możemy się dowiedzieć, która z nich jest prawdziwą, a taką jest tylko jedna. Ażeby tę jedną kombinację wynaleźć, nie wystarcza kształt geometryczny, lecz trzeba też uwzględnić stronę dynamiczną zagadnienia. Jest to wszakże strona o wiele trudniejsza.

## IX.

Do dokładniejszych i do pewniejszych wyników prowadzą badania nad rozmieszczeniem gwiazd w części wewnętrznej naszego układu gwiazdowego, ponieważ oprócz się one mogą na materyle stosunkowo ścisłym, jaki przedstawiają gwiazdy skatalogowane. Materiał ten dla gwiazd jaśniejszych do 9.5 wielkości, obejmujący nie wiele więcej, niż 700,000 pozycji, nie jest tak wielki, aby opracowanie jego szczegółowe przekraczało możność ludzką; to też opracowany był on wielokrotnie z rozmaitych pun-



któw widzenia. Bardzo ważne w tej dziedzinie są naprzykład prace Argelandera, Goulda, Seeligera, Stratonowa i in.

Niezależnie od prac katalogowych, już John Herschel, a później Gould, zwrócili uwagę na fakt, iż istnieje pas nieba, w którym zgromadzona jest stosunkowo wielka liczba gwiazd najświeższych. Położenie tego pasa, zwanego, w odróżnieniu od drogi mlecznej, drogą gwiazdową, nie schodzi się z ogólnym przebiegiem drogi mlecznej. Tworzy on z równikiem galaktycznym kąt około  $25^{\circ}$  i przecina się z drogą mleczną w Kasyopei i Krzyżu południowym, t. j. w tych miejscach, gdzie droga mleczna najbardziej zbliża się do biegunów świata. Środek między tymi węzłami zajmują Plejady na półkuli północnej i gwiazdozbiór Niedźwiadka na półkuli południowej.

Obejmuje ta droga gwiazdowa, począwszy od Kasyopei, najjaśniejsze gwiazdy Perseusza, Byka, Oryona, Psa wielkiego, Gołębia, Okrętu Argo wraz z jego częściami, Krzyża południowego, Centaura, Wilka, Niedźwiadka, Wężownika, Lutni i Cefeusza. Z gwiazd 1 wielkości w drodze gwiazdowej przypadają: Aldebaran, Rigel, Betelgeuze, Syryusz, Canopus,  $\alpha$  Krzyża,  $\alpha$  i  $\beta$  Centaura, Antares, Atair i Waga. Ponieważ pas drogi gwiazdowej, szeroki na 20 stopni, zajmuje tylko szóstą część nieba, więc gdyby gwiazdy 1 wielkości tak często występowały w pozostałych częściach nieba, jak w tym pasie, to byłoby ich razem z górą 60; tymczasem w drodze gwiazdowej jest ich 11, a na 5 razy większej pozostałej przestrzeni nieba zaledwie 9. Z dokładniejszego zbadania rozmieszczenia gwiazd pierwszych 4 wielkości wynika, że gwiazdy te bardziej symetrycznie grupują się na dwóch półkulach nieba, określonych przez drogę gwiazdową, aniżeli względem równika galaktycznego. Gould wywnioskował stąd, że najbliższe gwiazdy, w liczbie około 400, wraz z naszym słońcem tworzą oddzielną płaską grupę gwiazd, której płaszczyzna określona jest przez pas drogi gwiazdowej. Jaśniejsze światło na tę sprawę rzucają badania Stratonowa, których wyniki są bardziej ogólne.

Jeżeli gwiazdy pewnej wielkości skupiają się w pewnej części nieba na niewielkiej przestrzeni, to, jak wiemy, jest rzeczą prawdopodobną, że tworzą one izolowaną grupę przestrzenną, a jasność ich określa granice odległości od nas, w których gwiazdy tej grupy są zawarte. Jeżeli dla gwiazd drobniejszych, na przykład następnej wielkości, stwierdzamy skupienie w tem samym miejscu, to wnioskujemy, że należą one do tej samej grupy przestrzennej i że rozciąga się ona przynajmniej aż do średniej

odległości tych gwiazd mniejszych; jeżeli zaś gwiazdy drobniejsze w tem miejscu się nie skupiają, to grupa gwiazd jaśniejszych kończy się bliżej, aniżeli w średniej odległości tych gwiazd mniejszych.

Kierując się temi zasadami, Stratonow dla gwiazd każdej wielkości oddzielnie wykreślił mapy, przedstawiające ich rozmieszczenie na niebie; podzieliwszy półkulę nieba na blisko 500 części, wyznaczył dla każdej części średnią gęstość gwiazd danej wielkości. Dla północnej i południowej półkuli wyniki zamieszczone są w oddzielnych mapach.

Weźmy pod uwagę rozmieszczenie gwiazd pierwszych 6 wielkości na półkuli północnej. Ogólny obraz jest taki, że miejsca małej gęstości przypadają w mniejszych szerokościach galaktycznych, aniżeli miejsca, w których gęstość jest większa, równik galaktyczny zaś przechodzi przeważnie przez miejsca, w których gęstość jest większa, aniżeli średnia gęstość całej półkuli. Ale w szczegółach rozmieszczenie gęstości jest dosyć nieregularne. Z tych szczegółów najważniejszymi są dwa wybitne maksyma gęstości: jedno w gwiazdozbiorze Łabędzia, którego środkiem jest gwiazda  $\alpha$ , sięgające rzędem na wschód do Orła, na zachód do Kasyopei, i drugie, mające środek w Byku i obejmujące Plejady. W tych dwóch więc kierunkach należy się dopatrywać istnienia dwóch grup przestrzennych w odległości, nie przekraczającej średniej odległości gwiazd 6 wielkości.

Na analogicznej mapie, przedstawiającej rozmieszczenie gwiazd 7 wielkości, drugie ze wspomnianych skupień już nie występuje, pierwsze zaś jest równie wybitne, jak dla gwiazd jaśniejszych. Wniosek stąd wypływa taki, iż gromada w kierunku Byka już do gwiazd 7 wielkości nie sięga, gromada zaś w kierunku Łabędzia rozpościera się dalej w przestrzeń i przekracza średnią odległość gwiazd 7 wielkości. Postępując tak dalej do coraz drobniejszych gwiazd, widzimy, jak występują coraz nowe skupienia przy pewnych wielkościach lub też przy pewnych wielkościach znikają. Ale kondensacya w Łabędziu pozostaje równie wybitną nawet dla gwiazd 9.5 wielkości. Mamy tu więc do czynienia z gromadą, do której należy wiele z gwiazd najbliższych, ale która rozpościera się w przestrzeń poza średnią odległość gwiazd 9.5 wielkości.

Jeżeli słońce nasze jest jedną z licznych gwiazd jakiejś izolowanej gromady gwiazdowej, to gwiazdy tej gromady otaczają nas ze wszystkich stron, widzialne więc też być muszą na niebie we wszystkich kierunkach tak na półkuli północnej, jak i na po-



łudniowej. Kierunek, w którym gromada taka najdalej rozpościera się w przestrzeń, określony jest na niebie przez miejsce największej gęstości gwiazd, w porównaniu z otaczającymi. Naturalnie, jeżeli kondensacya nie występuje już u najjaśniejszych gwiazd, lecz zaczyna się dopiero u drobniejszych, to nasze stanowisko leży poza jej granicami. Tak na przykład, w gwiazdozbiorze Woznicy skupienie wykazują tylko gwiazdy, począwszy od 7.5 wielkości, a kończąc na 9-iej, co znaczy, że gromada wspomniana cała znajduje się pomiędzy średnimi odległościami gwiazd 7.5 a 9 wielkości. Jeżeli zaś już gwiazdy najjaśniejsze wykazują na niebie skupienie, to w gromadzie gwiazd, określonej przez to skupienie, może też znajdować się nasze słońce — ale w takim razie rozpościera się ona i z przeciwnej strony słońca, i musi istnieć na niebie kondensacya, dyamentralnie przeciwległa tej, którą widzimy nad poziomem.

W istocie skupieniom w Byku i Łabędziu odpowiadają na półkuli południowej dwie przeciwległe kondensacye, z których pierwsza przypada w Niedźwiadku, druga w Krzyżu południowym. Ale obie one znikają już w rozmieszczeniu gwiazd 7-iej wielkości. Stąd wynika, że gromada, ciągnąca się w kierunku Byk—Niedźwiadek, sięga w obu tych kierunkach do równej prawie odległości, i to niezbyt daleko, bo co najwyżej do średniej odległości gwiazd 7 wielkości; a więc słońce nasze znajduje się niedaleko jej środka. Co się tyczy gromady, rozciągającej się w kierunku Łabędź—Krzyż, to, jak widzieliśmy, sięga ona bardzo daleko w kierunku Łabędzia, w każdym razie poza średnią odległość gwiazd 9.5 wielkości, w przeciwnym zaś kierunku — w Krzyżu na daleko mniejszą odległość, bo tylko conajwyżej do średniej odległości gwiazd 7 wielkości. Wynika stąd, że w tej gromadzie słońce zajmuje położenie bardzo ekscentryczne, znajdując się znacznie bliżej krańca południowego niż północnego.

Naturalnie trudno sobie wyobrazić, aby słońce jednocześnie było gwiazdą, należącą do dwóch gromad, chyba gdyby się one wzajemnie przecinały. Wyniki, powyżej przytoczone, należy rozumieć w ten sposób, że w południowej części owej wielkiej gromady znajduje się lokalne zgęszczenie, w którym linia maksymalnej gęstości słońce zorientowana jest w kierunku Aldebaran—Antares, a płaszczyzna maksymalnej gęstości jest określona przez pas drogi gwiazdowej. Jasne gwiazdy tego pasa są to najbliższe nam słońca owego lokalnego zgęszczenia. W ten sposób określić można było nie tylko izolowaną gromadę części wewnętrznej naszego układu gwiazdowego, w której mieści się nasze słońce, ale

jeszcze wyznaczyć dokładniej miejsce słońca w tej gromadzie i dowiedzieć się o niektórych szczegółach jej wewnętrznej budowy.

Prócz naszej gromady słonecznej udało się na drodze, wyżej wyjaśnionej, wykryć w granicach, nie przekraczających średniej odległości gwiazd 9.5 wielkości, jeszcze 8 podobnych gromad, położonych częściowo w półkuli południowej, częściowo w północnej. Większość ich przypada na półkuli południowej i rozpoczyna się w różnych odległościach i w różnych odległościach się kończy. Skutkiem tego rozmieszczenie gwiazd na półkuli południowej jest o wiele mniej prawidłowe, niż na północnej; na ostatniej bowiem panującą jest wielka gromada, obejmująca nasze słońce, do której też należą gwiazdy wszystkich wielkości, począwszy od 1 wielkości aż do najmniejszych gwiazd skatalogowanych.

Ponieważ wszystkich gwiazd do 9.5 wielkości jest ponad 700,000, więc na jedną taką gromadę przecięciowo wypada około 80,000 gwiazd.

## X.

Stwierdzenie faktu, że w najbliższym naszym sąsiedztwie gwiazdy grupują się w jednostki kosmiczne wyższego rzędu, w zbiorowiska gwiazdowe, oddzielone od siebie przestrzeniami całkowicie gwiazd pozbawionymi, jest bardzo ważną zdobyczą naukową. Zdobyć ta jest tem ważniejszą, iż osiągnięcie jej łączy się z wielkimi trudnościami. Gwiazdy bowiem takich gromad różnych na sklepieniu niebieskiem mogą się mieszać ze sobą, stojąc tuż obok siebie, gwiazdy zaś jednej gromady mogą znajdować się na niebie daleko od siebie i tem dalej, im bliższą jest gromada; gwiazdy zaś gromady, w której znajduje się nasze słońce, rozsiiane są po całym niebie.

Jest rzeczą bardzo ciekawą, czy w części wewnętrznej układu gwiazdowego, który, jak wiemy, rozciąga się prawdopodobnie poza średnią odległość gwiazd 11 wielkości, i w dalszych jej okolicach gwiazdy grupują się w takie zbiorowiska. Sprawę tę rozstrzyga się dosyć łatwo, gdyż im dalej od nas takie zbiorowisko się znajduje, tem mniejszą powierzchnię na niebie zajmuje, a więc też z łatwością bezpośrednio może być dostrzeżone.

Licząc średnią odległość gwiazd 9.5 wielkości na 750 lat światła i wiedząc, że w kuli o tym promieniu mieści się 9 izolowanych zbiorowisk, możemy powiedzieć, że na każde z nich średnio



przypada kula o promieniu prawie 360 lat światła. Przyjmując, że przerwy między zbiorowiskami zajmują przynajmniej tyleż miejsca co zbiorowiska same, znajdziemy przeciętny promień zbiorowiska 280 lat światła, a więc równy prawie średniej odległości gwiazd 7.3 wielkości. Zdobywamy w ten sposób pewne wyobrażenie o rozmiarach takiego zbiorowiska.

Gdyby takie zbiorowisko zaczynało się w średniej odległości gwiazd 10 wielkości, to widziane byłoby na niebie pod kątem  $25^\circ$ , gdyby zaś zaczynało się w średniej odległości gwiazd 11 wielkości, widzialneby było jako skupienie lokalne gwiazd o średnicy 17 stopni. Takie skupienia nie mogłyby ująć naszej uwagi, gdyby istniały na niebie poza granicami drogi mlecznej. W istocie poza granicami pasa drogi mlecznej takich skupień wielkich nie ma, mgławice zaś nierozdzielne, których jest wielka ilość o postaci przeważnie spiralnej, jak wiemy, są zbiorowiskami gwiazd bardzo odległymi.

Ale i skupienia gwiazd jaśniejszych, o których mowa była poprzednio, wszystkie posiadają swe maxima gęstości w samym pasie drogi mlecznej albo też w bezpośrednim jego sąsiedztwie, stąd wynika, że i najbliższe nam zbiorowiska rozmieszczone są nie w jakiejś przestrzeni kulistej, lecz w jednej prawie płaszczyźnie jedna przy drugiej—nie odbiegając w stopniu znaczniejszym od płaszczyzny równika galaktycznego.

Jeżeli zaś przyjmiemy podobne warunki i dla gwiazd odleglejszych, to skupień na niebie, odpowiadających zbiorowiskom dalszym, nie możemy szukać na całym niebie, lecz tylko w pasie drogi mlecznej lub też bardzo blisko niej. Takich zaś skupień istnieje bardzo wiele, cała droga mleczna, jak wiemy, sprawia wrażenie „jakby ktoś garściami piasek sypał,” co oznacza, że w głównej mierze—jeżeli pominiemy jasne mgławice i ciemną, pokrywającą gwiazdy, materię—z oddzielnych skupień gwiazdowych się składa. Skupienia te są to zbiorowiska gwiazd, najrozmaiciej od nas odległe.

Otóż mamy prawo powiedzieć, że cały nasz układ gwiazdowy wykazuje pod tym względem w budowie swej jednolitość, że składa się z olbrzymiej liczby zbiorowisk gwiazdowych, oddzielonych pustemi, pozbawionemi gwiazd przestrzeniami. Charakter ten zachowuje nasz układ, począwszy od najbliższych nam okolic, a kończąc na najodleglejszych jego krańcach. Wszystkie te zbiorowiska uszeregowane są obok siebie jedno za drugim, nie odbiegając daleko od jednej płaszczyzny. Oko, patrzące w kierunku tej płaszczyzny, napotyka niezliczone gwiazdy, należące do

wszystkich zbiorowisk, leżących w promieniu widzenia — i one to powodują zjawisko drogi mlecznej, które zarazem określa płaszczyznę rozmieszczenia zbiorowisk.

Czy jednakowoż w tej płaszczyźnie zbiorowiska rozmieszczone są całkiem nieregularnie, bez jakiegoś określonego początku? Analogia, poparta wielu danymi obserwacyjnymi, zdaje się przemawiać za tem, że szeregują się one w olbrzymie zwoje spiralne i w tem znaczeniu należy, jak się zdaje, pojmować obecnie hipotezę spiralnej postaci naszego układu gwiazdowego. Musimy też porzucić obecnie podział układu na dwie odrębne części, wewnętrzną i zewnętrzną, który przyjęliśmy w celu ułatwienia naszych rozważań. Dostrzegamy teraz w tym układzie jednolitość, a pozorna dwoistość jest tylko wynikiem naszego położenia w układzie, którego zwoje otaczają nas ze wszystkich stron.

Jeżeli układ nasz ma budowę spiralną, to słońce nasze w jednym ze zwojów tej spirali znajdując się musi i istnieć musi jeden taki kierunek, w którym wzdłuż tej spirali patrzymy. W tym kierunku gwiazdy wszystkich wielkości na niebie najbardziej muszą się nam wydać skupionemi.

Zbiorowisko, w którym znajduje się nasze słońce, którego kraniec w Krzyżu południowym stosunkowo nie bardzo jest od nas odległy, na północ ku Łabędziowi rozciąga się znacznie dalej, w każdym razie nie kończy się w średniej odległości gwiazd 9.5 wielkości. Być może sięga ono poza gwiazdy 11 wielkości, a może jeszcze dalej. Kwestyę tę rozstrzygnąć mogą tylko dokładne dane, odnoszące się do tych drobniejszych gwiazd, których dotąd nie posiadamy. Ale jasność części drogi mlecznej w Łabędziu przemawia za tem, że tak jest w istocie. Tylko w tym jednym kierunku zatem może się ciągnąć zwój spirali, wzdłuż którego patrzymy. Zwój ten odginać się zdaje gdzieś w przepaści-  
stych odległościach na prawo, tworząc jedno z ramion rozwidlającej się niedaleko drogi mlecznej, gdy inny zwój, widzialny jako druga odnoga, wkracza do gwiazdozbioru Łabędzia z drugiej strony i krzyżując się tam w perspektywie ze zwojem, wzdłuż którego patrzymy, podnosi jeszcze bardziej blask tej części drogi mlecznej.



# SZTUKA WE FRANCYI.

(Neo-idealizm i poezya w malarstwie—ewolucya realizmu).

Z zanikiem wielkich, wspólnych ideałów, któremi przez wieki kierowała się ludzkość, znikł też łącznik, wiążący niegdyś w podobnych usiłowaniach talenty różne i nadający sztuce, pewnych zwłaszcza wybitniejszych okresów, wyraźną jedność dążenia. Sztuka jest wykwitem kultury pewnej rasy, pewnego społeczeństwa i jednocześnie jej odbiciem. Stąd ewolucye, którym podlegają społeczeństwa, dają się zawsze mniej lub więcej odczuć w sztuce.

Chwila obecna zdaje się być tak w sferze umysłowo-moralnej, jak i społeczno-ekonomicznej, momentem krytycznym, przełomowym. Zwątpienie o prawdziwości podstaw, które nam przekazała przeszłość, niepewność i zagadkowość najbliższej przyszłości wyrobiły u dzisiejszych pokoleń rodzaj pesymistycznego sceptycyzmu, skłaniającego do anarchii ducha, pograżyły je w bezmyślność egoistycznym materializmie lub poprowadziły do utopij socjalistycznych.

W sztuce nastrój taki wyraził się w indywidualizmie, trochę mimowolnym, bo pochodzącym nietyle z przeświadczenia o wartości sił własnych, ile z braku rzeczywistego kierunku i dyscypliny. To też indywidualizm ten ogranicza się przeważnie do wolności wyboru wzorów do naśladowania, przyczem za miarę i wskazówkę służy przedewszystkiem ich powodzenie natury materialnej. Sztuka wymaga od artysty entuzjazmu, całkowitego, szczerego oddania się jej, a więc wiary, tej zaś artysta, wychowany w atmosferze sceptycznie utylitarnej lub rewolucyjnie materialistycznej i czerpiący z niej żywotne soki swego talentu, posiadać nie może. Stąd też dzieła większości artystów dzisiejszych są mało osobiste, zdradzają nieobecność natchnienia, banalność

myśli i uczucia, konwencyonalność wykonania; stosują się przeważnie do ciasnej koncepcyi akademizmu i są obliczone na gust publiczności i interes.

Z drugiej strony widzimy znowu poszukiwanie oryginalności za wszelką cenę, nawet z poświęceniem istoty sztuki, byle tylko przeciwstawić się jaknajjaskrawiej duchowi akademickiemu— inny rodzaj konwencji i pozy, popierany nader zapalczywie przez pewnych krytyków, którzy swój radykalizm lub anarchizm społeczno-polityczny przenoszą w dziedzinę sztuki. Taki jest charakter ogólny produkcji artystycznej ostatnich lat we Francyi.

Wszedłszy nieco bliżej w szczegóły, zauważymy, że panujący do niedawna impresyonizm znikł prawie zupełnie, jako kierunek odrębny. Odżywa on wprawdzie znowu w pracach neo-impresyonistów, które przedstawiły się bardzo dodatnio w tegorocznym Salonie Niezawisłych, ale technika impresyonistyczna jest zbyt jednostronną, pomimo swoich zalet, i zanadto jej nadużyto, by mogła odzyskać znowu utracone stanowisko. Zamiast wyłącznie w szczegółach koloru i błyskotliwych efektach świetlnych, malarze dzisiejsi szukają wyrazu w formach, w rytmie linii, w wielkich, ogólnych stosunkach i harmoniach, w których niekiedy skala barwna okazuje się mocno zredukowaną. Niektórzy z nich, którzy ostatnio wysunęli się na czoło, potrafili nabytki impresyonizmu nagiąć do potrzeb swego talentu i uczynić z nich podstawę barwną swych obrazów. Inni zastosowali je do pewnych efektów, inni jeszcze odrzucili je zupełnie. Bądź co bądź doświadczenie, które przyniósł impresyonizm, dając malarstwu nieznanie przedtem środki wyrażenia, nie zostało straconem, skorzystali zeń do pewnego stopnia albo mu ulegli nawet najzagorzalsi przeciwnicy tego kierunku.

Realizm także uległ przetworzeniu u obecnych jego utalentowanych przedstawicieli, którzy nie poszukują już szczegółowego odtworzenia natury, lecz ograniczając się zawsze do oddania jej wprost dla niej samej, wybierają w tym celu z pośród niezliczonych jej rysów te, których charakter najsilniej ich uderza.

Co wszakże, wobec ogólnego nastroju, o którym wspomnieliśmy powyżej, zwraca szczególniejszą uwagę, jako osobliwość, to powrót w odrodzonej formie idealizmu, który pod wpływem realizmu i impresyonizmu, kierunków o dążnościach jemu przeciwnych, został ze sztuki prawie zupełnie wyparty.

Gdy mowa o realizmie i idealizmie, terminach, pojmowanych wogóle niedość ściśle, wypada, dla uniknięcia nieporozumienia, określić bliżej ich znaczenie rzeczywiste. W teoryi idealistyczną



jest sztuka, która idealizuje naturę, zastępując jej formy niedoskonałe przez odpowiadające im formy doskonałe, czyli idealne, jakich natura nie przedstawia. Wychodząc z tej zasady i przyjąwszy, jako prototyp piękna, antyk grecki, pedantyzm akademicki uczynił wymiary tegoż prawem obowiązującym. W taki sposób zadanie sztuki ograniczonym zostało do naśladownictwa wzorów starożytnych, z czasem zmodyfikowanych przez naśladowców nie do poznania. Tak pojęty idealizm, stał się szablonem i manierą. Ale idealizm prawdziwy, w przeciwstawieniu do realizmu, jest czem innym—gdy ostatni portretuje naturę, t. j. stara się odtworzyć ją z możliwą dokładnością dla niej samej, poszukując charakteru w jej rysach indywidualnych, pierwszy posługuje się naturą dla wyrażenia pewnej myśli, uczucia lub wrażenia mniej lub więcej podniosłych i estetycznych, które znajdują odbicie w wielkich efektach przyrody i wypowiedają się w rysach uogólnionych i zasadniczych. Pod względem tedy sposobu wyrażenia się w sztuce, idealizm jest syntetyczny, realizm zaś — analityczny.

W praktyce, te dwie, w zasadzie przeciwne sobie dążności, nie zawsze rozgraniczają się tak wyraźnie. Są artyści, którzy, będąc z temperamentu i kultury usposobieni do idealizmu, ulegli wpływowi realistycznym lub naodwrot. To odbija się w ich pracach, w których dostrzedz można właściwości obu kierunków i stąd pochodzi, iż nierzadko spotyka się realizm idealistyczny lub realistyczny idealizm.

Rzecz prosta, iż mówiąc o odrodzeniu idealizmu i o realizmie w sztuce, nie mamy na myśli produkcji o charakterze wyłączenie akademickim. Te były zawsze, są i będą balastem, który czas usuwa.

Idealizm nowożytny, wyrażający formy i koncepcje tradycyjne lub archaiczne najnowszymi środkami, widzieliśmy już w roku zeszłym i ostatnio w Salonie Niezawisłych u *Maurycyego Denis*. Tegoż artysty spotykamy znowu w Salonie Towarzystwa Narodowego (*Société Nationale des Beaux Arts*) dzieło, stwierdzające stałość jego w tym kierunku dążenia. Natchniony uczuciem religijnem obraz ten („*Magnificat*“) jest dziełem prawdziwego idealizmu, tak ze względu na swe głębokie znaczenie, jak i na sposób traktowania. Odznacza się on wielką prostotą w kompozycyi i wykonaniu, wskutek czego nie rzuca się odrazu w oczy, lecz wymaga, dla odczucia swego subtelного piękna, chwili skupionej uwagi, podobnie jak odczucie pewnych harmonij dźwiękowych wymaga oderwania się ducha i zmysłów od zgiełku otaczającego życia. To wysoce artystyczne połączenie subtelności z prostotą,

doskonałej umiętności i wiedzy technicznej z naiwnie głębokiem uczuciem w rysunku figur, w ich ruchach i postawach, zarazem żywych i pełnych hieratycznej powagi, w ustosunkowaniu tonów i grup kompozycyi, w rytmie jej wielkich linii—sprawia niezwykajnie podniosłe wrażenie.

Symbolem mistycznego uniesienia ducha w uwielbieniu Stwórcy jest tu scena przywitania Maryi ze św. Elżbietą, w której wszystko—simplifikacya form i tonów barwnych, układ całości—zmierza wyłącznie do wyrazu uczucia i wywołuje niezmierny nastrój religijnej poezyi. Aby pojąć dokładniej prawdziwą i odrębną wartość oddanego w ten sposób czysto malarskimi środkami uczucia i poezyi, wystarczy porównać to ostatnie dziełko p. Denis z obrazem również treści religijnej *Eugeniusza Burnand*—„Le Samedi Saint (les disciples après la mort de Jésus)“. Obraz ten, równie jak zeszlenczone kompozycye tego artysty do ilustracyj przypowieści ewangelicznych, stanowi z powyższym uderzającą kontrast. Jest on typem tego, co słusznie nazwać można idealizmem realistycznym. Scena anegdotyczna, która, jak widzieliśmy przed chwilą, w kompozycyi p. Denis jest tylko symbolicznym wyrażeniem uczucia, tutaj odgrywa rolę pierwszorzędną, uczucie zaś wypowiedzi się, zresztą w swoim rodzaju dość silnie, w wyrazie indywidualnym przedstawionych postaci, których charakter jest zaznaczony bardzo wybitnie w rysach szczegółowych. Scena ta, w której rzeczywiście pogłębione wyrazy twarzy uczniów i ich gesty oddają z psychologiczną prawdą niepewność i trwogę w oczekiwaniu spełnienia się zapowiedzianego przez Boskiego Mistrza tryumfu, ma w sobie coś niewątpliwie dramatycznego, ale wrażenie to rozprasza się w wyrazach pojedynczych, w szczegółowości traktowania typów i niema przeto tej jedności w skupieniu, tej suggestywnej harmonii, jaka bije powagą wspaniałego hymnu chórów anielskich z obrazu p. Denis. Jako przeciwieństwo do pewnego stopnia obu dzieł powyższych, wypada przytoczyć jeszcze obraz *Maurycgo Chabas* (Salon Artystów Francuskich), przeznaczony do kościoła w Moirans, a przedstawiający Chrystusa nad jeziorem w otoczeniu swych uczniów. Tutaj już scena religijna nie daje żadnego uczucia ani nawet wyrazu, jest ona tylko częścią pejzażu, traktowanego z bardzo szerokim i gwałtownie kolorowym impresjonistycznym realizmem—rzecz w swoim rodzaju dobra, ale nie mogąca w żadnym razie zaliczać się do działu malarstwa religijnego.

Do działu tego, choć również nie jest to dość uzasadnionem, przyjąć trzeba projekt dekoracyi nowego kościoła w Domrémy



przez *Maurycygo Boutet de Monvel* — szereg kompozycji z życia i czynów błogosławionej Joanny d'Arc, traktowanych w rozmiarach i charakterze średniowiecznych miniatur, ilustrujących psalterze i bohaterskie powieści tego okresu. Są to grupy figur, rysowanych konturowo, nadzwyczaj misternie i z wielkim odczuciem linii w formach i wyrazach, płasko kolorowanych świeżymi barwami, z użyciem złota i srebra. Właściwości i zalety osobiste artysty znajdujemy tu w charakterze tych figurek, w nowożytniej perfekcji ich rysunku i umiejętnym układzie kompozycji. Poza to jest to bezpośrednie naśladowanie ducha i wzorów średniowiecznych. Jak się przedstawią te miniatury, gdy w odpowiednim powiększeniu zostaną umieszczone w kościele, trudno przesądzać i gdyby nie to, że autorem ich jest tak wytrawny artysta, jak Maurycy Boutet de Monvel, możnaby się obawiać. Idealizm tych obrazów polega na ich traktowaniu archaicznym i dekoracyjnej transpozycji natury. Wróciwszy teraz do produkcji o charakterze więcej nowożytnym, znajdziemy znowu idealizm nowoczesny w dziele wielkiego stylu, jakim jest kompozycja dekoracyjna *René Ménard'a*, przeznaczona dla fakultetu prawa w uniwersytecie paryskim (Salon Tow. Narod.).

Kompozycja ta, składająca się z trzech dyptyków — „L'Age d'or,“ „Le Rêve antique“ i „La vie pastorale“ pochodzi, jak zresztą wszystkie dzieła tego artysty, z natchnienia klasycznego. Ale zarówno klasycyzm, jak i idealizm p. Ménard, różni się zasadniczo od znanych pod tą nazwą koncepcyj akademickich — niema u niego ani suchej pedanterii klasyków szkoły Davida, ani sztucznie mdłego sentymentalizmu dzisiejszych kontynuatorów zwyrodniałego renesansu. Jak w obrazie Maurycygo Denis, z którym, pomimo kardynalnych różnic, dzieło p. Ménard przedstawia tę analogię, uczucie wysokiego liryzmu wyraża się tu w syntezie wielkich harmonij i rytmów natury, w czarownym nastroju jej efektów, z których artysta potrafił go wydobyć i ukazać nam w całej czystości, jak muzyk umie dobyć z instrumentu idący prosto do serca dźwięk melodyjny. Pejzaż, za pośrednictwem którego wypowiada się jego poetyczne marzenie, niema właściwie nic osobliwie greckiego, wspomnienia klasyczne, trochę książkowe, są tu raczej dodane, ale niemniej zlewają się z nim w całość niezmiernie szlachetną i harmonijną. Prawdą jest, z czego p. Ménard robią zarzut, że postacie, marzące pośród odłamów kapiteli, na brzegu morza, skąd płyną purpurowe blaski, są podobniejsze do ożywionych posągów z marmuru, niż do kobiet z ciała i krwi; że, wraz z zapadającym przezroczystym zmrokiem, przybyli tu

z fryzu Partenonu jeźdźcy, galopujący w dali, w cieniach dębowego lasu, poza jeziorkiem, podczas, gdy jeden z nich, zbliżywszy się, by posłuchać fujarki siedzącego w pobliżu chłopca, pozwala nam podziwiać zwięzłe muskuły, grubą, zgiętą szyję o strzyżonej grzywie i krótki, nerwowy łeb swego białego rumaka — ale te posągi, którym artysta, dając życie, zachował charakter i zabarwienie marmuru, chociaż stanowią zapewne pierwiastek estetyczny nieco wyszukany, to jednak, łącząc się z harmonijnym rytmem całości i nieosłabiając jej poetycznego wyrazu, dodają stylu tym pięknym kompozycjom.

Trzeba wysokiego artysty p. Ménard, by z takiego połączenia natury i sztuki, ruchów istot żywych i pozorów martwego kamienia, wybrnąć szczęśliwie i nie popaść w fałszywą nutę. To też tego sposobu stylizowania nie można zalecać nikomu, a nawet sam p. Ménard uczyniłby roztropniej, gdyby się go nadal wystrzeżał. Widzimy przecież, że w jednym z tych jego dyptyków — „La vie pastorale“ postać pasterza, zarazem żywa i antyczna, nie tracąc nic na stylu, obywa się doskonale bez tego wyglądu marmurowego, równie, jak i piękne jego stado majestatycznych wołów. Jakkolwiekby, ostatnia praca p. Ménard jest dziełem, jakich tej szlachetności stylu, w połączeniu z takim sentymentem i poezją, od czasu Puvisa de Chavannes, w wielkiej dekoracji spotyka się niewiele.

Nie ustępując nic pod względem wartości artystycznej, twórczość dekoracyjna *Alberta Besnard* różni się kardynalnie od takiejże twórczości poprzedniego. Przy talentach równorzędnych, różnica charakteru dzieł obu mistrzów jest skutkiem różnicy ich temperamentów. Gdy liryzm p. Ménard wyraża się w wielkich, harmonijnych rytmach natury, w spokojnych i smętnych nastrojach, kojących duszę, która w zachwyceniu czuje się jakoby przeniesioną do idealnych krain, p. Besnard o wiele pozytywniejsze swe uczucie wypowiada z niezwykłą siłą w potężnych, po rzeźbiarsku pojętych i jakoby wyciosanych kształtach ludzkich postaci, które łączy w imponujące barwną plastyką grupy. O ile dzieła pierwszego wyrażają marzenie, skupienie, kontemplację, o tyle drugi stara się dramatyzować siłę, energię, czyn. Liryzm zastępuje u niego epika. Zamiast cichej harmonii tonów przyćmionych, w których zdają się płynąć chwytające dźwięki idyllicznej fujarki, melodyjne pienia dziewczycel chórów lub poważne akordy dziękczynnych hymnów, w kompozycjach p. Besnard, na wyjęzonych w gwałtownych ruchach muskułach postaci męskich, na pełnych, rozwiniętych, jak dojrzały owoc, kształtach kobiecych na-



gości grają grzmiącą fanfarą kontrastowe barwy. Takim też charakterem wyróżnia się ostatnie jego dzieło (Salon Tow. Narod.)— „La Plastique,” stanowiące część całości dekoracyjnej kopuły małego Pałacu sztuki (Petit Palais).

W obrazie tym, podobnie jak u p. Ménard, zauważymy odnowienie klasycyzmu—motyw mitologiczny, traktowany w sposób wybitniej jeszcze, niż u poprzedniego, nowożytny. Całość jest utrzymana w tonach jasnych, kredowo-matowych, wśród których ciemniejszą plamą wybija się brązowa i olbrzymia w swej potężnej muskulaturze postać nagiego mężczyzny, zapewne Parysa, skrzycona w dość hazardownym ruchu. Pochylony, trzyma on jedną ręką za udeję spinającego się nad przepaścią białego pegaza, gdy drugą podaje jabłko stojącej obok nagiej Wenerze. Za nią Minerwa, w złotym kasku, rzuca na tę scenę zawistne spojrzenie, podczas, gdy Junona, odwróciwszy się, zbiera z godnością sute fałdy królewskiego płaszcza i zmierza w stronę, gdzie, spoczywając na tronie, ponad chmurami, spija ambrozyę gromowładny Jowisz.

Obraz ten, jak to już zauważyliśmy, imponuje przedewszystkiem siłą, potężnym rozmachem pędzla, pewnością i mistrzostwem w utrzymaniu stosunków na tak wielkich rozmiarach malowidła, przy użyciu śmiałych kontrastów barwnych pochodzenia impresjonistycznego. Ale podniósłszy te wysokie zalety dzieła, niepodobna nie skonstatować, że wywołuje ono więcej podziwu, niż uroku, przykuwa, ale nie pociąga, działa na wyobraźnię, ale nie budzi uczucia. Przyczyną tego jest brak wdzięku. Przy traktowaniu bardzo szerokiem, kształty figur są, pomimo to, realistycznie przerysowane, ich plastyka, zanadto akcentowana, daje im wygląd ociężały. Postać męska, o przesadnej muskulaturze, robi wrażenie niezręczne, prawie brutalne. Siła w koncepcyi p. Bernard jest wyłącznie materyalną i dla tego zapewne pozbawia on ją szlachetności, ale piękność, uosobiona w postaci Wenerzy, dla czego jest tak ciężką, brzydką i pospolitą? Ten Olimp wydaje się dziwnie plebejuszowskim. Obraz ten, w swoim rodzaju dekoracyjnym, nie jest pozbawiony poezyi, ale ta poezya pozytywna jest tutaj jakby wyrabana.

Jeżeli zastanawialiśmy się nieco nad tą kompozycją, to nie tylko dla tego, że jest ona, zwłaszcza pod względem wartości czysto malarskiej, najwybitniejszym dziełem wśród produkcji tegorocznej, ale dla tego także, że wybornie charakteryzuje artystyczną indywidualność swego autora. „La Plastique” należy do cyklu dekoracyjnego, który się składa z czterech kompozycji.

Z tych dwie, już wykonane, były parę lat temu wystawione w tymże Salonie — są to: „La Matière“ i „La Pensée.“ Temat czwartej — „La Mystique,“ sądząc zwłaszcza po ostatniej pracy, wydaje się mocno nieodpowiednim do temperamentu artysty, chociaż przyznać trzeba, że w kompozycji „La Pensée“ umiał on zdobyć się na koncepcję o wiele więcej uduchowioną i wyrazić nader szczęśliwie milczącą i skupioną powagą myśli. Cichą, melancholijną harmonię zmroku stara się znowu wyrazić *Aman-Jean* w swym obrazie dekoracyjnym „Comédie.“ O ileż mniej mu się to udaje niż p. Ménard! Najpierw jest u niego rozdzwitek moralny pomiedzy motywem kompozycji, a nastrojem, którego poszukuje artysta. Wyraz „Komedia“ zdaje się raczej nasuwać wyobraźni sceny wesołe, żywe, śmieszne, zabawne, tymczasem z tego rodzaju sceny p. Aman-Jean chce wydobyć jakieś smętnie poetyczne marzenie. Skutek tego jest taki, że te dwie przeciwne tendencje wzajemnie się neutralizują i obraz, który ma jakieś pretensje do uczucia, żadnego wrażenia nie sprawia.

Jest on utrzymany, jak wszystkie obrazy tego artysty, w tonach przygasłych, szarych, na które składają się przeważnie spłowiałe barwy niebieskie, zielone, różowe. W tej, zresztą bardzo subtelnej szarzyźnie, snują się podobne do upiórów postacie kobiet i mężczyzn, pogrążone, pomimo swych maskaradowych strojów, w głębokiej zadumie, z której nawet widok małpy, siedzącej na psie, wyrwać ich nie może. Harmonia w tej kompozycji jest i byłoby uczucie, gdyby nastrój zgadzał się z rodzajem motywu. Być może, że przez taki kontrast chciał autor wyrazić próżne złudzenie zabawy, w której człowiek, szukając zapomnienia goryczy życia, znajduje ją niechybnie na dnie wychylonej czary, ale to jest tylko domysł, bo nie tego tu nie uzasadnia. Uczucie zresztą, gdyby nawet więcej się udzielało, jest tutaj jakieś chorobliwe, jakby wymuszone w manierycznych sylwetkach tych figur, skądinąd pięknych. Pozatem obraz ten jest dość monotony, nie tylko w kolorze, ale i w układzie figur, które grupują się wszystkie na pierwszym planie, gdy plany dalsze, przedstawiające w wielkich masach widok ogrodu, są puste i zanadto zgubione.

Jest to pierwsze dzieło dekoracyjne tego artysty na większą skalę. W pracach poprzednich, mniejszych rozmiarów i ambicji, dał on już dowody nietylko dużego talentu i indywidualności, ale i prawdziwego zmysłu dekoracyjnego, przy uczuciowości wprawdzie nieco chorobliwie manierycznej, ale szczerzej, bo odpowiadającej jego temperamentowi. Zarzucają mu, nie bez słuszności, że się powtarza, ale na tym punkcie nie jest on wyjątkiem. Widzi-



my to zaraz u *Gastona La Touche*. I on się powtarza również mniej szczęśliwie w swym „Théâtre de verdure,” w którym nie ma ani tej lekkości natchnienia w kompozycji, ani tych subtelnych zalet kolorytu, jakimi odznaczało się wiele jego poprzednich obrazów dekoracyjnych, zwłaszcza należących do seryi, nazwanej „Singeries.” Z pośród jego prac tegorocznych właściwie jeden tylko obraz „Scène de Carnaval” zbliża się do tamtych wartością swej barwnej harmonii i rodzajem uczucia, w którym spryt nieco libertyński mięsza się z pewną nieokreśloną melancholią, jak w pustym śmiechu wesołej kompanii odczuwa się czasem wstrząśnienie ukrytego, a może nawet nieświadomego siebie bólu. Wybitnie nowożytny, bo ujawnający się przy pomocy środków ściśle malarskich, idealizm panny *Klementyny Dufau* odnajdujemy znowu, po ryzykownych dla niej zeszlatorocznych wycieczkach w sfery filozoficznych abstrakcyj, w ostatnim jej obrazie „Chant pour la Beauté.”

Żadna z figur tej kompozycji nie śpiewa, ale za to śpiewa tu cały obraz. Śpiew dobywa się z dziwnie suggestywnego rytmu linii, z subtelnego akordu tonów, z natchnionego nastroju całości. Wysoki estetyzm łączy się tu z bardzo prawdziwym, bardzo głębokiem uczuciem czystej poezji. Śmiało powiedzieć można, że równa się najpiękniejszym kreacyom natchnionej sztuki wszystkich czasów ta grupa nagich efebów, z których jeden, stojąc, wsparty o rodenowską Danaidę, z przynkniętymi w wewnętrznym zachwyceniu oczyma, dobywa ze skrzypiec płynące z głębi swego jestestwa dźwięki, podczas gdy drugi, uklększy obok niego na jednym kolanie i wzniosłszy ponad głowę rękę, by klaskaniem w palce naśladować kastaniety, śledzi wzrokiem rytmiczne ruchy tańczącej przed nimi, pośród wspaniałych pawi nagiej kobiety.

Za tło tej ślicznej scenie służy fantastyczny gaj, odbijający swe bogate, jesienne barwy w modrem przezroczu strumienia. Kobieta, bardzo świeża w kolorze ciała, jest trochę ciężką w swych mocno rozwiniętych kształtach i w ruchu, niedość wyraźnie zaakcentowanym, choć niepozbawionym wdzięku i rytmu. Rysunek wszystkich postaci jest traktowany syntetycznie w rysach zasadniczo charakteryzujących formy, ale w figurach męskich jest on więcej odczuty, niżeli w kobiecej, co zważywszy, że mieści się ona na pierwszym planie, działa trochę na niekorzyść obrazu.

Jednakże niezaprzeczone piękno grupy męskiej, niezmiernie udzielające się uczucie liryzmu, którem technie całość tej kompozycji, i wysoki artyzm jej koncepcji, pozwala z łatwością zapomnieć o tych brakach, których artystyce, obdarzonej takimi przy-

miotami, nietrudno będzie przy trochę staranniejszej uwadze na przyszłość uniknąć. Dowodem posiadania i odczuwania przez nią w wyższym stopniu środków swej sztuki jest to przede wszystkim, że nie ucieka się ona dla wyrażenia pożądanego nastroju i uczucia do żadnych sposobów umówionych — allegoryj, symbolów lub aluzyj literackich, lecz, jak poeta słowem, posługuje się bezpośrednio i wyłącznie rysunkiem i kolorem. Jest ona prawdziwym poetą pędzla i wśród kobiet, które odznaczyły się w sztuce, wysuwa się coraz bardziej na pierwsze miejsce. W każdym razie, w jednym z nią rzędzie postawić trzeba obdarzoną męskim temperamentem artystycznym pannę *Delasalle*. Zaczawszy od malowania w rodzaju mniej lub więcej realistycznym, z doskonałą zdolnością oddania indywidualnego charakteru natury, zwłaszcza w portretach, artystka ta, w chwalebne dążeniu do odnowienia swych środków ekspresyi, w czem, mówiąc nawiasem, wielu mistrzów powinnyby ją naśladować, przerzuciła się do symplifikacyi o charakterze modernistycznym i poszła w tym kierunku, jak to widziliśmy w jej pracach zeszłorocznych, trochę za daleko. Szczęściem, po tych próbach, talent jej rzeczywisty zorientował się szybko na właściwe drogi. W tegorocznym jej portrecie rzeźbiarza Bernstamma (Salon artystów Francuskiej) niema już tej niaturalnej, białawej jednolitości tonu, ani posuniętego do zbyt wielkiej przesady uproszczenia form, zaś jej nagość („*Etude de nu*“)—jedno z najlepszych tego rodzaju dzieł Salonu—przedstawia wielką, przypominającą Odrodzenie, szlachetność linii, którą artystka znalazła we właściwej artystycznej symplifikacyi, jakiej po większej części brutalna i barbarzyńska symplifikacya modernistów jest przeciwieństwem. Bardzo wiele wdzięku i idyllicznej poezyi daje też panna *Adour* w swym dość bezpośrednio inspirowanym przez artyzm panny Dufau tryptyku — „*Printemps—Été—Antonine*.“

Natomiast daleko poza temi artystkami pozostaje panna *Carpentier* ze swą kompozycją „*Les Résignés*“, sztuczną i bez wyrazu, ani uczucia w masie figur chwiejnie rysowanych i złączonych w całość tylko wspólnym brakiem siły i charakteru.

Ciekawy przykład idealistycznego realizmu daje obraz *Adler* — „*Les Hauts-Fourneaux*.“ Realizm leży tu w wyborze motywu — widok kominów i gmachów fabrycznych, wielkich pieców — idealizm, w symplifikacyi tegoż w wielkich liniach i dążności do udramatyzowania go. Rzecz ta, interesująca w swym wielkim efekcie i kolorze, sprawia rzeczywiście dość dramatyczne wrażenie. Że realizm bezpośredni nie nadaje się do wielkiej dekoracyi,



mogą służyć za dowód obrazy pp. *Grau*—„*Fanfare scolaire*“ i *Dupuy*—„*Les Vendanges*.“ Pierwszy robi wrażenie powiększonej fotografii, drugi jest powiększeniem zwykłej sceny rodzajowej. Oba z charakteru dekoracyjnego mają tylko rozmiary, co też da się powiedzieć o traktowanych z fałszywym i banalnym idealizmem akademickim i obdarzonych pretensjonalnymi komentarzami obrazach pp. *Rosset-Granger*, *Dubufe*, *Rixens*, *Auburtin* i t. p. Do tychże zaliczyćby wypadało „*Le Jardin des Hespérides*“ p. *Gervais*, ale obraz ten, pomimo ogólnego charakteru akademickiego, nie jest bez zalet w rysunku, kompozycji i kolorze, a nawet w wyrazie jednego z boków tryptyku.

*Alfred Roll*, zazwyczaj bardzo szeroki w swym realizmie silnym i energicznym, traktuje swą ostatnią pracę — „*Panneau décoratif*“ — połowicznie i otrzymuje wskutek tego rezultat niedość wyraźny. Talentem, którego rysem charakterystycznym jest siła, wyróżniają się obrazy młodego artysty p. *Gontier* („*Poète mourant*“, „*La Terre qui nourrit*“), ale znać w nich jeszcze zbyt bezpośrednio wpływy modernizmu brutalnego.

Właściwie początków neo-idealizmu szukać należy w pejzażu, pejzażyści bowiem pierwsi mieli sposobność spostrzedz, że natura nie jest tylko składem żywych i martwych akcesoryj, które naturalistyczny realizm uważał sobie za obowiązek kopiować z drobiazgową szczegółowością, ani też kalejdoskopem, migającym barwami tęczy impresjonistów, ale że daje ona nadto efekty, zdolne wzbudzić w duszy człowieka odpowiednie uczucia. Zrozumieli tedy wreszcie, a raczej przypomnieli sobie, że człowiek nie jest obojętnym świadkiem zjawisk przyrody, lecz będąc związanym z nią tajemniczym węzłem, niedość, że ją widzi i obserwuje, ale i odczuwa; że zatem wszystkie sztuki, nietylko plastyczne, ale i te, które rodzą się z uczucia, jak poezya i muzyka, mają swe źródła w naturze. Odtąd na naturę zaczęli oni patrzeć innemi oczyma—oczyma ducha, i wtedy dopiero ujrzeli w niej cuda, dla realistów i impresjonistów niedostępne. W taki to sposób powstał pejzaż nastrojowy, za pośrednictwem którego malarz tak samo, jak poeta słowem i muzyk tonami dźwięków, może udzielić patrzącemu na jego dzieło wzruszeń własnych i pozostawiać z nim wskutek tego w magicznym związku uczuciowym. I znowu, jak w okresie romantyzmu Corot i Millet i dawniej Watteau, Claude, Lorrain i Poussin, pejzażysta uczuł się poetą, znalazłszy w dodatku w swej sztuce o wiele więcej udoskonalone środki, pozwalające mu zagrać na strunach duszy ludzkiej. Pejzaż z kopii pozorów zewnętrznych natury stał się jej głęboką interpreta-

cyą, zależną przede wszystkim od stopnia i rodzaju uczuciowości artysty—odbiciem wrażeń nie już jedynie wzrokowych, ale i duchowych—wzruszenia i uczucia.

Widzieliśmy już w dziele p. Ménard ile poezyi potrafi on dobyć z nastrojów pejzażowych. Pejzaż również przyczynia się wiele do podniesienia lirycznego uczucia, którego panna Dufau poszukuje w rytmicznych liniach kształtów ludzkiego ciała, ale u tych artystów, prócz pejzażu, inne czynniki składają się wraz z nim na wyraz poezyi.

Wśród malarzy francuskich, którzy szukają jej wyłącznie w pejzażu, pierwsze miejsce zajmuje artysta, o którym mieliśmy już parę razy sposobność mówić na tem miejscu — jest nim *Le Sidaner*. Ci, którzy parę lat temu widzieli w jego interpretacji widoki kanałów i pałaców Wenecyi, pamiętają, jak wielki wywierały one urok, wywołany bez żadnych dodatków anegdotycznie literackich, li tylko za pomocą niezmiernie subtelnego przy traktowaniu w charakterze impresyonistycznym zharmonizowania nastrojowych efektów barwnych. Jeden i ten sam motyw widoku, przedstawiony w różnych efektach dnia, wieczora, nocy, wywoływał wrażenia odpowiednio odmienne, ale zawsze bardzo silnie działające na uczucie. Technika pochodzenia impresyonistycznego, którą posługuje się ten artysta z nadzwyczajnem mistrzostwem, w sposób bardzo osobisty i oryginalny, służy mu nietylko jedynie do wyrażenia barwnej wibracji atmosferycznej, jak właściwym impresyonistom, którzy byli analistami światła, notującymi momentalne jego efekty w naturze, ale dopomaga mu do wywołania i ujawnienia tej szczególnie chwytającej magii, która w pewnych chwilach i warunkach wydzielając się z widoków natury, ogarnia człowieka dziwnem wzruszeniem i pobudzając jego wyobraźnię, czyni go, stosownie do jego wrodzonych skłonności, poetą lub artystą. P. Le Sidaner tajemniczą władzą swego talentu od tej analizy tonów barwnych przechodzi do syntezy wielkich nastrojów. Jego obrazy są to prawdziwe symfonie, działające nietylko na wzrok, ale i na uczucie, jak muzyka. Ta analogia z muzyką szczególnie uderza w jego obrazach, pomimo, że nie ma w nich żadnej podobnej intencji, jaką widzimy np. w tegorocznych produkcjach *Lévy-Dhurmera* („Les roses d'Ispahan — d'après Faure“ i „L'après-midi d'un faune—d'après Debussy“), których cała wspólność z muzyką znajduje się tylko w ich tytułach. Obrazy te są doskonałym przykładem fałszywego idealizmu równie pretensjonalnego, jak pozbawionego uczucia i wartości artystycznej.



Natomiast ostatnie dzieła p. Le Sidanera, do których za motyw posłużyły dziwnie piękne widoki na wyspy jezior włoskich— „Isole Madre“ (Lago Maggiore) — w sześciu różnych efektach, nie ustępują dawnym ani poezją uczucia, ani wartością czysto malarzkich zalet, z których ona wynika. Gdy mowa o poezyi w pejzażu, niepodobna pominąć, choć nie zalicza się on do artystów francuskich, Hiszpana, *Santiago Rusinol*, malarza cudnych ogrodów Aranjuezu i Majorki, który zupełnie innemi środkami traktując je w wielkich kolorowych plamach i masach, zarazem syntetycznych i szczegółowych, z wielką świeżością barwną, potrafi oddać z podobną, jak artysta poprzedni, suggestywnie uczuciową siłą, niezmiernie artystyczny ich urok. Obok Le Sidanera, wymienić należy p. *Guirand de Scévola*, którego motywy z Wersalu zawierają tyle poetycznej melancholii. Obok nich, wielu innych, tak w pokoleniu starszem, jak i w najmłodszym, poszukuje uczucia w pejzażu różnemi środkami i z rozmaitem powodzeniem. Z pośród tych wymienimy jeszcze dla przykładu kilka nazwisk, jak pp. *Meslé, Duhem* (Henryk i Marya), *van Hollebecke* (ksiądz), *Costeau, Griveau, Guignard, Desiré-Lucas, Le Gout-Gerard, Rémond, Realier-Dumas*, których zresztą technika zbliża więcej do realizmu, gdy znowu pejzażyści tego typu, co pp. *Morrice, Flandrin, de La Villéon, Koenig* i t. p. mają bliższą lub dalszą styczność z modernizmem szkoły Cezanne'a.

Jak w każdym rodzaju malarstwa, idealizm może też mieć zastosowanie i w portrecie, o ile portrecista, zamiast dokładniej fotograficznej podobizny lub starannego studyum rysów powierzchniowych, stara się wydobyć charakter wewnętrzny modelu. Takimi są przeważnie portrety Carrière'a, a z pośród artystów żyjących jeden tylko *Ernest Laurent* osiąga rezultaty podobne w portretach swych o tyle przyjemniejszych dla oka od dzieł zmarłego mistrza, że są kolorowe. Technika p. Laurent przypomina technikę Le Sidanera. Jak tamten w pejzażu, tak ten w portrecie, przy użyciu podobnych środków, otrzymują obaj rezultaty analogiczne—jeden daje wyraz wewnętrzny przyrody, drugi—portretowanej osoby. Ten wyraz wewnętrzny, czyli nastrój przyrody jest nieczem innym, jak tylko odbiciem nastroju ducha artysty, który w danym widoku czy efekcie odczuwa wyraz pokrewny uczuciom, pragnieniom, czy też tęsknotom swej duszy. Ten sam stosunek moralny zachodzi pomiędzy portrecistą, który nie ogranicza się do podobizny, a jego modelem.

O pejzażystyce powiadamy, iż odczuł pewien nastrój; tak samo o portreciście powiedzieć możemy, iż odczuł charakter swego

modelu. Ale nie zapominajmy, że w języku malarskim odczuwa się linię, formę, ruch, kolor i t. p. i zauważmy, że charakter może być mniej lub więcej wewnętrznym, albo zewnętrznym, stosownie do tego, czy artysta w rysach portretowanej osoby odtworzy jej wyraz powierzchniowy i przemijający, czy też postara się sięgnąć głębiej i odnajdzie wyraz jej niezmienny, dający prawdziwy obraz jej istoty duchowej. Zależy to zresztą nietyle od sposobu interpretacji, ile od skłonności wrodzonych i intuicji artysty. P. Laurent posiada w wysokim stopniu tę intuicję i dlatego jego portrety, zwłaszcza zeszłoroczny i dwa ostatnie, mają nader rzadki charakter wewnętrzny. I on, jak Le Sidaner, przy analizie w barwach daje syntezę formy i niezmiernie harmonijną, barwną wibrację atmosfery.

Do artystów wyłącznie poszukujących wyrazu wewnętrznego należy też stale wystawiająca swe prace w Paryżu polska artystka, panna Boznańska. Jej tegoroczne portrety, zawsze jednako traktowane, mniej zalecają się od zeszłorocznych, które miały więcej życia i czucia w formach. Jest to jej szczególną właściwością, że w swych głowach, dla skupienia uwagi i skoncentrowania wyrazu w oczach, poświęca ona wszystkie inne rysy, w których zwykle przejawia się charakter, i dlatego w swych portretach daje wprowadzić wewnętrzne, bo rysów zewnętrznych niema, ale tylko przebłyski charakteru. Jej koloryt szary przedstawia bardzo subtelne stosunki barwne, ale w zastosowaniu do twarzy ludzkich jest nieprawdopodobny i wpływa na niekorzyść ich wyglądu. Przytem jest ona w zupełności pozbawioną poczucia wdzięku, którego jej figury nie mają nigdy ani w wyrazie, ani w ruchu, wskutek czego te jej duchowe portrety, pomimo całej swej wartości artystycznej, zwracają więcej uwagę swą manierą, niż pociągają.

Portret, nad którym zastanowiliśmy się przez chwilę u tych dwojga powyższych artystów, poprowadzi nas prosto do mistrzów obecnego realizmu. Jeden z nich bowiem, *Lucyan Simon* stwierdza w swym własnym portrecie dopiero co wypowiedzianą uwagę, że wyraz wewnętrzny nie zależy od sposobu interpretacji i może być otrzymanym bez żadnych środków specjalnych. W tym portrecie p. Simon wyraz wewnętrzny, bardzo silnie zaznaczony, wypływa poprostu z wybornego scharakteryzowania skoncentrowanych rysów indywidualnych jego twarzy. W ten sposób, niezszukany umyślnie, znalazł się wyraz ducha sam przez się w portrecie, traktowanym z bezpośrednim realizmem, dzięki tylko intuicyjnemu talentowi artysty.



Ale trzeba też wiedzieć, że realizm dzisiejszy, t. j. ten, który wyzwolił się z rutyny szkolnej, różni się znacznie od tego, czem był do niedawna i czem jest jeszcze u mistrzów jego wczorajszych i całej masy ich naśladowców. Od drobiazgowej szczególności w kopiowaniu natury, rozszerzając się stopniowo, doszedł realizm obecny u swych młodszych i najwięcej utalentowanych przedstawicieli do bardzo szerokiej koncepcyi — porzucił szczegóły i fotograficzną dokładność i począł szukać charakteru, nawet indywidualnego, w rysach ogólniejszych i w wielkich masach i stosunkach, posuwając się niekiedy w tym kierunku aż do przesady. Do tej ewolucyi przyczyniły się naturalnie wpływy różnych form impresjonizmu i modernizmu. Z tem wszystkiem, realizm zbliżył się do pewnego stopnia do koncepcyj idealistycznych, zachowując zawsze różnicę zasadniczą w tem, iż uprawia formę dla formy, kolor dla koloru i interpretuje naturę wprost, bezpośrednio i dla niej samej, nie troszcząc się ani o piękno, do którego ma uprzedzenie, ani o poezję, do której niema pociągu, i zastępując wzruszenie wrażeniem, a uczucie malarskiem poczuciem formy i koloru. Taki to właśnie realizm cechuje obrazy p. Simon — „Procesya“ (muzeum Luksemburskie), „La cérémonie religieuse à Assise“ z zeszłorocznego Salonu i dzieło ostatnie „La Collation.“

Jak i poprzednie, „La Collation“ odznacza się nadzwyczajnymi zaletami malarskimi w interpretacyi bezpośredniej—w utrzymaniu właściwych stosunków światłocieniowych i barwnych pomiędzy licznie nagromadzonemi przedmiotami martwej natury i żyjącymi figurkami bardzo charakterystycznych dzieci, w świetle surowem i zbyt jasnem otwartego na trzy strony wnętrza.

Równorzędny z nim pod względem talentu i uznania *Karol Cottet*, który w zeszłym roku wystawił wielką kompozycję z intencjami stylu—„Au pays de la mer—Douleur,“ ukazał teraz kilka bardzo dobrych niewielkich obrazków, a wśród nich parę wybornych studyów nagości, traktowanych z doskonale odczutym realizmem.

Pośród tej kategorii artystów, spotykamy też p. *Lepère* z jego bardzo po malarsku odczutemi pejzażami i wybornemi, martwemi naturami. Nadzwyczaj trafnymi charakteryzatorami typów są pp. *Lebasque* i *Hochard*. *P. Hoffbauer* w ostatnim obrazie, trochę anegdotycznym — „L'Émeute,“ przedstawiającym oddział dragonów na koniach, naturalnej wielkości, przygotowujący się do szarży na buntowników, daje świetne odczucie ruchu i szerokiego charakteru form żywych.

Wreszcie o całym zastępie pejzażystów, którzy nie szukają wzruszenia, lecz tylko wyłącznie wrażenia form, mas, światła, barwy, atmosfery i t. p. powiedzieć można, że stosownie do swego temperamentu, bezpośrednio odczuwają naturę.

Powróćmy jeszcze do portretu. W dziale tym malarstwa, jako najbardziej i do pewnego stopnia z obowiązku stosującym się do wymagań gustu publiczności i mody, najwzszechwładniej panuje styl akademicki, mniej lub więcej poprawiony zaletami osobistemi artysty, lub zepsuty i zmanierowany jego właściwościami ujemnymi albo chęcią pochlebiaenia i dogodzenia estetyce modelu i jego otoczenia. Wśród tych znajdują się patentowani mistrzowie rutyny, których talenta różnorodne, niegdyś więcej obiecujące, w niej się skrytyzowały. Nazwiska: *Carolus-Durand*, *Dagnan-Bouveret*, *Courtois*, *Bonnat*, *Aimé-Morot*, *Gabriel Ferrier*, *Flameng*, *Jacquet*, *Sain*, *Henryk Royer* i t. p. charakteryzują dostatecznie tę kategorię, z której, pomimo blizkich związków, talent większej indywidualności każe wyodrębnić *Ferdynanda Humberta*. Tu należą także prestigitatorowie, jak *Boldini*, wirtuozi i malarze mód, jak *Antonio de La Gandara*, *Caro-Delvaile* i t. p. Ale pośród tych portrecistów, uznanych i światowych, wyróżnia się najbardziej wysokimi zaletami malarskimi, indywidualnością prawdziwą i wybitną, dystynkcyą naturalną, zrozumieniem i odczuciem charakteru swych modeli—*Jakób Emil Blanche*. Wrodzone predylekcyje i studia uprzednie skłoniły go ku formom i koncepcyom sztuki angielskiej i dla tego w portretach jego spotyka się przeważnie typy anglo-saskie. Po zeszlórocznym portrecie męskim (p. *Hardy-Thomas*), w którym te zalety jego talentu najsilniej może się wyraziły, daje on w tym roku, w kilku portretach męskich (wśród tych portret własny) i kobiecym, dzieła nie mniejszej wartości. Nikt tak, jak on, nie potrafi również odczuć i ożywić martwej natury — kwiaty, wazony, porcelany, dywany, meble i inne najbanalniejsze nawet sprzęty, przedstawiane w ślicznie zharmonizowanych wnętrzach, zyskują pod jego pędzlem szczególnie przemawiający i pociągający oko, poufny urok.

\*

\*

\*



Jakież wnioski wyciągnąć z uwag, do których dały nam sposobność wystawy paryskie roku bieżącego?

Oto, że wzięwszy poza nawias z jednej strony sztukę rutyniczną, a z drugiej wybryki modernistów, i ze zniknięciem takich kierunków czysto technicznych, jakim był impresjonizm, o którym można powiedzieć, iż spełniwszy swe bardzo ważne zadanie wprowadzenia światła i odświeżenia koloru, właściwie nie znikł, lecz wsiąkł w malarstwo dzisiejsze, dają się w chaosie obecnym odróżnić zawsze dwie główne, zresztą odwieczne w sztuce, dążności—idealizmu i realizmu. Obie te dążności, nie zawsze rozgraniczające się dość wyraźnie, przedstawiają się wszakże nieco odmiennie od tego, czem były dawniej, obie bowiem otrzymały nowego bodźca od modernizmu, z którego wybijały otrząsnąwszy się dziwactw, silniejsze indywidualności artystyczne przybyły, aby stosownie do wymagań swego temperamentu, spowodować odrodzenie pierwszej lub ewolucję drugiej.

KONRAD OSTROWSKI.

# PIŚMIENNICTWO.

---

ERNEST LUNIŃSKI. *Berek Joselewicz i jego syn. Zarys historyczny; z ilustracjami w tekście.* Warszawa 1900. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. 8-o, str. 136.

W setną rocznicę bohaterskiej śmierci Żyda-patryoty polskiego, podpułkownika Berka Joselewicza, ukazała się praca p. Łunińskiego. Jest to pierwsza naukowa monografia o tej postaci, owianej legendowym niemal urokiem męstwa niezwykłego, patryotyzmu szczerego i ofiarnego. Autor, niezależnie od zużytkowania całej literatury, dotyczącej Joselewicza, sięgnął nadto do źródeł, przejrzał archiwa krajowe i zagraniczne i na szerokiem tle historycznym dał wyrazistą, możliwie wyczerpującą sylwetkę bohatera z pod Kocka oraz jego syna, Józefa Berkowicza, równie dobrze zasłużonego krajowi.

Urodzony (około 1770 r.) w Kretyndze, dziedzictwie niegdyś Karola Chodkiewicza, przyszły legionista ród swój wywodził z biednej, szarej masy żydowskiej, osiadłej gromadnie w mieście litewskiej. Początkowo młody Berek pozostawał w usługach faktorskich smutnej pamięci biskupa wileńskiego, Ignacego Massalskiego; dzięki wrodzonemu sprytowi, potrafił pozyskać względy pana, który niejednokrotnie zabierał ze sobą faktora w peregrynacje zagraniczne. Wrażliwy umysł Berka chwycił skwapliwie hasła wieku oświecenia, rozbrzmiewające podówczas na Zachodzie, kształcił się, nowych nabierał wyobrażeń i pożądań. Na dnie tej duszy z natury zapalnej, a w istocie swej szlachetnej, poczęły się żarzyć pragnienia czynów wielkich, pełnych bohaterskiego męstwa i poświęcenia.

Rok 1794 zastaje Berka w kraju. Massalski, oskarżony o zdradę, ginie na szubienicy. Ex-faktor biskupa wraz ze swoim współ-



wyznawcą Józefem Aronowiczem formuje pułk starozakonnych, aby przyjść w ten sposób z pomocą walczącej Rzpltej. Stosowne „uwiadomienie o formującym się pułku“ ukazało się w *Gazecie Rządowej* z dn. 17 września 1794 r. za podpisem Tadeusza Kościuszki. W ciągu kilku zaledwie tygodni utworzony został hufiec powstańczy, niesprawny zapewne i niewyćwiczony należycie, lecz pełen zapału i gorąco sprawie publicznej oddany. Niebawem, w czasie zdobycia Pragi przez Suworowa, cały pułk ten wyginął niemal doszczętnie...

Joselewicz, po kapitulacji Warszawy, przeszedł za kordon austriacki i tu wraz z generałem Zajączkiem został aresztowany i osadzony w twierdzy ołomunieckiej. Wydostawszy się z więzienia, udał się do Francji. Na wieść o formowaniu legionów przez Dąbrowskiego, były pułkownik kościuszkowski, jako prosty szeregowiec zaciąga się pod sztandary narodowe, aby dopiero w ogniu bitew nowe zdobyć szlify. Walczy w pierwszej legii, dowodzonej przez generała Wielhorskiego, pod Magliano, Fallari, Calvi, Mondragone, przechodzi potem do pułku kawalerji legionowej pod dowództwem gen. Karwowskiego, następnie w szeregach legii naddunajskiej Kniaziewicza bierze udział w bitwie pod Hohenlinden i walkach w Tyrolu i Salzburgu. Po pokoju lunewilskim i rozwiązaniu organizacji legionowej polskiej przeszedł Joselewicz do służby w piątym pułku huzarów korpusu marszałka Mortier'a.

W r. 1806, natychmiast po słynnej odezwie berlińskiej Dąbrowskiego z dn. 3 listopada t. r., stawił się Berek do pierwszego pułku strzelców konnych. Był pod Tczewem, przy oblężeniu Gdańska, pod Friedlandem. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego, Joselewicz, ozdobiony krzyżem legii honorowej i *virtuti militari*, został szefem szwadronu w tym samym pułku strzelców konnych z pensją roczną 6837 złp. Na tem stanowisku zdobywa powszechną sympatyę zarówno swych zwierzchników i towarzyszków broni, jakoteż szerszych kół społeczeństwa; wkrótce też dostępuje wielkiego naówczas zaszczytu—zostaje przyjęty do loży wolnomularskiej p. n. „Bracia Polacy zjednoczeni“ i to w charakterze „brata stopnia wyższego.“

Niedługo wszakże danem było Berkowi cieszyć się zasłużonym wypoczynkiem i szczęściem rodzinnem. Wybuch kampanii austriacko-francuskiej 1809 r. powołuje go do służby czynnej, tym razem już dla niego ostatecznej. Walczy ze swym pułkiem pod Grzybowem i Ostrówkiem. Piątego maja 1809 r. pod Kockiem uwikłał się w potyczkę z oddziałem pierwszego pułku huzarów

cesarskich z komendy hr. Magyi. Po zaciętej, prawdziwie bohaterskiej walce, osaczony ze wszystkich stron, zginął z garstką wiernych towarzyszy. Lud okoliczny zabrał zwłoki Joselewicza, usypał mu własnymi rękami kopiec i utrwalił pamięć bohatera w piosnce: „W tym wypadku huncwockim zginął Berek pod Kockiem.“ Hołd ceniom Joselewicza oddało warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk na posiedzeniu 22 grudnia 1809 r. przez usta prezesa Rady Stanu, Stanisława hr. Potockiego.

Syn poległego pod Kockiem wojownika, Józef Berkowicz (urodzony w r. 1789 na Pradze) poszedł w ślady ojca. Przeniknięty od najmłodszych lat najlepszą tradycją rodzinną, wcześniej sposobił się do służby krajowej. W r. 1809 zaciągnął się do trzy nastego pułku „huzarów srebrnych“ Tolińskiego. W r. 1812 bił się pod Mirem, Możajskiem, Czarykowem. Z pól bitewnych wyniósł szesnaście ran, dwa krzyże i rangę podoficera. Po klęsce Napoleona i kampanii 1813 r. wszedł do służby Królestwa Polskiego do drugiego regimentu ułanów brygady generała Weysenhoffa; wszakże niebawem podał się do dymisyi i zawdzięczając poparcie Stanisława Potockiego otrzymał posadę podleśnego w dobrach narodowych.

Nowe stanowisko przyniosło Berkowiczowi gorzkie zawody. Pozostawał w ustawicznych zatargach z władzą, otoczony był siecią intryg i podejrzeń. Ten okres w życiu syna Joselewicza nie jest dostatecznie wyjaśniony. W każdym razie tamte niewyraźne sprawy w znacznym stopniu przyczyniły się do zwicnięcia planów Berkowicza podczas rewolucyi listopadowej. Projektował on za przykładem ojca, utworzenie pułku piechoty i jazdy wyłącznie żydowskiej, wniósł nawet odpowiednie podanie do Chłopickiego i ogłosił szumną odezwę do współwyznawców; starania wszakże Berkowicza nie doznały poparcia ani wśród jego współwyznawców, oskarżających Józefa o roztrwonienie funduszów publicznych, ani wśród sfer rządowych. Ustawa sejmowa z 31 maja 1831 r. wyłączyła starozakonnych od ogólnej konskrypcyi, obciążyła ich natomiast w czwórnasób zwiększonym podatkiem oraz obowiązkiem ponoszenia narówni z pozostałą ludnością innych ciężarów wojskowych.

Berkowicz, zniechęcony niepowodzeniami, wstąpił z synem swoim Leonem, podporucznikiem, do legii litewskiej; w randze majora odbył kampanię litewską Samuela Różyckiego, brał udział w bitwie pod Hżą. Wreszcie razem z Różyckim przeszedł kordon austriacki, przez pewien czas był więziony, doczekawszy się amnestyi z Wiednia, udał się wraz z synem na tułaczkę emigra-



cyjną do Francji. Osiadł w Besançon, następnie w Bergerac; los i tu nie szczędził mu gorzkich zawodów i dotkliwych ciosów moralnych. W chęci uczczenia pamięci ojca oraz obudzenia sympatii dla pokonanego narodu, napisał Berkowicz nowelę p. t. „Stanisław, ułan polski w świecie Napoleona na wyspie Elbie,“ kładąc, jako motto na czele jednego z rozdziałów, słowa Béranger'a: „Si j'étais un jour, un seul jour, le dieu que la Pologne implore...“ Opowieść o „Stanisławie“ wydana została po angielsku w Londynie r. 1846. Józef Berkowicz zmarł w tymże roku, w Liverpoolu. Pozostała po nim wdowa utrzymywała się w Paryżu z ofiar dobroczynnych osób, dwaj synowie, Józef i Leon, wyjechali do Ameryki i ślad po nich zaginął.<sup>1)</sup>

Książka p. Łunińskiego jest cennym przyczynkiem do naszych dziejów porozbiorowych, zarówno ze względu na osobę Berka Joselewicza i jego syna, jakoteż z uwagi na podniesienie w wykładzie autora i nader trafne scharakteryzowanie jednej z kart historii sprawy żydowskiej w Polsce. Dla pełności obrazu należało jednak bliżej omówić kwestyę żydowską w dobie Sejmu Wielkiego, zwłaszcza z większym podnieść naciskiem ujawnione podówczas głosy świątłych obywateli, którzy w duchu najczystszych zasad tolerancji oraz przewidującego rozumu stanu zapartywali się na sprawę żydowską.

W przedstawieniu stosunków za Królestwa pożądanem byłoby wykazanie tych szykan i prześladowań, jakim Żydzi podlegali ze strony Nowosilcowa i W. Ks. Konstantego (W. Ks. Konstanty zwykł, jak wiadomo, mawiać, że dwojaki gatunek ludzi ma w szczególnem obrzydzeniu: Żydów i uczonych).

W liczbie głosów przychylnych dla emancypacji Izraelitów niepodobna pominąć świątłych słów księcia Adama Czartoryskiego, który na progu Królestwa, w grudniu 1815 r., taką między innymi wypowiedział opinię: „Między licznymi czynnościami nowego rządu w celu polepszenia teraz i nadal stanu kraju przedsiębranemi, urządzenie Żydów, dla swojej ważności, jedno z miejsc pierwszych zajmować powinno. Ludzkość, słuszność, słowa i duch konstytucyi, roztropność nareszcie radzą odnienić stan terazniejszy poniżenia tego licznego i sposobnego narodu, — oddalić przyczyny reakcyi, która się wszędzie i ciągle ze szkodą stron oby-

<sup>1)</sup> „Almanach historique ou Souvenir de l'émigration polonaise“ wyd. przez T. Krosnowskiego w Paryżu 1846 r. podaje Londyn, jako miejsce zamieszkania Berkowiczów, Leona i Józefa.

dwóch czuć daje, i postawić klasę tę poddanych Królestwa, która się dotąd w kulturze za innemi została, w możności postępowania przez coraz lepszą obyczajność i dobry byt ku szczęściu, a tem samem wzniecić w niej duch obywatelstwa i przywiązać do kraju, który wtedy ich także ojczyzną się stanie..." („Expedycya X-a Czartoryskiego wojew. do Komisji urzędzenia włościan i Żydów, 1 grudnia 1815 r." Arch. X. X. Czart., por. Askenazy, Założenie Królestwa Polskiego „Tygodnik Ilustrowany" 1906 r. № 21 i 22). W tym samym przychylnym duchu oświadczał się ówczesny tymczasowy minister spraw wewnętrznych Sobolewski, były minister sprawiedliwości Łubieński i inni.

Te światłe głosy obywatelskie rozchodzą się szerszem echem po kraju, powstaje nader liczna literatura publicystyczna w kwestyi żydowskiej, hasła reformy docierają aż na Litwę, budząc wśród żywiołów bardziej postępowych, zwłaszcza w łonie filomackiej młodzieży wileńskiej, szczerze pragnienie zmiany nienormalnych stosunków w tej tak ważnej i doniosłej sprawie społecznej.

Powyższe, nawiasowo tylko na tem miejscu zaznaczone uzupełnienia cennej pracy p. Łunińskiego, należałoby, zdaniem naszym, rozwinąć szczegółowiej w następnych wydaniach tej książki, niepozabawionej, obok wartości naukowej, również głębszego znaczenia aktualnego.

H. M.

---

*Kościół zamkowy, czyli katedra wileńska, w jej dziejowym, liturgicznym, architektonicznym i ekonomicznym rozwoju. Na podstawie aktów kapitulnych i dokumentów historycznych opracował ks. Jan Kurzewski. Wilno 1908. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego.*

Kapituła wileńska posiadała już w swem gronie paru mężów takich, jak ks. Bohusz w końcu wieku XVIII-go, jak ks. Herbut w latach trzydziestych zeszłego stulecia, którzy pracowali gorliwie w kapitulnem archiwum, przygotowywali sumaryusze i wyciągi dawnych aktów, przygotowując materiały dla przyszłego dziejopisa kościoła katolickiego na Litwie. Takiego właśnie dziejopisa w osobie pralata Kurzewskiego posiadała obecnie starożytna wileńska katedra. W jasnej, interesującej formie skreślił cziogodny ksiądz nietylko dzieje samej katedry, zbudowanej w r. 1387 w murach dawnej świątyni przez Władysława Jagiellę, następnie kilkakrotnie spalonej i odnawianej w coraz piękniejszej formie,



ale odmalował równocześnie dzieje kapituły, opisał jej stosunek do władzy biskupiej, jej pogląd na walkę z protestantyzmem, prowadzoną pod kierunkiem Jezuitów, jej usiłowania utrzymania kościoła w pierwotnej świetności i t. d. Historia katedry i kapituły, tak świetna za czasów Witolda i Jagiełły, kończy się martyrologią wieku ubiegłego. Krótkie życiorysy biskupów wileńskich, dalej spis wszystkich sufraganów i członków kapituły jest pożytecznym dopełnieniem dzieła. Podnieść należy, że czcigodny autor, odmalowując dzieje kapituły, stara się być bezstronnym sędzią sprawiedliwym, zarówno dla obrońców kościoła katolickiego, jak i dla jego faktycznych czy to rzekomych wrogów. Jeżeli gdzie obiektywizm nie bardzo dopisał autorowi, to przy odmalowywaniu roli wszechcniicy wileńskiej, z której znaczenia kulturalnego w w. XIX nie zdaje sobie autor dostatecznie sprawy. Pod względem zewnętrznym wydawnictwo ks. Kurczewskiego prezentuje się nad wyraz pomyślnie, prawdziwą chlubę przynosząc starej i zasłużonej drukarni Zawadzkiej. Bardzo dobrze przedstawia się 5 wizerunków katedry z lat 1387, 1407, 1538 i 1632, wreszcie w postaci, jaką posiada obecnie. Szkoda tylko, że autor nie wskazał, skąd zaczerpnął cztery pierwsze rysunki. Historyk musi jeszcze zrobić ks. Kurczewskiemu jedną uwagę: rzecz, oparta na tak ciekawym źródłowym materiale, zawierająca tyle danych do dziejów kościoła na Litwie i do życia całego szeregu historycznych osobistości, powinna stanowczo posiadać indeks rzeczowy i osobowy. Smutne refleksje wzbudzić musi wzmianka, jaką czyni ks. Kurczewski w końcu swego dzieła o losach archiwum kapitulnego. Okazuje się, że „archiwum strzeżone było we wzorowym porządku do połowy XIX wieku,“ ale po śmierci ks. Herberta w roku 1873 „wielka część archiwum musiała rozplynać się po rękach plagi archiwalnej tak zwanych antykwaryuszów.“ Jeżeli tyle wieków w spokoju pozostające archiwum *wileńskie* uległo w ostatnich czasach takiemu przetrzebieniu, to co stać się musiało z archiwami prowincjonalnych dziekanów i proboszczów, które przecież nie pozostawały pod nadzorem tak świątłych kierowników, jak członkowie kapituły wileńskiej.

Mamy nadzieję, że dzieło ks. Kurczewskiego, obok innych korzyści, mieć będzie i tę, że zwróci uwagę naszego duchowieństwa na archiwa kościelne, na ich smutne losy i straty, jakie stąd odnosi kościół, i może nauczy cenić wiejskie duchowieństwo pomniki przeszłości.

I. BARANOWSKI.

KONSTANCYA SKIRMUNT. *Nad Niemnem i nad Bałtykiem. Zeszyt III. „Mindog, król Litwy.“* Warszawa 1909.

P. Skirmunt należy do nielicznych jeszcze u nas kobiet, pracujących poważnie nad historią. W wydawanych przez siebie dziejach Litwy, noszących ogólny tytuł „Nad Niemnem i nad Bałtykiem,“ autorka nie ogranicza się tylko do robienia kompilacyj z prac swych poprzedników, lecz sama pracuje nad źródłami. Ta źródłowość właśnie stanowi największą zaletę i zeszytu III, poświęconego Mindogowi, który świeżo wyszedł z druku. Zbyt nie może idealizowanie bohatera Litwy nie zmniejsza wartości dziełka p. Skirmunt, napisanego jasno i poprawnie. Czytająca publiczność polska, która nieposiadała dotąd żadnej dostępnej i nieprzestarzałej historii Litwy, z niecierpliwością zapewne czeka ukazania się następnych zeszytów „Nad Niemnem i nad Bałtykiem,“ w których, mamy nadzieję, autorka zechce uwzględnić i wewnętrzne dzieje Wielkiego Księstwa, tak świetnie opracowane przez młodszych historyków.

I. B.

---

*Archiw Jugo-Zapadnoj Rossii. Część III, t. IV: Akty Szwedzkiego Gosud. Archiwa odnosziaszczijesia k istorii Malorossii 1649 — 1660.* Kijów 1909.

Archiwum państwowe w Sztokholmie zawiera nadzwyczaj cenny materiał do dziejów Polski w wieku XVII. Składa się on z dokumentów, które Karol Gustaw wywiózł z polskich archiwów i nie zwrócił wbrew Oliwskiemu traktatowi, dalej z korespondencji dyplomatycznej, prowadzonej z Polską i z innymi państwami, jak Siedmiogród, Moskwa, wreszcie kozaczyzna w sprawie polskiej. Już przed 12-u laty zmarły niedawno we Lwowie Aleksander Hirschberg ogłosił swoje spostrzeżenia o archiwum Sztokholmskiem (Z wycieczki naukowej do Szwecyi, Lwów 1896 r.), zwrócili na niego uwagę i uczeni rosyjscy, zwłaszcza zaś kijowska archeograficzna komisya, której delegat Monczałowski zebrał w nim cały tom pierwszorzędnej wagi dokumentów, odnoszących się do sprawy Chmielnickiego i Wyhowskiego, a zatem mających pierwszorzędne znaczenie dla naszych badaczy.

Wśród 128 zebranych przez Monczałowskiego dokumentów znajdziemy szereg aktów, rzucających nowe światło na politykę polską Szwecyi, która już od czasów Gustawa Adolfa usiłuje wejść



w stosunki z kozaczną, oczywiście na szkodę Polski. Nadzwyczaj charakterystyczny jest dokument, w którym Karol Gustaw zobowiązuje się nie pustoszyć okolic, które, w razie upadku Polski, dostałyby się Chmielnickiemu. Ważne znaczenie mają dalej listy Janusza Radziwiłła, bardzo go obciążające, równie jak akty, wyświetlające zdradę Radziejowskiego, podkomorzego Niemirycza i t. d. Nie bez znaczenia jest i dziennik podróży agenta szwedzkiego Jana Majera z roku 1651. Zbiór dokumentów poprzedzony jest rozprawką zmarłego Monczałowskiego, w której doprowadza dzieje stosunków dyplomatycznych kozaczyzny do r. 1650. Kijowska komisya archeograficzna, wbrew możej intencyom, oddała nową usługę polskiej nauce.

I. B.

# Ś. p. Władysław Bogusławski.

Z uczuciem najgłębszego żalu i przygnębienia przychodzi nam zapisać to nazwisko na liście zmarłych, a jakkolwiek śmierć nieubłagana od kilku miesięcy czychała u łóża Władysława Bogusławskiego, jakkolwiek nie było nadziei uratowania go z choroby nieuleczalnej i przedłużenia tego życia, tak drogiego i pożądanego dla wszystkich, którzy go znali, czcili i kochali — wiadomość o jego zgonie spadła, jak cios niespodziany na serca jego przyjaciół, wielbicieli i towarzyszy pracy, a bolesnem echem odbiła się w szerokich sferach czytelniczych, artystycznych i literackich.

W ostatniej chwili, kiedy prawie niniejszy zeszyt „Biblioteki Warszawskiej“ wychodzi z druku, mamy do spełnienia ten opłakany obowiązek, by chociaż dorywczo z konieczności i krótko zanotować bolesną i niepowetowaną stratę, jaką piśmiennictwo, społeczeństwo, zasłużony ród Bogusławskich, redakeya „Biblioteki,“ scena i sztuka polska ponoszą.

W początkach roku zeszłego, gdy kończył lat siedmdziesiąt, wyprawiono mu uroczyste święto jubileuszowe i oddawano publicznie należną cześć, składano zasłużone hołdy, jako pisarzowi i człowiekowi, winszowano i życzo no złotych godów z literaturą.

Zdawało się wówczas młodszym od niego, że czują się starsi w porównaniu z tym jubilatem, przypruszonym wprawdzie szronem życia, ale trzymającym się jeszcze tak krzepko i rześwo, posiadającym tyle świeżości umysłu i serca, tyle młodzieńczego blasku w rozumnych oczach, tyle słodkiego uśmiechu na ustach, a ty-



le ochoty, gotowości i siły do pracy znużonej, wytrwałej i systematycznej.

Zdawało się, że przeżyje i przepracuje wielu innych, wśród których z wieku mu i z urzędu należał się tytuł Nestora naszej krytyki.

Tymczasem utajona choroba z początku nieznacznie, z niewinnymi pozorami wszczepiała jad śmierci w ten organizm dobrze zakonserwowany i, jak się zdawało, bardzo odporny; niedyspozycja gardła przybierała cechy dolegliwości przejściowych na tle nerwowem, a niestety była zapowiedzią formującego się nowotworu złośliwej natury, który przeszkadzał choremu łykać swobodnie, odżywiać się i zmuszał do zagłodzenia organizmu, wycieńczając go z dniem każdym coraz bardziej.

Ostatnich kilka miesięcy strasznej egzystencji przeżył ś. p. Bogusławski w Tantalowych męczarniach, przy całej przytomności aż do zgonu, z całą świadomością swojego beznadziejnego stanu i bezskutecznych wysiłków sztuki lekarskiej, aby mu ulżyć i ułatwić przynajmniej połykanie płynnych pokarmów.

Okrutna choroba, jak hydra krwiożercza wysysała z niego wszystkie soki żywotne i kazała mu zamierać z dnia na dzień, z godziny na godzinę...

Bez ratunku, bez chwilowej nawet ulgi.

I wtedy, w tych okropnych przejściach, któreby musiały złamać i zmiażdżyć olbrzymią nawet energię, w tem wątem, znikającym niemal w oczach ciele sędziwego starca, na niechybną śmierć skazanego, objawił się wielki, szlachetny, wysoki duch filozofa, ulegającego brutalnym prawom natury ze spokojem mędrca, z cierpliwością męczennika, bez szemrania, bez skargi, bez protestu...

Z jakimś istotnem bohaterstwem spoglądał w oczy śmierci odważnie, z rezygnacją myśliciela i chrześcijanina, pogodzony z losem tak samo, jak w latach swojej wczesnej młodości pełen sił i życia, w więzieniu, przyjmował wydany nań wyrok, skazujący go za udział w organizacji powstania 1863-go roku na śmierć haniebną przez powieszenie.

Tylko że wówczas pozostawała mu jeszcze słaba nadzieja ratunku i ulaskawienia, które nadeszło w porę i skazańca wysłało na Sybir do ciężkich robót w Ussulu, a potem na osiedlenie w Irkucku; — teraz, niestety, żaden cud nie mógł go już od śmierci wybawić i po sześciotygodniowym pobycie w lecznicy d-ra Solmana, nad ranem dnia 18-go t. m. skończyła się jego tortura — przestał cierpieć.

Liczny tłum żałobników odprowadził jego zwłoki do grobu rodzinnego na Powązkach, gdzie spoczęły niegdyś śmiertelne szczątki dziada Wojciecha, twórcy sceny polskiej, ojca Stanisława, żołnierza, artysty i pisarza — czcigodnych przodków, w których ślady wstępował nieodrodny z ich krwi i ducha potomek...

Ani czas, ani miejsce nie pozwala nam w tym zeszycie już oddać należytego hołdu pamięci jednego z najświetniejszych, najczystszych „rycerzy ducha“ w naszym piśmiennictwie; jako pisarz, krytyk, znawca literatury i sztuki dramatycznej, jako jedyny w swoim rodzaju „essayista“ teatralny, jako jeden niegdyś z filarów prasy warszawskiej, a w ostatnich dziewięciu latach współredaktor „Biblioteki Warszawskiej,“ zasługuje ś. p. Władysław Bogusławski na obszerną, gruntowną i sprawiedliwą ocenę swej półwiekowej prawie działalności literackiej, której znaczenie i wpływ nadawały mu za życia i nadają po śmierci prawo do trwalszej pamięci i uznania.

Z natury swego zajęcia i obowiązków publicystycznych, pracując głównie w pismach peryodycznych, codziennych i tygodniowych, całą swoją puściznę duchową zostawił w rocznikach wydawnictw takich, jak dawna *Gazeta Polska*, *Kuryer Warszawski*, *Kuryer Codzienny*, *Wieniec*, *Tygodnik Ilustrowany* i *Biblioteka Warszawska*.

Zakrawa to jakby na ironię losu, że pisarz tak wyjątkowo pracowity i płodny, taki gorliwy i sumienny strażnik na wydanej placówce krytyki literackiej, taki wytworny esteta i przez pół wieku czujny badacz, głęboki znawca sceny, sztuki, twórczości dramatycznej u nas i zagranicą pozostawia po sobie w osobnem wydaniu tylko jeden jedyny tomik niepospolitego w swoim rodzaju studyum o teatrze warszawskim p. t. „Siły i środki naszej sceny.“

Wszystko inne, chociaż od dawna dopraszało się o przebrakowanie, przejrzenie, wydobycie z foliałów dziennikarskiej bibuły, zalegającej już tylko półki bibliotek i zbiorów prywatnych, po zebraniu zaś o uprzystępnienie w książkowym wydaniu miłośnikom sceny i literatury; wszystko inne w owych tysięcznych recenzjach, przeglądach, felietonach teatralnych i muzycznych, w owych artykułach i studyach, stanowiących nieoceniony materiał i przyczynek do przyszłej historii teatru, repertuaru, talentów aktorskich, rozwoju i kierunków ideowych naszej twórczości dramatycznej, legło odłogiem i przez długie dziesiątki lat dwóm ostatnim pokoleniom pozostało zupełnie niedostępnem.



Taki to już los pisarzy, związanych z konieczności z chwilą bieżącą, oddanych na ofiarę dziennikarskiemu Molochowi, rozsypanych często całe sznury pereł i bicze koralu po niewdzięcznych łamach wydawnictw peryodycznych, zwłaszcza u nas, gdzie się przywykło żyć z dnia na dzień i poddawać niewolniczo nowym wrażeniom, szukając zachłannie nowych dreszczów, nowych bogów i nowych sensacyj.

Z takich umysłów, z takich erudytów, z takich talentów pisarskich, a zwłaszcza z takich pisarskich charakterów mają słuszną chlubę i cześć piśmiennictwa innych społeczeństw, bardziej od naszego kulturalnych. We Francji, w Anglii lub w Niemczech nie pozwolonoby przez całe dziesiątki lat zatapiać krytykowi i pisarzowi tej miary, co ś. p. Bogusławski, jego poważnej, płodnej pracy w rocznikach dziennikarskich; wydawcy dobijaliby się o zaszczyt wydania jego „essays“ w osobnych zbiorach, a publiczność rozrywałaby je i wśród prawdziwych miłośników teatru uchodziłoby za Ewangelię w rzeczach sceny i sztuki.

U nas, niestety, traktuje się je, jako efemerydy, mniej lub więcej w danej chwili poczytne, bez względu na to, ile znawstwa, pracy, studyów, krytycznego zmysłu i stylistycznej świetności posiadać w sobie mogą.

Nad grobem Bogusławskiego, p. Józef Kotarbiński swą piękną mowę pogrzebową zakończył temi trafnymi słowy: „Dzisiaj, gdy drużyna przyjaciół i wielbicieli żegna go na tym cmentarzu, widzimy w marzeniu kupiącą się koło tej trumny gromadę duchów tych, którzy pracowali na cześć i chwałę sceny naszej. Cienie Bogusławskich, i dziada, i ojca, Dmuszewskich, Halpertowej, Werowskiego, Ledóchowskiej, Komorowskiego, Jasińskiego, Bakałowiczowej, Królikowskiego, Panczykowskiego i Żółkowskiego są nam w tej chwili przytomne i przyjmują na cichy spoczynek w ziemi rodzinnej tego sędziwego krytyka, który do kilku pokoleń przemawiał z powagą mędrca, zapalem apostoła i namaszczeniem kapłana.“

Trudnoby było treściwiej a równie sprawiedliwie określić charakter pisarski Bogusławskiego; była w nim istotnie natura mędrca, apostoła i kapłana, która przebijiała się w jego pracy, działalności, usposobieniu, w traktowaniu zawodu krytyka i publicysty.

Atawistyczne zamiłowanie do teatru i sztuki dramatycznej sprawiło, iż Bogusławski, którego wiedza, wykształcenie, talent mogły starczyć na o wiele szerszą skalę twórczości i pracy literackiej, zamknął się—rzec można—wyłącznie w tej jednej specjal-

ności krytyki teatralnej i poświęcił się jej głównie z głębokiem przejęciem i zapałem podziwu godnym.

Ale też w tym kierunku i rodzaju doprowadził do mistrzostwa.

Znawca gruntowny, esteta wytworny, stylista subtelny i przebarwny, tworzył niekiedy istne arcydzieła pod względem formy i treści, oraz metody krytycznej w swych sprawozdaniach, studyach i przeglądach teatralnych. Gorące, szczere, głębokie ukochanie przedmiotu przenikało każdy jego artykuł, pisany jakby krwią serdeczną, natchniony wysoką czcią dla ideału sztuki, której szlachetne cele, dobro i wpływ miał zawsze na oku.

Może za szeroką skalę przykładał do tej sztuki, może przeceniał wartość i znaczenie sceny, ale w tem pojęciu, jakie sobie o nich wyrobił, tkwiło zarazem usprawiedliwienie dla „starego romantyka,“ jak siebie sam chętnie nazywał i rozgrzeszało jego idealizm krytyczny.

Teatr był dla niego świątynią, a u ołtarza sztuki chciał widzieć wiecznie płonący Znicz poezyi, piękna i ideału, przed którym i kapłani, i rzesze wiernych z nabożnym kultem głowy skłaniać mają, aby otrzymać błogosławieństwo bogini.

Stąd też tak wysokie miał pojęcie o prawdziwym artyzmie, a tak zawziętym był przeciwnikiem wszelkiego kabotynizmu, fałszywej pozy i udawania.

W szerokiej syntezie starał się zawsze zagarniać wszystkie główne rdzenne czynniki społeczne, psychologiczne i estetyczne, które się na daną twórczość składały i uważał, że skoro sztuka jest kwiatem na drzewie ludzkości, to powinien ten kwiat odżywiać się temi samemi sokami, które krążą w jego pniu i konarach; szukał zawsze pewnej łączności duchowej i indywidualnej pomiędzy nią a społeczeństwem i Polak do szpiku kości, pragnął gorąco, aby swojska twórczość, swojska poezya i sztuka, poza ogólnoludzkimi pierwiastkami miały też wydatne cechy narodowe.

Pomimo późnego wieku, nie utracił młodzieńczej niemal wrażliwości umysłu, który nie zasklepiął się w granicach dawno wyrobionych pojęć, zapatrywań i upodobań; umiał z młodymi naprzód iść, nie uprzedzając się do żadnych nowych kierunków i rodzajów, od których wymagał tylko jednego, aby je reprezentował i prowadził rzeczywisty, prawdziwy talent, zdający sobie jasno sprawę z tego, czego chce, do czego dąży i umiejący się wyraźnie, zrozumiale, śmiało i szczerze wypowiedzieć.

Wszelkie mgliste bałamuctwa, wszelkie nadużycia hasel czystej poezyi i sztuki, wszelką chaotyczność ideową i myślową, obu-



lającą prawa logiki i zdrowego rozsądku, płodząca dziwolągi pod względem duchowym, a dziwaczne pokraki pod względem formy, przyjmował z uśmiechem politowania, jako objaw nieudolności lub chorobliwych wysiłków nowatorskich i nie imponowały mu chwilowe tryumfy fałszywych proroków, apostołów estetycznego przewrotu, heroldów krzykliwych hasła anarchizmu myślowego.

Wiedział, że prędzej czy później spłynie ta spieniona fala powodzi, a gdy nurt się pogłębi i koryto oczyści, źródła prawdziwej poezji zasila je znowu kryształowym żywiołem, którym po wieki dusze ludzkie poić i rzeźwić się będą.

Przez cały ciąg swego publicznego żywota i pisarskiej służby, pełnił obowiązek literata, publicysty i krytyka przedewszystkiem z poczuciem wielkiej moralnej odpowiedzialności wobec współczesnych i potomnych, licząc się zawsze i wszędzie z powagą drukowanego słowa; umiał zachować nieskazitelną czystość swej senatorskiej togi na forum i z dostojnością duchowego patrycyusza unikał szarego tłumu, wśród którego nigdy o poklask i wziętość się nie ubiegał.

Służył tylko z istic kapłańskim namaszczeniem temu jednemu bóstwu, które stało wśród ołtarzy prawdy i piękna.

Otaczała go cześć i uznanie za życia, bo długo i wytrwale na nie pracował; miał głos decydujący sędziego, który przez całe lat dziesiątki wydawał krytyczne wyroki o ludziach i rzeczach w dziedzinie sztuki, twórczości i artyzmu, wyroki często surowe, ale zawsze sprawiedliwe i rozumnie umotywowane; należał też do tej niewielkiej liczby wybranych, którymi społeczeństwo i piśmiennictwo nasze mogło się chlubić nietylko u siebie, ale i wobec obcych, — do wybranych, których nigdy łatwo zastąpić nie można, a czasami wcale zastąpić niepodobna.

Dlatego też strata, poniesiona dla literatury, sceny i krytyki polskiej przez śmierć ś. p. Władysława Bogusławskiego jest niepowetowaną.

M. G.

# Kronika miesięczna.

---

Zjazd lekarzy-internistów polskich w Krakowie i Muzeum historii medycyny polskiej. — Ofiara na rzecz Instytutu nauk doświadczalnych w Warszawie. — Walka z miastem współczesnem i jej odgłosy u nas. — Lektorat języka polskiego w Uniw. Warszawskim — Głos Sienkiewicza nad trumną Modrzejewskiej

Zjazdy lekarskie u nas posiadają nietylko znaczenie naukowe i zawodowe, ale mają nadto charakter społeczny i narodowy, gdyż zadaniem ich nie jest wyłącznie uwidocznienie poziomu wiedzy lekarskiej w danym momencie, ale jednocześnie — zobrazowanie stosunków zdrowotnych w społeczeństwie, zwłaszcza tam, gdzie odpowiednie czynniki nie czuwają nad ich uregulowaniem i lekarze muszą nieustannie nawoływać rząd i społeczeństwo do poprawy w kraju warunków sanitarnych. Obok tego na zjazdach lekarskich spoczywa ważny obowiązek urabiania polskiego języka lekarskiego, baczenia nad jego jednolitością we wszystkich dzielnicach i dążenia do wytworzenia samodzielnej myśli naukowej polskiej.

Z tych względów I Zjazd lekarzy-internistów, który obradował w Krakowie w dn. 19—21 lipca r. b., obchodzi nietylko samych lekarzy, ale i nas wszystkich, którzy interesujemy się całokształtem życia polskiego.

Myśl zwołania tego Zjazdu wyłoniła się w r. 1907 na ówczesnym Zjeździe przyrodników i lekarzy i myśl ta, dzięki zabiegom Komitetu organizacyjnego, szczęśliwie urzeczywistnioną została.

Początkowo były obawy, iż chwila obecna nie zapewni Zjazdowi w dostatecznej ilości materiału naukowego, iż lekarze polscy, mimo iż jest ich z górą 3,000, nie będą mieli możności przygoto-



wania dla Zjazdu specjalnych prac i referatów, zwłaszcza w Królestwie, gdzie atmosfera życia ogólnego bynajmniej nie sprzyja jeszcze spokojnej pracy naukowej, nadto utrudnionej u nas przez brak odpowiednich instytucyj naukowych więcej, niż gdziekolwiek indziej.

W największej dzielnicy Polski — mówił z ubolewaniem, otwierając zjazd, prof. Jaworski — nauka uniwersytecka leży odłogiem, a nieliczne prywatne zakłady lekarskie stoją tylko ofiarnością i poświęceniem poszczególnych jednostek i walczą z niedostakiem materjalnym. Podobnie niekorzystnie przedstawiają się stosunki w dzielnicy poznańskiej. Nieco lepiej jest w Galicyi, ale i tu stosunki dalekie są jeszcze od ideału. Władze autonomiczne krajowe zakładają wprawdzie obecnie szpitale i myślą więcej o ich uposażeniu, ale postęp i kierunek naukowy bywa w nich trwale pomijany. Nieliczne zaś prywatne zakłady lecznicze wcale na tę stronę uwagi nie zwracają. Pozostają więc ostatecznie, jako warsztaty, odpowiadające potrzebom i wymaganiom pracy naukowej, tylko dwie kliniki uniwersyteckie, w Krakowie i Lwowie. I one jednak muszą przedewszystkiem zwracać uwagę na stronę dydaktyczną, gdyż wykształcenie dzielnych lekarzy-praktyków jest najważniejszą potrzebą dla społeczeństwa.

Zastanowić się dalej trzeba i nad tem, że w naszych stosunkach społecznych zawód lekarski obiera sobie przeważnie młodzież mniej zamożna, która musi szukać na tej drodze przedewszystkiem zabezpieczenia sobie bytu, że więc materjalnie niezawisłych pracowników naukowych wydaje społeczeństwo nasze dotychczas jeszcze liczbę bardzo niewielką.

Zresztą dwa warsztaty naukowe na 20 milionowy naród — to stanowczo zamało i w takich warunkach postęp naukowy istotnie jest b. trudny.

A przecież mimo tych ujemnych warunków i mimo wyraźnych pierwotnie obaw — i uczestnictwo w Zjeździe, i program jego okazały się zupełnie na poziomie zadań i celów Zjazdu. Wśród wygłoszonych referatów znalazły się wszystkie najważniejsze zagadnienia, jakie dziś narzucają się umysłom badaczy w najważniejszych ogniskach nauki. Ze spraw społecznych poruszono niezwykle doniosłą sprawę walki z klęską gruźlicy, która szerzy się obecnie gwałtownie wśród warstw ubogich w miastach, a jednocześnie coraz częściej daje także o sobie znać i po wsiach. Nadto zastanawiano się nad sposobami zapobieżenia rozwieleniu bezwartościowych leków i szalbierstwa na tem polu, co wyrządza ogromną szkodę i społeczeństwu, zbyt łatwowiernemu w stosunku do głośno reklamowanych środków, i lekarzom.

Ogólne wyniki Zjazdu, których tu oczywiście przedstawiać nie możemy, stwierdziły, iż wiedza lekarska polska posuwa się naprzód, iż wyteęza wszystkie siły swoje, aby dorównać kroku postępowi europejskiemu i jeżeli niema jeszcze warunków po temu, aby wносиła do nauki rzeczy nowe, wprowadzające medycynę na tory nieznanne, to jednak stara się przyswajać sobie niezwłocznie najwybitniejsze zdobycze, osiągnięte przez innych i nie pozostaje w tyle za Zachodem.

Polski świat lekarski troszczy się też nieustannie o zdobywanie w miarę możności coraz to nowych, choćby na razie skromnych i placówek pracy naukowej.

W tym celu Wydział lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie powziął myśl założenia *Muzeum historycznego medycyny polskiej*. W muzeum tem mają się gromadzić przedmioty, dotyczące nauki i zawodu lekarskiego, farmaceutycznego i aptekarskiego z krajów polskich od najdawniejszych czasów aż do obecnej doby. Instytucya taka da obraz rozwoju medycyny polskiej, jej wpływu na społeczeństwo, zachowa dzieła i pomysły byłych i obecnych pracowników dla przyszłych pokoleń i będzie podstawą i zachętą dla przyszłych badaczy na polu medycyny polskiej.

Wprawdzie istnieją u nas księgozbiory lekarskie, lecz te przechowują tylko książki i to przeważnie dotyczące wykonawstwa lekarskiego. Istnieje jednak nadto wiele jeszcze przedmiotów w zawodzie lekarskim, których biblioteki nie przyjmują, a które dla historii rozwoju medycyny posiadają wielką wartość. Przedmioty takie po zgonie lekarza pozostają najczęściej w rodzinach bez użytku, narażone na zniszczenie, tułają się po strychach i składach. Najmniejszy nieraz przedmiot, dziś uważany za nieznaczący, może nabrać w przyszłości znacznej wartości historycznej, nawet i ogólnej.

Przedmioty, które Muzeum historyczne z zakresu nauk lekarskich i farmaceutycznych gromadzi, są między innymi następujące:

Dzieła drukowane lub pisane po polsku, albo też w obcym języku, wydane przez autorów polskich, odbitki prac, czasopisma lekarskie i farmaceutyczne, artykuły i wzmianki lekarskie i farmaceutyczne w czasopismach politycznych i innych, rękopisy, statuty Towarzystw lekarskich i aptekarskich, sprawozdania z ich działalności, sprawozdania ze zjazdów lekarskich, odezwy, opisy podróży i wycieczek lekarskich, ogłoszenia, korespondencye, bilety, recepty, świadectwa, dyplomy, adresy, upominki, odznaczenia, or-



dery i medale, plany i opisy szpitali, zakładów leczniczych i zdrojowisk polskich, stare inwentarze, rozporządzenia sanitarne władz, wiadomości o partactwie lekarskiem i t. p. Portrety, sztychy, fotografie pojedyncze i zbiorowe lekarzy i zakładów. Następnie przyrządy i preparaty pomysłu lekarzy, aptekarzy i bandażyistów polskich, rysunki lub modele tych przyrządów, przyrządy, używane przez lekarzy w Polsce w różnych epokach.

Niewątpliwie w kraju naszym, zwłaszcza na odleglejszej prowincyi, znajdują się w posiadaniu rodzin pamiątki, nawet cenne, po lekarzach, pełniących służbę sanitarną w wojsku polskiem w r. 1830/31, jak nominacye, odznaczenia, stany służby, mundury i t. d. Piszącemu te słowa zdarzyło się niegdyś w dzieciństwie oglądać bardzo misterne *étui* z przyrządami do puszczenia krwi, pochodzące z 18-go wieku. Otóż to wszystko są przedmioty znakomicie nadające się do Muzeum historii medycyny polskiej.

Przedmioty takie kierować należy na ręce prof. W. Jaworskiego pod adresem kliniki lekarskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, ul. Kopernika 15.

Nadto Muzeum przyjmuje również przedmioty w depozyt, wydając w takim razie właścicielowi odpowiednie poświadczenie.

\*

\*

\*

Na tle ogólnej obojętności dla spraw nauki polskiej, borykającej się z przeciwnościami, nie znanymi innym społeczeństwom, zarysował się fakt, godny uznania i podkreślenia.

Oto bezimienny ofiarodawca przekazał Warszawskiemu Towarzystwu lekarskiemu 50,000 rb. na zapoczątkowanie funduszu, potrzebnego na założenie w Warszawie przy Towarzystwie lekarskiem oddawna już projektowanego „Instytutu nauk doświadczalnych imienia Marcelego Nenckiego,” znakomitego chemika, którego badania należą do największych zdobyczy chemii lekarskiej czasów ostatnich.

Myśl urządzenia w Warszawie takiej pracowni podjęta była niezwłocznie po śmierci Nenckiego, kiedy grono jego współpracowników i towarzyszy pracy naukowej w ten sposób pragnęło uczcić pamięć zmarłego. Nie pozwoliły jednak na urzeczywistnienie projektu ani ówczesne warunki, ani fundusze, których nie było.

Obecnie dopiero sprawa wchodzi w fazę bardziej konkretną, złożony bowiem fundusz jest już poważnym zawiązkiem kapitału, niezbędnego do wprowadzenia tej pięknej myśli naukowej w czyn, płodny w niewątpliwe następstwa.

Warunki, jakie zastrzegł sobie ofiarodawca, są następujące: Sumę 50,000 rb. w listach zastawnych: 4½% petersbursko-tulskiego Banku Ziemskiego, złożono w Towarzystwie lekarskiem, które już deponowało ją w Banku Handlowym w Warszawie.

Towarzystwo ma obowiązek wzamian za to rozwinąć ze swej strony starania, publikacje i agitacje ku zwiększeniu tej sumy do wysokości, jaka będzie uznana za dostateczną. Zaś uznanie to poruczone jest Komitetowi, złożonemu z dwóch przedstawicieli Tow. lekarskiego, jednej osoby, wybranej przez Komitet Tow. Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem; jednej—przez Komitet Tow. Kredytowego m. Warszawy; jednej—przez Zarząd m. Warszawy, o ile będzie w Warszawie wprowadzony samorząd—i czterech przedstawicieli Towarzystw naukowych lekarskich i przyrodniczych, które to instytucje wybierze Towarzystwo lekarskie. Dalej do Komitetu wejść mają dawni asystenci prof. Marcelego Nenckiego, d-r Nadzieja Sieber i d-r Szymon Dzierzgowski, lub osoby, przez nich wskazane, wreszcie przedstawiciel lub osoby wskazane przez innych przyszłych ofiarodawców. Wreszcie jeden lub dwóch przedstawicieli ze strony osób, które zgłoszą się do Tow. lekarskiego z żądaniem uczestniczenia w pracach Komitetu.

Gdy wreszcie to uznanie nastąpi, Komitet wybierze z łona swego Komisję, która opracuje plan działania i program działalności Instytutu, a po zatwierdzeniu przez Komitet wybrany będzie Zarząd, któremu Towarzystwo przekaże legat 50,000 rb. i wszystkie inne na ten cel do owej pory zebrane fundusze.

Na powiększenie funduszu legataryusz pozostawia 15-letni okres czasu i zastrzega, że w razie, gdyby przez ten czas dostateczna suma zgromadzona nie była, to cały kapitał 50,000 rb. ma być przekazany krakowskiej Akademii Umiejętności z warunkiem, aby odsetki obracane były na dwie corocznie przyznawane nagrody im. Nenckiego za prace z dziedziny nauk doświadczalnych, lub zapomogi na wykonanie prac naukowych z tej dziedziny.

Co się zaś tyczy procentów do czasu utworzenia Instytutu, to ofiarodawca, przeznaczając połowę tych procentów do dyspozycji pani d-r Sieberowej, b. asystentki prof. Nenckiego, drugą poleca używać na zwiększenie środków i rozszerzanie zakresu działalności istniejącej obecnie przy Towarzystwie lekarskiem w Warszawie pracowni biologicznej.



Oprócz tego nieznanymi ofiarodawcami złożony dodatkowo rb. 2,000 do dyspozycji Towarzystwa lekarskiego w Warszawie, z przeznaczeniem na jaknajszysze zaopatrzenie rzeczowej pracowni w przyrządy, aparaty i materiały do prac naukowych, według uznania T-wa.

Towarzystwo lekarskie legat na warunkach powyższych przyjęło, a po uzyskaniu zatwierdzenia ze strony władz, niezwłocznie ma rozpocząć kroki, zmierzające do spopularyzowania idei Instytutu im. Nenckiego w społeczeństwie, które niewątpliwie dołoży starań, aby nawet w ciężkich warunkach obecnych, jeszcze przed upływem terminu 15-letniego, podnieść sumę fundacyjną do wysokości, jaka zostanie przez przyszły Komitet uznana za niezbędną.

\*

\*

\*

W ostatnich czasach, dzięki inicjatywie, jaką dało Warszawskie Towarzystwo higieniczne, prasa polska zajmuje się bardzo gorąco sprawą „miast-ogrodów“, urabia opinię publiczną w kierunku zrozumienia korzyści higienicznych, etycznych i ekonomicznych, płynących z otamowania dzisiejszego rozwoju miast na korzyść więcej oddalonych przedmieść.

Warszawę, jako pozbawioną zupełnie przedmieść w tej postaci, w jakiej posiadają je inne wielkie miasta—bo niepodobna nazwać *przedmieściami* w znaczeniu, jakie wyrazowi temu pragną nadać higieniści, naszych dzielnic zarogatkowych—wszystko to obchodzi blisko.

Szybki wzrost ludności, drożyzna i ciasnota mieszkań, ustawiczna walka lokatora z właścicielem domu i konieczność poddawania się jego wymaganiom, aż nadto dały się we znaki mieszkańcom naszego miasta stołecznego w ciągu ostatnich lat kilkunastu, ażeby nie mieli oni witać z upragnieniem myśli, zmierzającej do wyzwolenia ich z obecnej zależności od spekulującego kapitału. Przeciętnemu bowiem obywatelowi nie trafią nigdy do przekonania teorytyczne uzasadnienia konieczności wzrostu renty gruntowej. Pragnie on przede wszystkim mieszkać taniej i zdrowiej,

niż mieszka i wszystko, co mu do osiągnięcia tego przeszkadza, uważa za wyzysk. To też narzekania na ten wyzysk w ostatnich czasach rozlegają się tak szeroko, że zdaje się nadeszła i u nas chwila, którą hygieniści będą mogli dla swoich celów wyzyskać.

Jakoż, korzystając z tego momentu, rozpoczęła ona b. poważną propagandę.

Mamy właśnie przed sobą dwa zeszyty *Zdrowia*, organu Towarzystwa higienicznego, z gruntowną pracą d-ra Władysława Dobrzyńskiego „O miastach przyszłości“ (Garden cities).

Miasta przyszłości — to miasta-ogrody. Do niedawna były one jeszcze fantazją, dziś, powoli, stają się rzeczywistością w społeczeństwach, które umieją szybko myśleć i pragnienia swoje w czyn wcielać. Przewodzą w tym dziele wielkiej i doniosłej w następstwach swoich reformy życia wielkomiejskiego — oczywiście — Anglia i Ameryka. Heroldem tej sprawy, który zdobył już rozgłos wszechświatowy, jest Ebenezer Howard, Anglik, autor książki p. t. *Garden Cities of to Morrow*, wydanej w r. 1898, a więc zaledwie 10 lat temu.

Wpływ tej książki był wielki, zwłaszcza, iż poparła ją nieznordowana agitacja autora i jego przyjaciół, którzy niezwłocznie zawiązali kooperatywę budowlaną pod nazwą *Garden City Association*.

Towarzystwo to położyło już niemałą zasługę w kierunku postawienia idei reformatorskich Howarda na gruncie praktycznym.

Dzięki odczytom, broszurom, specjalnemu piśmiu i dwóm kongresom, poświęconym tej sprawie, T-wo pozyskało liczny zastęp zwolenników we wszystkich sferach ludności, dotyka ono bowiem interesów warstw zamożnych i niezamożnych w jednakowym stopniu, a przede wszystkim bodaj warstwom niezamożnym otwiera perspektywę lepszej przyszłości. Więc robotnicy, uczeni i artyści zapisali się, jako członkowie czynni nowej kooperatywy obok książąt duchownych i świeckich, wysokich dygnitarzy cywilnych, kupców i przemysłowców.

Z Towarzystwa tego wyłonilo się wkrótce inne, pod nazwą *Garden City Pioneer Company* i, jako jednostka prawna, postawiło sobie za zadanie pozyskać kapitał, potrzebny na kupno gruntu dla przyszłego miasta. W tym celu wypuściło ono udziały 10-cio-rublowe. Subskrypcya poszła nadszpodziewanie szybko, odrazu bowiem podpisano się na 200,000, bez obawy o to, że pierwsza próba może wypaść niepomysłnie i narazić subskrybentów na stratę kapitału.



Po pertraktacjach z przedsiębiorcami i przemysłowcami w roku 1903 nabyto duży obszar ziemi, wynoszący 1,545 ha, w oddaleniu 50 klm. na północ od Londynu. Kapitał kupna wynosił 1½ mil. rubli. Nabyta posiadłość składała się z 3-ch wiosek, z których jedna nazywała się Letchworth i stąd nowe miasto otrzymało swą nazwę.

Spółdzielcze T-wo terenowe przeprowadziło w Letchworth liczne ulice i skanalizowało je. Urządziło również elektrownię, gazownię i wodociągi. Budowę domów pozostawiono inicjatywie prywatnej, organizacyom spółdzielczym i przedsiębiorstwom budowlanym. Towarzystwa kredytowe ułatwiają pożyczki pragnącym wybudować małe domki dla własnego użytku. Towarzystwo *Garden City Tenants* wybudowało w ciągu paru lat 220 domów, w roku zaś 1908—gmach publiczny dla swoich członków. Oprócz tego wobec wielkiego braku tanich mieszkań dla robotników, powołano do życia towarzystwo akcyjne, mające za zadanie budowanie domków dla niezamożnych robotników. Buduje się więc domki z jedną ładną izbą, kuchnią i urządzeniem kąpielowem na parterze, trzy sypialnie zaś na piętrze kosztem 1,500 rb. i odnajmuje się za istotnie niebywałą cenę 2½ rb. tygodniowo, włącznie z podatkami gminnymi.

Miasto liczyło z końcem 1908 r. przeszło 6000 mieszkańców, około 1200 gotowych i wiele budujących się domów, a w ciągu 5-io letniego istnienia tej nowej osady, założonej według wskazań higieny, stwierdzono statystycznie znacznie mniejszą śmiertelność wśród dzieci i większą liczbę urodzeń.

Wspaniały ten wynik stał się oczywiście bodźcem do dalszego realizowania idei Howarda w Anglii, Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w Niemczech (Karlsruhe) i w Szwajcaryi (Zürich).

Zastanawiając się nad tem, czy i jakie znaczenie podobny ruch reformatorski mógłby mieć dla miast naszych, a w szczególności dla Warszawy, autor omawianej broszury nie widzi powodu, dla którego mielibyśmy stanowić wyjątek i trzymać się na uboczu ruchu, ogarniającego powoli wszystkie kraje cywilizowane.

Na zarzut, że drożyzna kapitału i przesilenie ekonomiczne, jakie trwa obecnie, z góry usuwają możliwość wszelkiej radykalnej reformy mieszkaniowej, można odpowiedzieć, że w planie Howarda, który jest obliczony na wszystkie szerokości geograficzne, drożyzna kapitału w danym kraju odgrywa rolę bardzo podrzędną. Uważa też dr. Dobrzyński, że w niedalekiej przyszłości, kiedy

siłą rzeczy rozpocznie się w Warszawie wzmożony ruch budowlany i otrzymamy nareszcie jaki taki samorząd, nastąpi moment, kiedy staniemy wobec zagadnienia, jaką drogą skutecznie walczyć mamy ze spekulacją, tandetą i bezplanowością w naszym budownictwie miejskiem.

Na eksperymenty w rodzaju Letchworth oczywiście nas nie stać. Tego rodzaju doświadczenie, jeżeli ma być owocnem, muszą poprzedzić, jak w Niemczech, długoletnie studia teoretyczne i właściwa propaganda, która u nas ledwie się zaczyna.

Nie można się również spodziewać, aby w obecnych stosunkach wzajemnego niedowierzania między naszymi pracodawcami a pracownikami, znalazł się jaki przemysłowiec, któryby mógł i chciał założyć u nas osadę fabryczną, na wzór angielskich i amerykańskich.

Należy się więc wobec tego inaczej zabrać do rzeczy.

Przedewszystkiem powinniśmy wpajać w siebie i w najszersze masy społeczeństwa naszego przekonanie, że tak pożądana radykalna reforma mieszkań jest ściśle związana z ceną gruntu miejskiego, czyli rentą miejską.

Dalej, badając ruch reformatorski na Zachodzie, musimy sobie uświadomić, że początkowo wszędzie jedynie kapitaliści, szukając lokaty, zakładali letniska, osady i miasta, z uwzględnieniem najnowszych wyników techniki i środków komunikacji. Dopiero zaś w miarę rozwoju idei kooperatywnej zaczęły powstawać wszędzie towarzystwa budowlane spółdzielcze, uwzględniające już znacznie szerzej postulaty higieny, a walcząc skutecznie ze spekulacją, zabezpieczały one swoich członków na przyszłość od jej szkodliwych wpływów.

I tu otwiera się dla nas wdzięczne pole działalności. Należy przedewszystkiem usilnie propagować u nas i zachęcać do zakładania towarzystw budowlanych spółdzielczych, od nich bowiem zależy właściwe rozwiązanie tego problemu. Towarzystwa te mogłyby oprzeć się w niedalekiej przyszłości na rozwijającym się przemyśle i wejść w porozumienie z przemysłowcami.

Kardynalne błędy, jakie były popełniane przy powstawaniu i rozwijaniu się miast naszych i ośrodków przemysłu, a mianowicie bezplanowość i przypadkowość — stały się przyczyną główną naszej klęski mieszkaniowej. Ażeby więc uniknąć tego w przyszłości, należy dążyć do tej dojrzałej już na Zachodzie prawdy, że jedynie drogą planowej decentralizacji miast naszych na zasadach spółdzielczych i samorządnych, najpewniej i najszybciej do celu dojdziemy.



Najważniejszą jednak — zdaniem d-ra Dobrzyńskiego — rolę w radykalnem rozwiązaniu omawianej kwestyi odegra niewątpliwie przyszedłszy *samorząd miejski*. I tu — dla uniknięcia zwłoki w działaniu — powinny być zawczasu przygotowane przez komisye rzeczoznawców projekty i plany racjonalnego rozszerzania w kraju naszym miast istniejących i zakładania nowych.

Dla samorządu będzie to zadanie tem łatwiejsze, że posiadać on będzie w swych rękach Zarząd komunikacji miejskiej i podmiejskiej. Wystarczy np. przeprowadzenie linii tranzajowej do Rakowca, aby umożliwić tam powstanie wspaniałego przedmieścia-ogrodu. Można też śmiało powiedzieć, że kwestya rozszerzenia Warszawy jest kwestyą komunikacji miejskiej i podmiejskiej i — dodajmy — kwestyą zniesienia ograniczeń fortecznych, które, niestety, wbrew kolportowanym niedawno pogłoskom, nieprędko zapewne przestaną tamować rozwój miasta.

Środek jednak ciężkości całej sprawy leży niewątpliwie w zdolności społeczeństwa do zbiorowej pracy twórczej. To też jeżeli okaże się, że z chwilą zmiany warunków na lepsze, społeczeństwo nasze potrafi dobrze się zorganizować, zawiązać szereg kooperatyw budowlanych i dążyć śmiało do ideału, który początkowo wydawać się może niedościgłym marzeniem, w istocie jednak, jak tego dowodzą przykłady, powyżej przytoczone, jest przy dobrej woli rzeczą do osiągnięcia i zdobycia nie tak trudną — to możemy być pewni, że za lat kilkadziesiąt Warszawa całkowicie przekształci się, przebuduje i otoczy wieńcem przedmieść, które nie tylko będą posiadały wszystkie warunki zdrowotne, ale staną się zarazem ozdobą miasta.

I nie tylko Warszawa. Ale szereg miast i osad, kwalifikujących się ze względu na swoją niewielką odległość od stolicy, na mniejsze ośrodki życia, odciągające ku sobie nadmiar ludności — powinien stać się już dzisiaj terenem rozumnej i przewidującej pracy. Mamy tu na myśli przedewszystkiem Pruszków i Grodzisk, oraz szybko zabudowujące się obecnie Brwinów i Milanówek, którymi grozi ciasne i bezplanowe zabudowanie się. Do miejscowości dalszych, a domagających się również opieki pod tym względem należą jeszcze Skierniewice i Łowicz, które mogłyby z łatwością przekształcić się w miasta-ogrody i stanowić miłe miejsce pobytu dla ludzi, szukających na starość spokoju i łatwiejszych warunków istnienia.

I bynajmniej nie jest rzeczą przedwczesną myśleć o tem. Przeciwnie, należy korzystać z chwili, kiedy opinia publiczna

przychylnie jest dla tego rodzaju akcji usposobiona i kiedy z ła-  
twością trafi do niej i znajdzie jej poparcie każda inicjatywa  
w tym kierunku.

\*

\*

\*

Rektor uniwersytetu warszawskiego ogłosił w dziennikach  
następujące zawiadomienie:

„W wykonaniu Najwyżej zatwierdzonej w dniu 10 kwietnia  
r. b. opinii rady państwa ogłasza się konkurs na otrzymanie po-  
sady lektora języka polskiego (z polskim językiem wykładowym)  
w cesarskim uniwersytecie warszawskim. Ktoby pragnął wziąć  
udział w konkursie, winien złożyć na imię dziekana wydziału hi-  
storyczno-filologicznego (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 26)  
do dn. 14 października r. b. 1-o) *curriculum vitae*, 2-o) dyplom  
lub świadectwo z ukończenia kursu nauk w wyższej szkole, 3-o)  
wykaz wydanych w druku prac naukowych lub po jednym ich  
egzemplarzu. Lektorowi przyznano płacę 800 rb. rocznie i 20%  
dodatku (160 rb.). Lektor korzysta z praw i przywilejów służbo-  
wych, nadanych w Najwyżej zatwierdzonej w dniu 8 czerwca  
1869 r. ustawie cesarskiego uniwersytetu warszawskiego.“

\*

\*

\*

Dnia 17 lipca r. b. spoczęły na cmentarzu krakowskim spro-  
wadzone z Ameryki do kraju zwłoki ś. p. Heleny Modrzejewskiej.  
Wiadomo, że ostatniem życzeniem zmarłej artystki było mieć garść  
ziemi ojczystej za wezglowie snu wiecznego. Życzenie to speł-  
niło się, a obchód pogrzebowy w Krakowie był ostatniem świa-  
dectwem widomem tej niepożytej miłości dla kraju, którą pie-  
lęgnowało serce Polki, rzuconej rozkazem losów za ocean, a w tę-  
sknotach swoich wzdierającej się myślą nieustannie ku swoim.



Miłość tę, która jest najlepszym drogowskazem życiowym i duszę polską unie utrzymać w równowadze na najbardziej wzburzonych falach życia, pięknie scharakteryzował Henryk Sienkiewicz w słowach, które były, jak pęk kwiatów, rzuconych na trumnę wielkiej artystki przez wielkiego pisarza.

„Potok—pisał Sienkiewicz w przeddzień pogrzebu w *Kuryerze Warszawskim*—który toczy kamienie, morze, które rzuca niemi o brzeg, tak ściera ich kanty, tak wygładza je, wyokrągla i nadaje im postać tak jednaką, że różnią się tylko wielkością. Życie bywa nieraz takim potokiem i takim morzem. Jeśli wyrwie człowieka z rodzinnego gniazda, wówczas toczy nim, jak kamieniem, rzuca go na obce brzegi, wśród obcych ludzi i w końcu upodobnia go do otoczenia, nadaje mu wspólne ze środowiskiem ducbowe kształty i ściera — często całkowicie — cechy rodzinne. Tak działa prąd, tak działa fala życia. Lecz w tem powszechnem zjawisku zdarzają się wyjątki. Istnieją duchy tak odporne, że tę siłę łamią. Są serca, jakby wykute z dyamentu, które nie tylko treści wewnętrznej, ale i formy nigdy nie zmieniają i pozostaną zawsze tem, czem były. Przykładem tego jest Helena Modrzejewska, której zwłoki spoczęły w ziemi ojczyznej. Życie zewnętrzne tej niepospolitej kobiety składało się na to, ażeby uczynić ją wielką, ale kosmopolityczną artystką, natomiast jej życie wewnętrzne związane było do tego stopnia z krajem rodzinnym, że ani na chwilę nie przestała być polską patriotką.

„O Jeruzalem, Jeruzalem, jeśli cię kiedy zapomnę, niech będzie zapomniana prawica moja“ — te słowa psalmu Dawidowego stały się jakby częścią jej duszy. Więc nie zapomniła nigdy. I wracała do tej ziemi matki, ilekroć mogła, a wreszcie—wróciła w trumnę. Tu dla niej spoczynek, tu dla niej spokój, tu dla niej cichy, wieczny sen. Nie zapomniła o starej ziemi, w tej nowej, w której zapomnieć łatwiej, niż w każdej innej, albowiem każda inna będzie zawsze przybyszowi macochą, ta jedna staje się matką, uznaje go za dziecko własne i daje mu wszystko, co ma i posiada sama. Modrzejewskiej dała ona najwyższe dla artystów dobro, bo sławę wielką, a jednak nie zdołała zatrzymać nie tylko jej duszy, ale i śmiertelnych szczątków.

„I równie, jak ziarno naszej sosny lub lipy, porwane wichrem, może gdzieś nad brzegami dalekich mórz wyrosnąć w strzeliste drzewo, jednakże nie zmieni się w palmę lub oliwkę, tak i ona wyrosła bardzo wysoko, lecz zrodzona na polskiej ziemi, została Polką do ostatniego tchnienia.

„Dla czego? co dało tę żywotność jej polskim uczuciom, co sprawiło, że tradycja, że miłość, że pamięć rodzinnego gniazda pociągnęły za nią przez ocean, tak, jak ptaki morskie ciągną za okrętem—i nie opuściły jej nigdy? Taka była jej natura? Niewątpliwie. Ale tego rodzaju odpowiedź nie nie tłumaczy i zmniejsza tylko zasługę. I mimowoli nasuwa się na myśl inne jeszcze pytanie: Oto, gdyby ta stara ziemia była potężna, bogata, wolna i szczęśliwa — czy tak samo nie byłoby łatwo zmarłej artystce odedrzeć od niej serca? I w tem pytaniu leży może tajemnica tej miłości. Ta stara ziemia, to walka w niedoli. Więc gdy się widzi cudzą siłę, a pomyśli się o jej ubóstwie, wobec cudzej radości o jej łzach, wobec cudzej pełni i swobody życia — o jej zakratowanej celi — to wówczas kocha się tembardziej jej niedolę, jej słabość, jej ubóstwo, jej łzy i jej utrapienia — wówczas woła się ku niej razem z Dawidem: „O Jeruzalem, Jeruzalem! jeśli cię kiedy zapomnę, niech będzie zapomniana prawica moja!“

„Ale kto tak kocha? Przecie nie ci, którzy głoszą hasło: *ibi patria, ubi bene*. Tak kochają matkę dzieci wierne, tak kochają dusze szlachetne i podniosłe, tak kochają ci, których wzrusza wszelka niedola i których oburza wszelka niesprawiedliwość.

„A nakoniec tak kochają istoty wybrane i obdarzone przez Boga odtwórczą mocą wyobraźni, które, gdy zateśkni w nich serce ku matce, to *widzą ją* choćby z za dziesiątego morza tak wyraźnie, jakby stały w jej progu. Widzą wówczas wieże rodzinnych miast, śniegi ojczystych gór i łany zbóż i kwiaty łąk. Słyszą śpiewy kościelne i fujarki pastusze i wszystkie głosy ziemi, a im owe głosy, złączone razem, podobniejsze są do łkania—tem więcej tęsknią i tem głębiej kochają.

„Tak kochała swą matkę-ziemię Helena Modrzejewska.“

Przytoczyliśmy tu niemal w całości te piękne słowa Siemkiewicza z uwagi, że mają one znaczenie specjalne dla pokolenia dzisiejszego, które w coraz rzadszych wypadkach zdobywa się na taką miłość.

Bezstronność każe wyznać, że wśród Polaków, przebywających czas dłuższy na obczyźnie, coraz więcej jest owych „kamieni wyokraglonych i startych,“ upodobnionych do otoczenia. Niewątpliwie, kochają i oni ojczyznę, ale nie jest to już miłość, podniesiona do czynnika, kierującego ich życiem duchowem. Dotyczy to zwłaszcza licznego naszego wychodźstwa do Rosyi. Ktokolwiek i kiedykolwiek stykał się z przedstawicielami kolonij polskich w głębi Rosyi—a niema tam prawie miasta, gdzieby Po-



laków nie było—widział niewątpliwie jednostki, których związek z krajem był bardzo luźny, które nie potrafiły nawet języka dochować w czystości, a źródłem uczuć patriotycznych pozwoliły wyschnąć lub zatruć się miazmatami kosmopolitycznej obojętności na sprawy najbliższe i największe.

Takim to ptakom, oderwanym od gniazda i rzuconym na obłądne szlaki, słowa Sienkiewicza powinny wskazać drogę właściwą.

Kto wie? może dolecą do nich na tych kartach...

---

# WSPOMNIENIE POZGONNE.

ś. p. Zygmunt Noskowski.

Dn. 23 lipca r. b. zmarł w Warszawie ś. p. Zygmunt Noskowski, wybitny muzyk i kompozytor, którego działalność przyczyniła się poważnie do podniesienia kultury muzycznej w społeczeństwie polskiem ostatniego ćwierćwiecza.

Urodzony w Warszawie, w r. 1846, Noskowski wcześniej zdradzał upodobania i talent muzyczny. W r. 1864 widzimy go już, jako 18-o letniego młodzieńca, w gronie uczniów Konserwatoryum muzycznego, gdzie należy do najzdolniejszych uczniów Moniuszki w klasie kompozycyi i Kątskiego w klasie gry skrzypcowej. Po ukończeniu studyów, nie mając środków na wyjazd za granicę dla dalszego kształcenia się, Noskowski wstępuje do orkiestry operowej, a w jakiś czas potem obejmuje skromne stanowisko nauczyciela muzyki i śpiewu w instytucie ociemniałych, gdzie stosuje do nauki własnego pomysłu nuty wypukłe.

Dopiero w r. 1873 otrzymuje stypendyum od Zarządu Towarzystwa muzycznego i wyjeżdża do Berlina, aby tam w ciągu trzech lat gruntownie studyować teorię kontrapunktu, imitacyi i fugi.

W r. 1876 zostaje dyrektorem Towarzystwa śpiewaczego „Bodan“ w Konstancyi, a w r. 1883 dyrektorem Towarzystwa muzycznego w Warszawie. Wreszcie w r. 1888 obejmuje w Konserwatoryum klasę kompozycyi.

Dorobek twórczy Noskowskiego jest liczny i cenny. Długi poczet dzieł jego, poczynając od popularnych utworów, jak Spiewnik dla dzieci (do słów Konopnickiej), aż do poematów symfonicznych tej miary, co „Morskie Oko“ i „Step“ lub oper: „Livia



Quintilla, „Wyrok“ i „Zemsta za mur graniczny“—wymaga specjalnej oceny krytycznej i głębszych rozważań fachowych. Tu możemy zaznaczyć tylko w krótkich słowach, że talent Noskowskiego miał skalę rozległą i że zasadniczą nutą, jaka w nim brzmiała, było przywiązanie do melodyi swojskiej i nieustanne poszukiwanie tematów narodowych. Był to więc *muzyk polski*, nawiązujący działalność swoją bezpośrednio do działalności Moniuszki. Muzyka nasza, opłakująca jeszcze niedawny zgon ś. p. Mieczysława Karłowicza, poniosła przez śmierć Noskowskiego stratę ciężką, co też zrozumiało i odczuło społeczeństwo, oddając pamięci zmarłego hołd piękny i zasłużony.

Z. D.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

## Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— KONKURSY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. Akademia Umiejętności częścią przypomina dawniejsze, częścią ogłasza nowe konkursy:

1) Konkurs z zapisu ś. p. generała Oktawiusza Augustynowicza: „Dzieje zniesienia zależności poddańczej i uwłaszczenia włościan w krajach, które niegdyś w skład Rzeczypospolitej polskiej wchodziły“ i t. d. 5 części. Nagrody: K. 2,000, 3,200, 2,400 i 2,800. Termin do końca grudnia 1909 r.

2) Konkurs im. Lindego na prace z zakresu języka polskiego. Nagroda rb. 675. Termin do końca grudnia 1909 r.

3) Konkurs im. Józefa Majera: „Monografia krakowskiej jury brunatnej.“ Nagroda k. 2,000. Termin do końca grudnia 1909 r.

4) Konkurs im. Mikołaja Kopernika: „Opracować stosunki klimatyczne jednej z większych dzielnic Ziemi polskich, albo porównać pod względem klimatycznym którąkolwiek z kolonij zamorskich, do których emigruje gromadnie ludność polska, z klimatem rodzinnym.“ Nagroda k. 1,200. Termin do końca grudnia 1913 r.

5) Konkurs im. Czerwińskiego (przedłużony): „Historya sztuki w Polsce.“ Nagroda rb. 1,000. Termin do końca grudnia 1909 r.

6) Konkurs im. Juliana Ursyna Niemcewicza (przedłużony): 1. „Historya ustroju Królestwa Kongresowego“ (1815—1830). Nagroda 2,500 franków. Termin do 31 grudnia 1909 r. 2. „Historya obyczajów społeczeństwa szlacheckiego w Polsce w końcu XVI i na początku XVII w. w obrębie obranego terytorium (co najmniej województwa) Rzeczypospolitej.“ Nagroda 2,500 franków. Termin do ostatniego grudnia 1909 r.

7) Konkurs z fund. ks. Adama Jakubowskiego (przedłużony): 1. „Historya ustroju Księstwa Warszawskiego.“ 2. „Monografia jednej z wybitnych osobistości polskich epoki porozbiorowej.“ Nagroda k. 1,400. Termin do końca grudnia 1909 r.



8) Konkurs im. d-ra Wł. Kretkowskiego (dla matematyków). Nagroda k. 1,500. Termin do końca grudnia 1909 r.

9) Konkurs Akademii (w celu uczczenia 60-letniego jubileuszu najj. cesarza Franciszka Józefa) na napisanie „Historji Galicyi w okresie lat 1848—1908.“ Nagroda k. 1,200 i po wydrukowaniu dalszych k. 1,200. Termin do ostatniego grudnia 1910 r.

Bliższych szczegółów i wyjaśnień udziela kancelarya Akademii codziennie od godziny 11—3, z wyjątkiem niedziel i świąt.

#### WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— BIBLIOTEKA NOWA... KAZNODZIEJSKA. Rok III. № 8. Lipiec, 1909. Kazania Ks. Ks.: D-ra Hozakowskiego w Poznaniu, Stanisława Budaszewskiego z Bnina, Ks. N. Edmunda Gryglewicza, prob. ze Slesina, Ks. P. z B., T. J., Antoniego Konrada Piramowicza, Reformata w Sandomierzu. Dodatek: Kazania na uroczystości św. Maryi Magdaleny przez Ks. Stanisława Okoniewskiego;—Kazania na uroczystości św. Anny przez Ks. Antoniego Jezierskiego, prob. w Kunowie.

— BULLETIN INTERNATIONAL DE L'ACADEMIE DE SCIENCES DE CRACOVIE. Cl. des sciences math. et natur. Anzeiger der Academie der Wissenschaften in Krakau. Mathem.-naturwissenschaftliche Klasse № 4. Avril 1909. № 5, Mai 1909 r. J. Kowalski i U. Rappel: Entladungs Potentiale bei Wechselstrom; Einfluss der Krümmung der Elektroden auf dieselben;—J. Dzierzbicki i J. Kowalski: Über die Phosphoreszenz von organischen Substanzen bei niedrigen Temperaturen;—M. Strzelecki: Über Xylol-Sylfocyanate;—T. Koźniewski: Jod-derivate der Chinaalkaloide;—J. Dunin-Borkowski i Z. Szymanowski: Agglutination und Hämolyse von roten Blutkörperchen unter dem Einfluss von Salzen schwerer Metalle;—St.: Weigner Studien im Gebiete der Cenomanbildungen von Podolien. I Die Fauna der cenomanen Sande von Nizniów;—J. Siemiradzki: Sur la faune dévonienne des environs de Kielce d'après les collections originales du feu le prof. L. Zejszner.

— № 6. Lipiec, 1909. Séance Publique Annuelle de l'Academie du 22 Mai 1909. M. Smoluchowski: Über ein gewisses Stabilitätsproblem der Elastizitätslehre und dessen Beziehung zur Entstehung von Faltengebirgen;—L. Birkenmajer i J. Collijn: Nova Copernicana. Vorläufige Mitteilung über jüngst in schwedischen Archiven und Bibliotheken aufgefundenene bisher unbekannte Autographen des Copernicus;—M. P. Rudzki: Physik der Erde;—St. Loria: Bestimmung der Dispersion des Lichtes in nicht leuchtendem, gesättigtem Natriumdampfe von der Temperatur 385° C.;—Ed. Janczewski: Suppléments à la Monographie des Groseilliers. I Espèces et hybrides nouveaux;—C. Rouppert: Revision du genre sphaerosoma;—W. Staniszkis: Beiträge zur Kenntnis des Umsatzes von  $P_2O_5$  im Pflanzenorganismus;—Br. Frenkel: Die Kleinhirnbahnen der Taube;—T. Kurkiewicz: Zur Kenntnis der Histogenese des Herzmuskels der Wirbeltiere;—Br. Rydzewski: Sur la faune crétacique de Miały près Grodno.

— BULLETIN POLONAIS, 34 année, 15 Mais. Un péril national. Pour le centenaire de la bataille de Raszyn (19 Avril 1809) par A. M. Skalkowski, trad. par A. Budzyński;— Le songe d'argent de Salomé, roman dramatique en 5 actes, par Jules Słowacki, trad. par V. Gasztott (suite);— Vincent Migurski en 28 ans d'exil, trad. par Mme Rivet née Migurska;— Varietés littéraires;— Petite chronique scientifique;— Varietés politiques;— Nouvelles diverses;— Necrologie (Lucien Wojciechowski, M. Mondan, d-r Thadée Skalkowski).

— ČESKY ČASOPIS HISTORICKY vydávají Jar. Goll a Jos. Pekař. Ročník XV, sešit 3. Czerwiec, 1909. Praga. Hanuš J.: Počátky kritického dějepytu v Čechách;— Nowak Jan Bedřich: Středověká diktamina v souvislosti s antikou a renaissancí;— Nejedlý Zdeněk: Názor středověku na hubku;— Drobnější články;— Literatura;— Výtahy z časopisů.

— EKONOMISTA. Kwartalnik, poświęcony nauce i potrzebom życia, pod redakcyą Stefana Dziewulskiego, przy współdziale komitetu redakcyjnego. Rok IX, kwartał II, 1909. Zeszyt II. Warszawa. Henryk Wiercieński: Opis statystyczny większej własności ziemskiej w powiecie puławskim gubernii lubelskiej. Przyczynek do statystyki krajowej (z kolorową tablicą);— Ludwik Włodek: Polskie kolonie rolnicze w Paranie;— Jan St. Lewiński: Macierzyństwo a kapitalizm;— Emil Caspari: Polska wielka własność ziemska w Księstwie Poznańskim (szkie statystyczny);— Kronika;— H. W.: Ze statystyki rolniczej Królestwa;— Kronika emigracyjna;— Kronika współdzieleza;— Rozbiory i sprawozdania;— Przegląd czasopism;— Bibliografia.

— GŁOS URZĘDNICZY. Rok I, № 5, kwiecień 1909. Zadłużenie urzędników i jego przyczyny;— Do szanownej redakcyi „Głosu urzędniczego;“— Pożądane zmiany;— Związek ekonomiczny w Myślenicach;— Ogłoszenia.

— KRONIKA DYECEZYI SANDOMIERSKIEJ. Czerwiec i lipiec, 1909. Ks. G. Wł.: Encyklika J. Św. Piusa X, Papieża, z powodu ośmsetnej rocznicy śmierci św. Anzelma;— Ks. J. Rokoszy: Bibliografia kościołów dyecezyi sandomierskiej;— Ks. Ad. Cw.: Słów kilka o kaznodziejach i kaznodziejstwie;— Ks. W. Krasiński: Rzut oka na obecny stan Cerkwi rosyjskiej (dok.);— Wojciechowski i Kb. Ks.: Z powodu artykułu „O pobożności i pobożnym kierownictwie;“— Ks. B. Al.: Opis historyczny kościoła w Odrowążu;— Ks. H. A.: Prawda i rozporządzenia rządowe, dotyczące religii i duchowieństwa (c. d.);— Wiadomości z parafii (I. Bogorya. Ekskomunika z r. 1715 na szewców w Bogoryi. 2. Pawłowice. Dziwne odnalezienie monstancyj, skradzionych przed 6 laty. 3. Kłasztor św. Katarzyny pp. Bernardynek);— Rozporządzenia dyecezyalne co do casusu teologicznego i rekolekcyi dla duchowieństwa;— Zmiany duchowieństwa dyecezyalnego;— Bibliografia: Miscellanea.

— KRYTYKA. Rok XI, czerwiec. Część pierwsza. (I.): O człowieka;— J. Kwiatek: Pisma Słowackiego treści ideowo-politycznej;— Ludwik Kulezycki: Legendy luksemburskie;— K. Stefański: Niepodległość Polski;— Junius: Współcześni politycy polscy. VII. Wł. Żukowski;— Prof. J. Baudouin de Courtenay: Epidemia krwiożerczości;— Przegląd prasy;— D-r Z. D. G.: Przegląd ekon.-społeczny;— H. Orsza: Z ruchu oświatowego;— Junius: Z trzech zaborów (obecny



stan polityki narodowo-demokratycznej);—Sprawozdania literackie. Część druga. St. Przybyszewski: Kartki z powieści;—K. Bleszyński: Debiuty nowelistyczne;—Józef Strasz: Trzy dyalogi;—M. Rakowska: List angielski;—St. Maykowski: Z cyklu „Wrzosowisko;“—Marion: Kocham...;—Przegląd. J. Kleczyński: Słowacki w Warszawie;—L. Kowalski: Ze sztuki i „Sztuki;“—Masque: Teatr poznański;—L. K.: Z Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych;—Tadeusz Bezienny: Ze sztuki i życia;—Kaëm: Echo lwowskie;—W. Feldman: Oświadczenie.

— ŁAN MŁODZIEŻY. R. II, № 10 i 11. Jaki jest ideał polskiego studenta;—Bolesław Andrzej Saski: Maj;—E. Mirohorska: Vade mecum przyszłemu laureatowi, I. Londyn;—S. Cywiński: O Cypryanie Norwidzie słów kilka;—Józef Teslar: Z wycieczki pomaturycznej po Galicyi;—Z życia młodzieży;—Odpowiedzi redakcyi;—Praca konkursowa;—L. Horoszkiewicz: Wiosna;—Czterdziestolecie pracy Prof. hr. Tarnowskiego;—Zygmunt: Grusza, nowela;—Geneza spisku podchorążych;—Przegląd prasy: Świt, Prąd;—Szkolne kasy oszczędności;—Ze sportu;—Kalendarz symboliczny.

— MIESIĘCZNIK HERALDYCZNY. R. II, № 5, maj 1909, str. 65—80. Ks. D-r Zygmunt Kozieki: Inscriptiones elenodiales;—Franciszek Jaworski: Nobilitacya miasta Lwowa;—Z. L. Radziwiński: Metryki (Z raptularza Poreczyiskich).—Miscellanea;—Sprawozdania i odpowiedzi;—Zagadnienia i odpowiedzi;—Pokwitowania.

— MIESIĘCZNIK PEDAGOGICZNY, r. XIX, № 5, maj 1909, str. 73—88. Zych Wojciech: W rocznicę Konstytucyi 3 maja;—Wizerunek własny „Landlehrervereinów“ renegackich;—Król Józef: Polityka Przemyśla Ottokara II względem Śląska;—Z polskiego Tow. pedagogicznego;—Wiadomości bibliograficzne;—Kronika.

— MUZEUM, zes. 5, maj 1909. Dyskusya szkolna w lwowskiej Radzie miejskiej;—Referent szkolny w Ministerstwie Galicyi;—A. H.: W sprawie burs;—Sławomirski B.: Nauka historii wobec reformy egzaminu dojrzałości;—Bienenstock W.: W sprawie zadań domowych niemieckich;—Łukasiewicz A.: Pierwsza wystawa warsztatów studenckich we Lwowie i zjazd ich kierowników;—Oceny i sprawozdania przez J. Szarotę, S. Ziobrowskiego, M. Kalityńskiego, A. Makowskiego, D-ra J. Demianczuka, R. Pachucką, W. Jankowskiego, D-ra K. Wojciechowskiego, D-ra W. Hahna, A. Kazanowskiego, K. Helczyńskiego;—Z czasopism przez L. Wołowicza, A. Günzburga, M. Tretera, E. Zwillinga, m.;—Wiadomości bieżące;—Wiadomości bibliograficzne;—Sprawy Tow. nauczycieli szkół wyższych.—Dodatek 1. Antoni Karbowski: Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych.—Dodatek 2. Nowe plany naukowe. Przetłómaczył D-r Maryan Janelli, c. k. prof. VIII gimn. we Lwowie.

— PRĄD. Miesięcznik społeczny i literacko-naukowy, wychodzi w końcu każdego miesiąca pod redakcyą Tadeusza Błażejewicza, Tadeusza Miskiewicza i Adama Lach-Szymańskiego. Warszawa, 1909. Luty—marzec. T. Błażejewicz: Nowe zadania (dok.);—Z. Wołowska: Słowo o Wyspiańskim;—M. Szuca: O pochodzeniu człowieka (według najnowszych badań);—Ks. St. Milkowski: „Szlakami wyzwolenia.“ II. Ku źródłom (dok.);—K. Chodynicki: Anarchia czy auto-

rytet w wychowaniu; — T. Miśkiewicz: O potrzebie pracy społecznej (Na tle stosunków litewskich); — M. Szpyrkówna: Poznajmy nasz kraj; — Koresponden-  
 eye; — Przegląd czasopism; — Sprawozdania i krytyki; — Z miesiąca; — Porady  
 i wskazówki; — Informacje; — Kronika; — Notatki statystyczne.

— PRĄD. Kwiecień i maj. Bronisław Załuski: Pałca kwestya; — Ks.  
 K. I. Kantak: Ze studyów nad Słowackim. Kordyan; — Zygmunt Fedorowicz:  
 Instynkt czy rozum (szkie z psychologii porównawczej); — D-r Fr. W. Foerster:  
 Stanowisko współczesnego studenta wobec kościoła katolickiego; — Andrzej  
 Rondomański: Ideal i my—gadanie; — Korespondencya: Z Lowanium; — Przegląd  
 czasopism; — Sprawozdania i krytyki; — Książki nadesłane do redakcyi; — Z mie-  
 sięca; — Informacje; — Porady i wskazówki; — Kronika; — Notatki statystyczne.

— Czerwiec, 1909. Od wydawnictwa; — A. L. Szymański: Jak pracuje  
 młodzież słoweńska; — Inż. Paweł Grodecki: W sprawie bojkotu uczelni i ksią-  
 żek niemieckich; — Jan Kaźmierczak: Idea Boga wobec filozofii ewolucyjnej; —  
 Korespondenecye z Krakowa i Wilna; — Sprawozdania i krytyki; — Książki nade-  
 słane do redakcyi; — Przegląd czasopism; — Z miesiąca; — Informacje; — Kronika; —  
 Notatki statystyczne.

— PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Dwumiesięcznik naukowy, wydawany przez  
 Tow. Miłośników Historji w Warszawie, pod redakcyą J. K. Kochanowskiego,  
 przy udziale komitetu, do którego należą: Br. Chlebowski, Ign. Chrzanowski,  
 Al. Jabłonowski, St. Kętrzyński, Al. Kraushar, Fr. Pułaski, Wł. Smoleński.  
 Tom VIII, zeszyt III. Maj i czerwiec. Prezbiter Diodeas — pop Duklijanin  
 (z teki pozgonnej Maksymiliana Gumpłowicza); — Antoni Prochaska: Wyrok  
 wrocławski (dok.); — Ks. D-r Jan Fijałko: Tarłowie, znamienitego rodu początki  
 i świetność (dok.); — Marceli Handelsmann: Nauczyciele Historji współczesnej.  
 I. Gabryel Monod; — Franciszek Pułaski: Spór o Bibliotekę i zapis Konstantego  
 Świdzińskiego; — Tadeusz Dowgird: Spis miejscowości, oznaczonych na mapie  
 archeologicznej (terenu grodu Mendoga), w których zostały odkryte zabytki  
 dawnej przeszłości; — Fr. Giedroyć: Wodociągi i kanalizacye miejskie (z dzie-  
 jów higieny w dawnej Polsce); — Inwentarz Zamku Warszawskiego, sporzą-  
 dzony w r. 1769, podał do druku Kazimierz Marcinkowski (c. d.).

— PRZEGLĄD NARODOWY. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia  
 narodowego w zakresie politycznym, naukowym, społecznym, literackim i ar-  
 tystycznym pod kierownictwem Zygmunta Balickiego. Rok II. Tom IV, zesz. 7.  
 Lipiec, 1909. Lwów-Warszawa. Roman Dmowski: Współdziałanie polityczne  
 w stosunkach polsko-rosyjskich; — Zygmunt L. Zaleski: Uwagi o wymowie  
 i mównicach w dawnej Polsce; — G. Smólski: Kiszczenie, lud polski w żupaństwie  
 Trenczyńskim; — Jan Bęlcikowski: Dwie cywilizacye (dok.); — Henryk Boguski:  
 Juliusza Słowackiego „Testament mój;“ — A. Sadzewicz: Przegląd spraw pol-  
 skich; — B. Wasiutyński: Przegląd polityki zagranicznej; — Z prasy; — Bibliografia.

— PRZEGLĄD POLSKI, pismo naukowo-literackie, wychodzi rok czter-  
 dziesty czwarty. Wydawca i odpowiedzialny redaktor Prof. D-r Jerzy hr. My-  
 cielski. Kraków, 1909. Jan Popiel: O państwie Kościelnem; — D-r Władysław  
 Günther: Przyczynki do studyów nad Aleksandrem Fredrą. I. Nocleg w Ape-



ninach. II. Cudzoziemczyzna; — Stanisław Tarnowski: Julian Klaczko (c. d.); — D-r Marcelli Nałęcz-Dobrowolski: Sztuka i uosobienie śmierci. Ikonografia śmierci (c. d.); — Konrad Ostrowski: Listy z Francji. XV; — Kronika literacka; — Z literatury powieściowej; — D-r Zdzisław Jachimecki: Opera w Krakowie; — Przegląd polityczny.

— PRZEGLĄD Powszechny. № 307. Zeszyt 7. Lipiec, 1909. Kraków. Prof. Stanisław Smolka: W sprawie św. Stanisława. Dyskusya. Część druga; — Krystyna Saryusz-Zaleska: Małego Franka wielka troska. Nowela; — Ks. Stanisław Kobyłecki T. J.: Próba wstępu do krytyki Poznania (c. d.); — Stanisława Pietraszkiewicz: Dzieje Filomatów w zarysie (c. d.); — Lucyan Rydel: Olympia (c. d.); — Ks. J. Rostworowski: Objawienie i Dogmat w teologii katolickiej a w teologii modernizmu (c. d.); — Przegląd piśmiennictwa; — Sprawozdanie z ruchu religjno-naukowego i społecznego.

— PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI. Wychodzi jako dodatek do „Gazety Lwowskiej.“ Odpowiedzialny redaktor Adam Krechowicki. Zeszyt VII. Lipiec. Lwów, 1909. D-r Stanisław Turowski: Samuel ze Skrzypny Twardowski i jego poezya na tle współczesnem; — Aleksander Kraushar: Klub patriotyczny warszawski w czasach powstania listopadowego (1830—1831 r.); — Ks. Jan Sygański T. J.: Z życia domowego szlachty saudeckiej w epoce Wazów; — Fr. Rawita-Gawroński: Materyały do Historji polskiej XIX wieku. Działalność Emigracyi w r. 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego; — F. Hoesick: Fryderyka Chopina pierwsze lata w Paryżu (1831—1838). Studium biograficzne; — Antoni Karbowski: Szkoły i wychowanie polskie na emigracyi ekonomicznej; — Edward Webersfeld: Jaworów, monografia historyczna, etnograficzna i statystyczna; — Alojzy Winiarz: Archiwum Namiestnictwa we Lwowie.

— PRZEWODNIK OŚWIATOWY. Organ Towarzystwa Szkoły Ludowej, poświęcony sprawom oświaty pozaszkolnej i narodowego wychowania ludu polskiego. Rok IX. № 5, maj. Pamięci Wł. L. Anczyca; — Ignacy Stein: T. S. L. wobec jubileuszu Słowackiego; — Słowacki na scenie ludowej; — Br. Kryczyński: Kurs oświatowo-rolniczy w Nowym Sączu; — W sprawie Biblioteki miejskiej w Krakowie; — Zygmunt Podgórski: Powiat Jarosławski pod względem oświatowym i kulturalnym; — L. W. Lenart: O potrzebie pracy oświatowej wśród emigracyi polskiej w Stanach Zjednoczonych; — Praca oświatowa u obcych. „Volkswohl“ w Dreźnie; — Z przeglądu prasy. Święto Trzeciego maja; — Kronika; — Dział sprawozdawczy T. S. L.; — Przegląd krytyczny literatury.

— Czerwiec, 1909. № 6. D-r M. Stępowski: Dar Grunwaldzki; — B. W. i S. T. Leski: W sprawie gimnazjum realnego w Orłowej; — Fr. Popiołek: Gimnazjum polskie w Cieszynie; — St. Marcinek: Szkolnictwo polskie na Ślązku; — Śląskie ustawy szkolne; — Żegota: Uwagi nad działalnością Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego; — W. Sierakowski: O potrzebie wyższego kształcenia dziewcząt polskich na Ślązku; — St. Warcholik: Teatr amatorski a odrodzenie narodowe na Ślązku Cieszyńskiem; — I. Kotas: Wspomnienie o „Jedności;“ — X.: Kilka luźnych uwag o sprawach ekonomicznych Ślązka; — Zjazd „Schulvereinu“ w Bielsku i Białej; — Kronika; — Dział sprawozdawczy T. S. L.; — Program XVII walnego zjazdu T. S. L. w Kołomyj; — Okólniki Zarządu Głównego.

go;— Sprawozdanie z posiedzenia V i VI Zarządu Głównego T. S. L.;— Sprawozdanie z czynności biura T. S. L. i centralnej Szkolnicy;— Protokół Zjazdu okręgowego lwowskiego;— Miesięczna kronika ruchu T. S. L. za maj.

— RoczNIK Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, 1908 r. Prof. Tadeusz Korzon: Organizacya wojskowa Litwy w okresie Jagiellońskim;— Ks. Jan Kurczewski: Wiadomość o szkołach parafialnych w diecezyi wileńskiej;— D-r Wojciech Kętrzyński: Taryfa Księstwa Żmudzkiego, wyrażająca dymy szlacheckie, poddańskie i królewskie w powiatach wszystkich (1690—1697);— Michał Römer: Instruktarz czynności ekonomicznych dla Im. Pana Ekonomo Abelskiego do natury dóbr w opisanu y praktyce uregulowany ex anno 1781— O a die 23 apr.;— Ludwik Czarkowski: „Sława dawnej Jerozolimy;“ — Druki polskie, wydane w Wilnie w roku 1908; — Stanisław Kościalkowski: „Uwagi o „Bibliografii S. Bałtramajtisa;“ — Sprawozdania z działalności i stanu T-wa Przyjaciół Nauk w Wilnie w roku 1908;— Sprawozdania: Ze stanu biblioteki za r. 1908. Archiwum. Muzeum. Działy archeologii przedhistorycznej oraz etnografii w Muzeum;— Sprawozdania kasowe za czas od 1 stycznia do 31 grudnia 1908 r. włącznie;— Spis członków z r. 1908.

— RODZINA I SZKOŁA. R. XIV. Kwiecień, 1909. № 7 i 8. Zmarłych-wstanie (wiersz);— Józef Ciembroniewicz: Życie duszy dziecięcia;— Wpływ charakteru na naród i społeczeństwo;— Al. Ant. W.: Jak wznowić siłę woli;— W jaki sposób rodzice dzieci swoje zepsuć mogą;— Wincenty Sierkowski: Biblioteki szkolne dla młodzieży; — Leon Magierowski: Ubranie jako czynnik wychowawczy;— Adolf Bilger: Co jest przyczyną słabego stanu nauki języka niemieckiego w dzisiejszych naszych seminariach nauczycielskich i co należałoby uczynić, aby te braki usunąć;— D-r Helena Sobieralska: Pogadanki z higieny. Jak leczyć dzieci;— Z piśmiennictwa;— Rozmaitości;— Ogłoszenia. W dodatku Wiedza i praca. Ludwik Kozak: Robaki-kołowrotki;— Emha: Współczesna Szwajcarya;— M. J. H.: W miejsce węgla siła wody;— Wędrowki ptaków;— Rozmaitości;— Ogłoszenia;— Krótki kurs międzynarodowego języka Esperanto.

— RZECZPOSPOLITA. Dwutygodnik polityczny. Wydawca D-r Adam Skalkowski. Naczelnny redaktor D-r Kazimierz Jarecki. Odpowiedzialny redaktor D-r Józef Browński. Lwów. 3 lipca 1909 r. Moralność ukraińska;— Przemysł naftowy;— Tadeusz Skalkowski;— Projekt podziału Królestwa;— Odezyt prof. Denis;— Prace Rawity Gawrońskiego;— Wiadomości polityczne;— Reskrypt ministra sprawiedliwości;— Wrogowie neoslawizmu;— Stosunki polsko-węgierskie;— Niemcy w Galicyi;— Dziwne braterstwo;— Ordynacya wyborcza sejmowa;— Książki, broszury, wydawnictwa;— Polityka rosyjska;— Bojkot ekonomiczny;— Artur Balfour.

— SLOVANSKÝ PŘEHLED. Číslo 7—10. Ročník XI. Maj, czerwiec, 1909. Praga. Ze slovanské poesie. Stanisław Wyspiański: Kletba (Tragedie). Autorisowany překlad Adolfa Černého;— Jos. Páta: Primož Trubar...;— Wilhelm Feldman: Polska literatura w roce 1908;— K. Kister-Miroljubov: Petko J. Todorow;— Zofia Daszyńska-Golińska: Nietzsche a nietzscheizm v Polsku;— J. Vladislavlev: N. V. Gogol;— H. Boezkowski: Z dějin varšavské university;— Lev



Tolstoj: List Polce; — Adolf Černý: Dalmatský ostrov Ráb (dok.); — Josip Milaković: S. S. Kranjčević (dok.); — Dopisy; — Rozhledy a zprawy; — Slavane východni; — Jihoslované; — Všeoobecné zprawy; — Literatura, umění; — Vyobrazení.

— SPRAWOZDANIA z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, t. II, zes. 4, kwiecień 1909. Wydział językoznawstwa i literatury. St. Krzemiński: O poezjach Kollątaja; — Gabryel Korbut: Listy J. J. Kraszewskiego do panny Olimpij S. — Wydział nauk antropologicznych, społecznych, historii i filozofii. Erazm Majewski: Ważny przyczynek do kwestyi miocenijskiej starożytności postaci człowieka; — Dyskusya: K. Stołyhwo i E. Majewski; — Edward Boguławski: W kwestyi pochodzenia Rumunów. — Wydział nauk matematycznych i przyrodniczych. Władysław Janowski: Teodor Dunin. Wspomnienie pośmiertne; — Teodor Dunin: O potrzebie założenia Instytutów naukowych; — Z. Węyberg: Zależność składu biotytów skałotwórczych od zasadowości skały; — Sławomir Miklaszewski: Absorbeyca w glebach typowych; — Z. Wóycicki: Zniekształcenie pędów kwiatowych u *Dianthus caryophyllus* fl. pl.; — Jan Tur: Spostrzeżenia nad jajami podwójnemi „bez blastoderm;“ — Dyskusya: J. Eismond i J. Tur; — Tenże: W sprawie pewnej potworności zarodkowej rzekomo złożonej (*Hemididymus Klausner'a*); — Sprawy bieżące; — Od redakcyi.

## BIBLIOGRAFIA.

### FILOZOFIA. — ETYKA.

BELMONT LEO: Socjalizm i sprawiedliwość. Studium etyko-ekonomiczne. Warszawa, 1909. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 180.

SCHOPENHAUER ARTUR: Pisma niektóre. O nieśmiertelności istoty naszej. W przekładzie Antoniego Miecznika. Warszawa, 1909. Nakład. księg. M. Borkowskiego. 8-o, str. 32.

SZUKIEWICZ WOJCIECH: Odrodzenie etyczne (z rozmyślań idelisty o rzeczach realnych). Warszawa—Lwów, 1907. Książnica, tom 18. 8-o, str. 140.

### HISTORIA LITERATURY.

BALICKI ANTONI EUZERIUŚ: Cyprian Norwid. Sprawozdanie dwudzieste piąte dyrekeyi gimnazyum III w Krakowie za rok 1908. Kraków, 1909. Nakład. funduszu naukowego. 8-o, str. 41.

CHRZANOWSKI IGN. i BABIACZYK AD.: Władysław Nehring. Wspomnienie pośmiertne. Bibliografia prac naukowych. Warszawa, 1909. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka. 8-o, str. 53.

LAM STANISŁAW: Stanisław Wyspiański. Jarosław, 1909. Nakład. Augusta Meinharta. 8-o, str. 56.

MÉYET LEOPOLD: Słowacki i Komierowski. Na podstawie listów poety. Przyczynek do jego życiorysu skreślił. Warszawa, 1909. Księg. L. Biernackiego i Sp. (odbitka uzupełniona ze „Sfinksa“ za listopad 1908 r.). 8-o, str. 21.

— Kiedy się urodził Juliusz Słowacki? Kilka uwag historyczno-prawnych o dacie urodzin poety. Napisał... (z pięcioma rysunkami). Warszawa, 1909. Skład główny w księg. L. Biernackiego i Sp. 8-o, str. 32.

PIETRZYCKI JAN: Kobieta i miłość w życiu Juliusza Słowackiego. Lwów, 1909. Nakład. księg. L. Chmielewskiego. Warszawa, księgarnia Powszechna. 8-o, str. 24.

PRZEWÓSKA MARYA CZESŁAWA (Helia). Eliza Orzeszkowa w literaturze i w ruchu kobiecym. Zarys syntetyczny. List jubilatki. Wydanie II. Kraków, 1909. Nakład. księg. ludowej K. Wojnara. 8-o, str. 100 z trzema portretami i rycinami.

SIEDLECKI-GRZYMAŁA ADAM: Wyspiański. Cechy i elementy jego twórczości. Kraków, 1909. Nakład. księg. D. E. Friedleina. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, form. duży, str. VII + 255.

SOKOLICZ ANTONINA: Juliusz Słowacki. Życie i dzieła poety. Opracowała... Poznań, 1909. Nakład. Wydziału Oświatowego „Straży.“ 8-o, str. 80.

UJEJSKI JÓZEF, DR.: Juliusza Słowackiego „Kordyan.“ Kraków, 1909. Nakład. autora. Osobna odbitka ze sprawozdania gimnazjum św. Józefa w Krakowie. 8-o, str. 63.

#### MATEMATYKA.—NAUKI PRZYRODNICZE.

BURACZEWSKI J. i DZIURZYŃSKI M.: Bromowanie strychniny, brucyny i innych alkaloidów. Cz. I. Kraków, 1909. Nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Pol. Osobne odbicie z t. XLIX. Ser. A, Rozpraw wydz. mat. przyrodn. Akad. Um. w Krakowie. 8 o, str. 9.

HIRSCHLER JAN, D-R i ROMANISZYN JAN: Motyle większe (*macrolepidoptera*) z okolic Lwowa (z 7 tablicami). Kraków, 1909. Nakł. Akad. Um., Spółka Wyd. Pol. Osobne odbicie z t. XLIII Sprawozdań Komisji fizyograficznej Ak. Um. w Krakowie. 8-o, str. 77.

KOZAK JAN: O działaniu wodorotlenku potasowego na dwuoksym acetyloizatyny. Kraków, 1909. Nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Pol. Osobne odbicie z t. XLIX, ser. A, Rozpraw wydz. mat. przyr. Ak. Um. w Krakowie. 8-o, str. 5.

KALABIŃSKI EUZEBIUSZ: Przewodnik do określania ryb krajowych. Warszawa, 1909. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, format mały, str. 29.

KREUTZ STEFAN: Krystalizacja salmiaku. Kraków, 1909. Nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Pol. Osobne odbicie z t. XLIX, ser. A. 8-o, str. 70.



## H I S T O R Y A.

BALAŁAN JÓZEF: Dzieje Polski. Ozdobione licznymi rycinami. Lwów. Drukarnia Udziałowa, 1909. 8-o, str. 234.

BARAN KAZIMIERZ: Prawa i przywileje królewskie wolnego miasta Nowego Targu. Nowy Targ, 1908. Nakładem Rady miejskiej. 8-o, str. 77.

BARWIŃSKI EUGENIUSZ, D-R: Archiwum ks. Radziwiłłów w Nieświeżu. Rys jego historyi i sprawozdanie z poszukiwań. Kraków, 1909. Nakładem Akademii Umiejętności Uniwersytetu Jagiellońskiego.

BOUFFAŁ BRONISŁAW: Bosfor i Dardanelle wobec aneksyi Bośni i Hercegowiny. Przyczynek do kwestyi wschodniej. Warszawa, 1909. Gebethner i Wolff. Druk. A. Ginsa. 8-o, format duży, str. 63.

KĘTRZYŃSKI STANISŁAW: O Królestwie Wielkopolskiem. Warszawa, 1909 (Odbitka z „Przeglądu Historycznego“). 8-o, str. 25.

KĘTRZYŃSKI WOJCIECH, D-R: Przyczynki do historyi ostatniego Sejmu poznańskiego r. 1845. Lwów. Nakł. i druk Ossolineum. 1908. 8-o, str. 20.

KROTOSKI KAZIMIERZ, D-R: Przyczyny upadku Polski. Poznań. Nakład i druk „Pracy.“ 1909. 8-o, format mały, str. 11.

SKIRMUNT KONSTANCYA: Nad Niemnem i nad Bałtykiem. Zeszyt III. Mindog, król Litwy. Warszawa, 1909. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 190 + II.

TRAMPCZYŃSKI WŁODZIMIERZ: Dwa powstania poznańskie r. 1846 i 1848, oraz proces w Moabicie. Warszawa, 1909. Nakładem Spółki Wydawniczej (Jan Rożański i Adam Sobieszkański). 8-o, str. 80.

## PRAWO. — NAUKI SPOŁECZNE. — EKONOMIA. — STATYSTYKA.

ABRAHAM WŁADYSŁAW: Forma zawarcia zaręczyn i małżeństwa w najnowszym ustawodawstwie kościelnem. Lwów, 1909. Gubrynowicz i Syn. Odbitka z „Przeglądu prawa i administracyi.“ 8-o, format duży, str. 179.

ADAMEK PIOTR: Kobieta w życiu zarobkowym. Przyczynek do kwestyi kobiecej. Poznań, 1909. Nakł. księg. św. Wojciecha. 8-o, str. 73.

ALLERHAND M., D-R: Podstęp w procesie. Lwów, 1908. Nakład Księg. Polskiej B. Połonieckiego. 8-o, str. 341.

ANTOINE K.: Kurs ekonomii społecznej. Przetłumaczył z czwartego wydania francuskiego Walery Gostomski. Warszawa, 1909. Gebethner i Wolff. 8-o, t. I str. XX + 210, t. II str. 230 + V, t. III str. 225 + IV.

CZERKAWSKI WŁODZIMIERZ, D-R: Galicya w ostatnim budżecie państwowym. Kraków, 1909. Nakładem autora. 8-o, str. 36.

DĄBKOWSKI PRZEMYSŁAW, D R: Próba charakterystyki domowego prawa polskiego prywatnego. (Odczyt wygłoszony w Stacji naukowej krakow. Akad. Umiej. w Paryżu, d. 12 kwietnia 1908). Lwów, 1908. Nakł. autora. 8-o, str. 32.

DOLIŃSKI A., PROF. D-R: Austriackie prawo spółek z ograniczoną odpowiedzialnością. Lwów, 1908. Nakład autora. 8-o, str. 499.

RAPPAPORT EMIL STANISŁAW: Państwo a prawo. Zarys krytyki radykalnej. I. Uwagi wstępne. II. Przegląd Historyczny. III. Krytyka radykalna. IV. Krytyka krytyki. V. Wnioski. Przepisy—źródła. Warszawa, 1909. Wende i S-ka. 8-o, str. 70 + V.

SPRAWOZDANIE z działalności Towarzystwa Prawniczego w Warszawie za 1908 r. Warszawa, 1909. Str. 22.

WYROSTEK MICHAŁ, D-R: Urządzenia polityczne Szwajcaryi. Kraków, 1909. Spółka nakładowa „Książka.“ Skład główny w księgarni Centnerszvera w Warszawie. 8-o, str. 215.

PEDAGOGIKA. — WYCHOWANIE. — SZKOLNICTWO. —  
KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY.

BENNI TYTUS: Gramatyka angielska. Dla początkujących, na podstawie fonetycznej. Warszawa, 1909. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 56.

BRUCHNAŁSKA BRUNONA: Czytajcie, dzieci! Tom I. Lwów, 1908. Nakł. pol. Tow. pedagog. 4-o, str. 47.

BRUYES ET PALAPRAT: La farce de l'avocat Patelin. Comédie en trois actes, en prose par... Avec un vocabulaire et des explications grammaticales. Warszawa, 1909. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 44 + 11.

BRZEZIŃSKI M.: Wstępna nauka rachunków z liczbami całkowitymi i ułamkami w zakresie od 1-go do 10-ciu. (Dla młodzieży i samouków). Warszawa, 1909. Wydawnictwo z zap. fund. ś. p. D-ra Chwiećkowskiego. Skł. gł. w Księgarni Polskiej. 8-o, str. 39.

FOERSTER FR. W., D-R: Szkoła i charakter. Przyczynek do pedagogiki posłuszeństwa i do reformy karności w szkole. Przekład Maryi Łopuszańskiej. Warszawa, 1909. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 159.

FRANCE ANATOLE: Pages choisies, avec explications et vocabulaire français-polonais. Warszawa, 1909. Bibliothèque des écoles № 15. Skł. główny w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 45.

KOŚCIŃSKI KONSTANTY: Szkoły rydzyńskie ksiąząt Sułkowskich. Przyczynek do historii oświaty w Wielkopolsce. Poznań, 1909. Nakł. autora. Odbitka z „Dziennika Poznańskiego.“ 8-o, format mały, str. 16.

KOTULA B.: Nowoczesna metoda nauki rysunków w szkole ludowej. Część III. Ćwiczenia techniczne. Cieszyn, 1909. 50 tablic 34 × 21 cm., 4 str. tekstu.



LEHRBUCH DER DEUTSCHEN SPRACHE für die mittleren Klassen der Mittelschulen. 2 Band. Ausgabe der Kommerzschule Rontaler zu Warschau. Warszawa, 1909. Skł. główny w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 252.

ŁUKASIEWICZ ANTONI: Pierwsza wystawa warsztatów studenckich we Lwowie i zjazd kierowników. Lwów, 1909. Nakł. Tow. naucz. szkół wyższych. Odbitka z „Muzeum.“ 8-o, str. 12.

### SZTUKI PLASTYCZNE.

TEKA Grona konserwatorów Galicyi Zachodniej. Tom III. Z 11 ilustracyami w cynkotypii. Kraków, 1909. Nakł. Grona kons. Katalog kraj. Archiwum aktów grodzkich i ziemskich w Krakowie. Wydał Dr Stanisław Kutrzeba;—Indeks do katalogu kraj. Archiwum aktów grodz. i ziem. w Krakowie;—Z protokółów posiedzeń Grona (w opracowaniu sekretarza Grona D-ra Stanisława Krzyżanowskiego): Indeks do protokółów posiedzeń Grona;—Skład Grona konserwatorów Galicyi Zachodniej. 4-o, str. IV + 321 + 2 nlb.

### KSIĄŻKI DLA LUDU.

KSIĄŻKA DLA WYCHODZCÓW, wydana przez Towarzystwo opieki nad wychodźcami „Opatrzność“ w Krakowie. № 1, marzec 1909 r. Kraków, 1909. Nakł. Tow. „Opatrzność.“ 8-o, format mały, str. 47.

PULAWSKI A., D-R: Co to są suchoty i jak się od nich nechronić? Odczyt popularny. Warszawa, 1909. Wydanie z fund. D-ra Chwieńkowskiego. Skł. gł. w „Księgarni Polskiej.“ 8-o, str. 29.

### PUBLICYSTYKA.

MARYAWICI W LUBELSKIM I NA PODLASIU. Lublin, 1909. Skł. gł. w ks. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 48.

P. P. K.: Refleksye. Lwów, 1909. Str. nlb. 5.

PRZERWA-TETMAJER KAZIMIERZ: List otwarty do pana Wilhelma Feldmana. Warszawa, 1909. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, format podł., str. 18.

SPRAWOZDANIE z zarządu Muzeum Narodowego polskiego w Rapperswilu za r. 1908. Rok XXXIX. Paryż, 1909. 8-o, format mały, str. 90.

ŻULAWSKI JERZY: Pan Wilhelm Feldman, historyk literatury polskiej. Kraków, 1909. S. A. Krzyżanowski. Odbitka ze „Słowa Polskiego.“ 8-o, format mały, str. 17.

ROLNICTWO. — HODOWLA. — LEŚNICTWO. — OGRODNICTWO. —  
GOSPODARSTWO KOBIECE.

DOBRSKA MARYA: Pogadanki o mleczynie i jego przerobach i o hodowli kur. Wypowiedziane d. 18 listopada 1908 r. na Kursach Rolniczych w Lublinie. Lublin, 1909. Wydawnictwo Wyd. Kół. Rolnicz. Lub. Tow. Roln. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 44.

LUTOSŁAWSKI JAN: Jak nauczyć sztuki rolnictwa? (Wobec wznowienia kwestyi praktyk rolniczych.) Rzecz odczytana w skróceniu na III Zebraniu Ogólnem Centr. Towarzystwa Rolniczego w Warszawie dn. 19 czerwca 1909 r. I. Teorya i praktyka. II. Stanowisko właściciela w zarządzie gospodarstwa. III. Uwagi ogólne o praktykach, ich stan obecny. IV. Moja metoda. V. Widoki przyszłości. Warszawa, 1909. Wydawnictwo Centr. Tow. Roln. w Król. Polsk., № 2. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8 o, str. 71.

PUSCH, D-R PROF.: Praktyczne wskazówki oceny bydła rogatego. Warszawa, 1909. Wydawn. „Rolnika i Hodowcy.“ 8-o, str. 21.

SKOROWIDZ LEŚNY na r. 1909. Wydania galicyjskiego rocznik trzeci. Opracował L. Szczerbowski. Lwów, 1909. Nakł. autora. Wszelkie prawa zastrzeżone. 8-o, str. Ib. 207.

## POEZJA.— POWIEŚĆ.— DRAMAT.

ANCZYC WŁ. L.: Łobzowanie. Muzyka Wł. Rzepki. Warszawa, 1909. Nakł. i własność Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, format mały, str. 39.

BUNIKIEWICZ WITOLD: Komedia olimpijska. Warszawa—Kraków, 1909. G. Gebethner i Sp. Okładkę wykonał Alfred Penzias. 4-o, format mały, st. 42.

GALIŃSKI FRANCISZEK JERZY: Psia wasz . . . Opowiadania. Kraków, 1909. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 171.

FRANCE ANATOL: Wybór pism. VIII. Wyspa Pingwinów. Lwów, 1909. Pol. Tow. Nakładowe, księg. Polska B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, format mały, str. 386.

KARPIŃSKI BOLESŁAW: Prolog, odegrany na uroczystem przedstawieniu ku uczczeniu działalności naukowej Prof. Dra St. Tarnowskiego, d. 24 maja 1909 r., w teatrze miejskim w Krakowie. Z portretem autora. Kraków, 1909. Nakł. ak. koła artystycznego miłośników dramatu klasycznego, G. Gebethner i Sp. 8-o, format mały, str. 21.

KLEWE: Lwowskie perły. Brody, 1909. Nakł. księg. F. Westa. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 172.

— Wesole kroniki. 1906—1908. Brody, 1909. Nakł. księg. F. Westa. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 177.



KONOPNICKA MARYA: Dym. Wyd. II. Warszawa, 1909. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. Biblioteczka uniw. lud. i młodzieży szk. 1. 8-o, format mały, str. 15.

KWAŚNIEWSKI KAROL: Z widzeń sennych Kraków, 1909. Nakł. autora, księg. S. A. Krzyżanowskiego. 4-o, format mały, str. 61.

LABICHE E.: Zaślubiny z przeszkodami. Komedia w jednym akcie. Przekład z francuskiego Adolfa Walewskiego Wyd. III. Lwów, 1909. Nakł. księg. H. Altenberga. Biblioteka teatrów amatorskich № 35. 8-o, str. 18.

LASKOWSKI KAZIMIERZ (EL.): Ostatnia szarża. Warszawa, 1907. Red. „Gońca.“ 8-o, str. 125.

LEROUX GASTON: Perfumy czarnej damy. Lwów, 1909. Nakł. księg. kolejowej H. Altenberga. New-York, the polish book importing Co. Wybór sensacyjnych powieści kryminalnych, t. VII. 8-o, str. 398.

LESZCZYŃSKI MARYAN: Pamięci Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, zmarłego nagle w Wiedniu 22 marca 1909 r. Lwów, 1909. Odbito jako manuskrypt w 110 numerowanych egzemplarzach. 8-o, str. nlb 4.

ŁEBIŃSKI WALERY: Łamali się. Dramat w 3-ch aktach. Poznań, 1909. Nakład autora. Skł. gł. w księg. Niemierkiewicza. 8-o, str. 55.

MASZKOWSKA ANIELA: Złamane kwiaty. Brody, 1909. Księg. F. Westa. 4-o, format mały, str. 60.

MAZIŃSKI ZYGMUNT WŁODZIMIERZ: Młodzieńcze błyski. Warszawa, 1909. Skł. gł. w księg. J. Fiszera. 8-o, str. 56.

MORAWSKI DZIERŻYKRAJ FRANCISZEK: Bajki. Wybór. Warszawa, 1909. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. Biblioteczka uniw. lud. i młodz. szk. 106. 8-o, format mały, str. 36.

MROZOWICKA ZOFIA: Głos krwi. Drama społeczne i miłosne. Lwów, 1909. Księg. Polska B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. Wszelkie prawa zastrzeżone. 8-o, format mały, str. 296.

NOCE POŚLUBNE. Nowele. Warszawa, 1909. Nakł. Józefa Welnowskiego. 8-o, str. 143.

PIĄTKOWSKI HENRYK: Nasze bziki. Farsa w jednej odsłonie. Wyd. III. Warszawa, 1909. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. Teatr amatorski № 43. 8-o, format mały, str. 60.

PIETRZYCKI JAN: Pan Brzeżan. Fragment historyczny z czasów Zygmunta Wazy.—Madonna Ponińska. Legenda z XVII stulecia. Lwów, 1909. Nakł. księg. L. Chmielewskiego. Warszawa, 1909. Księg. Powszechna. 8-o, str. 44.

PŁODOWSKI STANISŁAW: Prolog-dyalog, napisany na uroczystość otwarcia Towarzystwa miłośników sztuki polskiej w Sosnowicach. Pieśń i poeta. Fantazja dramatyczna. Kraków, 1909. 4-o, str. 8.

POL WINCENTY: Wybór poezyi. Warszawa, 1909. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 56.

PRZYBYSZEWSKI STANISŁAW: Dzień sądu („Synów ziemi“ część wtóra). Warszawa, 1909. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, format mały, str. 453.

RENARD WŁADYSŁAW: One. Szkice kinematograficzne. Warszawa, 1909. Bibl. Dz. Wybor. № 592. 8-o, str. 123.

ROGRON JÓZEF ATANAZY: Wieczne nowiny. Poezye religijne. Tarnów, 1909. Nakł. autora, księg. Z. Jelenia. Warszawa, Gebethner i Wolff. Okładkę wykonał Gabryel Kenan. 8-o, str. 148.

ROSTWOROWSKI H. K.: Saeculum solutum. IV. Kraków, 1909. G. Gebethner i Sp. Nakł. W. L. Anczyca i Sp. 4-o, str. 38.

STAFF LEOPOLD: Igrzysko (dramat). Lwów, 1909. Nakł. księg. Polskiej B. Polonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 168.

STARKMAN ADOLF: Anonim. Bluetka sceniczna w 1-ej odsonie. Warszawa, 1909. Nakł. J. Fiszera. Bibl. Miłośn. sceny № 52. 8-o, str. 42.

STRAUSS EMIL: Przyjaciół Ryś, historia życia. Autoryzowany przekład z niemieckiego W. Jankowskiego. Śniatyn, 1908. Nakł. L. Pohorillea. Przekład wzbroniony. 8-o, str. 200.

UJEJSKI KORNEL: Wybór pism. Z przedmową Ign. Chrzanowskiego. Z portretem poety. Kraków, 1909. Nakł. G. Gebethnera i Sp. 16-o, str. 316.

WAŚKOWSKI ANTONI: Sąd. Tragedya. Kraków, 1909. Nakł. autora. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 24.

ZAPOLSKA GABRYELA: Sezonowa miłość. Powieść współczesna. Wydanie drugie. Warszawa, 1909. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 446.

ZECHENTER EDMUND: Z chłopskiej niwy. Z przedmową Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Kraków, 1909. G. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff. 8-o, str. VIII + 181.

